

DOBRA POWIEŚĆ KRYMINALNA

Joe R.
Lansdale

Odważna

C&T

Lansdale Joe R.

Odważna

Rudowłosa Sunset Jones, zwana Słonkiem, mieszka na teksańskim zadupiu. Pete, jej mąż, jest konstabłem - bo szeryf takim osadom nie przysługuje - a przy okazji lubi też maltretować żonę. O ten jeden raz za dużo kończy się dla niego kulką w skroni. Z ręki Słonka. Chociaż potem jej teściowa, Marylin, wcale nie robi z tego tragedii. Nawet więcej, uważa to za sprawiedliwość boską, znając dobrze synalka... I ma też sporo do powiedzenia w osadzie, co kończy się mianowaniem na nowego konstabla właśnie Słonka!



We wschodnim Teksasie mity, legendy i rzeczywistość wszystko to jedno i to samo.

H. Collins,
mieszkaniec wschodniego Teksasu od samych narodzin

1

Tego popołudnia, kiedy z nieba padały żaby, żywcyki i okonki, Słonko przekonała się, że jeśli chodzi o zbieranie łomotu, jest równie zdolna, co Jack Trzy Palce. Z tym że Jack dostał wciry na świeżym powietrzu, a ona we własnym domu, gdy właśnie przewalało się nad nim tornado, więc szyby dzwoniły, dach chciał latać, a deski podłogi były zimne jak kamień.

Leżała na wznak, ubrana tylko w górną połowę sukienki, bo dolna połowa urwała się, kiedy Pete w trakcie spuszczenia Słonku manta przydepnął rąbek — i sparszywiały jak sumienie polityka materiał wziął i trzasnął, zostawiając ją okrytą tylko od ramion do talii.

Przez jej głowę przeleciała myśl, że wobec tego została z ledwo dwiema kieckami, a tej akurat naprawdę żałowała, bo kwiecisty wzorek, choć sprany, wciąż się jej podobał, a do tego plamy nie były na nim zbyt widoczne.

Wszystko to jednak tylko przelotna refleksja. Bo głównym przedmiotem rozważań Słonka było: jak powstrzymać Pete'a od dalszych ciosów? Spróbowała osiągnąć ten cel, unosząc ręce, ale on bił tak mocno, że własnymi ramionami i dłońmi dostawała po twarzy niewiele słabiej niż jego pięściami.

W końcu więc powalił ją na podłogę, sam zwałił się obok, rozepchnął jej nogi i zabrał się za targanie i zdzieranie resztki sukienki.

Gdy góra kiecki trzasnęła, a kolejne szarpnięcie na wpół ściągnęło biustonosz, odsłaniając ciało Słonka, Pete rzucił bełkotliwie: — O, jest i cycek.

Jego oddech niemal ociekał gorzałą.

Pete szarpał jej bieliznę, rozdarł ją, odrzucił. Z trzaskiem ściągnął też pas z bronią i upuścił go opodal, więc kiedy leżał na Słonku i gme-rał przy rozporku, usiłując wpuścić lisa do kurnika, ona sięgnęła, wyciągnęła trzydziestkę ósemkę z kabury i — nim się zorientował — przyłożyła mu lufę do głowy i wpakowała kulkę w skroń.

Gdy pociągnęła za spust, strzał był tak głośny, jakby archanioł Gabriel dał w trąbę, wzywając Słonko do nieba, ale to Pete tam powędrował. No, w każdym razie gdzieś go poniosło. Słonko z przyjemnością dowiedziałyby się, że trafił do piekła, na jakieś wygrzane miejsce w kotle.

Akurat w tamtej chwili jednak ten strzał sprawił, że wrzasnęła, raz, ostro i mocno, jak gdyby to ona oberwała albo właśnie dostała klapsa w tyłek zaraz po urodzeniu.

Pete zwiotczał, nie tylko w narzędzie, którego zamierzał użyć, ale hurtowo. Nie powiedział ani słowa. Żadnego „Żesz”, „O kurwa” czy „W głowie się nie mieści” — rzeczy, które w normalnych okolicznościach wyrwały mu się w chwilach zaskoczenia i stresu.

Po prostu łyknął kulkę, puścił bąka niemal tak gromkiego jak strzał z trzydziestki ósemki, oklapł i odjechał na czarnym ogierze Śmierci.

Jakby było mało, że Słonko postradała kieckę, bieliznę i godność osobistą, to w tej chwili wszystkie okna we wschodniej ścianie zagrzechotały niczym łańcuchy Ducha Minionych Świąt i eksplodowały. Drzwi rozleciały się, jakby tak naprawdę do tej pory ich części łączył tylko luźny związek, a wiatr zerwał dach.

Ona sama leżała na plecach ze strzępami ubrania przywierającymi wciąż do ciała, nadal obuta w stare pantofle na płaskim obcasie, ze sterczącym z barku kawałkiem szyby, przygnieciona zewłokiem Pete'a. Ciągle miała w dłoni rewolwer. Kula zrobiła małą dziurę i wbrew oczekiwaniom Słonka nie wyrwała z drugiej strony dużej. Pewnie trefny nabój, mało prochu, kula pohasała w czerepie Pete'a i przerobiła mu mózg na pasztet. Krew sączyła się mu z rany i nosa, ciekła na nią.

Zepchnęła go z siebie i popatrzyła na trupa. Ano, na bank. Z tego się nie wykuruje.

— Co, zdziwiony? — zapytała.

Wpatrywała się w Pete'a przez dłuższą chwilę, po czym zaczęła wyć, jakby wstąpiła w nią banshee. Nie żeby dało się ten wrzask usłyszeć choćby z sąsiedniej izby — głośny był, i owszem, ale tornado hałasowało mocniej. Cały dom się telepał, skrzypiał, trzeszczał i jęczał.

I nagle wszystko oprócz podłogi, dwóch brzydkich krzesel, żeliwnej westfalki, Słonka i trupa zostało zassane w górę i rach-ciach — ciśnięte w dal.

Słonko wrzeszczała, kurczowo wczepiona w podłogę, a burza szalała.

Ledwie minął cyklon, niebo się wyklarowało, słońce wystawiło łeb i dało do pieca tak, że nic nie wskazywało na to, iż parę chwil temu siekł chłodny deszcz i wiało jak diabli.

Słonko wstała, słaba, krwawiąca, gubiąc resztki odzieży. Z ramienia wyciągnęła ten odłamek szyby. Wylazł gładko, nie narobił szkód, rana prawie nie krwawiła.

Naga, jeśli nie liczyć pantofli i wciąż ściskanego w dłoni rewolweru, ruszyła spomiędzy resztek domu, potykając się na wybojach ciągnącej się od niego gliniastej drogi, a żaby, żywcyki i okonki trzepały się u jej stóp albo odskakiwały na boki.

Czuła się zagubiona niczym Kain po tym, jak już zabił Abła.

Dostrzegła samochód Pete'a, przewrócony i potrzaskany, zgięty wpół między dwoma krzepkimi dębami, jakby był ulepiony z mokrej lukrecji. Zaraz obok rozwaliała się jego drewniana szafka na akta, teczki walały się po całej okolicy.

Zrządzeniem losu Słonko natknęła się na jedną z własnych zasłonek okiennych, uszytych z zafarbowanego na granatowo worka po mące. Tkanina owinęła się wokół gałęzi karłowatego drzewa i wisiała tam jak na ramieniu kelnera.

Słonko okręciła zasłonką dolną część ciała, długie, rude włosy rozpuściła tak, by opadały na piersi, i ruszyła w dalszą drogę, a błoto ciamkało jej pod zelówkami.

Schyliła się, by oderwać od obcasa rozciapaną żabę, a gdy się wyprostowała, zobaczyła, że drogą nadciąga czarnoskóry druciarz, Wuj Riley, prowadząc wóz zaprzężony w dwa muły. Obok szedł syn Rileya, Tommy, nadziewając szamoczące się po ziemi okonie na zaostzony patyk i wrzucając je na wóz.

Na jej widok Wuj Riley ściągnął lejce i powiedział: — Oj, do licha. No ja wcale się nie patrzę, psze pani Białej Pani. I Tommy też się nie patrzy. No nic a nic nie widzimy.

Cóż, Tommy widział, i to niemało. Piersi Słonka wyzierały zza rudych włosów, a Tommy jeszcze nigdy nie widział kobiecego biustu, czy to czarnego, czy białego, nie licząc czasów, kiedy wisiał u mamy na cycku, ale tamto już dawno zatarło mu się w pamięci.

Akurat w tej chwili Słonko nie przejmowała się specjalnie tym, co kto widział. Krew ciekła jej z nosa i ust, oczy miała tak zapuchnięte, że ledwie cokolwiek sama widziała. Czuła się tak, jakby ktoś ją najpierw podpalił, a potem tłukł grabiami, aż zgasła.

— Wuju Riley — powiedziała. — To ja, Słonko. Tylko obita.

— O Boże, dziecko, no w rzeczy samej. To może ja zejść tu z kozła i ci pomogę, tylko weź do niczego nie strzelaj, co?

Słonko zatoczyła się i przyklękła na jedno kolano. Spróbowała wstać, ale nie dała rady.

Wuj Riley, co miał lat czterdzieści cztery, wzrostu sześć stóp i cztery cale, a wagi niemalże kwintal, tudzież łysy jak kolano czerep ukryty pod miękkim kapeluszem, zsiadł z wozu, ściągnął roboczą koszulę i podszedł do Słonka, wciąż obracając głowę w bok.

Okrył koszulą ramiona Słonka. Ona zaś wypuściła zasłonkę, ściągnęła koszulę na piersiach i zapięła ją wolną dłonią. A wszystko to klęcząc na jednym kolanie. Znow spróbowała wstać i znowu jej nie wyszło. Wuj Riley wziął ją na ręce z taką łatwością, jakby była małym dzieckiem. Kurczowo trzymała rewolwer, jakby był częścią jej dłoni.

Riley zaniósł ją do wozu, posadził na kozle i sam usadowił się obok. — Ale nic a nic pani nie dotykam, pani Słonko.

— Wszystko dobrze, Wuju Riley. Prawdziwy z was dżentelmen. Tommy, który stał przy wozie z okoniem nadzianym na patyk, wciąż jeszcze nie zdołał zamknąć ust.

— Wsiadaj no tu — polecił mu Wuj.

Chłopak wspiął się na tył wozu, pomiędzy ryby, które zbierali. Dno wozu było nimi zarzucone od końca do końca, tu i ówdzie tyle, że sięgałoby powyżej kostek. Wuj Riley widział w tym deszczu ryb dar Boży. Ryby do zjedzenia od razu, do zasolenia i uwędzenia na później... Zebrali nawet nieco żab, bo mama Tommy'ego, Cary, akuszerka, lubiła żabie udka.

A teraz Tommy zaczął się zastanawiać, czy aby im się ryby nie złączą psuć, skoro wzięli sobie za pasażerkę tę sponiewieraną, cycatą białą babę. Rany Julek, co z taką począć?

Myślał sobie: Te jej rude włosy są takie długie i rozczochrane, że wyglądają jak kaskada ognia. Uśmiechnął się pod nosem. Boże drogi, widział już ryby sypiące się z nieba i cycki białej kobiety. Wyjątkowy dzień mu się przytrafił.

— Pani Słonko, jak tak będę panią wozził, to mnie ubiją — stwierdził głośno.

— Nie ubiją, nie przy mnie.

Słonko słyszała, jak jej usta wypowiadają właściwe słowa, ale miała wrażenie, że to wszystko jej się śni. Podrapała się za uchem lufą trzydziestki ósemki.

— Kiedy psze pani, oni mi nie uwierzą. Pani też nie uwierzą, o.

— Mnie uwierzą.

— Mój kuzyn Jim zobaczył raz białą kobietę, jak się pochylała na podwórzu, wyciągała pranie z koszyka do rozwieszenia, i choć nic a nic nie zobaczył, bo ona była ubrana, a on het na szosie, to jednak biały facet przyuważył, że się patrzył, i za to, jak się rozniosło, typy z Klanu przyszli, zabrali Jima i mu wykastrowali, a ranę zalali terpentyną.

— Wuju, słowo daję, będzie dobrze.

— A co powie pani mąż? Pan Pete?

— Nic nie powie, Wuju Riley. Bo wpakowałam mu kulkę w łeb.

— Rany Julek!

— Zabierzecie mnie do teściowej?

— Aby na pewno chce pani jechać do świekry? — zdziwił się Wuj.

— Moja córka u niej jest. A ja nie mam się gdzie podziać.

— No ja nie wiem, czy pani Marilyn będzie taka szczęśliwa, że jej pani syna zastrzeliła.

— Tym się będę martwić, jak przyjdzie co do czego... Ach, Boże, co sobie pomyśli Karen?

— Mała kocha tatusia, jak znam życie.

— Ano kocha.

— No to wykastrowają i mi, i mojemu synowi.

— A nigdy w życiu. Już ja tego dopilnuję. Na miłość Boską, Wuju Riley, znam was od urodzenia. Wasza żona pomagała mi przy porodzie.

— Biali o takich sprawach łatwo zapominają, jak im pasuje. A teraz, panie, w tym kryzysie, to już się ludzie w ogóle wredni porobili.

Nawałnica przyszła tak szybko i tak wściekle, że aż trudno było się teraz pogodzić z powrotem słońca i upału — mało tego, ryby na wozie już zaczęły wonieć.

Skórzana uprzęż skrzypiała, a z nafutrowanych owsem i sianem brzuchów mułów wyrywały się trąbienia i dziwne bulgoczące dźwięki. Od czasu do czasu muły zadzierały też ogony i pierdziały albo i co gorzej, czy też szarpały łbami i skubały chaszczce, a tego miały pod dostatkiem, bo dróżka była wąska i wychodziły nad nią gałęzie drzew, kusząc zwierzęta listowiem.

Wóz skrzypiał, kolebiąc się po błotnistej drodze, ze schnącej gliny wąskimi smużkami unosiła się para, niosąc zapach jakby wypalanej ceramiki. A słońce paliło, wgryzało się w rany i sińce Słonka.

— Chyba zaraz zemdleję — powiedziała.

— Pani Słonko, nie, no proszę. Jakby było mało, że prawie goła jedzie pani obok czarnego, to jeszcze z głową na moim ramieniu? Kaplica.

Słonko opuściła głowę i jakoś jej przeszło. Kiedy się w końcu wyprostowała i zabrała do ocierania potu z czoła grzbietem dłoni, zorientowała się, że wciąż ściska w niej rewolwer.

— Może powinnam zostawić wam broń, Wuju?

— Nie, psze pani. Lepiej mi pani nie zostawia tego pistoletu. Bo zaraz wyjdzie na to, że to ja go zastrzeliłem.

— Przecież bym wyjaśniła.

— Jak biali go znajdą i przyuwają mnie, to i tak będą chcieli powiesić Murzyna. Niechby znaleźli u mnie w wozie pistolet pana Pete'a, a to przecież konstabl był, co nie, to zadyndam tak szybko, że co poniektórzy jeszcze nawet nie zdążą wpaść na to, że można by czarnucha powiesić.

— No dobra — uległa Słonko. — W każdym razie, naprawdę szczerze dziękuję, Wuju, i tobie, Tommy.

— Zresztą może się pani ten pistolet przydać, jak pani już powie pani Marilyn, co pani zrobiła. A jak nie na nią, to na jej męża, pana Jonesa, znaczy.

— Jak tylko powiem córce, to może mnie najść, żeby sobie samej w łeb palnąć.

— Tak nie można mówić.

— Sama nie wierzę, że to zrobiłam.

— Jak on tak panią tłukł, pani Słonko, to mu się należało. Ja tam nie lubię się z facetami, co biją kobiety. Pani tylko zrobiła, co trzeba było zrobić.

— No ale mogłam mu tylko strzelić w stopę czy w udo.

— Zrobiła pani, co trzeba było zrobić. — Wuj Riley przyjrzał się bacznie jej twarzy. — Jasny gwint, pani Słonko, no nie widziałem takich sińców, od kiedy Pete spuścił łomot Jackowi Trzy Palce. Pamięta to pani?

— No.

— Kurde, złał go tak, jakby Jack mu co ukradł.

— Bo ukradł. Kochankę mojego męża.

— Aj, zaraza. Byłoby lepiej, gdybym o tym nie wspomniał.

— Nauczył mnie strzelać, Wuju Riley. Niewiarygodne, co? Nauczył, jak strzelać z pistoletu, strzelby i sztucera. Szkolił mnie, aż sobie pomyślał, że może jednak robię się w tym za dobra. Kiedy się już po-

braliśmy, nie chciał, żebym cokolwiek robiła... Sama nie wierzę, że go wzięłam i zastrzeliłam. Mogłam po prostu dać się stłuc, nadstawić tyłka, dostałby, czego chciał i byłoby po wszystkim. Nie pierwszy raz przecież. Karen wciąż miałaby tatę. I właściwie mógł to dostać i bez lania, Wuju. Uległabym bez awantury. Wystarczyłoby, żeby ładnie poprosił. Ale on lubił ostro z kobietami, nawet bez potrzeby. Może z kochankami był miły, ale mnie tłukł...

— O tym mi już nie opowiadaj, dziewczyno. Na nic mi to wiedzieć.

— Nawet na sucho nie był zbyt przyjemny, ale jak wypił, to się robił gorszy niż grzechotnik...

— Ale ma pani rude włosy, że hej — odezwał się Tommy.

— Kurde, synek — zwrócił się do niego Wuj Riley — pani Słonko jeszcze tylko potrzeba rozmowy o włosach. Idź tam na tył wozu i posortuj te ryby, czy coś.

— Kiedy one wszystkie takie same.

— No to je policz.

— Nie ma sprawy, Wuju. Masz rację, Tommy. Są rude. Mama mawiała, że czerwone jak zachód słońca, no i stąd tak mnie wołają.

— Znaczy, to nie pani imię? — zdziwił się Tommy.

— Teraz już tak. Ale w Biblii po chrzcie wpisali Carrie Lynn Beck. Tyle że każdy i tak nazywał mnie Słonko. A po ślubie byłam pani Jonesowa.

I się rozryczała.

— Idź ty tam do tyłu, ale już — Wuj Riley polecił Tommy'emu.

— Kiedy ja nic nie zrobiłem.

— Synek, dawno żeś w dupę nie dostał? Już tam na tył. Tommy cofnął się nieco i usiadł pomiędzy rybami. Wciąż jeszcze

były wilgotne, przemoczyły mu portki, co mu się wcale nie podobało, ale siedział. Wiedział, że już raczej nie ma co się narzucać, że jak spróbuje dalej wypytywać, to zaraz wóz stanie i na tyłku spodni wyląduje ciężka, ojcowska ręka, albo i gorzej — Tommy będzie musiał sam urwać różgę i ją ojcu wręczyć.

Jechali dalej w dogasający dzień, aż drzewa wokół zaczęły rzędnąć i usłyszeli wycie piły z tartaku, odgłosy ludzi, mułów, wołów i wleczonych pni, terkotanie i rżenie ciężarówek z drewnem.

— Jak panią ze mną zobaczą, nie będzie dobrze — stwierdził Wuj Riley.

— Wszystko będzie w porządku — zaprzeczyła Słonko.

— Tommy, weź wyskakuj z wozu, leć w te drzewa. Ja tu po ciebie wrócę.
Chłopak przesadził burtę i zapuścił się w las.

— Nie pozwolę, Wuju, żeby wam się coś stało — dodała Słonko. — Jak z tobą zaczną, to na koniec powieszają nas oboje. W tym rewolwerze jest jeszcze pięć naboń.

— Jak mnie powieszają razem z panią, pani Słonko, to mnie się wcale nie będzie lepiej wisało. Trup jest trup.

— No dobra. To mnie wysadźcie, Wuju, tutaj. Resztę drogi dam radę przejść.

Wuj' Riley pokręcił głową. — To by wyglądało jeszcze gorzej, jak ktoś zobaczy, że pani zsiada z tego wozu, to mnie powieszają, jeszcze zanim to pani zdąży opowiedzieć komuś, co i jak. Zresztą, kobieto, ty ledwie siedzisz...

Słonko uniosła głowę i zobaczyła, że po obu stronach drogi cyklon równiutko przyciął wierzchołki wszystkich sosen. Zupełnie jakby jaki Ponury Żniwiarz od Drzew przeszedł się tędy z kosą.

Wjeżdżając do obozu drwali, Słonko widziała zlanych potem, tyrających mężczyzn i ubłocone muły w pobrzękujących uprzężach, wlokące pnie drzew ku tartakowi. Z głębi lasu wyjeżdżały długie wozy z drewnem, ciągnięte przez rzędy dużych, powolnych wołów.

Wielka piła tarczowa w tartaku wylał wniebogłosy, przegryzając się przez pnie, słychać też było trak, rznący drewno na deski. Powietrze było przesycone słodką, żywiczną wonią świeżo ciętej wschodnio-teksańskiej sosny. Z długiej rury wychodzącej z budynków tartaku buchały kłęby przemielonego drewna, osiadając powoli na szczycie przyzmy trocin, pociemniałych już z wiekiem i pogodą.

Wszędzie dokoła walały się pooblamywane gałęzie i drzewa połamane przez burzę. Jeden wóz z drewnem wywrócił się, wokół roili się robotnicy, próbując postawić go na koła. Nieopodal, na wpół przywalone belkami, leżało truchło wołu.

— Ciekawe, czy w ogóle przerwali pracę, kiedy przechodziło tornado — odezwała się Słonko.

— Nawet jeśli, to na krótko — odparł Wuj Riley. — Tak to już jest w tej osadzie Ruptura. Do diabła, nim nadejdzie noc, ktoś już wybebeszy tego wołu i zedrze z niego skórę, i zjedzą go na kolację. Tu nawet człowieka mogliby oskórować i zjeść, jakby się wziął i przewrócił.

— Wuju Riley, ta osada nazywa się Rapture, co znaczy Wniebowzięcie. Nie żadna Ruptura.

— No chyba tylko dla tych, co tu nie popracowali. Ja tu odrobiłem tyle, że swoje wiem. A jakbym zapomniał, to mi pas podtrzymujący przypomina.

— Cholera, żałuję jednak, że nie strzeliłam Pete'owi w nogę.

— Jak tak sobie o tym myślę, pani Słonko, to nawet trochę jakbym się z panią zgadzał.

2

Kiedy Słonko i Wuj Riley wjechali do obozu, robotnicy przyjrzeni się im, ten i ów zauważył, że Słonko ma na sobie tylko koszulę. Rzucili robotę i zaczęli ściągać ze wzgórza ku wozowi, jak muchy do melasy.

— E, a co ty robisz z tą białą kobietą, taką poobijaną? — zapytał jeden Rileya.

— Ja jej tylko pomagam — odparł Wuj, po czym obrócił się do Słonka: — Mówiłem, jak mnie nie zarzną, to powieszają.

— Wieź mnie dalej, do teściowej.

Wuj Riley spojrział na mężczyzn ciągnących za wozem.

— Oj, psiakość — stwierdził. — Oni mi wyglądają na wrednych. Takich wrednych, że śmieją się tylko na widok dyndającego czarnucha.

— Wciąż mam rewolwer. Może z pięciu położę.

— Żeby ich było tylko pięciu.

Przy niektórych domach widać było zabezpieczone siatkami od owadów werandy, z tych, co to można wystawić tam łóżka, tak że nocą dało się spać na chłodzie, a dzięki siatkom komary nie rypały. Wszystkie domy wymalowano na zielono, w odcieniu używanym również w fabrycznych biurach, każdy też stał podniesiony nad ziemią, podparty betonowymi bloczkami albo słupkami. Te podstawy każdego domu obciążnięto siatką, tworząc pod podłogami zagródki, gdzie kręciły się gęsi i kury, podziobując tu i tam. Większość okien była czarna od sadzy z elektrowni, a na pozbawione choćby źdźbła trawy podwórka wiatr naniósł trocin z tartaku.

Dom teściowej Słonka przerastał inne klasą. Był kryty gontem, świeżo malowany, miał elektrykę. Stał na impregnowanych słupach i nie kręcił się pod nim żaden drób. Kury zamknięto w sporej zagrodzie przy kurniku za domem, gdzie dostawały żreć do koryta, a wodę — codziennie zmienianą — do dużej, blaszanej wanny. Obok kurnika była kolejna zagroda i szopa, a w niej maciora z prosiakami. Okna domu

Isniły świeżą czystością, z podwórza wygrabiono trociny, aż w ziemi zostały ślady, jakby olbrzymia kwoka drapała tu za dżdżownicami.

Weranda była wielka, a zamiast siatek miała okna otwierane na korbki. Słonko widziała, że stoją tam ukochane kwiaty teściowej w wielkich, glinianych donicach.

Na podwórzu stała firmowa czarna ciężarówka z kołami oblepionymi błotem i paką ze wszystkich stron obudowaną spłowiałymi drewnianymi listwami. Intensywne użytkowanie poznały boki wozu rysami, lekko zamaskowanymi nalotem drzewnego pyłu. Na burcie ktoś napisał palcem w kurzu: JESTEM BRUDNA JAK ŚWIĘTA ZIEMIA.

Gdy podjeżdżali pod dom, Wuj Riley nawrócił wozem tak, by stanąć między pompą do wody a ścianą. Podjechał pod frontowy ganek i prowadzące doń szerokie schody. Potem zaciągnął dźwignię hamulca i opuścił lejce.

— Będziecie musieli podejść z mojej strony i pomóc mi zejść, Wuju Riley — odezwała się Słonko. — Jak spróbuję sama, to padnę na twarz i będę świecić spod koszuli gołym tyłkiem.

— Pani Słonko, rany, nie może pani poczekać na któregoś z tych białych panów?

— No dobra.

Wokół wozu zgromadzili się mężczyźni, i czarni, i biali. Słonko знаła większość z nich, ale nie była pewna, czy oni ją rozpoznają z tak poobijaną twarzą. Przypomniała sobie jednak o włosach. Nikt w okolicy nie miał takich jak ona. Ani tak długich, ani płomiennorudych, ani tak gęstych. Na dodatek, w odróżnieniu od większości kobiet, zawsze nosiła je rozpuszczone.

— Co się tu dzieje, do diabła? — odezwał się jeden z mężczyzn. Teść Słonka, wielki facet, podobny do swojego syna Pete'a, tylko brzucha miał więcej, a włosów mniej.

Jego koszula khaki miała mokre plamy pod pachami, pot odznaczył się też dokoła kołnierza i przy guzikach. Teść uniósł rondo wyświeconego kapelusza i zapytał: — Jasna cholera, Słonko, to ty?

— Tak, panie Jones.

— Co ci się stało, do diabła? I co tu robisz z tym czarnuchem, ubranym tylko w podkoszulek? On ci to zrobił...? A czy to nie jest rewolwer Pete'a?

Czarni w tłumie sprawnie wykonali odwrót, maskując się wyćwiczonymi metodami mylących kroczków i spojrzeń. Minęło raptem parę chwil, a już stali na obrzeżach zgromadzenia, z dłońmi w kieszeniach,

czujnie obserwując rozwój zdarzeń, gotowi i potakiwać rozkazom, i wiać w krzaki.

— Pod tą koszulą jestem goła i czuję się słabo, więc proszę mi pomóc zejść, ale ostrożnie.

Jones pomógł jej zsiąść z wozu.

— Wuj Riley znalazł mnie po tym tornadzie i pomógł mi — ciągnęła Słonko. — Nie miałam ubrania, więc oddał mi własną koszulę.

— No, dziękuję wam za to, Wuju Riley — odezwał się Jones.

— Proszę uprzejmie, panie Jones. Tak tylko wybrałem się zebrać te tu ryby, a patrzę, ona idzie. No to opuściłem wzrok i oddałem jej koszulę.

— Tak właśnie zrobił — przytaknęła Słonko, opierając się o wóz. — Ledwie trzymam się na nogach. Mógłby mi ktoś pomóc wejść na ten ganek?

Z tłumu wyrwało się dwóch gorliwych ochotników. Zdaniem Słonka podtrzymywali ją aż nadto pilnie. Ich oczy co i raz wędrowały ku przodowi jej koszuli — nie do końca poradziła sobie z zapinaniem guzików i wiedziała, że ci dwaj gapią się na jej piersi. Była jednak zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować. Zresztą co tam oni, nawet w czasach dzieciństwa i latania w krótkich majtkach tyłu facetów nie oglądało jej gołych, piegowatych nóg.

Z pomocą ochotników weszła na ganek, po drodze oburącz obciążając koszulę z tyłu, by nie dać wszystkim pełnego widowiska gratis.

Jones wszedł za nią po schodach, sam też zajrzał jej za koszulę, po czym odezwał się: — Co ci się przydarzyło? Tornado cię złapało?

— Coś w ten deseń — odparła i zwróciła się do Riley: — Dziękuję, że zachowaliście się tak po dżentelmeńsku, Wuju Riley!

— Proszę uprzejmie, pani Słonko.

— Koszulę oddam wam później. Sami widzicie, że mam powód, żeby jej jeszcze nie ściągać.

— Jasne, psze pani. Nie ma problemu. Jak się pani chce, niech ją pani zatrzyma. A ja już będę jechał, lepiej zawiozę te ryby do domu, zanim zaśmierdną.

Riley zwolnił hamulec, cmoknął na muły i tłum rozstąpił się przed nim.

Jeden ze zgromadzonych, Don Walker, rzucił do sąsiada: — Założę się, że czarnuch sobie pofolgował z oczami.

— Aż mi żal, że on se popatrzył, a ja nie — odparł tamten, Bill Martin. — Posunąłbym babę, nawet taką poobijaną na twarzy.

- Bill, psia jucha, ty byś nawet mysia norkę posunął.
- Kurwa, kaczkę bym zerznął, jakby nadstawiła kupra i puściła oczko.
- E, akurat byś się wtedy patrzył, czy ci mruga, czy nie.

W domu Jonesów Słonko usiadła na wiklinowym fotelu obok radia i patrzyła, jak cienie spelzają ze wzgórza, spływają na dom niczym rozlany olej.

— Zastrzeliłam go — powiedziała. Uniosła rewolwer. — Z tej broni. Jego broni. Przewrócił mnie na podłogę i bił mnie. Próbował mnie zgwałcić. Już przedtem mnie gwałcił. Dłużej bym tego nie zniosła...

Pani Jones, posągowa kobieta o upiętych włosach poznaczonych bielą niczym grzbiet skunksa, gdy tak naprawdę uświadomiła sobie, co się stało, wydała z siebie krzyk tak przeszywający i wzbudzający litość, że Słonko poczuła go aż w kościach. Z wrażenia szarpnęła prawą stopą tak mocno, że but jej spadł.

- Zastrzeleń go? — odezwał się pan Jones. — Mojego syna zastrzeleń?
- Kula prosto w łeb.
- Boże drogi.
- Nie miałam wyboru. Gwałcił mnie.
- Mężczyzna nie może zgwałcić własnej żony.
- No to ja nie wiem, jak coś takiego odróżnić od gwałtu — odparła.

Jones zamachnął się, a wtedy Słonko uniosła rewolwer. — Już żaden facet nie będzie mnie tłukł, jeśli mogę coś na to poradzić.

— To szal zabijania, nie inaczej — stęknął Jones. — Opętał i ciebie, i tego czarnucha. Szal zabijania.

— Wuj Riley nie miał z tym nic wspólnego. A poza tym serio się panu wydaje, że gdybym wpadła w taki szal, przyjechałabym tutaj? Nie miałam pojęcia, gdzie mogłabym się podziać. No i chcę zabrać Karen.

— Ale czemu żeś to zrobiła?

— Pete wrócił do domu spity. Pewnie któraś z jego panien tam w Holiday, jak nic ta kurwa Jimmie Jo French, nie dała mu tego, czego chciał. No to wymyślił, że na mnie sobie odkuje. Nawet jeśli pomyślał o mnie dopiero w drugiej albo i trzeciej kolejności. I chciał na ostro. Zaczął mnie tłuc, zdarł ze mnie ubranie, a tu przyszło tornado i zabrało nam chałupę. Normalnie ją zmiotło, jakby była z gazety po-

sklejana. Więc złapałam za jego pistolet i go zastrzeliłam. I poszłam sobie stamtąd zupełnie goła. Miałam tylko buty i zasłonkę, co ją znalazłam. Wuj Riley oddał mi własną koszulę.

— To był twój mąż, kobieto — stwierdził Jones.

— Bywał.

Pani Jones zaczęła wrzeszczeć i biegać po domu jak kurczak ścigany przez lisa. Dopadła jednej ściany, plasnęła w nią dłońmi, obróciła się, pobiegła w drugą stronę, i powtórka.

— Nie chciałam go zabić, ani tego nie planowałam. Ale bałam się, że on mnie zabije.

— Moja własna synowa. Cośmy ci takiego zrobili?

— To wasz syn mi wszystko robił — odparła Słonko, w duchu dodając: ale pamiętam, jak sam klepałeś mnie po tyłku, niejednym razem, kiedy akurat nikt nie patrzył.

— Był tu konstabłem — ciągnął Jones.

— Ale już nie jest. Nikim już nie jest.

Jones odsunął, sobie krzesło i usiadł. Wyglądało to tak, jakby na siedzeniu wylądował upuszczony wór ziemniaków. Wydawało się, że Jones obwisa po bokach krzesła i osiada od góry do dołu.

Pani Jones rzuciła się w końcu na podłogę i zaczęła rwać włosy z głowy. — Pete, Pete, Pete — powtarzała, jakby się spodziewała, że syn jej odpowie.

— Niech cię diabli, Słonko — odezwał się jej mąż. — Czasem chłopą przypili.

— A gdzie jest Karen?

Pani Jones skowyczała, pan Jones siedział na krześle. Oboje milczeli. Słonko wstała, założyła z powrotem pantofel i usiadła.

Po chwili pan Jones odezwał się jednak: — Ale jesteś pewna, że nie żyje?

— Trup na sto procent.

— Może jednak wciąż żyje.

— To by musiał najpierw zmartwychwstać.

Pani Jones ponownie wrzasnęła. Tym razem tak, że zadzwoniły szyby w oknach. Zaczęła się tarzać po podłodze.

— I gdzie on jest? — spytał jej mąż.

— Tam, gdzie mieliśmy dom, ze spuszczoneymi gaciami, dupą do gwiazd.

Jones jeszcze przez chwilę siedział, próbując przełknąć kulę w gardle. Gdy mu się wreszcie udało, oznajmił: — No to chyba tam pojedę

i go zabiorę. A ty, panienko... ty za to zapłacisz. Jest jeszcze prawo, i będziesz musiała zapłacić.

— To on był prawem — odparowała Słonko. — I płaciłam mu dzień w dzień, choć nic nie zrobiłam.

Jones wstał i wyszedł z domu. Słonko siedziała dalej, z rewolwerem na kolanach. Spojrzała na panią Jones, która leżała na podłodze, dysząc.

Teściowa powoli zebrała się w sobie, stanęła na nogi i podeszła do Słonka. Ta wiedziała, co się święci, ale nawet nie drgnęła, nie to, co z teściem. Uważała, że za to, co zrobiła, powinna jednak trochę oberwać, ale jeśli już ktoś miał ją lać, to właśnie teściowa, Marilyn Jones. Słonko zawsze była przez nią dobrze traktowana. Jeden policzek da się znieść.

Ale nie więcej niż jeden.

Pani Jones spoliczkowała ją z całej siły. Walnęła tak, że Słonko wyleciała z fotela, a ten się przewrócił.

Słonko pomyślała sobie: Może jednak i to mogłam sobie darować. Uderzenie trafiło tam, gdzie oberwała i od Pete'a, i paliło jak wszyscy diabli.

— Zabiłaś mi synka — stwierdziła Marilyn.

— Nie chciałam tego — odparła Słonko i rozpłakała się.

Powoli wstała, postawiła fotel, obciągnęła koszulę, na ile się dało, i znów usiadła. Wciąż ścisnęła rewolwer. Trzymała się go jak tonący brzytwy.

Marilyn stanęła nad nią, zmierzyła ją wzrokiem. Włosy miała teraz w nieładzie, obwisały wokół twarzy. Uniosła rękę, jakby szykowała się do następnego ciosu.

— O nie — odezwała się Słonko.

Twarz Marilyn wypogodziła się nieco. Teściowa przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Słonko, po czym rozłożyła ramiona i powiedziała: — Chodź, kochanie.

— Że co?

— No chodź tu.

Baczenie przyjrzała się teściowej, po czym ostrożnie wstała.

— Nie bój się — zapewniła ją Marilyn. — Już nie szaleję tak jak na początku.

— Jeśli tylko w połowie pani ochłonęła, to i tak nie dam rady.

— Nie bój się — powtórzyła Marilyn i podeszła o krok bliżej. Objęły się. Słonko wciąż jednak trzymała rewolwer, tak na wszelki wypa-

dek. Miała nadzieję, że nie będzie musiała wystrzelać całej rodziny. A potem, cholera, może jeszcze kurczaków.

— Straciłam syna — zaczęła Marilyn — ale niech mnie diabli, jeśli dam sobie odebrać także córkę.

— Nie chciałam tego zrobić.

— Wiem, że nie.

— Nie. Nie wie pani.

— Mogłabyś się zdziwić, co wiem, a czego nie, córuś.

3

Zmiotłszy dom Słonka, tornado poszło dalej na wschód przez las, niosąc dach chaty i cały dobytek, i wczesnym zmierzchem wciąż jeszcze szalało, ciskając rybami, zabami i wszelkim śmieciem. Capnęło nawet jałówkę i rąbnęło nią o dom tak, że zdechła.

Pociąg nadjeżdżający do Tyler ze wschodu załapał się na końcówkę burzy — wiatr obrzucił go rybami, zatrzęsł wagonami towarowymi, że zagrzechotały niczym wagoniki kolejki szarpane przez niegrzecznego dzieciaka.

Przez chwilę wydawało się, że zdmuchnie pociąg z szyn, ale skończyło się na telepaniu. Lokomotywa i wszystkie wagony dzielnie poturlały się dalej, podobnie jak i tornado, które w końcu wyzionęło ducha dopiero pod granicą Luizjany. Na koniec został zeń tylko chłodny, wilgotny wiatr, który umilił paru zgrzanym rybakom nocne wędkowanie nad rzeką Sabinę.

W jednym z owych wagonów siedział Wsiowy ze swoją gitarą i małym podróżnym workiem i popatrywał na dwóch typów, co przycupnęli pod ścianą po drugiej stronie. Wleźli do wagonu w Tyler, kiedy pociąg zwolnił, a teraz, kiedy już przeszła nawałnica i toczyli się z łoskotem przez pola i łąki, zaczęli się na niego gapić.

Najpierw udawali, że go ignorują, ale przyuważył, jak zerkali w jego stronę. Od samego początku mu się nie podobali. Powitał ich, kiedy wskakiwali do wagonu, a oni nic, ani cześć, ani spierdalaj.

Wykopali tylko za drzwi parę zbłąkanych okoni, otrząsnęli się z deszczu jak psy, przycupnęli niczym gargulce naprzeciwko otwartych przesuwanych drzwi i milczeli. Tylko łypali oczami.

Choć Wsiowy nie wyglądał na swoje trzydzieści lat, doświadczeń w życiu miał w sam raz, żeby ten czas wypełnić. Zwiedził już kawał

kraju, wiele widział. Grał już na tej gitarze i śpiewał w każdej knajpie we wschodnim Teksasie, Oklahomie i Luizjanie. Najeździł się pociągami, nocował w obozowiskach włóczęgów, siłował się na jarmarkach za pieniądze, bo żyłasta, smukła sylwetka i delikatne rysy Wsiowego niejednemu miejscowemu osiłkowi podsunęły mylny koncept, że to łatwy przeciwnik.

Wsiowy wiedział więc z doświadczenia, że ci dwaj wpatrują się weń nieco zbyt uważnie. Coś jak głodne psy w kotlet. Jeden typek był niski, krępy, na głowie miał wełnianą czapkę. Drugi był wyższy, szczuplejszy, z gołą głową i bujną brodą.

— Macie machorkę? — zapytał Wsiowy, choć zasadniczo nie palił. Jednak czasem, jak człowiek przełamie lody, to unika kłopotów. A na przełamanie lodów papieros jest w sam raz.

Ten w czapce pokręcił głową. — Młody jesteś, co nie?

— Nie taki młody.

— Wyglądasz młodo.

— A macie jakieś żarcie? — spytał znów Wsiowy.

— Tylko te ryby tu w drzwiach — odparł brodaty. — Jak masz chęć, to śmiało.

— Jakoś chyba nie. Widzieliście kiedy coś takiego? Żeby ryby z nieba padały? Czytałem o takich rzeczach. To przez tornado. Musiało gdzieś wysać całe jezioro, a potem ciskało rybami aż tu...

Ci dwaj nie byli jednak zainteresowani tornadami i rybami. Brodaty wyszczerzył się do Wsiowego. Wsiowy widział już aligatory o bardziej szczerym uśmiechu.

— Wędrujesz już trochę, nie? — spytał brodaty.

— No, trochę.

— Bywa samotnie, co? — podjął ten w czapce.

— Szczerze, to nie czuję się zbyt samotny.

— A my tak — stwierdził brodaty. — On i ja, tylko tak my dwaj. Normalnie samotność aż żre. A człowiek nie powinien być samotny. I wcale nie musi.

— Wcale nie czuję się samotny — odpowiedział znowu Wsiowy.

— Możemy ci pokazać, że byłeś samotny i nawet o tym nie wiedziałeś — obiecał ten w czapce.

— Kiedy nie trzeba. Serio.

Ten w czapce parsknął śmiechem. — Szczerze, to nie o ciebie nam chodzi. To my jesteśmy samotni.

— Przecież macie siebie nawzajem — odparł Wsiowy.

— Tak tylko wspólnie, to się nam trochę przejadło — stwierdził brodaty. — Chcemy jeszcze kogoś, z kim nie będziemy samotni...

— Bóg nie lubi takiego gadania. Słyszeliście, chłopaki, o Sodomie i Gomorze?

— A kogo obchodzą jakieś kawałki z Biblii? — zarżał brodaty. — Jeden cię przytrzyma, drugi tak uszczęśliwi, że ho ho.

— Chłopaki, weźcie się odwalcie.

Wtedy właśnie ten w czapce poderwał się z kucek i rzucił naprzód.

Wsiowy z wigorem zakręcił gitarą, walnął faceta w głowę pod czapkę, aż się pudło rozleciało, a tamten wylądował na plecach. Wtedy dopadł go i brodacze. Wsiowy odepchnął go otwartą dłonią, a drugą ręką sięgnął do kieszeni i wyjął nóż, pstryknął zatrząskiem ostrza.

Ten w czapce znów spróbował szczęścia, więc Wsiowy sprzedał mu kosę pod dolne zebra. Nóż wszedł gładko, jak w mokrą kartkę. Facet z miejsca miał dość. Padł na kolana, przewrócił się na bok.

— Jasny szlag — brodacze palnął Wsiowego prosto w oko. — Żeś dziabnął Winstona.

I zaraz objął go ramionami i ścisnął jak niedźwiedź, przyciskając ręce Wsiowego do tułowia, ale dostał z bańki w nos i puścił. Wsiowy dźgnął go wtedy w krocze, brodacze zatoczył się wstecz. Nóż Wsiowego znów błysnął, cięcie poszło tym razem górą, zamazyscie.

Brodacze złapał się za gardło, spróbował coś powiedzieć, ale mu nie wyszło. Klapnął na podłogę, jakby ktoś odsunął mu spod tyłka krzesło. Przez chwilę siedział prosto, ale potem z wolna położył się na plecy, starając się ciągnąć podbródek do piersi, jakby w ten sposób chciał zamknąć ranę.

Wsiowy oparł but na twarzy brodacza i naparł całą masą, żeby facet w końcu się wykrwawił. Jeszcze trochę wił się, zupełnie jak wąż, ale krótko.

— Mówiłem, żebyście się ode mnie odwalili — mruknął Wsiowy. Wytarł nóż w kurtkę zabitego, schował go do kieszeni i podszedł

zobaczyć, co z tym w czapce. Czapka spadła facetowi z głowy, leżała na podłodze wagonu.

Wsiowy podniósł ją i założył, po czym nachylił się nad rannym. Żył, ale w księżycowym półmroku jego ciemne oczy wyglądały jak otoczaki na dnie wzburzonego strumienia.

— Żeś mnie dźgnął — sapnął. Głos miał taki, jakby wydobywał go z akordeonu.

— No wyście też mnie nie chcieli tortami karmić — odparł Wsiowy.
— Tam moja czapka.
— Już ci na nic.
— Chcieliśmy tylko trochę kochania, i tyle. Co w tym złego.
— Jeśli ktoś sobie nie życzy...
— Nie wyżyję — stwierdził ranny.
— No, dostałeś pod żebro. Chyba zahaczyłem o płuco. Masz rację. Nie wyżyjesz.
— Sukinsyn z ciebie — z ust rannego szerokim strumieniem poszła krew.
— Tu też masz rację.
— Normalnie cham i prostak.
— Znów racja. Ale coś mi się widzi, że zostało ci już tylko parę sekund, żeby się z tym oswoić.

Tamten szarpnął się, coś charknął, po czym dołączył do kumpla w wielkim upadku Bóg wie gdzie.

Wsiowy podniósł się i spojrzał na swoją gitarę. Złom. Więc tak szlag trafił jego patent na zarabianie na życie. Wsiowy wywalił roztrzaskaną gitarę za drzwi, kucnął i zaczął przemyśliwać to i owo.

Mógłby wyrzucić tych dwóch, dojechać do następnej stacji i tam wysiąść. Ale chyba jednak lepiej będzie, jeśli wyskoczy, kiedy przyhamują koło fabryki konserw w Lindale. Skok był z tych niezgorszych, bo pociągi tam aż tak bardzo nie zwalniały, ale Wsiowy już to robił. Grunt to wtulić głowę w ramiona, koziołkować, a przede wszystkim skakać w gęstą trawę, to i karku sobie człowiek nie skręci.

Gdyby tak to rozegrał, to już dawno nie będzie po nim śladu, kiedy znajdą tych dwóch.

Wyjrzał na zewnątrz. W oddali niebo było czarne, las odcinał światło, ale blask księżycy padał na żwir nasypu i sprawiał, że kamyki migotały zupełnie jak diamenty.

Wsiowy przeszukał manele zabitych, znalazł ziemniaka, trochę soli i pieprzu w małych pudełeczkach. Włożył je do swojego niedużego worka, uwiązał go sobie przy pasku. Przez długi czas stał w drzwiach wagonu, trzymając się wręgi jedną drżącą ręką, i patrzył, aż dostrzegł światła Lindale.

Tu zaczynał się Konserwowy Szlak. Wsiowy pracował tu przy puszkowaniu groszku, jak i przy zbiorze groszku do puszkowania. Pracował wzdłuż tej linii kolejowej, od końca do końca — zbierał owoce, ba-

węnę, pomidory, no, wszystko robił, ale tak naprawdę lubił tylko śpiewać i grać na tej gitarze. A teraz gitarę szlag trafił, bo dwóm młotom zebrało się na amory.

Obejrzał się ku nim jeszcze raz. Ten z podejrzanym gardłem miał pod głową ciemną kałużę. W mroku krew wyglądała jak gruba, czarna poducha. Ten drugi leżał na boku, dociskając dłonie do rany. Oczy miał szeroko otwarte, jakby rozmyślał o czymś bardzo ważnym.

Wsiowy poczuł w ustach gryzący smak żółci. Splunął za drzwi wagonu, a kiedy pociąg zwolnił przed rozjazdem w Lindale, wziął głęboki wdech i skoczył, nim wjechali w światła.

Wędrując przez mrok, trafił na zagajnik. Płynął tam nieduży strumień, a zaniedługo dało się dostrzec pomiędzy drzewami blask ognia. Wsiowy poczuł dym i woń gotującego się jedzenia.

Pochylił się, zaczerpnął dłonią wody. Poczekał tak przez chwilę, nasłuchując. Od ogniska niosły się głosy, więc postanowił podejść tam. Zbliżając się, zawołał: — Ej, włóczykije!

Chwila ciszy. Potem: — Podchodź. Masz coś do gara?

Wsiowy wszedł w krąg światła z ogniska. Przy ogniu siedziało trzech włóczęgów. Zawiesili nad ogniem puszkę na kiju i gotowali w niej coś jak gulasz.

— Mam w worku kartofla — odparł Wsiowy. Zaczął żałować, że nie zgarnął paru z tych ryb, co wpadły do wagonu przez otwarte drzwi.

Podszedł bliżej, wyciągając ziemniaka. Siedzący przy ognisku wstali, na wypadek gdyby Wsiowy nie był jednak porządnym gościem.

— Ja tu wrzuciłem trochę gotowanej fasoli, co żem ją dostał od jednej kobiety — odezwał się jeden, niewysoki facet w starym, czarnym borsalino, ubrany w ciuchy tak połatanne, że nie było widać już ani skrawka oryginalnej tkaniny. Siedział przedtem na zwiniętej w walek, starej, czarnej marynarce.

— Ja mogłem tylko dołożyć najlepsze życzenia — dodał pulchny Murzyn w drelichowym kombinezonie, kucając przy ogniu.

— A ja miałem puszkę — zakończył trzeci, jak na włóczęgę całkiem schludnie przyodziany. — Wymyłem ją w tym tam strumieniu. Całkiem jeszcze nowa, więc nie będzie smakowało rdzą.

Wsiowy oddał ziemniaka temu połatanemu, a on wyjął kozik i zaczął kroić bulwę, razem ze skórką i w ogóle, do puszki, gdzie w wodzie bulgotała fasola.

— Byłoby smaczniej, jakbyśmy dodali dzikiej cebuli — mruknął czarnoskóry.
— Ale po ciemku pewnie nic nie znajdziemy.

— Mam też trochę soli i pieprzu — Wsiowy odwiązał od paska swój worek, otworzył go i wyjął pudełeczka z przyprawami. — Sypnijcie tego po szczypcie.

Gdy już wszystko się ugotowało, Wsiowy wyjął z worka kubek i połatany nalał mu porcję. Potem nalał czarnemu w jego małą puszkę, temu drugiemu na jego blaszany talerz, a sam połykał prosto z puszki, w której się gotowało.

Jak tak siedzieli i jedli, to i gadali o tym i owym, aż w końcu przeszli do ważniejszych spraw. Gdzie rozdają różne darowizny, kogo na szlaku łatwo naciągnąć. Łaciaty stwierdził: — Jest taka kobieta niedaleko Tyler. Bez chłopca. Da człowiekowi jeść, jak się przyjdzie do niej i ją obsłuży, prawdaż. Tylko widzisz, Johnny Ray, nie wiem, czy z czarnuchami też się różnie.

— Ja tam się na takie rzeczy nie piszę — Johnny Ray pokręcił głową. — Niepotrzebne mi takie kłopoty. Dzięki.

— A jak wygląda? — zapytał elegancki.

— Mógłbyś się zamienić w kamień, jakbyś jej prosto w oczy spojrział — odparł Łaciaty. — Nawet przy cipie już całkiem osiwiła. Ale to nic takiego, jak człowiek dawno kaczoza nie zamoczył. No i nakarmi. Tylko nie radzę całować. Bo smak w ustach zostaje, jakbyś nocnik wylizał.

— Skoro tak wygląda, to raczej do całowania bym się nie zabierał — stwierdził ten schludny. — Przynajmniej nie sądzę, żeby nasza mnie chęć. Ostatnimi czasy jednak trudno orzec, do czego byłbym zdolny...

— Mnie tam przydałaby się robota — odezwał się Wsiowy. — I gitara. Bo ta, co miałem, się rozleciała.

— Grasz na gitarze? — spytał Łaciaty.

— Inaczej bym jej nie potrzebował — odparł Wsiowy. — Śpiewać też umiem. Jak nie mam gitary, czuję się jak pół człowieka. I jeszcze widzi mi się, że to pół, co zostało, to nie jest moja lepsza połowa.

— Do diabła, ja gram na łyżkach — stwierdził Łaciaty.

— A ja mam drumlę i harmonijkę — dodał czarny.

— Na nich też umiem grać, jak nic innego nie ma — pochwalił się Wsiowy. — Ale najlepiej mi z gitarą.

— Ja nie umiem grać na niczym — przyznał Schludny. — Dotychczas byłem nauczycielem. W głowie się nie mieści, co? A teraz przyda-

łoby mi się wiedzieć tyle rzeczy, o których nigdy się nie uczyłem. Cholerny Kryzys. Cholerny Hoover.

— Możesz nas posłuchać — pocieszył go Łaciaty. — Fajnie mi się gra z Johnnym Rayem. Jak zacznę z łyżkami, a on podłączy się na drumli czy harmonijce, wychodzi całkiem zwawa melodia. Jakbyś umiał śpiewać, to dopiero by brzmiało. Bo my z Johnnym to raczej skrzeczemy jak dwie stare ropuchy.

— No ja umiem — powtórzył Wsiowy.

— A znasz „Red River Valley”? — spytał Łaciaty.

— Zaczynjcie grać, wejdę z tekstem.

Łaciaty wyciągnął łyżki i ruszył z rytmem, Johnny Ray dołączył na harmonijce i zaraz rozbrzmiał też śpiew Wsiowego.

Nieźle mu szło, jego głos niósł się po lesie, więc grali i śpiewali tak do późnej nocy.

4

Zwłoki Pete'a przywiózł jego ojciec wraz z czarnoskórym mężczyzną nazwiskiem Zack Washington. Pojechali po nie do domu Pete'a, czy raczej jego pozostałości, gdzie znaleźli trupa dokładnie tak, jak go opisała Słonko. Z początku, w blasku wschodzącego księżyca, Zack myślał, że facet rozciągnięty na podłodze też jest kolorowy, ale gdy podeszli bliżej, okrywająca go czerń poderwała się i odleciała z wściekłym bzydze-niem.

Pete miał spuszczone gacie, głowę przy deskach, dupsko wypięte do wiatru. W rowku między pośladkami tkwiło pasmo gówna, wyciśniętego, kiedy Słonko palnęła mężowi w łeb. Strużki krwi poznały twarz, zawadziły o usta, spłynęły na podłogę i zaschły.

Zack przysunął latarnię niemal do samej twarzy Pete'a i doszedł do wniosku, że maluje się na niej wyraz lekkiego zaskoczenia, coś jakby znalazł muchę w łyżce owsianki przy śniadaniu. Jedno oko było tak bardziej zaskoczone.

Zack szarpnął trupa do góry, a gdy to zrobił, krew zaschnięta na twarzy Pete'a i podłodze puściła z takim odgłosem, jakby kto przedarł w pół arkusz szmergla.

Podciągnęli mu spodnie i pojechali, usadowiwszy go między sobą w szoferce ciężarówki — pan Jones podtrzymał Pete'a, a Zack prowadził, usiłując się skupić na jeździe i nie zemdleć od smrodu kału

i rozkładającego się ciała. Z powodu upału, choć do osady Rapture było niedaleko, a dzień już się nieco ochłodził, Pete woniał już tak, że nos urywało, a ledwie ujechali kawałek, mrówki, co zapuściły się w ubranie nieboszczyka, wydostały się stamtąd, oblaży Zacka i zaczęły go zreć po nadgarstkach, dłoniach i kostkach.

Zack nie zgłosił się na ochotnika na ten wyjazd po trupa Pete'a — to Jones, przez kolorowych robotników zwany Kapitanem, bo to on rządził w tartaku, zmusił go do uczestnictwa. Zack wiedział, że gdyby odmówił, wyleciałby z roboty i szukałby pracy choćby przy zbieraniu bawełny za dobre słowo i ciepłą ślinę, pieląc krzewy, kiedy akurat miałyby wolne od wpychania białych kłaczków w płócienny wór, więc w sumie prawie nie musiał się zastanawiać, nim powiedział „tak”.

Potajemnie cieszył się, że Pete nie żyje. Pete obił go raz rewolwerem, kiedy Zack nie zwrócił się do niego per „proszę pana”, tylko właśnie „Pete”, bo słyszał, że inni biali tak do niego mówią.

— Źeś zapomniał, czarnuchu, gdzie twoje miejsce — powiedział wtedy Pete, błysnęła stal pistoletu i zaczęło się lanie. W sumie całkiem zwięzłe, raptem parę ciosów, a Zack cieszył się, że to zupełnie nie takie wciry, jakie zebrał Jack Trzy Palce. Gdyby oberwał tak jak tamten, przyszedłoby mu wachać kwiatki od spodu i karmić robaczki.

Dlatego też zdaniem Zacka strasznie fajnie było znaleźć pana Pete^ właśnie w takim stanie, z gaciami wokół kolan, głupią miną, obesranym tyłkiem i kulą we łbie, i to z jego własnej broni, którą posłużyła się drobna, ruda kobieta.

Jones i Zack zanieśli Pete'a do domu i zrobili mary, zdejmując skrzydło drzwi z garderoby. Ułożyli je na dwóch krzesłach, a potem złożyli trupa na drzwiach. Zack powiedział kilka ciepłych słów, po czym wyszedł, bez „dziękuję” czy choćby „idź się powieś” od pana Jonesa.

Jakby mało było problemów, córka Pete'a, Karen, wróciła właśnie z wyprawy na ryby z przyjaciółmi. Pojawiła się wkrótce po tym, jak pan Jones przybył z ciałem, uchyliła drzwi z uśmiechem na twarzy i kłamstwem na języku. Miała czternaście lat i wiele kłamstw na koncie. Po nawałnicy zebrała parę ryb, żeby móc twierdzić, że coś złowiła.

Bo zamiast na rybach z przyjaciółmi, była z jednym chłopakiem, Jerrym Flynnem. Poszli nad strumień się całować, ale przyszła burza. Więc cały czas, jaki mieli na obściskiwanie, spędzili z twarzami w piachu, kiedy dokoła szalała wichura.

Kiedy już tornado przeszło dalej, z miejsca ruszyli z powrotem, czyli Karen do domu Jonesów, bo była u dziadków z wizytą.

Gdy weszła do pokoju, kłamstwo przepadło. Ujrzała ojca wyciągniętego na drzwiach. Włosy przykleiły mu się do twarzy, język wysunął się z ust. Ubranie miał przemoczone po burzy, a lewe oko wypuczyło się z oczodołu, jakby ktoś ukrył się w czaszce Pete'a i wypychał je palcem.

Karen upuściła ryby i zaczęła wrzeszczeć, powtarzając: — Tata! Tata! Tata!

Na odgłos krzyków córki z alkierza wyszła Słonko, która zdążyła już nieco zregenerować siły i pożyczyła od teściowej przydużą sukienkę. Wciąż też nosiła ze sobą rewolwer. Złapała Karen za rękę i wywlokła ją z salonu.

Marilyn zastanawiała się potem, gdzie to się podziały Słonko i Karen, ale była zbyt wymęczona i zbyt smutna, żeby ich szukać. Miała nadzieję, że po ciemku nic się im nie stanie.

Wiedziała tylko, że jej mąż ucieszył się, kiedy Słonko wyszła — powiedział, że weźmie strzelbę i kiedy znów babę zobaczy, palnie w nią prosto tak, że się nogami nakryje. Marilyn wiedziała, że tak właśnie by zrobił, i jeszcze pewnie uszłoby mu to na sucho.

Właśnie w tym momencie między jej inne myśli wkradła się świadomość, że w czasie nawałnicy Marilyn zamartwiała się na śmierć o bezpieczeństwo wnuczki, ale ta troska wylądowała gdzieś na dalszym planie, kiedy pojawiła się Słonko, ubrana tylko w koszulę, z bronią w garści, i powiedziała, że zabiła Pete'a. Teraz Marilyn znów zaczęła myśleć o Karen, wciąż jednak martwiąc się też o synową.

Przemyśliwała sobie to wszystko, leżąc w łóżku, niezdolna zasnąć. Mózg co i raz podsuwał jej kolejne obrazy, a najczęściej widok syna z tą niedużą dziurą w głowie.

Kiedy go wyłożyli na marach w salonie, głowa Pete'a obróciła się i z ust wypadł mu rozplaszczony pocisk. Zakrwawiony kawałek ołowiu sturlał się na podłogę.

Marilyn wciąż miała to przed oczami, słyszała pacnięcie metalu o deski.

Kiedy tak leżała, uświadomiła sobie coś i z udręką zrozumiała, że właściwie wiedziała o tym już od dawna. Pete'owi się należało.

Chłopak był wypisz, wymaluj jak jego ojciec. Już od lat Jones (tak Marilyn myślała o swoim mężu) uważał, że jego słowo jest złotem, choć czasem niewarte było nawet miedzi.

Pete tak samo.

Jones nieraz podbił jej oko — ba, okładał ją pięściami po całym ciele. Kopał. Policzkował. I gwałcił. Do tej pory jakoś nigdy nie myślała, że to gwałty. Sądziła, że po prostu on tak lubi, a mężowi wolno.

Teraz jednak przemyślała sobie słowa Słonka i jej czyny i zrozumiała, że mężowi jednak nie wszystko wolno, że tak po prostu nie powinno być.

Leżała przez chwilę, czując, jak pot u nasady pleców lepi się do prześcieradła, myśląc, o ile przyjemniej spałoby się na werandzie, zastanawiając się, czemu tam dziś nie poszli na noc. Usiadła w łóżku i spojrzała na Jonesa. Tego wieczora jej nie posiadał, ale to z powodu Pete[^]. Nijak mu nie stawało.

Wiedziała, że jutro od niego oberwie. Że w ten sposób Jones wyładuje na niej to, co się stało jego synowi. I jeszcze znajdzie jakiś sposób, żeby czuła się za to winna. Zawsze mówił: — Widzisz, do czego mnie zmuszasz?

Marilyn po cichu wstała, na bosych stopach podreptała do komody i wyjęła z szuflady dużą igłę do maszyny do szycia od Singera, po czym zakradła się do salonu i spojrzała na spoczywające tam ciało jej syna.

Obmyła go, przyodziała w ojcowe ubrania, nawet zdołała wepchnąć oko z powrotem i zamknąć powieki, a dziurę po kuli zalepiła woskiem ze świecy.

Przez chwilę stała tak i patrzyła na Pete'a. Wyciągnęła dłoń i poprawiła mu włosy, żeby wyglądały tak, jak się zawsze czesał. Potem wyszła z domu i zajrzała pod ganek. Zaraz znalazła, czego szukała — mężową skrzynkę z przyborami do wędkowania. Wyciągnęła z niej szpulę mocnej żyłki i wróciła do domu. Po ciemku, po omacku nawlokła igłę, weszła do sypialni, bardzo ostrożnie ściągnęła z łóżka kołdrę i zabrała się za przyszywanie wierzchniego prześcieradła do materaca, podczas gdy Jones wciąż był nim przykryty.

Pracowała cierpliwie, cicho, z rozmysłem. Kiedy skończyła, Jones był solidnie zaszyty, tylko głowa wystawała mu spod płótna. Wtedy Marilyn schowała igłę, wyszła na dwór i znalazła grabie.

Do tej pory używała ich tylko do wyrównywania podwórza — jak teraz o tym myślała, wyglądało jej to na straszną głupotę. Czasem gra-

biła, żeby nie postradać zmysłów, kiedy słyszała wizg piły, męskie głosy, ryk mułów, szcęk maszyn, i oczekiwała na następne bicie.

Wróciła do sypialni i przez jakiś czas patrzyła na Jonesa, po czym uniosła grabie i mocno walnęła go w głowę, próbując sobie wyobrazić, że jest na zagonie melonów i właśnie chce jednego rozbić.

Jones obudził się po pierwszym ciosie,, wrzasnął, więc znów mu przylała. Obrócił głowę ku Marilyn, a ona uderzyła raz jeszcze, tym razem tak, że w cios włożyła całą masę ciała. Spróbował wstać, ale przyszyte do materaca prześcieradło go zatrzymało.

— Ostatni raz mnie uderzyłeś — oznajmiła.

— Rozum ci odjęło, kobieto.

— Nie, to do tej pory byłam szalona.

Zacząła go thuc od stóp do głów. Lała go, aż się tak zmęczyła, że już nie miała siły. Odsapnęła, a Jones zaczął kłąć, więc znów zabrała się do prania. Gdyby była silniejsza, zatłukłaby drania, ale aż taka krzepka nie była, i za rzadko biła w głowę. Łomotała w to jego wielkie cielsko, stękając przy każdym uderzeniu, a odgłosy uderzeń niosły się po domu, jakby kto trzepał bardzo zakurzony dywan.

Kiedy znów się zmęczyła, wyszła z sypialni. Gdy wróciła, niosła pod pachą męzowską dubeltówkę.

Jones był purpurowy na twarzy. Krwawił z uszu i nosa, tu i ówdzie krew przesiąkała też przez prześcieradło.

— Masz źle w głowie, kobieto — stwierdził. — Z powodu Pete'a masz źle w głowie.

Wycelowwała w niego. — Właściwie powinnam po prostu wziąć i cię zastrzelić.

Kiedy tak patrzyła na Jonesa nad lufą dubeltówki, czując w nozdrzach woń konserwującej broń oliwy, aż ją świerbiło, żeby pociągnąć za spust.

— Co w ciebie wstąpiło?

— To ciebie dopuściłam i dostał się nam Pete. A potem pozwoliłam, żebyś go nauczył, jak się obchodzić z kobietami, bo dałam ci się poniewierać. Słonko zabiła go, bo musiała.

— Nie mówisz poważnie.

— Zabiła go z tego samego powodu, z którego ja powinnam zastrzelić ciebie. Może Pete nie byłby tym, kim był, gdybym nie pozwoliła, żebyś mnie bił...

Odciągnęła kurki strzelby.

— Pożałowałabyś, gdybyś to zrobiła, Marilyn.

— I bez tego mam czego żałować.

Wyszła z sypialni, ale zaraz wróciła z nożem w jednej dłoni i strzelbą w drugiej.

— Chwila, złotko, ostrożnie z tym — odezwał się Jones.

— Nie mów do mnie „złotko”. Nigdy mnie tak nie nazywaj. Jednym szybkim ruchem rozcięła prześcieradło i odsunęła się od łóżka, cisnęła nóż na podłogę i znów wycelowała w Jonesa.

— Wstawaj. Ubieraj się, a skarpetki i buty bierz w garść. I nie wracaj tu, chyba, że po resztę ubrań. Ale już nie dziś w nocy.

Jones usiadł na brzegu łóżka. Ciało miał poznaczone czerwonymi pręgami, krwawił z rozlicznych ran. Nad prawym okiem miał siniec, przypominający plamę smaru.

— Nie możesz mnie wyrzucić z mojego domu.

— Mogę cię rozsmarować śrutem po ścianach. To mogę. Zastrzelić cię tu i teraz. Albo w innym pokoju. Umieję się obchodzić z bronią. Dobrze wiesz.

— Nie zrobiłabyś tego, zło...

— Nawet się nie waż tak mnie nazwać. Wciągaj portki. Jak patrzę na ciebie nagiego, bierze mnie na mdłości.

Jones odetchnął głęboko, znalazł spodnie, wsunął stopy w nogawki, naciągnął koszulę. Zaczął zakładać skarpetki.

— Rób, jak ci kazałam. Skarpety i trzewiki zabierasz stąd w garści. I nie zatrzymuj się po nic innego, bo to będzie ostatni przystanek.

— A co z Pete'em?

— On się nigdzie nie wybiera.

— A pogrzeb?

— Będą klepsydry. Jak chcesz, możesz przyjść. Ale nie licz na to, że wrócisz tutaj.

— To mój dom.

— Tak samo mój, jak twój. Zapracowałam na niego, godząc się na życie z tobą. Poza tym, to mój tata był właścicielem tartaku, a teraz należy on do mnie, nie do ciebie. To ja tu jestem ta bogata.

— Ty po prostu się zdenerwowałam.

— Żebyś wiedział, że się zdenerwowałam. Ale to nie byle nerwy. To poważna nerwacja.

— Przejdzie ci.

— Nie sądzę, panie Jones. Do dzisiaj nie wiedziałam nawet, że źle mi się dzieje. Tak było, póki Słonko nie zabiła Pete'a. Wtedy sama chciałam ją zabić, ale teraz zastrzeliłabym raczej ciebie.

Spojrzał na nią, jakby miał nadzieję ujrzeć kogoś innego, niż się spodziewał, ale w końcu musiał przyznać, że patrzy jednak na własną żonę.

Zebrał buty i skarpetki w garść.

— Mówię ci, przyjdzie chwila, że tego pożałujesz.

— Już ani razu nie dotkniesz mnie nawet palcem.

— Żona jest posłuszna mężowi.

— Ja tam już nie jestem twoją żoną.

— W oczach Boga jesteś.

— To lepiej niech spojrzy gdzie indziej. — Marilyn przyłożyła kolbę do ramienia, wymierzyła broń.

— Uważaj, ta strzelba ma strasznie czuły spust. Jones szybko wstał i wyszedł z sypialni, a ona za nim.

— Nie zatrzymuj się, nieważne po co — uprzedziła.

— Popatrzę tylko na Pete'a. Możesz mnie zastrzelić, jak chcesz. Ale popatrzę na mojego syna.

— To sobie patrz.

Pociągnął za wiszący sznurek, zapalając lampę pod sufitem, i zatrzymał się przy zaimprovizowanych z drzwi marach. Wyciągnął dłoń, dotknął twarzy Pete'a. Nim wyszedł, obrócił się jeszcze i powiedział: — I ty, i ta mała ruda jeszcze za to zapłacicie. James Wilson Jones nie zapomina.

— To zabieraj się stąd, póki jeszcze masz we łbie dość mózgu, żeby o czymkolwiek pamiętać.

— Ściągnę tu lód. Jest za ciepło, żeby trzymać zwłoki. Każę, żeby przywieźli lód.

— Proszę bardzo. Ale idź już. I nie przynoś tego lodu sam. Znajdź sobie do tego jakiegoś faceta.

Jones spojrzał na nią tak, jak to już robił wiele razy. Tuż przed każdym pobiciem, jakie jej ordynował. Tym razem jednak nic jej nie groziło. Marilyn czuła się dziwnie. Świetnie. Władczo. Nie czuła w sobie takiej mocy, od kiedy była małą dziewczynką.

— Nawet nie myśl, że tu wrócisz — powiedziała. — Będę nasłuchiwać. I następnym razem nie będzie gadania. Po prostu strzełę. Chciałabym też, żebyś wiedział, że cię nienawidzę. Nienawidzę wszystkiego, co sobą przedstawiasz, i to już od dawna. A dziś nienawidzę cię bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Jones wyszedł, trzaskając drzwiami.

Marilyn ruszyła za nim — kiedy zszedł po schodach w blask księżyca, wrzasnęła: — Tylko ciężarówki nie zabieraj! Przyda mi się!

Nie spojrzął na nią, szedł wciąż przed siebie.

Marilyn podeszła do samochodu, wyjęła kluczyki ze stacyjki i zabrała je do domu.

Tu, w osadzie, rzadko zamykano drzwi na noc, ale tym razem posłużyła się kluczem wiszącym na wbitym we framugę gwoździu.

Jak tylko zamknęła drzwi, przypomniała sobie, że Jones też miał klucz, więc podparła klamkę krzesłem. Jutro będzie musiała znaleźć miejscowego ślusarza, niech zmieni zamki. Starannie pozamykała wszystkie okna, tylne siatkowe drzwi na werandę, te lite też, tu również podpierając klamkę krzesłem.

Pociągnęła sznureczek od lampy, przywlokła sobie fotel i usiadła w mroku, opodal zwłok Pete'a, ze strzelbą na kolanach. Siedziała i słuchała, jak chrabąszcze tłuką w siatkę niedalekiego okna. Było przecież zamknięte, a i tak słychać było brzęk siatki. Marilyn zastanawiała się, jak długo będą się tak kotłować, skoro już zgasiła światło. Sądziła, że powinna znać odpowiedź na to pytanie, w końcu przemieściła już we wschodnim Teksasie tyle lat, ale jakoś o tych chrabąszczach niczego nie mogła sobie przypomnieć.

W końcu szturm insektów ustał. W szczelnie zamkniętym domu zrobiło się gorąco. Pot ściekał po twarzy Marilyn, pod nocną koszulą, sprawiał, że od spodu lepily jej się ręce. W domu panowała cisza. Z alkierza niosło się tykanie stojącego zegara.

Marilyn zastanawiała się, gdzie się podziewają Słonko i Karen. Miała nadzieję, że nic im nie jest. I nagle uświadomiła sobie coś wstrząsającego.

Miała nadzieję, że kobieta, która zabiła jej syna, jest bezpieczna.

5

Gdy zaczęło wschodzić słońce, przesączając różowe promienie pomiędzy pnie drzew jak coś, co wycieka z nabiegłego krwią pęcherza, Słonko zorientowała się, że też krwawi. Nie tylko z ran pozostawionych przez ciosy Pete'a, lecz także z tych świeżych, jakie zadała jej Karen, zadrapań i ugryzień, a do tego dostało się jej też od mrówek i moskitów. Od spania na ziemi w rany dostał się piach, i teraz swędziały. Ból odzywał się od brzucha i żeber, a nawet nie pamiętała, żeby i tam do-

stała — może tak, może nie, może po prostu leżała jakiś czas na korzeniu czy kamieniu.

Teraz siedziała na wysokim brzegu Tartaczego Potoku, gdzie spędziła z Karen noc pod wielkim wiązem. Siedziała, czując ciepło porannego słońca, patrząc na córkę leżącą tam, gdzie w końcu załkała się do snu, wciąż wściekłą i dezorientowaną, zaciskającą pięści i wargi, z mokrymi liśćmi oblepiającymi policzki i drelichowy kombinezon.

Słonko odwróciła się od córki i wpatrzyła w powierzchnię strumienia, obserwując śmigające nad wodą owady wielkości guzików i jakieś długonogie pająkowate stworzonka, co zaiwaniały po niespokojnej tafli, jakby naśladowały spieszącego się gdzieś Jezusa.

Po nawałnicy woda była zabarwiona gliniastą czerwienią, wyglądała jak krew tocząca się bystro i hałaśliwie między nowo ukształtowanymi liniami brzegu. Tornado łapało, co popadło, i rzucało gdzie bądź — między innymi oberwało starą krawędź skarpy. Gdy powiał ciepły wiatr, Słonko poczuła woń gnijących ryb.

Próbowała się skupić na kontemplacji potoku, nie myśleć o mężu, ale nie potrafiła. Raz za razem miała w głowie wczorajsze wydarzenia, próbując znaleźć punkt, w którym mogłaby zachować się inaczej. Wciąż myślała, że zaraz się obudzi, że to tylko zły sen. Jednak nic z tego. Całkowicie rozbudzona siedziała nad brzegiem Tartaczego Potoku, spocona i lepka.

Uniosła dłoń, by otrzeć czoło, i zorientowała się, że wciąż ściska rewolwer. Trzymała go, opowiadając Karen o tym, co się stało, nie wypuściła, kiedy córka w przystępie szaleńczej dezorientacji rzuciła się na nią z pięściami, drapała i gryzła.

Kiedy w końcu zmęczyła się i z płaczem rzuciła na ziemię, Słonko próbowała ją pocieszyć, tłumaczyć, ale Karen zasłoniła uszy dłońmi i darła się wniebogłosy, żeby nic nie słyszeć.

W końcu zasnęła, kryjąc się w ten sposób przed matką i resztą świata, a Słonko też położyła się i zdrzemnęła, zdjęwszy palec ze spustu, ale nie wypuszczając broni z ręki. W nosie wciąż wierciła ją woń spalonego prochu, huk wystrzału wciąż rozbrzmiewał w głowie.

Schowała teraz pistolet do kieszeni luźnej sukienki od teściowej, ale czuła się nerwowo, nie mając go w dłoni, nawet jeśli wystarczyło tylko po niego sięgnąć.

Nagle ulżyło jej, że nie miała przy sobie broni tego dnia, kiedy wdała się w bójkę z kochanką Pete'a, Jimmie Jo French. Odkryła, że Pete robi ją w trąbę, i winą obarczyła właśnie Jimmie Jo. Wytknęła jej

to przed sklepem dla pracowników tartaku w osadzie Rapture, rzuciła się na nią jak tygrysica. Gdyby wtedy miała pistolet, może to tyłek Jimmie Jo kwalifikowałby się do podarcia przez przedsiębiorcę pogrzebowego, ale z czymś takim Słonko mogłaby żyć, ot, zabójstwo w amoku zazdrości.

Teraz jednak uświadomiła sobie, że równie dobrze co Jimmie Jo, mogła winić Pete'a. Tak naprawdę była wtedy wściekła, bo chodziły plotki, że Pete kupuje Jimmie Jo fajne rzeczy. Ubrania, nawet biżuterię. Jej nigdy nic nie kupił. Przez jakiś czas myślała, że może jest kiepska w łóżku, i robiła co mogła, żeby się poprawić, że może uda jej się obsłużyć Pete'a w domu tak, że mu się spodoba i odechce mu się ganiać do Jimmie Jo, ale nic się nie zmieniło. Pete wciąż się ciskał, policzkował Słonko, bił ją, chamsko rozpychał jej nogi i wbijał się w nią, jakby chciał zrobić otwór w betonowym murze. Czy mu się podobało, nie potrafiłaby powiedzieć, bo po prostu robił swoje, kończył i wstawał od niej, jakby się brzydził.

Nie odpuścił też sobie z Jimmie Jo. Czasem przychodził do domu i jeszcze miał na sobie jej zapach, nawet nie chciało mu się umyć, miał gdzieś, czy Słonko o tym wie, może nawet się cieszył, że tak jest. Słonko nigdy nie potrafiła odgadnąć, za jaką to zbrodnię jest w ten sposób karana.

Zastanawiała się, gdzie w tej chwili jest Jimmie Jo. Czy słyszała już, że Pete dostał kulę w łeb, i co o tym sądziła.

— Szanowanie.

Uniosła wzrok. Opodał stał jakiś mężczyzna. Słonko wstała, czując się tak, jakby wewnątrz ciała rozciągnięto jej mnóstwo drutów, każdy zakończony haczykiem wbitym w któryś narząd.

Przyjrzała mu się uważnie. Nie wyglądał niebezpiecznie. „Oni nigdy nie wyglądają niebezpiecznie”, pomyślała. Pete nie wyglądał groźnie, kiedy zaczął się do niej zalecać, gdy miała szesnaście lat. Wyglądał nieźle, dobry wybór małżonka, i tak aż przez całe dwa tygodnie po ślubie. Potem się przeziębiła i pierwszej nocy nie chciała go dopuścić, więc ją zmusił. A potem zmuszał ją jeszcze wiele razy.

Włożyła dłoń do kieszeni. Fajnie było mieć rewolwer.

— Wy w trasie? — zapytał nieznajomy. — Rzadko się widzi kobiety na włóczędze.

— Nie, nie idziemy za chlebem — odparła.

— To dobrze. Bo do kolei macie kawał drogi.

— Ty też.

— Ano prawda.

Miał na głowie wymiętą, wełnianą czapkę. Na oko przydużą. Zdjął ją teraz i uśmiechnął się do Słonka. Zauważyła, że jest przystojny, choć może nie tak młody, jak się z początku wydawało. U pasa miał uwiązany nieduży worek, a nad jednym okiem widniał mały, czarny siniec.

— Szukam pracy. Jeden włóczęga mówił mi, że tu w tartaku przyjmują.

— Nie wiem, czy biorą nowych — odpowiedziała — ale idź na zachód wzdłuż potoku, jeszcze kawałek, i sam zobaczysz.

Już chciała powiedzieć, że będzie musiał porozmawiać z jej teściem, panem Jonesem, zwanym Kapitanem, ale te słowa nie przechodziły jej przez gardło. Jones nie był już jej teściem. Została jej tylko Karen, a i ona jej nienawidziła. No, może miała jeszcze Marilyn. Jakoś nie do końca rozgryzła to, że teściowa najpierw jej przylała, a potem uściskała.

— Ale ta dziewczyna nie jest nieżywa, co nie? — spytał mężczyzna. — Nie zastrzeliłaś jej, co? Widziałem, jak żeś chowała ten rewolwer do kieszeni. Nie zastrzelisz mnie chyba?

— To moja córka. Śpi teraz. Mieliśmy tu nawałnicę. Tornado zabrało nam dom.

— No chyba się załapałem na samą końcówkę tej wichury. Akurat jechałem w wagonie towarowym. Trochę żem się zląkł. Myślałem, że się całe cholerstwo wywali. Polujesz tu? Rewolwer to nie najlepsza broń na wiewiórki.

— Nie. Nie poluję.

— Cóż, jak by nie było, miło poznać. Gdyby córka nie spała, z nią też bym się przywitał. Ta burza was tak sponiewierała?

— Ano, nieźle tarosilo.

— Wołają mnie Wsiowy.

— A mnie Słonko. Córka ma na imię Karen.

— Słowo daję, piękne masz włosy. Twoja córka też, ale to nie to, co twoje. Ty masz włosy jak ogień, ona jak skrzydło kruka.

— Włosy ma po tacie — odparła Słonko.

— No to ja już pójdę, zobaczę, czy dostanę robotę.

— Nie wyglądasz mi na pilarza.

— Bo nie jestem. Po prostu roboty mi trzeba. Jestem muzykant. Śpiewam, gram na gitarze.

— To gdzie masz gitarę?

— Pękła. Próbuję zarobić na nową.

— To powodzenia.

— Dzięki. Zobaczymy się jeszcze?

Słonko zastanowiła się przez chwilę. Właściwie nie miała żadnej pewności, ale powiedziała: — Aha. Będę gdzieś w okolicy. Może jak się spotkamy następnym razem, będę wyglądać lepiej niż teraz. Normalnie nie jestem aż taka brzydka.

— A ja normalnie nie jestem taki brudny. Ale brzydki zawsze. „Fałszywa skromność” — pomyślała. Wie, że dobrze wygląda. Wsiowy uchylił czapki. — No to uważajcie na siebie.

I poszedł.

Słońce zrobiło się wielkie i żółte jak żółtko ze świeżego jajka, sprawiło, że powietrze stało się gorące jak płonąca benzyna. Upał uwiązał w lesie jak klej, żywicznie lepki, a w tej żywicy utknął Bóg i wszelkie jego stworzenie.

Nim minęła dziesiąta rano, każdy robotnik w osadzie był już wykończony, spod pach lał się pot, świerzbiały krocza. Beczki z wodą osuszono do dna, muły miały już serdecznie dość. Nawet woły, normalnie stateczne niczym Hiob, zaczęły się kolebać i szła im piana z pysków.

Z rana Jones zorganizował dostawę do domu miednic pełnych lodu, podesłał też pożyczoną od właściciela sklepu tymczasową trumnę plecioną z wikliny. Zack i drugi kolorowy, wołali go Hently, wnieśli ją do salonu i ułożyli na podłodze, po czym wsypali do niej lód z miednic. Następnie ściągnęli z Pete'a ubranie, i woń trupa rozeszła się po całym pokoju. Położyli go na warstwie lodu w wiklinowej trumnie, a potem zasypali lodem z wierzchu, aż stłumili smród, a ciała nie było widać z wyjątkiem jednego palca, sterczącego spośród zimnych odłamków pionowo w górę, jak gdyby zmarły chciał właśnie udzielić jakiejś rady.

W zabudowaniach tartaku, jak nigdy, rozmowy nie krążyły wokół upałów.

— Moim zdaniem kobieta nie powinna móc zastrzelić sobie męża ot, tak, bo się jej zachciało — oświadczył Bill Martin. — Jak się na takie rzeczy pozwoli, to się normalnie wszystko na świecie powywraca do góry dupą. Jasna cholera, skończy się na tym, że powiem ślubnej, żeby mi śniadanie zrobiła, a ona wyciągnie pistolet.

— Jak tak z tobą pracuję — odparł Don Walker — to czasem sam miałbym chęć cię zastrzelić.

— Normalnie beczka śmiechu z ciebie. Tylko taka nieśmieszna.

Bill i Don zaprzęgli muły do sań wyładowanych kłodami drewna. Don krzyknął na muły, Ziutka i Fiutka, i sanie ruszyły z miejsca. Obaj mężczyźni odsunęli się na wszelki wypadek, Don mocniej złapał długie lejce i poszli obok wyteżających się w zaprzęgu zwierząt.

— Kse wie, wy wszarze smętne — polecił mułom Don, więc skręciły w lewo.

— Nie powinienes tak do nich mówić — skarcił go Bill.

— Kiedy się lenią, jak im na to pozwolić...

Natknęli się na Wsiowego, nadchodzącego ku obozowi — uśmiechnął się, pomachał. Don ściągnął lejce i muły stanęły.

— Przepraszam bardzo — odezwał się Wsiowy. — Pracy szukam.

— To nie z nami trzeba gadać — odparł Bill.

— A wiecie, z kim powinienem mówić?

— Z Kapitanem — powiedział Don. — Tylko czas nie najlepszy.

— A kiedy będzie dobry?

— Żebym wiedział. Wczoraj syn mu zginął, Pete.

— Co, wypadek?

— Jeśli strzał w głowę można nazwać wypadkiem, to i owszem — stwierdził Bill. — To sama żona go zastrzeliła. A Pete był tu konsta-blem.

— Czemu to zrobiła?

— Ponoć ją tłukł.

— No to nie powiem, żebym miał do niej pretensje — powiedział Wsiowy. — Też nie lubię, jak kto podnosi na mnie rękę w złości.

— Była jego żoną — wytknął Bill.

— Jeszcze nie znaczy, że ma prawo ją lać — odparł Wsiowy.

— To właśnie mówiłem — przytaknął Don. — Tak właśnie Billowi mówiłem.

— Ta kobieta, co go zastrzeliła... — podjął Wsiowy. — Nie jest czasem ruda?

— Tak czerwonych włosów nikt inny nie ma — odparł Bill. — Skąd wiedziałeś?

— Tak zgadłem. Rude słyną ze strzelania do mężów.

— Znałem jedną rudą, co była słynna z zupełnie czego innego — stwierdził Bill. — Jak ogień, jak to mówią.

— Wszystkie twoje kozy są czarne, białe albo szare — zauważył Don. — Ani jednej rudej, więc co ty tam wiesz.

— Ci cały czas powtarzam, weź se załatw występy w radiu, panie śmieszny — odciął się Bill i zwrócił do Wsiowego: — Powodzenia, mło-

dy człowieku. Może Kapitan cię weźmie. Żeśmy stracili jednego w zeszłym tygodniu.

— Przywaliło go drzewo — dodał Don. — Żeśmy się nawet z Billem zakładali, kiedy na tego durnego sukinsyna coś padnie. Ciął, a potem tak sobie spacerkiem odchodził, jak się pień walił. No i ostatnim razem ciut za wolno spacerował. Pień wziął i na niego odskoczył. One tak czasem skoczą wstecz. Wbiło gościa w glebę. Mówili, że wszystko z niego wylazło, jakby kto nadepnął na nadziewanego indyka.

— Jak się chce tu pracować, trzeba mieć refleks — potwierdził Bill. — Żeby się człowiekowi nogi nie zaplątały w żadne pnącza czy gałęzie. Bo ja myślę, że tamtemu to się wokół kostek pędy jeżyn okręciły. Więc jak cię przyjmą, a nie będziesz uważał przy robocie, to też skończysz jak tamten.

— Dzięki za radę, mili panowie. A skoro mam rozmawiać z tym Kapitanem, to gdzie go znaleźć?

— No, w domu już nie mieszka — odparł Bill. — Żona wzięła go pogoniła, stanęła po stronie synowej. Jak dziś rano był przy traku, wciąż miał na sobie te same brudne łachy co wczoraj. Ja tam nie wiem, pracuje, czy nie. Jak się jest szefem, można sobie bimbać, czy akurat syna człowiekowi zabili, czy nie. Ale może być tak, że będziesz musiał o robocie pogadać z kim innym. Nie tylko Kapitan ma prawo przyjmować nowych... Ale to wszystko normalnie nie w porządku jest. Żeby Kapitanowi zabili syna, a żona jeszcze wystawiła go za drzwi. A to taki porządny gość. Pożyczył mi sporą sumkę, której jeszcze nie oddałem. ..

— I nie zamierzasz — wtrącił Don.

— Tego nie wiesz.

— Tego dolara, co jesteś mi winien, też nie oddałeś.

— Ale oddam. Tylko ci mówię, że jakbym miał dług u tej jego starej, to ja nie wiem. Nie chciała, żeby Kapitan mi pożyczył te pieniądze. Mówiła, że nie jestem wiarygodny.

— Bo nie jesteś — stwierdził Don. — Czekam na tego dolara. Tyle wiem.

— No ale ona to powiedziała przy mnie. Że niewiarygodny. Mówię wam, że skoro ta Słonko wzięła zabiła męża, i to przecież konstabla, no to jak ktoś nie położy temu kresu, to zaniedługo każda baba w osadzie

i w okolicy pomyśli sobie, że ma prawo nagadać chłopu od góry do dołu za byle co i już. Czy pójdzie o pożyczanie pieniędzy, czy o ciepłą psiochę...

— Słonko? — odezwał się Wsiowy. — Tak na nią mówią?

— Przez te długie, rude włosy — przytaknął Don. — Całkiem nieźle wyglądała, zanim Pete jej tak nie obił. A teraz to ona przypomina Jacka Trzy Palce.

— Że kogo?

— Taki facet, co dostał łomot od Pete'a — wyjaśnił Bill. — Tyle że on od tego umarł. A tak na niego wołali, bo miał trzy palce.

„Coś pieprzysz, wujek” — pomyślał Wsiowy.

— Tym razem to Pete umarł — podjął Don. — I ja akurat go nijak nie żałuję. To nie w porządku, tłuc kobietę. Znaczy, oczywiście, chyba że to kurew. Kiedyś jedna taka podgrandziła mi parę dolarów, to jak ją dopadłem, dostała za swoje, mówię wam. Jak już skończyłem ją prać, z twarzy wyglądała jak łaciate szczenię.

— A jak tu z dachem nad głową? — spytał Wsiowy. Obejrzał już sobie osadę. Wyglądało na to, że wolnych domów nie ma, a wszystkie stały tak blisko siebie, że gdyby kto miał chęć posunąć żonę sąsiada, wystarczyłoby, żeby wystawił fiuta za okno, a ona wypięła tyłek.

— W pobliżu raczej nic nie znajdziesz. Możesz sobie wypożyczyć namiot ze sklepu i znaleźć miejsce kawałek dalej przy drodze, w młodniku. Tych drzew jeszcze przez lata nie będą ciąć, za małe, psiakrew.

— To jeszcze raz dzięki — pożegnał się Wsiowy i ruszył ku tartakowi.

Był już blisko, kiedy uświadomił sobie, że jedna rzecz go zaciekawiała, a zapomniał spytać: za co w ogóle ten cały Pete tak obił Jacka Trzy Palce.

Wrócił też myślami do tej rudej nad potokiem — wiedział, że to ona zastrzeliła Pete'a.

Dziwnie było uświadomić sobie, że oboje byli zabójcami.

Kiedy Wsiowy sobie poszedł, Słonko położyła się z powrotem. Chciała tylko odsapnąć, ale zaskoczyła siebie samą i usnęła. Obudziła się z tej drzemki, czując dotyk dłoni, gładzącej jej policzek.

Przez chwilę myślała, że to może Pete, od wielkiego dzwonu zdarzały mu się chwile czułości, lecz zaraz przypomniawszy sobie, że Pete już nikogo nie pogłaszcze.

To była dłoń Karen.

— Mama, ja nie chciałam ci tego wszystkiego nawygadywać. Słonko zdołała jakoś usiąść. Zorientowała się, że ma dłoń ukrytą

w kieszeni sukienki, zaciśniętą na chwycie rewolweru. Nie było łatwo

zmusić palce, by się rozwarły i wypuściły broń. Spała z rewolwerem w garści, bez palca na cynglu, trzymając go tylko jak pałkę. Tak długo ścisnęła broń, tak mocno, że teraz dostała skurczu i przez dłuższy moment nie mogła rozprostować palców.

— Bo ja już nie wytrzymałam tego ciągłego bicia — powiedziała. — I to nie był pierwszy raz, Karen. Ty zwyczajnie o niczym nie wiedziałaś. Bił mnie tak, żeby nie było widać. Aż do tego razu. Dla ciebie był kochanym tatusiem, ale dla mnie żaden był z niego mąż.

— Czemu tak robił, mama? Co mu robiłaś, że musiał cię bić? "

— Co robiłam? Gdybym choć zrobiła cokolwiek, zwariowała i zaczęła go tłuc, żeby mi oddał, to jeszcze bym zrozumiała. Mogłabym zrozumieć, gdyby zdarzyło mu się coś złego z mojej winy albo gdyby był chory i nie wiedział, co robi, ale to nie było tak. Nie to, że po prostu mnie walnął, ot tak sobie. Naprawdę chciał mnie skatować. Robił to, bo to lubił.

— Mnie nigdy nie uderzył — Karen zwiesiła głowę. — Jak dostawałam lanie, to tylko od ciebie.

— Bo ciebie kochał. Wręcz uwielbiał.

Słonko objęła córkę ramieniem. Ta nie próbowała się wyswobodzić.

— Zawsze mówił mi „dobranoc” — podjęła Karen. — Już tego nie robi. Nie pójdziemy razem na ryby. I zawsze razem śpiewaliśmy. Nauczył mnie śpiewać. Mówił, że jestem tak dobra, jak Sara Carter.

— Lepsza.

— Mogłaś zrobić inaczej. Nie musiałaś go zabijać. Mogłaś go po prostu porzucić.

— Chciałam, ale nie wiedziałam, jak ci o tym powiedzieć. Żałuję, że ci nie powiedziałam. Lepiej mówić o czymś takim, niż o tym, co ci musiałam powiedzieć zeszłej nocy. A kiedy to się działo, nie mogłam po prostu wstać i wyjść. Akurat wtedy nie dałby mi nigdzie odejść. Bałam się, że kiedy skończy, już nigdy i nigdzie nie pójde. Popatrz na moją twarz, córeczko.

Karen obróciła się ku niej. Słonko z bólem zauważyła, że przypominała ojca.

— Mam złamany nos i rozbite wargi. Całe szczęście, że zostały mi się wszystkie zęby, ale na lewe oko ledwie widzę. Jesteś pewna, Karen, że twój tata mnie kochał?

Karen rozplakała się, opierając głowę o ramię matki. Słonko trzymała ją tak przez długi czas.

Gdy już dziewczyna się wyplakała, Słonko odezwała się znów: — Twój tata nie zawsze był dla mnie paskudny. Mieliśmy parę fajnych chwil. Kiedyś go kochałam. Wiem też, że on kochał mnie. Poznaliśmy się, kiedy miałam szesnaście lat, on dziewiętnaście. Byliśmy zbyt młodzi. Ale pragnęliśmy siebie nawzajem i wydawało się nam, że to właśnie miłość. No i była, w pewnym sensie. Ale to szczeniacka miłość. Chcieliśmy się po prostu pobawić w tatę i mamę, Karen. Myśleliśmy, że miłość to znaczy spędzać każdą noc razem. Rozumiesz? Zapamiętaj to sobie, nim się zadurzysz w jakimś chłopaku tak, że będziesz przysięgać, iż nie możesz żyć bez niego obok ciebie i w tobie...

— Mama, nie mów tak.

— Kiedy taka prawda, i teraz muszę tak o tym mówić. Nie mamy czasu na piękne słówka, wystarczy go tylko na prawdę. Nie daj się wydać za męża, zanim nie będziesz dość dorosła, by naprawdę wiedzieć, kogo i czego chcesz. Ten Jerry Flynn, z którym się widzisz... Dobry chłopak. Ale jesteś jeszcze za młoda, żeby myśleć o ślubie, i on też.

— Nic nie mówiłam, że się chcemy żenić.

— No nie. Ale może o tym myślisz. Ja o tym myślałam w twoim wieku. Więc wyszłam za męża, ale twojego tatę wciąż ciągnęło do innych kobiet. Nigdy nie przestałoby go do nich ciągnąć. Nie wiem, co jeszcze mogę ci powiedzieć. Nie wiedziałabym, co powiedzieć, nawet gdyby zginął w jakiś inny sposób. Ale tak... No nie ma słów... Nienawidzisz mnie?

— Nie wiem sama, co czuję... — Karen pokręciła głową. — To co teraz zrobimy?

— Możesz wrócić do babci. Zostań u niej, a ja tymczasem coś wymyślę.

— Sama nie chcę tam wracać.

— Nieraz byłaś tam beze mnie.

— Wiem. Ale teraz jest tam tatuś. Nie możemy po prostu wrócić do domu?

— Nie mamy domu, Karen. Tornado go wzięło i zmiotło.

— No i co, nie możemy tam wrócić?

— Jeśli damy radę tam dojść. Tak zeszywniałam, że ledwie się mogę ruszyć. Jak tam dojdziemy, zobaczysz tylko, że chałupę nam zmiotło. Została podłoga, nic więcej.

— I tak chcę iść.

*

Wyszły na drogę i złapały okazję, podwiózł je kierowca ciężarówki pełnej pogdakujących kur. Ów facet, posiadacz czterech nieregularnie rozrzuconych po działkach zębów, wpatrywał się w Słonko, kiedy ta sadowiła się obok niego — Karen siadła przy drzwiach szoferki.

— Pani jakiś wypadek miała, czy co?

— Można i tak powiedzieć — odparła Słonko.

Przejechały z nim większość drogi, wysadził je w miejscu, skąd do przejścia zostało już niewiele. I Słonko była z tego faktu nader zadowolona.

Kiedy już doszły na miejsce, było południe, a one obie były głodne i nie miały nic do jedzenia. Tak jak mówiła Słonko, po gospodarstwie została tylko podłoga domu i parę rozrzuconych przedmiotów. Stojący za domem kurnik zniknął, jeśli nie liczyć dwóch słupków połączonych skłębioną drucianą siatką ozdobioną kleksem mięsa i pierza, gdzie wichura przecisnęła przez nią kurczaka. Kibel też przepadł, pozostał po nim jednak głęboki dół pełen cuchnących odchodów. Podwórze nie było już usiane rybami. Parę zostało, ale wyschły i obkurczyły się na słońcu, a teraz śmierdziały jak jasna cholera. Co do reszty ryb, ich los był oczywisty. W piachu podwórza pełno było tropów szopów pracy. Chyba każdy szop we wschodnim Teksasie zwał się tu na bibkę z tańcami i hopsztosami przy świetle księżycy i muzyce świerszczy.

W zagajniku nieopodal widać było strzępy tkanin, belki, splątane gałęzie. Pojawiła się nowa przesieka, gdzie tornado położyło pas drzew, a między dwoma sponiewieranymi dębami tkwił wrak samochodu.

Słonko, prawdę mówiąc, po przechadzce czuła się lepiej. Poruszanie się przychodziło jej z większą łatwością, jakby ktoś naoliwił jej trochę stawy, była jednak zmęczona i miała chęć odpocząć. Siadły z córką na podłodze domu, rozejrzały się dokoła.

— Sama nie wiem, czego się spodziewałam — przyznała Karen. — Mówiłaś przecież, że wszystko przepadło.

— Ano, złotko. Szlag wszystko trafił.

— Ależ mnie ssie z głodu.

— Możemy nazrywać jeżyn.

Poszły więc nad strumień, gdzie gęsto płożyły się jeżyny, i zaczęły je zrywać, pojedając po drodze. Owoce były nagrzane, słodkie, a pędy ciągnęły się tuż nad ziemią. Szukając jeżyn, obie czujnie wypatrywały węży. Po jakimś czasie wróciły do tej gołej podłogi chaty, usiadły sobie z brzegu i patrzyły na mijający dzień, a słońce przewaliło się wreszcie

przez południe i zaczęło się turlać ku drugiemu skrajowi nieba, niczym wielka kula staczająca się ze zbocza.

Gdy Słonko poczuła się silniejsza, poszły sprawdzić, co z samochodem. Bez dwóch zdań szlag go trafił. Dokoła wałały się akta Pete'a. Słonko zaczęła je zbierać.

— Mogą się przydać następnemu konstablowi — stwierdziła. Karen też zabrała się do zbierania papierów. Próbowaly włożyć

teczki z powrotem do drewnianej szafki, ale ta się już do niczego nie nadawała. Wobec tego wszystkie dokumenty, włącznie z tymi, które nie wysypały się z szafki, przełożyły do wraku samochodu.

Była może druga po południu, kiedy znów poszły usiąść na podłodze chaty. Karen zaczęła śpiewać, może niekoniecznie z entuzjazmem, ale kiedy poprawiał się jej humor, naprawdę brzmiało niezłe. „Faktycznie, jest dobra jak Sara Connor — pomyślała Słonko. — Nawet mniej nosowa”.

Po jakimś czasie dróżką wiodącą do domu nadjechała z grzechotem ciężarówka. Słonko uniosła wzrok i zobaczyła, że za kierownicą siedzi teściowa.

— Babcia! — krzyknęła Karen i rzuciła się na spotkanie samochodu.

— Uważaj, żebyś nie wpadła pod koła — zawołała za nią Słonko. Ciężarówka zwolniła, zatrzymała się. Karen szarpnięciem otworzyła drzwi, objęła babcię, uściskała.

Słonko podeszła do nich. — Skąd wiedziałaś, że tu będziemy, Marilyn?

— A gdzie indziej mogłyście się podziać? Nie sądzicie, że czas wracać do domu?

— No nie wiem, czy pan Jones będzie zachwycony...

— Złotko, jakby mnie kto pytał, nie ma już żadnego pana Jonesa.

6

Kiedy przyjechały do domu Marilyn, zwłoki wciąż leżały w koszu, okryte patchworkową narzutą. Na co Karen oświadczyła: — Chcę go zobaczyć.

— Myślałam, że nie chcesz — zdziwiła się Słonko.

— Teraz chcę.

— Na pewno? — spytała Marilyn.

— Nie. Ale chcę go zobaczyć.

— No dobra, malutka — ustąpiła Marilyn. — Połatałam go, na ile się dało. Teraz nie jest też ubrany. Ale zasypany lodem. Pokażę ci jego twarz.

Marilyn ściągnęła narzutę, razem podniosły wieko kosza. Marilyn zgarnęła lód z twarzy Pete'a. Słonko zapatrzyła się na ranę po kuli, zaślepioną woskiem ze świecy. Marilyn uróżowała nieco policzki syna, musnęła jego wargi szminką, resztę twarzy upudrowała. Zrobiła to wszystko, nim obłożono go lodem, a ten gruntownie zepsuł cały efekt. Zdaniem Słonka Pete wyglądał teraz tak, jakby szykował się na rozmowę kwalifikacyjną w cyrku.

— Trochę przesadziłam — przyznała teściowa. — Ale wyglądał tak blado. Taki siny przy wargach. Lód to wszystko zepsuł. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że będzie w lodzie. Przed pogrzebem go poprawię.

— Zakryjcie go — poprosiła Karen i na ślepo ruszyła ku werandzie. Ledwie tam dotarła, zaczęła szlochać.

Słonko skierowała się ku córce, ale Marilyn złapała ją za ramię. — Przyda się jej chwila samotności. Słonko kiwnęła głową.

Marilyn nagarnęła lodu na twarz Pete'a, z pomocą Słonka nakryła kosz wiekiem. Potem okryły go jeszcze narzutą.

Słonko przełknęła nerwowo i spytała: — Zdierzysz mnie pod własnym dachem? Wiedząc, że to ja to zrobiłam?

— Chodź, córka. Siądziemy na ganku, pogadamy.

Usiadły na nagrzanym schodkach przed domem. Miały stamtąd widok na krzątających się przy robocie ludzi i zwierzęta. Słyszały wycie pił, szczególnie Wielkiego Traka w Dużym Tartaku. Powietrze było przesycone żywiczną wonią świeżych trocin, czarnymi spalinami generatora i szarym dymem z pieców do suszenia drewna. Przedzierające się przez drzewny pył i dym promienie słońca sprawiały, że powietrze nad tartakiem i znaczną częścią osady wydawało się zielone, ale w miejscach, gdzie dymu było mniej, niektóre blaszane dachy odbłyски-wały w słońcu tak, że srebrzyste refleksy zmuszały Słonko do mrużenia oczu.

Napomniała się, że pan Jones był gdzieś niedaleko, pewnie zajmował się papierkową robotą w Dużym Tartaku przy akompaniamencie wizgu piły. Ostatnimi czasy tym właśnie zajmował się najczęściej, znacznie rzadziej brał się za ciężką pracę fizyczną, zwykle właśnie

przyjmował i zwalniał pracowników, doglądał dystrybucji gotowych produktów. Cóż, pewnie sobie na to zapracował.

Słonko zastanawiała się leniwie, czy napotkany nad strumieniem mężczyzna faktycznie zgłosił się tu do pracy. Może był włóczęgą, choć raczej na takiego nie wyglądał. Mógłby być lepiej ubrany, ale z miejsca było widać, że dba o wygląd, bo i miał o co dbać. Słonko dostrzegła też od razu, że do ciężkiej pracy zabrałby się tylko w razie, gdyby nie było już innego wyjścia. Nie był z tych, co bardzo chętnie całe życie chodziliby za pługiem, uważając tylko, by nie wdepnąć w to, co tam mułowi spod ogona wypadło. Na urodzonego tracza też nie wyglądał.

Było w tym coś, co ją nęciło.

Ale zaraz pomyślała: Skoro taka ze mnie znawczyni charakterów, czemu wyszłam za Pete'a?

— Kiedy byłam malutka, mój pradziadek doszedł do wniosku, że drewno to dobry plan na przyszłość — odezwała się Marilyn. — Urodził się na północy, ale sprowadził się do wschodniego Teksasu i tu podjął pracę jako robotnik na farmie. Rozejrzał się dokoła, stwierdził, że w tej okolicy jest od licha domów, które trzeba tylko ściąć, obrobić i sprzedawać, więc uznał, że najlepiej będzie założyć własny tartak. To było gdzieś koło tysiąc dziewięćset dziesiątego. Przyjechał tu i kupił firmę od paru drwali, którzy wycinali drzewa i wieźli je do obróbki aż do Nacogdoches. Zatrudnił ich u siebie, już nie musieli działać na własną rękę. Zbudował regularny tartak i biznes ruszył. Zaczął zarabiać pieniądze, a pradziadek został bogaczem. No i teraz to ja posiadam spory udział w tym tartaku, a poza mną pan Jones i Henry Shelby. Ale o tym już wiesz.

— Ano wiem. Nie wiedziałam tylko, że masz udziały w tartaku, Marilyn. Pewnie powinnam się była domyślić, ale nie wpadło mi to do głowy. W ogóle jakoś nie przyszło mi do głowy, że kobieta może mieć jakiś większy majątek. Uznałam, że Jones przejął twoje udziały, kiedy się pobraliście, i już.

— To ci powiem jeszcze parę rzeczy, o których nie miałaś pojęcia. Nie wiesz na przykład, że mój tata z początku lubił Jonesa, ale potem to już nie za bardzo, więc spisali umowę, według której kiedy tylko zechcę, z jakiegokolwiek powodu, odebrać Jonesowi posiadanie choćby ułamka tartaku, to mogę tak postanowić. A ponieważ Henry ożenił się z siostrą taty, zatrzyma swój udział choćby nie wiem co.

— I mówisz, że chcesz wyrzucić Jonesa z tartaku?

— Nie. Zamierzam nawet pozwolić mu zatrzymać spory udział. Nie aż tak duży, jak dotąd, ale spory. Zapracował na to.

Słonko pokiwała głową, nie do końca rozumiejąc, dokąd to wszystko prowadzi, czemu Marilyn opowiada jej o rzeczach, które już wiedziała, a co dopiero o tych, których nawet się nie domyślała. Ledwie była w stanie powstrzymać się od łez za każdym razem, kiedy tylko zerknęła na teściową.

— Poznałam Jonesa, kiedy ześmy tu przyjechali z Arkansas i byłam tylko dziewczyną, a on bardzo chciał się żenić. Wżenić w bogatą rodzinę. Moja była taka, bo mieliśmy tartak. Chyba od początku o tym wiedziałam, znaczy, że chce mnie za żonę dla pieniędzy, ale miałam to w nosie. Wydawało mi się, że Jones to porządny chłopak. Myliłam się. Bił mnie. No, ty oczywiście też wiesz, jak to jest, prawda? Staralam się, żeby się nam w małżeństwie układało. Mówili mi, że to właśnie od kobiety zależy. Że nieważne, z iloma kurwami pokłada się mąż, czy cię bije, czy wyklina, czy co tam jeszcze, to twoje zadanie, żeby małżeństwo się układało, żeby dzieci miały rodziców... Pete dorastał, patrząc na ojca, jak wyzywa mnie gorzej niż burą sukę, widział, jak tatuś mnie „rychtuje”, jak to Jones lubił nazywać.

— Pete też tak na to mówił — odezwała się Słonko.

— A ja się na to godziłam, żeby w małżeństwie się układało. Atak naprawdę uczyłam syna, żeby był jak ojciec. Nie to, że Jones nie ma dobrych stron. Ciężko pracuje, nigdy nie rzucił roboty w diabły, żeby żyć jak pączek w maśle z moich pieniędzy, które mam tylko dlatego, że jestem córką tatusia. Podobało mu się, że w ten sposób dorobił się wysokiego stanowiska w tartaku. Tylko to się dla niego liczyło. Wielki gość. Duży dom. Poważna praca. Żona, która wie, gdzie jej miejsce, i dorodny syn, któremu nikt na głowę nie wsiądzie. Jones miał też inne zalety. Dobrze traktował Pete'a. Jak się wściekł, nie wyzywał się na synu, tylko na mnie. Był krzepki, i to mi się też podobało, kiedy byłam młoda. Silny facet, no no. Potem, kiedy przytrzymywał mnie na łóżku i robił ze mną, co chciał, już mi się mniej podobała ta jego krzepa. Ale kiedyś go kochałam.

— Ja kiedyś kochałam Pete'a.

— Wiem, że tak było. Widziałam ten blask w twoich oczach.

— Czasami był w porządku. Kiedy się nie wściekał, miał fajne poczucie humoru, i głos miał niezły. Był dobrym tatą dla Karen, ona też ładnie śpiewa. Nauczył ją. Ale miał te ciągi. I sposoby.

Marilyn pokiwała głową.

— Myślałam, że nie wda się w ojca, ale się myliłam. Jones ma jeszcze jeden plus: zaganiacza, że koń by się nie powstydził. Ale jakoś nigdy nie miałam okazji się tym nacieszyć. Coś jakby wskakiwał na mnie, robił swoje i cześć, rozumiesz? Jakbym mrugnęła, mogłabym przegapić całą akcję.

Słonko zarumieniła się. Nigdy nie słyszała, żeby kobiety rozmawiały o takich sprawach, i zupełnie nie spodziewała się tego po teściowej.

„No cóż — pomyślała sobie. — Jak się powiedziało A...”

— Pete też tak miał. Znaczący, zaganiacza. No i z tą szybkością. Tylko raz jeden żeśmy się tak dobrze, porządnie pokochali. I to chyba właśnie z tego powodu się potem Karen urodziła. Chciał więcej dzieci, ale ja nie zaszłam, a i nie chciałam. Z nim czułam się jak jaka klaczka rozplodowa.

— To, żeś znowu w ciąży nie zaszła, to dowód, że Bóg dba o dobrych ludzi.

„Jakby tak o mnie dbał — pomyślała Słonko — zatroszczyłby się, żebym w ogóle nie wychodziła za tego skurwysyna. Albo przynajmniej załatwił tak, żebym miała więcej przyjemności, kiedy Pete Jones mnie dosiadał”.

Pamiętała, że za każdym razem, kiedy Pete dochodził, wydawał z siebie taki odgłos, jakby chora mysz próbowała odchrząknąć. Zawsze, kiedy dochodził. Biodra zamierały, a myszą brała się za charczenie. Coś jak kasznięcie, potem cichy, zdławiony dźwięk, jakby miał tam w gardle pajęczyny. Potem cisza, i strużka śliny na ramieniu Słonka. Jakoś nigdy nie zdołała odgadnąć, o co szło z tymi mysimi dźwiękami, ale pojawiały się nieodmiennie, i Słonko zastanawiała się, czy to samo działo się, gdy był z jaką kurwą czy kochanką. Czy też wskakiwał, spuszczał się i udawał chorą mysz.

— Pewnie się zastanawiasz, do czego właściwie zmierzam — odezwała się Marilyn.

— Wiem, że pan Jones to już przeszłość — odparła Słonko. — To wiem.

— Zeszłej nocy przelało mi się. Ten tam chłopak byłby dziś żywy i zdrowy, gdybym nie dawała się Jonesowi łać bez oporu. Gdybym stawiała mu czoła albo zabrała Pete'a i wyniosła się z domu, wszystko potoczyłoby się inaczej... Nie chciałam, żeby mój syn zginął, Słonko, ale widzi mi się, że jestem temu winna w takiej samej mierze, co Jones. Wiem, że ty zrobiłaś to, co musiałaś. Zeszłej nocy mało brakowało,

a Jones miałby to samo. Gdybyś nie zrobiła tego, co trzeba, mogłabyś sama zginąć, a z czasem Jones mógłby zabić i mnie. Chyba wreszcie za stary jest na to, żeby całą parą działać, ale ma jeszcze dość, żeby krzywdę zrobić. Miał takie dni, że poprawiało mu humor, kiedy ja cierpiałam. Mówił na ten przykład, że zadawałam się z jakimś facetem, choć przecież nie mogłam, bo cały dzień siedziałam w domu, i on świetnie o tym wiedział. Ale wiedza i rozsądek nie miały tu nic do rzeczy... Kiedy zobaczyłam Pete'a na marach, wszystko to mi się przelało, i miałam dość. Już nie mnie obchodzi, czy nam się coś układa, czy nie. Więc jak Jones zasnął, przyszyłam go do łóżka i obijałam grabiami.

— Grabiami?

— Żebyś wiedziała. A potem złapałam za jego strzelbę i pogoniłam drania.

— I co zamierzasz teraz robić?

— Co obie możemy teraz robić? Przypuszczam, że zostaniemy tu razem. Mam pieniądze, córka. I siłę woli, teraz już tak. Tak to się mówi, prawda?

— Bo ja wiem.

— Owszem. To właśnie mam. Siłę woli. Od lat nie czułam się tak dobrze, nie miałam takiej mocy.

— Nie mogę żyć na twój koszt, Marilyn. Nic z tego.

— Nie bądź taka honorna. Masz inne wyjście?

— Coś wymyślę.

— Dla Karen byłoby najlepiej, żebyś mieszkała z nami. Z czasem znajdziesz kolejnego męża, albo i nie, co byłoby szczęściem.

— Przecież nie wszyscy faceci są tacy.

— Mam ograniczone doświadczenie, ale nie polecałabym.

— Chcę pracować, Marilyn. Chcę, żebyśmy miały z Karen własne pieniądze, a nie być zależna od jakiegoś faceta. Już byłam w takiej sytuacji i nijak mi się nie podobało.

— To nie takie łatwe, kochana. Chyba że zgodzisz się na pozostawanie pod moją opieką, póki nie uda ci się znaleźć czegoś lepszego.

— Nie wiem, czy Karen kiedykolwiek tak naprawdę mi wybaczy.

— Powinna. Ja już wybaczyłam. Nie podoba mi się, że mój synek leży tam w łodzi, ale nie chcę stracić jeszcze i ciebie, i wnuczki. Poradzimy sobie, Słonko. Słowo. I wiesz co?

— No?

— Musimy teraz podejść do łazienki, zrobię coś z tą twoją twarzą. Mam tu takie specyfiki, że sińce zejda szybciej i opuchlizna skłębnie.

No i trochę ubrań, co powinny leżeć lepiej niż ta sukienka, co ci ją dałam. Nie zawsze miałam tyle w talii. No chodź, córka.

Marilyn wstała, uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę, a Słonko, po chwili wahania, uścisnęła ją.

Pogrzeb odbywał się na małym pagórku, w cieniu wielkiego dębu. Pete'a pochowano pod samym drzewem, obok grobu ojca i matki Jonesa i niedaleko nieoznaczonej mogiły rodzinnego ogara, który przyjechał tu z nimi aż z północy, przez Nacogdoches do osady Rapture, aż w końcu, w zaawansowanym jak na psa wieku piętnastu lat, zadławił się kurzą kością podczas rodzinnej imprezy.

Zeszło się mnóstwo ludzi. Wielu dlatego, że znali Pete'a, inni, bo tak wypadało, a poza tym i tak nie było nic innego do roboty. Wiedzieli zresztą, że potem w domu Marilyn będzie obfita stypa, bo kobiety z całego obozu naznosiły mnóstwo jedzenia.

Słonko nie zjawiała się nad trumną. Karen przyszła z babcią. Stawił się także pan Jones, stanął po przeciwnej stronie grobu. Uśmiechnął się do wnuczki, jak do dzielnego żołnierza. Kiedy spojrział na Marilyn, uśmiech zniknął mu z twarzy.

Pastor wspomniał Pete'a w samych ciepłych słowach, życzył mu rychłego zjawienia się w niebie, po czym zebrani rozeszli się, a dwaj opłaceni kolorowi zasypali trumnę ziemią.

Ludzie zebrali się w domu Jonesów. Nad zastawionymi stołami zaczęły się rozmowy o nieboszczyku. Jaki to był dzielny. Jak to sobie poradził w tej czy innej sytuacji. Oczywiście, wspomniano też Jacka Trzy Palce. W końcu jednak pogawędki zeszły na żniwa, bydło, tornado, tartak. Stopniowo i to ucichło, i po kolei wszyscy podchodzili do rodziny, by zamienić z żałobnikami kilka słów otuchy i wyjść.

Ostatecznie została tylko Marilyn, Karen i Jones.

— Nie da się, żeby to już skończyć? — zaczął.

— Leć na dwór, Karen — zwróciła się do wnuczki Marilyn. — Dorośli mają do pogadania.

Karen uścisnęła dziadka i nie bez oporów wyszła.

— Wciąż nie wierzę, że mogłaś mi zrobić coś takiego po tych wszystkich latach, które przeżyliśmy razem, a jeszcze po śmierci naszego syna.

— Bo powinnam była zrobić to już lata całe temu.

— A ja powinienem ci dać w twarz, babo.

— Co, żeby się wnuczka dowiedziała, jak mnie traktujesz? Bo jeszcze nie wie. Powiedziałam jej tylko, że przestało mi się podobać, że tu mieszkasz. Nie o wszystkim ode mnie usłyszała. Ale uderz mnie teraz, a cała osada usłyszy, jak wrzasnę. Do tej pory za każdym razem dusiłam to w sobie, ale z tym już koniec. To co, chcesz mieć taki koniec dnia, kiedy pochowaliśmy naszego synka?

— Kiedy ja nigdy na serio.

— Jak dla mnie, bardziej serio być nie mogło.

— Czyli co, pozwolisz, żeby ta morderczyni tu mieszkała?

— Kobieta zrobiła, co musiała.

— Jak możesz w ogóle coś takiego mówić?

— Idź już, Jones.

Podniósł kapelusz z krzesła przy drzwiach, tam gdzie zawsze go odkładał, nasadził go sobie na głowę i wyszedł. Ale zaraz wrócił. — To jeszcze nie koniec — powiedział. — Ani między mną a Słonkiem, ani między nami.

I poszedł. Marilyn słyszała, jak jego ciężkie buty dudniły po ganku i schodkach. Stała za siatkowymi drzwiami, patrząc, jak odchodzi. Ze zdziwieniem odkryła, że to jednak boli, kiedy go widziała takiego smutnego i przybitego, wzbijającego stopami kłęby kurzu.

7

W piątkowe popołudnie, dwa tygodnie po pochówku Pete'a, Henry Shelby z rajcami osady zjawił się na rozmowę z Jonesem. Uznali bowiem, że już najwyższa pora wyznaczyć nowego konstabla dla osady Rapture i otaczających ją terenów, a to oznaczało, że trzeba zwołać naradę, zaś takie narady zawsze odbywały się w domu Jonesów, bo nie licząc sadyby Shelb'ego, większego w okolicy nie było, a żona Henry'ego nie życzyła sobie towarzystwa, bo piła.

I nie chodziło jej o to, że jakby przyszli goście, to mogliby ją zobaczyć pijaną. Nie, nie życzyła sobie odwiedzin, bo to mogłoby jej przeszkodzić w picciu. A już na pewno musiałyby się wtedy ubrać, bo zasadniczo to lubiła się zalewać na golasa, no, od czasu do czasu zdarzało się jej jeden pantofel założyć. Powiedziała raz Henry'emu, że jak tak pije, to czuje się bliższa natury. Jakby normalnie każdy przychodził na ten świat goły jak święty turecki, tylko w jednym bucie i z flaszką w garści.

Henry nie lubił widoku swojej nagiej żony. Za młodu słodka z niej była dziewczuszka, smukła jak antylopa, z soczystą brzoskwinką między udami. Cóż, teraz, kiedy siedziała, a prawdę mówiąc, nawet kiedy stała, wyglądała jak kupa śmiecia, a z brzoskwinki zrobiła się raczej mocno przegniła renkloda.

Mimo wszystko już lepiej, jak była zalana. Przynajmniej traciła kontakt ze światem. Bo jak nie, to pomyśleć by można, że wiecznie była o włos od ataku hysterii albo innych waporów. Wiecznie ciosała mu kolki na głowie, to o baby, za którymi się ponoć oglądał, to o picie, choć przecież pod tym względem do pięt jej nie dorastał. Jak nie o to, to o ubranie, albo że mu włosy posiwiały, jakby mógł coś na to poradzić, albo czy musiał sobie obrzynać odciski z pięt kozikiem.

A po alkoholu to wszystko z niej wywiewało.

Przestawała marudzić.

Nie jójczyła nawet, kiedy powiedział, że jej kuzyna, młodego Jonesa, zastrzeliła jego własna żona. Ba, była tak zalana, że spytała tylko „Kogo?”. Nie poszła na pogrzeb. Została w domu, goła, pijana, w jednym bucie, drapiąc się po plecach i Bóg wie gdzie jeszcze drutem z rozprostowanego wieszaka.

Henry miał nadzieję, że jego żonie nie zostało już wiele czasu na tej ziemi. I że jak najwięcej z tych dni baba spędzi w pijanym widzie. Skoro tyle chlała, na jego oko z jej wątrobą musiały się dziać potworne rzeczy. A jak pójdzie wątroba, to już jak jedną nogą w grobie. Tak zawsze słyszał, i na to liczył. Ostatnimi czasy zauważył, że cera żony nabrała takiego jakby żółtawego odcienia — sądził, że może to właśnie od picia, żółć się wylewa, czy coś. Z drugiej strony, baba się niezbyt regularnie kąpała. Co jak co, ale smród między jej wałkami tłuszczu trzymał się świetnie, a czasem, jak się ruszyła, to jakby kto zaczął trzepać wielki dywan, co zapleśniał złożony w piwnicy.

Teraz jednak myśli Henry'ego krążyły wokół narady. Może nie za przyjemny temat, ale o żonie myślało się jeszcze mniej przyjemnie. Wcześniej nie napierał na zebranie, przez wzgląd na Jonesa. Jakby zbyt szybko zastąpili Pete'a, można by pomyśleć, że się chłopak nie liczył. Takich rzeczy się nie robi, kiedy Jones to ważna persona w osadzie i tartaku, a jego żona ma w tymże tartaku znaczący udział. Trzeba by być idiotą.

Teraz jednak nadszedł już czas i Henry, pospołu z rajcami osady, postanowili podnieść tę kwestię.

*

Jones siedział za swoim biurkiem w Dużym Tartaku. Biurko było niedaleko traka, więc Jones wpychał sobie watę w lewe ucho, to bliższe piły, żeby stłumić hałas. Gdy na koniec dnia wyłączali trak, musiała minąć godzina, aż przestawał słyszeć to wycie.

Gdy weszli rajcy osady, Jones nadstawił ku nim prawego ucha, wysłuchał ich uważnie, pokiwał głową i wrócił do papierów. Rajcy, przedstawivszy mu propozycję dotyczącą zapotrzebowania na nowego kon-stabla — znaczy, że w osadzie należałoby wybrać jakiegoś kandydata i poddać go głosowaniu — stali tak jeszcze przez chwilę, czekając na jakąś odpowiedź, w końcu jednak zdali sobie sprawę, że Jones nie zwraca już na nich żadnej uwagi, jakby zapomniał, że jest tu ktoś poza nim samym.

Henry i cała reszta wyszli więc po cichu, kręcąc głowami.

Gdy byli już tak daleko, że głos by się nie doniósł, Henry mruknął: — Zdumiał chłop.

Od ich wyjścia minął może z kwadrans, gdy Jones uporał się z ostatnimi papierami, zamówieniami na drewno z jakiegoś tam miasteczka w Oklahomie, i podszedł do wielkiej krajzezi tnącej sosnowe pnie z donośnym wizgiem, wśród sypiących się drzazg i trocin.

Jones przez dłuższą chwilę patrzył na wirujące, tnące ostrze. Patrzył, jak robotnicy ładują na konwejer kolejne pnie, piła je rozszczepiała tak, że połówki waliły się po obu stronach, skąd je zaraz zabierano do przerobu na deski i dalszej obróbki. Myślał o Słonku, o Marilyn i Karen, ale najczęściej wracał myślami do Pete'a. Właśnie w takie dni, gorące, leniwe, kiedy krew ospale krążyła w ciele, najchętniej zabierał syna na ryby.

Tak pragnął, żeby Pete żył, żeby znów mogli wyskoczyć gdzieś z wędkami. Wszystko by oddał, gdyby w zamian dano mu jedną, ostatnią wyprawę na ryby z synem.

Teraz się cieszył, że Słonko nigdy nie okazała mu zainteresowania. Był czas, że Jones miał nadzieję, iż dziewczucha ściągnie dla niego majtki. Uważał, że syn popełnił błąd, żeniąc się ze Słonkiem, zważywszy na jej pochodzenie, ale rozumiał, czemu go wzięło: te długie, smukłe nogi, ogniście rude włosy i piękne, sterczące cycki. Jones myślał, że i jemu nadstawi tak jak jego synowi, ale nic z tego. Ku jego zaskoczeniu, przysięgę małżeńską traktowała bardzo poważnie.

Zważywszy na wszystko, teraz był wręcz zadowolony z tego, że mu się oparła. Wolałby nie żyć ze świadomością tego, że zaznał rozkoszy z różowej dziurki kobiety, która zamordowała mu syna.

W ciągu ostatnich paru dni smutek dręczący Jonesa odmienił go: już nie wyostrzał myśli, ale je stępiał. Jones czuł się jak małe stworzonko uwięzione w zakorkowanej buteleczce, ćma bijąca się o szkło, kiedy w powietrzu coraz bardziej brakowało tlenu.

Gdy na konwejer stoczył się kolejny pień, Jones starannie wyciągnął watę z ucha, wspiał się na kłodę i położył na niej na wznak, jak do drzemki, głową ku pile. Leżał tak, czując przez koszulę twardą korę, słysząc wycie krajzegi. Aż pulsowało od tego w uszach, ale Jones już nie chronił bębenków. Złapał się na tym, że z całej siły wpierał potylicę w pień, pragnąc dostrzec ostrze piły wywróconymi ku górze oczami, lecz bez efektu. W końcu więc zamknął oczy, a wycie piły rosło w siłę, stając się tak głośnie, że myślał, iż zaraz pękną mu błony bębenków. Usłyszał, jak ktoś wrzasnął, zatupały kroki biegnących ku niemu ludzi, poczuł, że pień pod jego plecami zaczyna się rozszczepiać pod ostrzem piły, a na twarz posypały mu się trociny, i już wiedział, że wygrał, że wielkie zęby krajzegi przyniosą mu spokój, nim ktokolwiek zdąży go dopaść.

Nim ktokolwiek uświadomił sobie, co Jones zamierzał, piła już go złapała. Jęk ostrza na czaszce i mięsie brzmiał inaczej niż odgłos ciętego pnia, no i nie było to gładkie cięcie, nie to, co w drewnie. Zęby werżnęły się w czerep Jonesa i machnęły ciałem po łuku, łamiąc mu kark. W piłę zarzuciło dolną część ciała. Zęby wbiły się w spodnie koloru khaki, zerwały je z nóg, zgmiotły w gruźel. Piła zakleszczyła się, bryzgając Jonesem po całym Dużym Tartaku. Ostrze wyło, zakolebało się, omal nie zerwało się z osi, ale ktoś przytomniejszy rzucił się do wyłącznika i ściągnął wajchę. Gdy piła stanęła, powietrze zastygło w takiej ciszy, że robotników rwało w uszach zupełnie tak samo, jak kiedy pracowała.

Wszystko to widział Zack, który z pomocą sporego haka na długim drągu pomagał ściągać pnie na konwejer. Później przez całe lata opowiadał, że jucha z chłopą bryzga nawet gorzej niż żywica ze świeżo ściętej sosny. Kiedy wyciągali z piły to, co zostało z Jonesa, pomógł najpierw hakiem, a potem i gołymi rękami. Później dostał zadanie wyczyszczenia i ponownego naoliwienia ostrza. Na jednym z zębów znalazł ślubną obrączkę Jonesa. Wisiała tak zgrabnie, jakby Kapitan specjalnie odłożył ją tam na przechowanie, kiedy mył ręce czy dupę podcierał.

Zack pomyślał, że powinien oddać obrączkę pani Jones, ale zastanowił się, czy nie lepiej byłoby zabrać ją do miasta i opchnąć. Nie, gdy-

by ktoś się dowiedział, że to on sprzedał, mogłoby się źle skończyć. Wrzucił więc obrączkę do jednego z butów Jonesa, uprzednio usunąwszy ze środka stopę i ogryzek goleni. Ciekawa sprawa — oba buty były w niezłym stanie, żadnych cięć czy rozdarć. Tylko w środku zakrwawione.

Potem, w domu, już nocą, Zack przypomniał sobie, jak dostał w skórę od Pete'a i jak Jones zmusił go do wyjazdu po trupa, i zaczął żałować, że jednak nie zabrał tej obrączki.

Tydzień później znalazł pod kawałkiem drewna w tartaku zabłąkany kawałek Jonesa, być może jądro, i przez chwilę dryblował nim po podłodze, aż wreszcie nadział na patyk i śmignął zdziczałemu, jednookiemu kotu, co się kręcił po osadzie.

Zwierzak złapał mięso w pysk i smyrgnął do lasu.

Marilyn doniesiono o wydarzeniu w tartaku. Dostarczono jej buty, ale ubrań już nie. Były w takim stanie, że nie nadawały się do oddania. W jednym z zakrwawionych butów znalazła obrączkę. Włożyła ją tam z powrotem, po czym wyniosła but za dom, klękła przy kurniku i pochowała go, zalewając się łzami.

Z werandy obserwowały ją przy tym Słonko i Karen, stojąc wśród doniczek z kwiatami Marilyn. Rośliny wyglądały nieświeżo, leciutko brązowiały, trzeba by je podlać. Słonko upomniała się, żeby przyjść tu z wodą, podlać kwiaty i zmyć zaschnięte kółko ziemi na podłodze, ślad po nieobecnej już roślinie i donicy. Pewnie coś tu uschło i poszło w śmieci.

— W głowie się nie mieści — odezwała się Karen. — Najpierw tata, teraz dziadek. Nie mógł bez niej żyć. Źle się stało, że wykopała go z domu.

— Może sam ze sobą nie mógł żyć — odparła Słonko.

— Myślę, że ją kochał. Tęsknił za nią.

— Za workiem bokserskim tęskniłby tak samo.

Parę dni po pogrzebie odbyło się zebranie osady. Zgodnie z oczekiwaniami miało miejsce w domu Jonesów, choć przez chwilę w rachubę wchodził także kościół.

Jak jednak zauważył Willie Fixx, kaznodzieja, weterynarz i dorywczo lekarz: — Tam będzie duszno.

Zebranie zwołał Henry Shelby.

Zeszli się więc po krótkim dniu pracy w tartaku, już o szóstej po południu. Wszyscy mężczyźni przyszedli prosto z roboty i śmierdzeli jak psy, co się w gównie wytarzały.

Słonko i Karen obeszły dom dokoła, otwierając okna, ale to niewiele dało. Powietrze na dworze było nieruchome i ciężkie od wilgoci. Wydawało się zatrzymywać smród w pokoju, jakby samą wagą zakorkowało otwory okien.

Wszyscy zebrani byli biali. Kolorowych nie dopuszczano na narady, prawa głosu też nie mieli. Wielu robotnikom brakowało palca czy dwóch, czasem nawet kciuka. Piły lubiły przyjmować drobne ofiary.

Słonko stała w głębi pokoju wraz z Karen, obserwując spotkanie. Miała na sobie jedną z letnich sukienek teściowej, ściągniętą w tali szerokim, czarnym pasem, zza którego demonstracyjnie sterczała kolba rewolweru. Słonko wiedziała, że to głupie, ale nie dopuszczała do sytuacji, w której broń mogłaby być zbyt daleko.

Obróciła głowę, gdy do pokoju wszedł Wsiowy. Ktoś go tu jednak zatrudnił, czy jeszcze teść, czy już Henry. Kiedy Wsiowy wszedł, to jak król. Aż prawie można by się spodziewać, że zaraz ktoś rozwinie przed nim czerwony dywan.

Stanął także w głębi pokoju, naprzeciwko Słonka i Karen, opierając się o ścianę i zostawiając na niej plamę potu. Zdaniem Słonka nawet brudny i spocony, z trocinami we włosach i czapką w garści, wyglądał całkiem nieźle. Nie potrafiła określić, czy facet ma dwadzieścia pięć lat, czy pięknie zachowane trzydzieści pięć.

Patrzyła, jak mieszkańcy osady przez dłuższą chwilę kręcą się beczynn timer, witając się ze znajomymi, po kolei starannie zapewniając Marilyn, że śmierć pana Jonesa była dla nich wielką stratą.

Henry Shelby wyszedł przed zebranych. Zawsze chodził tak, że można by pomyśleć, iż kurczowo usiłował nie wypuścić spomiędzy półdupków czegoś nader ważnego. Był ubrany w czarny, śmierdzący naftaliną garnitur. Wszystkie jego garnitury tak śmierdziały. W świetle lampy pod sufitem jego biała koszula wydawała się raczej żółta. Czarny krawat zwisał wiotko, kolebiąc się po torsie Shelby'ego niczym język wisielca.

— Zacznijmy więc zebranie — oznajmił. Zebrani usiedli.

Henry rozejrzał się dokoła, zatrzymując wzrok na starszych osady. — Nie będziemy się bawić w protokoły i inne takie faramuszki —

stwierdził. — Przejdźmy od razu do rzeczy. Wszyscy wiecie, po co tu przyszliśmy. Skoro Pete nie żyje, czas wybrać nowego konstabla. Ostatnimi czasy porobiło się w osadzie niespokojnie. Na ten przykład kradzieże kur, panie. Moje ukradli. I domagam się, żeby aresztowano tego kundla, co to zrobił.

Ten i ów parsknął śmiechem.

Henry wyszczerzył się z uczuciem, że żart nieźle mu się udał.

— Prawda jest taka — podjął — że rośnie nam osada. Myślę, że za rok czy coś koło tego, a może i wcześniej, połączymy się z Holiday i powstanie regularne miasteczko. Holiday chce się rozrosnąć, znaleźli tam też ropę. Ropa ściąga pieniądze, tak jak i tartak. Ściąga też wszelkiego rodzaju szumowiny. Hazardystów, kurwy...

Paru ludzi zaczęło wiwatować.

— Bardzo śmieszne — uciął Henry, zdając sobie sprawę, że co poniektórzy tutaj całkiem nieźle zdawali sobie sprawę, jak dobrze on sam był z kurwami zaznajomiony. — Z nimi przybywają też kanciarze, oprychy, no, kto tam tylko chce. Nad sytuacją nie da się tak łatwo zapanować, i zamiast samego konstabla, prędzej czy później przyda się nam szeryf, a jeśli Rapture i Holiday połączą się, to i organa porządku będą wspólne. Może szef policji i kilku do pomocy. Nawet jeśli tak się nie stanie, to w samej osadzie i tak potrzebujemy konstabla. Więc mi się wydaje, że to powinien być młody człowiek, ale nie za młody, i jeszcze...

— Henry — wtrąciła Marilyn — może nie tylko ty masz tu jakiś pomysł.

Obrócił się i zobaczył ją, siedzącą na krześle pod ścianą. — Wybacz, Marilyn. Masz kogoś na myśli?

— Owszem.

— Powiedz więc. Wyjaw nam, kto ci przyszedł do głowy.

— Słonko.

W pokoju zapadła cisza.

— Znaczy, jak to, Słonko? — spytał Henry.

— Znaczy, że Słonko zostanie konstablem.

— Że co? — spytała Słonko.

— Właśnie tak, kochana — odparła Marilyn. — O tobie mowa.

— O mnie? — przez moment Słonko miała wrażenie, że zaraz się zesika.

— Słonko pomagała Pete'owi z prowadzeniem dokumentacji. Dokładnie wie, kto jest kim. Nieprawdaż, Słonko?

— No, tak... Prowadziłam część akt. Trochę.

— Widzicie? — podjęła Marilyn.

Henry niczego specjalnego nie widział. Wśród zgromadzonych zaczęły się pomrukiwania. Henry zaczął: — Wiemy, że to wszystko wytrąciło cię z równowagi, ale...

— Powinna zajmować to stanowisko, póki nie upłynie termin umowy Pete'a — przerwała mu Marilyn. — Bo chyba pamiętacie, że został mu jeszcze rok?

— Ale... on nie żyje — stwierdził Henry.

Marilyn spurpurowiała. — O tym, Henry, to ja akurat świetnie wiem. Świetnie. Miał jednak jeszcze rok. Więc nieważne, kogo weźmiecie, będzie miał tę posadę tylko przez ten rok. Tak to już zostało zapisane w statucie osady. Nasza Słonko może zająć miejsce Pete'a, z jego pensją, a na koniec roku, jeśli zechce, może wystartować w kolejnych wyborach.

— Ale to kobieta — zaprotestował Henry.

— No, to fakt — odparła Marilyn. — Z nią nie jak ze szczeniakiem, nie trzeba jej odwracać do góry nogami, żeby się przekonać, piesek czy suczka.

Wśród stłoczonych robotników ten i ów parsknął śmiechem.

— Twoim zdaniem z Pete'a był twardy gość? — spytała nagle.

— No — przytaknął Henry.

— A wy jak sądzicie?

Bill, siedzący w pierwszym rzędzie obok Dona, stwierdził: — Co jak co, ale Jacka Trzy Palce sakramencko obił.

— Niejednego stłukł jak wszyscy diabli — odezwał się ktoś inny.

— Był twardy jak kotlet z buta — dodał Henry. — Wszyscy o tym wiedzą.

— Taki twardy — podjęła Marilyn — a jednak Słonko go zabiła.

— No, dobra — odparł Henry — niby nic się nie mówi, ale tak sobie myśleliśmy, że jak wybierzemy nowego konstabla, to może zacznie się dochodzenie przeciwko Słonku...

Spojrzał zaraz na zgromadzonych, wyszukał kilku spośród starszych z nadzieją, że go wesprą. Pomrukiwali z aprobatą.

— Może i jest ze mną spowinowacona przez męża — ciągnął — ale niejednen z nas myśli, że tak nie powinno być, że kobieta zabija swojego męża za to, że jest jej mężem. No weźcie tylko na nią popatrzcie. Jeszcze, cholera, chodzi z pistoletem za paskiem.

— A ty co, wiesz o tej sprawie wszystko? — spytała Marilyn.

— Nie. Ale powinno ją osądzić prawo.

— Mój syn był prawem. A teraz nie żyje.

— No to inny przedstawiciel prawa powinien poznać całą historię. Nie można robić z mordercy reprezentanta prawa.

— To było w samoobronie — wytknęła Marilyn.

— Marilyn, myślałem, że też byś chciała, żeby zajął się tym sąd. No nie rozumiem, jak ty kombinujesz. Pete i twój chłop nie żyją, a Słonko mieszka w twoim domu. A nawet przecież nie wiemy, że to, co nam opowiedziała, to prawda.

— Sama siebie tak nie obija.

— Może tornado ją tak sponiewierało.

— Nie w ten sposób.

— Mąż powinien mieć prawo obić żonę, jak się jej należy — odezwał się jeden ze starszych.

— Od dzisiejszego dnia niech no jaki facet mnie uderzy, a zabiję — zadeklarowała na to Marilyn.

— Popieram — powiedziała zaraz Słonko.

To zrodziło dłuższą ciszę. Cma, co zabłąkała się do domu, trzepotała pod sufitem, próbując znaleźć kawałek cienia. Wielu mężczyzn znalazło w niej dobry pretekst, by pogapić się w sufit.

— Moim zdaniem powinniśmy pozwolić Słonko wziąć tę robotę — rozbrzmiało z tyłu pokoju.

Wszyscy obrócili się, żeby zobaczyć, kto tak powiedział. Był to Clyde Fox. Zdjął sukienną czapkę, czarne włosy opadły mu na twarz, niemal zasłaniając jedno oko. Facet był tak wielki, że mógł polować na aligatory zbrojny jedynie w brzydkie słowa.

Henry czuł, że kontrola nad zebraniem wymyka mu się z rąk. Przychodząc tu, sądził, że trzyma sytuację przy jajach, a tymczasem czuł, że coś zaciska się właśnie wokół jego moszny.

— To nie tornado podbiło Słonku oko i rozkwaśiło wargi — ciągnął Clyde. — Na mój nos było tak, jak mówiła.

— Zgadza się — przytaknęła Marilyn. — I choć mówię to z bólem, co komu pisane, to go nie minie. Nawet mojemu synowi. I jeszcze jedno. Słonko potrzebuje pracy. Musi zapewnić utrzymanie Karen. W ten sposób pomożemy jej znów stanąć na nogi. W końcu przede wszystkim jesteśmy społecznością, nieprawdaż?

— Ale to praca dla mężczyzny — zaprotestował Henry. — Nie pomoc społeczna. Na tej posadzie trzeba chłopca.

— To się może zmienić — oznajmiła Marilyn.

— Się nie zmieni — upierał się. — Cholera jasna, to nie instytucja dobroczynna. To społeczność, i owszem, ale społeczność drwali.

Marilyn pokiwała głową, jakby Henry powiedział coś, z czymś się zgadzała. — Pewnie sobie myślałeś, że może, jeśli Holiday i nasza osada Rapture się połączą, mógłbyś mieć szanse na wybór na burmistrza, bo ten z Holiday dał nogę. Mam rację?

— No... przeszło mi to przez głowę — odparł. — Myślę, że spełniam wymagania. Twój ojciec dał mi posadę, którą sprawuję w tartaku, ze względu na moje kwalifikacje.

— I fakt, że wzięłeś jego siostrę za żonę — wtrącił Bill. Wśród zebranych rozległ się śmiech.

— Więc niech jeszcze coś ci przejdzie przez głowę — powiedziała Marilyn. — Myślisz sobie, że naznaczenie kobiety konstablą w naszej osadzie mogłoby pogorszyć twój wizerunek, gdybyś w razie połączenia się obu miejscowości startował w wyborach na burmistrza. No cóż, po pierwsze, nie ty tu rządysz. Żeby nie było niejasności, większa część tartaku należy do mnie.

Henry ciężko przełknął ślinę. — No... tak, Marilyn... ale...

— Ale co? Pozwól, że stanowczo zaproponuję: dajmy Słonku stanowisko konstabla. Pete miał paru ludzi, co mu czasem pomagali. Jednym z nich był Clyde. I może nim być dalej, powiadam. Ten drugi, kurczę, nie pamiętam, jak się nazywał. Zresztą wszystko jedno, bo się wyniósł. Ale znajdziemy kogoś na jego miejsce. Niech dosłuży do końca kadencji, potem wybierzecie sobie, kogo zechcecie.

— Ale... kobieta?

— Mnie tam to nie przeszkadza — odezwał się Wsiowy, odklejając się od ściany. — Jestem tu nowy, wiem, że mnie nie znacie, ale czemu nie? Jeśli sobie nie poradzi, to ją wywalicie. Chyba uczciwe wyjście, nie? Dajcie jej miesiąc, żeby się ogarnęła ze sprawami, zorganizujcie pomocników. Jak sobie nie poradzi, kopa w tyłek i do widzenia. Możecie potem wybrać, kogo zechcecie. Kurde, kobieta nawet pistolet już ma.

— Słusznie gada, na moje oko — powiedział Clyde.

— To jednak ciężka robota — uprzedził Henry. — Może się jej coś przytrafić. Będzie musiała sobie radzić z bandziorami, czarnuchami i czort wie, kim jeszcze.

— Od tego są pomocnicy — odparł Clyde. — Zapłacicie, to jej pomogę. Jakoś nie za bardzo lubię robić w tartaku. Póki co wciąż mam komplet palców i rąk, i chciałbym, żeby tak już zostało. Chciałbym

pójść gdzieś wyżej, i już powiedziałem więcej, niż normalnie przez tydzień.

— To sam weź tę robotę — zaproponował mu Henry.

Clyde pokręcił głową. — Skąd. Już wolę robić dla konstabla niż samemu nim być.

Zerknął na Słonko. Uśmiechnęła się do niego, kiedy siadał.

— Ja też pomogę — zgłosił się Wsiowy.

— Nie znamy cię — zaprotestował Henry.

— Ja też was nie znam, nie znam tej osady, ale chętnie poznam ją bliżej. Może nie mieszkam tu od dawna, ale pobędę przynajmniej tak długo, żeby pomóc kobiecie ruszyć z robotą.

— Będziemy ci musieli wtedy płacić — stwierdził Henry.

— To fakt — przyznał Wsiowy. — Wolę tę robotę, bo jest tak, jak to powiedział ten facet przede mną. Wciąż mam komplet palców i rąk, i fajnie by było, żeby tak zostało.

— Nie mamy tyle pieniędzy — bronił się Henry. — Na koncie na takie rzeczy są ograniczone środki. W tartaku zarobiłbyś więcej.

— Wolę zarabiać mniej, byle nie w tartaku.

— Nie damy rady płacić ci nawet połowy tego, co w tartaku.

— Za pierwszy miesiąc sama im wszystkim zapłacę — wtrąciła Marilyn. — Z własnej kieszeni. Później przechodzą na utrzymanie osady. Jak się nie sprawdzi, wyrzucamy Słonko. Dajmy jej miesiąc z Clyde'em i tym... hej, chłopak, jak ty się nazywasz?

— Wsiowy. Przynajmniej tak na mnie wołają.

— Niech będzie, że Wsiowy. Jeśli Słonko podoła, niech dosłuży do końca kadencji Pete'a. To chyba możesz przełknąć, Henry? Miesiąc dla Słonka jako okres próbny.

Henry spojrzał na Marilyn, czując, jak w żołądku burzy mu się kwas. Widział, że ni cholery jej nie obchodziło, czy mu się taki układ podoba, czy nie. Do tej pory Jones zawsze służył mu za zderzak w kontaktach z Marilyn — Henry wiedział, że nigdy nie był przez nią lubiany. Po śmierci jej ojca umyśliła sobie, że za pomocą buchalterskich trików zagarnął część jego pieniędzy.

I miała rację. Ale nie miała dowodów, a Jones w to nie wierzył. Teraz jednak, skoro go zabrakło, Henry wiedział, że wetknął wacka w maszynkę do mięsa. I że dłoń Marilyn spoczywa już na korbce.

— Nawet nie wiemy, czy ona sama chce tej pracy — odezwał się. Marilyn przeniosła spojrzenie na Słonko i zapytała: — No, kochana?

Słonko przez dłuższą chwilę milczała. — Chętnie spróbuję — powiedziała w końcu.

Rozległy się szemrania.

— Powinniśmy to przegłosować — stwierdził Henry. — Tu, w osadzie Rapture, wszystko odbywa się demokratycznie.

Marilyn uśmiechnęła się do niego. — Z ciebie taki sam demokrata, jak z Dzyngisa Chana. Poniósł się śmiech.

— Załatwmy to tak — ciągnęła. — Kto z tu obecnych jest przeciwko temu, żeby Słonko została konstabłem? Najpierw jednak chciałabym coś ogłosić, drobiażdżek taki. Wielki Kryzys czy nie, zamierzam wprowadzić w tartaku podwyżkę dla wszystkich pracowników, o pięć centów za godzinę. Tylko Henry nie dostanie, bo i tak dość już zarabia.

I wyszczerzyła się do niego.

Próbował odpowiedzieć jej równie szerokim uśmiechem, ale całe wnętrze ust jakby zwisło mu na zębach, nie był w stanie zapanować nad wargami, by spełniły jego wolę. W głowie kołatała mu się tylko jedna myśl: do tej pory Marilyn nie miała w tartaku nic do powiedzenia. Nawet nie zwracała sobie tym głowy. Zupełnie jakby śmierć Jonesa przyniosła jej zastrzyk czystej energii. Jeśli Henry czegoś nienawidził, to właśnie kobiet, którym zaczynały rosnać jajca. Aż żałował, że nie zwołał jednak tego zebrania do kościoła. Może wtedy by nie przyszła.

Potem pomyślał jednak — nie, ona to wszystko sobie przemyślała. Chce, żeby Słonko została konstabłem. A ludzie będą się śmiać, bo nie jestem w stanie zapanować nad tą babą i jej synową-morderczynią. Jeśli dojdzie do połączenia Holiday i osady Rapture, nikt nie zagłosuje na mnie w żadnych wyborach, niechby nawet na zamiatacza ulic, jeśli nie zdołam ich okiełznać.

— Marilyn — powiedział więc — sama wiesz, że to wcale nie jest dobry pomysł. Mówmy poważnie.

— Ależ mówię poważnie — odparła. — No, ręka do góry każdy, kto nie chce Słonka na konstabla i pięciu centów podwyżki. Śmiało, raz-dwa.

— A od kiedy ta podwyżka wchodzi? — spytał Bill Martin.

— Od następnego dnia roboczego — oświadczyła Marilyn.

— No to dziewczucha ma mój głos.

Tu i ówdzie ktoś szurnał stopą. Ten i ów błędził spojrzeniem, jakby coś ciekawego działo się gdzieś w kącie pokoju, albo może pod sufitem.

Parę rąk poszło w górę, ale zaraz opadły, jakby głosujący chcieli tylko pacnąć namolnego owada. Henry czuł się tak, jakby sam połknął jakiegoś insekta.

— Świetnie — powiedziała Marilyn. — Przeciw było niewielu, zatem pozostali są za tym, żeby Słonko została konstablen. No więc, Słonko, jesteś konstablen.

8

Clyde mówił na nią „Konstabl Słonko”, i się przykleiło. Większość mężczyzn w osadzie nazywała ją tak teraz w żartach, czasem nawet w jej obecności.

— Kurde, idzie Konstabl Słonko. Jak jej kto podskoczy, to mu każe klęczeć w kącie na grochu.

— Albo poczeka, aż facet spuści gacie i będzie myślał o czym innym.

Kobiety wcale nie były miłsze.

— Z biedy przyszła, zabiła własnego męża, a teraz weź na nią tylko popatrz. Się jej wydaje, że jest jakiś policjant, czy co. Cuda niewidy, powiadam.

— A i włosy mogłaby sobie upiąć. Wygląda jak powsinoga, chodzi z takimi rozpuszczonymi. A jakie rude! Ja tam na jej miejscu bym je sobie przefarbowała, na jaki normalny kolor.

Po paru dniach takiego traktowania Słonko postanowiła wynieść się do domu, czy raczej na jego resztki, i stamtąd zajmować się konstablowaniem. Może oglądanie tych ludzi i rozmowy z nimi należały do jej obowiązków, ale to jeszcze nie znaczyło, że musiała zaraz obok nich mieszkać.

Teściowa uszyła jej parę spódnic z płótna khaki, do tego dołożyła jeszcze trochę męskich koszul, tylko zebranych w pasie. Słonko nosiła też blaszaną gwiazdę po mężu, z wybitym napisem KONSTABL, i solidne, drwalskie buty. Do tego jeszcze pas z kaburą Pete'a, a w niej ta sama trzydziestka ósemka, z której go kropnęła.

Do domu pojechała rzeżącym, klekoczącym pickupem Clyde'a, z Wsiowym do towarzystwa. W podłodze kabiny była dziura, można było sobie oglądać nawierzchnię drogi.

Clyde siedział po jednej stronie Słonka, Wsiowy po drugiej. Karen jechała na pace, wśród zapasów. Była tam żywność. Towary żelazne.

Trochę drewna, kilka dużych plandek i namiot. Wszystko to opłaciła Marilyn, ale Słonko zanotowała sobie cenę, planując, że spłaci ten dług, jak tylko będzie ją na to stać.

Kiedy telepalili się po wyboistej drodze, zauważyła, że ubranie Clyde'a wonieje tartakiem. Było czyste, ale wciąż ciągnęła się za nim słaba nutka żywicy i trocin. Rondo wielkiego, czarnego kowbojskiego kapelusza zwijało się ciasno ku górze, sam kapelusz był pokryty warstewką kurzu, a zatknięte weń piórko — tak wyświechtane, że wyglądało niemal jak rybi szkielet, objedzony do czysta przez koty.

Wsiowego nie kalał ani pyłek kurzu. Czapkę miał zawadiacko przekrzywioną. Żadnych piórek. Kołnierzyk koszuli Wsiowego leżał równo, a przy koszuli nie brakowało żadnych guzików, co mocno kontrastowało ze strojem Clyde'a. Wsiowy pachniał jak coś słodkiego, może wręcz jadalnego.

Słonko z pomocą Clyde'a i Wsiowego wydostała szafkę na akta Pete'a z wraku jego samochodu i ustawiła ją na podłodze, pozostałej z domu. Walające się luzem teczki ułożyła na nadwerężonej szafce, obiecując sobie, że ją niedługo naprawi i uporządkuje akta.

Gdy już z tym skończyli, Wsiowy napomknął: — Widzi mi się, że ten tu wrak już więcej w drogę nie ruszy...

— Clyde — zagadnęła wtedy Słonko — będziemy mogli używać twojego wozu przy robocie?

— Jak długo dostanę zwrot za paliwo, a bryka się nie rozleci. Ten silnik w paru miejscach trzyma się na drucie z wieszaków, więc wołałbym, cholera, nie szaleć po wybojach.

— No to wiemy, na czym stoimy — stwierdziła.

Z drewna i plandek skonstruowali duży namiot nad podłogą. Zeszła im na to większa część dnia.

Przestrzeń pod namiotem podzielili na pół, przeciągając między słupami sznur, z którego zwisały koce i narzuty. Po jednej stronie miało być miejsce do spania dla Słonka i Karen, po drugiej — biuro konstabla.

Na połówce Słonka był materac, położony prosto na deskach, żeby miały gdzie spać, do tego miednica, parę krzesel, stół, cztery lampy naftowe, stos żywności i innych zapasów, i odziedziczona po mężu książka o zadaniach policjanta. Słonko znalazła ją głęboko w szafce na akta. Sądząc z wyglądu, nikt przedtem do niej nie zajrzał.

Po stronie biurowej stała szafka na akta, cztery krzesła i długi, drewniany stół — dar tartaku. Błat był poznaczony dziobami i rysami

z lat nonszalanckiego użytkowania, a z samego brzegu ktoś napisał „Helen Jenkins to kurwa, i to kiepska”.

Pierwszego dnia po otrzymaniu stołu Słonko zdarła szmerglem ten napis i pomalowała cały stół na ciemnozielone Tego samego odcienia farby użyto do pomalowania większości domów w osadzie i zabudowań tartaku. Wyglądały przez to trochę jakby wojskowo.

Clyde i Wsiowy naprawili szafkę na akta, a z desek i ostatniej plandeki zbudowali tymczasowy wychodek.

— Jeśli nie przyjdzie jaka wichura, nikt nie będzie tu dupskiem świecił, spokojnie — obiecał Clyde. — Ale jak zaczniesz duć, nie ma gwarancji. Może jutro zbuduję coś porządnego, dołożę jeszcze parę katalogów wysyłkowych na papier.

— Ma tego mnóstwo — dodał Wsiowy. — Słowo daję, chłop ma więcej papierzysk, katalogów i innego chlamu niż ustawa przewiduje. Jego dom wygląda tak, jakby go też zabrało tornado, a potem nagła powódź wzięła i zwała wszystko na kupę, jak leci.

— Ale to moja kupa — uciął Clyde.

W nocy, gdy Clyde i Wsiowy pojechali do osady, Słonko i Karen siedziały na materacu po domowej stronie namiotu. Karen wciąż nie była w nastroju do rozmów. Słonku brakowało córczyngo paplania. Karen zaraz położyła się spać. Słonko wzięła się za swoją jedyną książkę, tę o organach ścigania.

Nic a nic nie przypominało tam tego, czym zajmował się Pete, jeśli nie liczyć noszenia odznaki — tej samej zresztą, którą teraz nosiła Słonko — i broni. Nie było ani jednego podrozdziału o tym, jak spuszczać ludziom sakramenckie manto albo jak zdradzać żonę. Słonko doczytała gdzieś do ćwierci objętości tomu, nim się znudziła.

Wyszukała lusterko i przejrzała się w nim. Z twarzy już prawie zeszła opuchlizna, ale wokół oczu wciąż czerniły się sińce, a lewa strona dolnej wargi wyglądała jak dętka z purchlem od przytarcia.

Słonko zdmuchnęła lampę i spróbowała zasnąć, ale tylko zdrzemnęła się na chwilę. Czasem śniła, czasem nie. Wspomniała matkę, którą zbrzuchacił stary dobry wielebny Beck, ten sam, który natchnął drwali-osadników, by ochrzcili swą osadę mianem Rapture.

— Ano — powiadała matka Słonko — wielebny nie samym Jezusowym duchem mnie napełnił... Mała, mężczyzna zawsze będzie cię okłamywał, żeby dorwać to, czego chce. Nawet Boży człowiek. Ba, szczególnie Boży człowiek. Więc nie rozkładaj nóg przed nikim co najmniej do trzydziestki, jeśli tylko dasz radę. Znaczy, i tak nie dasz rady,

ale przynajmniej się staraj. I pamiętaj, żeby ci było dobrze, nie wystarczy tylko, żeby włożył i wyjął. Niech się trochę napoci nad tym małym guziczkiem, co go tam masz. Jeszcze nie wiesz, o co mi chodzi, ale gwarantuję, że z czasem go znajdziesz.

Słonko nie rozumiała wtedy, co matka chciała jej przekazać, z wyjątkiem tego kawałka o guziczku, bo już go namierzyła. Zanim zrozumiała resztę, Pete tak zawrócił jej w głowie, że o nic nie dbała. No i przynajmniej się z nią ożenił, kiedy zaszła. To już było coś. Mamie się tak nie poszczęściło.

Nie dość, że matka zaszła z facetem, który ją zaraz rzucił, to jeszcze niedługo po tym, kiedy Słonko skończyła trzynaście lat, wpadł jej w oko komiwojażer od butów, który w dodatku grał na banjo. No i zaraz powędrowała w siną dal wraz z nim i jego butami, pewnie do dźwięków banjo, zostawiając tylko liścik: „Wybacz, Słonko. Muszę iść. Mama cię kocha. Zostawiłam ci tam w kuchni na stole porządną parę butów. Łatwo się je pucuje”.

Przez parę lat Słonko mieszkała u takiej jednej rodziny na farmie, ale była dla nich tylko parobkiem. Wykańczało ją to. Wykopała tyle ziemniaków, że pod paznokciami miała więcej piachu niż kret w sierści. Na dodatek sam gospodarz poczuł do niej miętę. Nigdy jej nawet nie dotknął, ale patrzył tak, że domyślała się, że będą z tego kłopoty. Kiedy tylko pochylała się gdzieś w redlinach, czuła się tak, jakby miała drogowskaz wycelowany prosto w tyłek. A gdy się obejrzała, zamiast strzały drogowskazu widziała tylko wzrok gospodarza.

Wyniosła się więc stamtąd. Dokładniej rzecz ujmując, uciekła. Wstała w środku nocy, zgarnęła skąpy dobytek do płóciennej torby na ramię i ruszyła w drogę — coś jak mama, ale bez banjo i komiwojażera.

Znalazła robotę w przędzalni bawełny tuż pod Holiday. Miesiąc przemieszkała na zapleczu warsztatu krawieckiego, śpiąc na sienniku obok wdowy z trójką dzieci. Potem zaczęła chodzić z Pete'em, który był wysoki i szczupły, o ogorzalej skórze kryjącej sploty węzlastych mięśni, lśniących, czarnych włosach i uśmiechu, w blasku którego jej serce miękło jak wosk. A on pewnego dnia zasadził jej w brzuchu Karen.

Zaraz się pobrali. Miał dwadzieścia lat i też pracował wtedy w przędzalni. Zaczął bić Słonko dopiero po ślubie. Pewnie taka tradycja u Jonesów. Nie będziesz bił kobiety swojej, póki zaślubioną ci nie będzie.

Słonko leżała tak i myślała o tym wszystkim, aż poczuła się samotna jak pierwszy włos łonowy nastolatka.

Westchnęła, wstała i na bosaka wyszła na dwór, opinając koszulę nocną pasem z rewolwerem.

Księżyc nie był jeszcze w pełni, ale i tak było dość jasno, powietrze było przejrzyste i nawet trochę chłodziło. Wokół latało mnóstwo światełek. Wyglądało to tak, jakby wszystkie gwiazdy spadły na ziemię i teraz podskakiwały jeszcze trochę nad trawą.

Stała tak i patrzyła na te robaczki świętojańskie krążące jej wokół głowy, gdy nagle usłyszała warczenie. Wyciągając rewolwer, wyteżyła wzrok i zobaczyła dużego, czarno-białego psa, o jednym uchu sterczącym, drugim oklapniętym, jak kuca na drodze i sadzi kloca.

— Ej, piesku, spokojnie — odezwała się. — Nie zastrzelę cię.

On jednak warknął znowu i uciekł, zostawiając tylko słabą woń świeżego, psiego gówna.

— Już nawet psy o mnie słyszały — mruknęła Słonko. Postanowiła, że jednym z pierwszych zakupów będzie pudełko naboju. Z bronią czuła się bezpieczniej niż bezbronna. Teraz chciała jeszcze mieć dość amunicji, żeby wystrzelać choćby cały świat.

Wytrzymała jeszcze chwilę na dworze, ale wokół zaczęły się zbierać moskity. Parę utłukła, lecz w końcu weszła pod namiot, szczelnie uwiązała klapę i położyła się.

Nie mogła jednak zasnąć. Pomyślała, że wraz z Karen leżą raptem parę stóp od miejsca, w którym przyłożyła lufę do skroni Pete'a.

Kurde, ale się zdziwił.

Sukinsyn.

Mimo wszystko ściągnięcie Karen tutaj, na miejsce śmierci ojca, nie było może jednak najlepszym pomysłem. Takie mało macierzyńskie zachowanie. Może gdzie indziej byłoby im lepiej.

Ale gdzie?

U teściowej nie mogłaby zostać. Czy Marilyn jej przebaczyła, czy nie, to i tak Słonku nie pasowało.

Usiadła na brzegu materaca, przeszła na urzędową stronę namiotu i siadła przy stole, zaczęła przesuwać po blacie ołówki i czysty notes. Gdy się jej znudziło, zapaliła lampę i przeszła z nią do szafki na akta, podciągnęła tam jedno krzesło dla siebie i drugie pod lampę.

Na szafce piętrzył się luźny stos akt. Słonko ściągnęła teczkę z wierzchu, szykując się, by ją odłożyć na miejsce.

Z przodu widniał opis: MORDERSTWA.

Dopuściła do knota więcej nafty i otworzyła teczkę. Była tam lista morderstw popełnionych w okolicy od czasu, kiedy Pete został konstablą.

Słonko pomyślała sobie, że dobrze byłoby zaznajomić się z minionymi zdarzeniami. Skoro już miała się bawić w konstablowanie, dobrze byłoby przynajmniej znać zasady.

Kolejnateczka była opisana: MORDERSTWA KOLOROWYCH.

Otworzyła ją, przekartkowała. Zasadniczo wyglądało to tak: Ten-a-Ten zastrzelił Takiego-a-Takiego, i co z tego?

Jakoś nie wyłaniała się z tych papierów troska o kolorową część ludności. Nikt specjalnie nie wnikał w to, co kto komu robił.

Tylko jedna z opisanych przez Pete'a spraw wyglądała ciekawie. Kolorowy farmer zwany Zendo w czasie orki natrafił na zakopany na jego polu gliniany garniec z ciałem noworodka. Bał się, że zostanie oskarżony o spowodowanie śmierci dziecka, więc wyniósł garniec wraz z zawartością do lasu i zostawił w cholerę.

Zendo miał najżyźniejszą glebę w okolicy dzięki intensywnemu nawożeniu obornikiem i ściółką, przez co nabrała ona barwy czerni tak intensywnej, że wysmarowany węglem kruk by się nie powstydział. Garnek był nią wymazany z zewnątrz i od środka, ciało dziecka też.

Dzięki tym właśnie śladom Pete trafił do Zenda. Wiedział, skąd się wziął ten garniec, nieważne, gdzie go znaleziono.

A w raporcie podsumował to tak:

Pomówiłem z nim o trupie dziecka. Znam Zenda już od jakiegoś czasu. Jak na czarnucha, zły nie jest. Nie wierzę, żeby kogokolwiek zabił. Pewnie jakaś czarna dziewczucha zaciężyła, choć nie powinna, i dziecko albo zmarło, albo je zabiła, a potem zakopała na polu Zenda, bo tam najłatwiej kopać.

Nie dało się stwierdzić, czy to białe, czy czarne dziecko, z tego powodu że całkiem zgniło i mrówki je objadły. Myślę jednak, że Zendo tylko znalazł ten garnek, poza tym nie miał tu nic do rzeczy. To w sumie porządny czarnuch, nigdy nie słyszałem, żeby co ukradł albo co. Nawet robotny. Myślę, że ukrył garniec, żeby nie mieć kłopotów. A że podejrzewałem, że to kolorowe dziecko, to żem je kazał zakopać na cmentarzu dla czarnych.

Nic więcej już tam nie dopisał. Sprawa zamknięta. Sądząc po dacie, stało się to raptem kilka tygodni temu. Nie było ani słowa o tym, kto znalazł garniec w lesie, co sugerowało, że śledztwo nie było prze-

prowadzone najlepiej. A zdaniem Słonka tego typu informacje mogły się okazać całkiem przydatne.

Zastanawiała się też, jakim cudem Pete, natknąwszy się na taki widok, nawet jej o tym nie wspomniał. Inna rzecz, że w ogóle rzadko się do niej odzywał, a jeśli już, to chodziło głównie o pory posiłków albo żeby wyskakiwała z ubrania. Przez resztę czasu albo robił za konstabla albo figlował z innymi kobietami, szczególnie z tą tanią zdziwą Jimmie Jo French.

Słonko przez jakiś czas przeglądała jeszcze inne akta zabójstw, ale zmęczyło ją to, więc pochowała teczki, zgasła lampę i poszła spać.

Następnego ranka siadła do stołu z Clyde'em i Wsiowym i odbyli pierwszą naradę. Clyde przenocował Wsiowego u siebie i woził go w tę i z powrotem.

Słonko zauważyła, że Wsiowy wyglądał na wypoczętego, był ogolony, uczesał i wypomadował włosy — nawet czapka ich nie zmierzwiła.

Z drugiej strony Clyde, sądząc po wyglądzie, wytoczył się z barłogu, po czym naciągnął portki i cudzą koszulę. Była na niego gdzieś o rozmiar za mała, a jeden z guzików u dołu został niezapięty. Zresztą spodnie też wyglądały na rybaczki, bo kończyły się z pięć centymetrów nad skarpetkami i cholewami butów. Clyde nie zdjął kapelusza, a włosy sterczały mu spod ronda jak jeżozwierzowi kolce. No i z brzytwą też się nie widział.

— Widzisz tego tam psa, tego wielkiego, czarno-białego? — spytał.

— Widziałam go już w nocy.

— Należał do Burtonów. Stary Burton wyniósł się stąd za jakąś inną robotą. Już nie te lata, żeby robić w tartaku. Jego krewny w Oklahomie mówił, że tam jest praca. No to zostawił psa. Chyba wołali na niego Ben. Świństwo, nie? Wyprowadzić się, ale psa zostawić, bo jedziecie w nowe miejsce. Tak jakby pies nie czuł smutku.

— To tylko pies — stwierdził Wsiowy.

— No tak, ale ma uczucia...

Clyde i Wsiowy debatowali na ten temat przez parę minut.

— Wiecie co, ta robota jest mniej emocjonująca, niż mi się wydawało — stwierdziła wtedy Słonko.

— I super — odparł Wsiowy. — Tak lubię. Płacą mi za siedzenie tutaj dokładnie tyle samo, co za ganiecie po okolicy. Więc dobrze, że robota nie jest emocjonująca.

— Ja nie narzekam. Tylko się dziwię. Bo Pete wiecznie gdzieś wyjeżdżał, coś robił. Albo robił coś z kimś. Jak sobie teraz o tym myślę, pewnie najczęściej to drugie.

— Z Jimmie Jo French — domyślił się Clyde, po czym oblał się rumieńcem.
— Szlag! Rozumu nie mam za grosz...

— Nie ma sprawy — pocieszyła go Słonko. — Taka była prawda, nie? Ja wiedziałam i wszyscy inni też wiedzieli.

— No ale kiedyś tak nie paplałem.

— Fakt, byłeś nawet z tego słynny.

— Jak byłem u niego w domu, to powiedział może ze dwa słowa — wtrącił Wsiowy.

— No powiedziałem ci, gdzie jest mydło i takie tam.

— No to cztery słowa. A myć się musiałem pod pompą, i się opędzać od takich wrednych kur, jak się myłem.

— Bo cię jeszcze nie znają.

— Jak mamy rozmawiać o drobiu i higienie, to ta robota jest nawet nudniejsza, niż myślałam.

— Zejdzie nam trochę, zanim dorobimy się rutyny — odparł Clyde. — Pewnie myślisz, że w osadzie i w okolicy mało co się dzieje. Akurat. No i jeszcze w razie potrzeby będziesz musiała pomagać szeryfowi Knowlesowi w Holiday. Tam co sobota bywa ciekawie, bo to i tancbudy, i burdele, i co tam jeszcze.

— Mam pomagać Knowlesowi? A myślałam, że jesteśmy od tego, żeby łapać złodziei kur i tłumaczyć pijakom, że mają się nie drzeć.

— Knowles z reguły nie potrzebuje pomocy — odpowiedział Clyde. — Wie, gdzie może mieć kłopoty i kto zwykle zaczyna drakę. Więc jakichś wielkich śledztw tam nie musi odstawiać. Po prostu czasem dzieje się tyle, że chłop nie wyrabia. No, wiadomo, nazjeżdżało się ludzi do pracy przy ropie. Wiecie, że teraz w Holiday mają już nawet, panie, kino?

— Chrzanisz — odezwał się Wsiowy.

— Nie chrzanię. Robią tam też taką loterię, pieniądze można wygrać.

— Loterię? W kinie? — zdziwił się Wsiowy.

— No. Taki jakby konkurs. Że losowanie jest. A jak się wygra, wypłacają gotówkę. Ale czasem nie dają pieniędzy, tylko komplet talerzy.

— A można te talerze odsprzedać?

— Nie wiem. Pewnie tak.

— Bo ja talerzy nie potrzebuję.

— Ty najpierw weź je wygraj.

Słonko przysłuchiwała się tej wymianie zdań, aż w końcu wtrąciła: — Wiecie co, ja tam nic nie wiem o kinach, loteriach czy kompletach talerzy, ale wydawało mi się, że jestem konstablami w osadzie Rapture, nie w Holiday.

— Bo tak — odparł Clyde. — Ale Knowles pomaga tutaj, a ty tam. Tak to działa.

— Ale Holiday nie jest pod moją jurysdykcją.

— A Knowlesowi nie podlega osada.

— No więc właśnie — powiedziała Słonko.

— Tylko nikogo to nie obchodzi, bo większość ludzi nic nie wie o żadnej jurysdykcji — wyjaśnił Clyde. — Psiakrew, nie umieliby nawet tego słowa przeliterować. Bogiem a prawdą, sam bym nie umiał. A połowa tutejszych kolorowych nawet o czymś takim nie słyszała. Ty masz odznakę, szeryf Knowles ma odznakę, i koniec pieśni. Ty tu jesteś prawem, Słonko.

— Co za ulga. Ale co zrobić, jeśli trafię na typka, co chce sobie poszumieć, ale nie pasuje mu wizyta w ciupie, i zacznie się stawiać? Co wtedy?

— Wtedy odwołujemy się do jego człowieczeństwa — odparł Clyde, wyjął spod koszuli płaską, skórzaną pałkę i trzasnął nią w blat. Zabrzmiało to jak wystrzał, aż Słonko i Wsiowy poderwali się na krzesłach.

— Jasny szlag, Clyde — stęknął Wsiowy. — Prawie żem popuścił.

— Ten tu gagatek to negocjator pierwsza klasa — obwieścił Clyde, potrząsając pałką. — Z najdzikszego czarnucha zrobi potulną owieczkę. Niedźwiedzie będą ci kwiaty przynosić...!

Słonko obejrzała sobie tę pałkę. Miała może stopę długości — ot, parokrotnie złożony kawałek grubej skóry. Dość giętka, ale wyprawiony na twardo.

— A jak to nie wystarczy, robisz facetowi ciołka — ciągnął Clyde.

— Ciołka? — spytała.

— Znaczy, wyciągasz ten swój rewolwer, podnosisz go wzdłuż ciała tego typka, żeby nie zauważył, co się święci, i lut mu w łeb, ciągnąc rękę do siebie, tak żeby lufa trafiła pod ucho, tam gdzie jest zawias zuchwy. Jak dobrze pociągniesz, zanim facet się obudzi, jego żona będzie już miała nowe nazwisko i pełnoletnie dzieci.

— A gdyby na mnie patrzył?

— No to mu mówisz: „O żesz kurde, patrz pan, goła baba tam leci”. Ajak się tylko obejrzy, wyciągasz rewolwer i walisz gościa w potylicę, z całej siły, ile tam tego w tobie jest, jak wszystkiego ważysz ze sto funtów. Facetowi się od tego pogorszy, a tobie polepszy, i to mocno. A jeśli będzie nas tam więcej, a powinno, bo tak się pracuje w policji, to ob-skakujemy typa z każdej strony.

— A gdy i to nie wystarczy?

— To się strzela. W nogę, jeśli jest czas wycelować. Ajak nie, to byle gdzie. Kurde, kobieto, ty jesteś prawem.

— No to chyba techniki zatrzymań mamy obgadane — stwierdziła.

— Po części — odparł Clyde.

— A ty, Wsiowy, masz jakieś uwagi?

— Właściwie nie. Znaczy, poza tym, że chyba w coś wdepnąłem. Idę na dwór, wyczyszczę sobie but. Ajak skończę, to i podłogę wytrę.

Uniósł stopę, spojrzął na zelówkę buta.

— Na moje oko to psie.

— No to chyba będziesz naszym tropicielem — stwierdził Clyde. — Skoro tak od razu żeś rozpoznał, kto tego zraza wycisnął.

Wsiowy zezuł but i wstał.

— Zanim z tym wyjdiesz — odezwała się Słonko — i prawdę mówiąc, już się nie mogę doczekać, chciałam powiedzieć, chłopaki, że jestem wam zobowiązana. Sama nie wiem, ile jeszcze muszę się o tym wszystkim nauczyć... przecież, cholera, o niczym nie mam pojęcia. Prawie. Parę drobiazgów podłapałam od Pete'a. Ale zamierzam podejść do tego na poważnie, dam z siebie wszystko.

— Gdybyśmy sądzili, że jest inaczej, nie byłoby nas tutaj — odparł Clyde.

— Ale co was do tego skłoniło?

— No, ja oszczędzam na gitarę — powiedział Wsiowy. — Taka prawda, z której strony nie patrzeć. Jeśli nie liczyć, że za diabła nie chciałem już pracować w tym tartaku.

— A ja sobie pomyślałem: „A, cholera, dajmy kobiecie szansę” — wyznał Clyde. — No i robić w tartaku też mi się nie chciało.

Korzystając z własnych narzędzi i odpornej pomocy Wsiowego, Clyde spędził poranek, budując regularny wychodek z ocalałych desek, które znaleźli wśród resztek domu. Żeby dostać się do niektórych z nich, musieli wspinać się na drzewa.

Wyglądało na to, że Clyde ma autentyczny dryg do ciesiołki, a Wsiowy sprawdzał się w granicach rozsądku jako przytrzymywacz desek. Na żądanie Clyde'a spróbował co prawda przybić ze dwie dechy, ale po pierwsze wyszło mu koślawo, a po drugie walnął się młotkiem w kciuk, więc Clyde zdegradował go do przytrzymywacza.

Obserwując to wszystko przy pompowaniu wody, Słonko stwierdziła, że Wsiowy ma pewien urok, taki chłopięcy. No i jeszcze jedno: nawet zgrzany i spocony wciąż wyglądał czysto i świeżo.

Natomiast Clyde sprawiał wrażenie, że spłoszony muł przeciągnął go przez jeżynowe chaszczki. Kiedy nie tłukł w coś młotkiem, nie mierzył, nie piłował, to przyglądał rozczochrane czarne włosy i drapał się po tych częściach ciała, które wietrzy się raczej w ciemnych pomieszczeniach i na osobności.

Karen, przeleżawszy cały poranek w łóżku, wstała około południa. I zaraz zaczęła marudzić, że obudziły ją hałasy przy budowie wychodka, tyle tego piłowania i wbijania gwoździ.

— Psiakość, już prawie pierwsza — ofuknęła ją Słonko. — Normalnie już byś zajmowała się swoimi obowiązkami.

— Normalnie wciąż miałabym tatę.

Na to Słonko nie miała odpowiedzi, więc Karen odęła wargi.

Wybiła druga po południu, i wychodek był gotowy. Clyde i Wsiowy znaleźli sobie drzewo, pod którym mogli usiąść i napawać się cieniem. Słonko przyniosła im kanapki, sobie też wzięła jedną i siadła z nią przy Wsiowym. Karen nie wyszła z namiotu.

Kiedy skończyli jeść, Clyde oznajmił: — Widzi mi się, że moja dupa zaliczy ten kibel jako pierwsza. Czuję, że coś nadciąga.

— Bez detali, proszę — jęknął Wsiowy.

— No co, toż to naturalna rzecz.

— Chłopcy — przerwała im Słonko — jakkolwiek pasjonujące są toaletowe obyczaje Clyde'a, tak sobie pomyślałam, że już chyba najwyższy czas zacząć zarabiać na pensję.

9

Clyde znał Zenda i wiedział, gdzie on mieszka. W odróżnieniu od większości Murzynów, Zendo posiadał ziemię na własność, nie był najmitą. Przez lata harował w tartaku, odkładając tyle pieniędzy, ile tylko zdołał. Gdy się wynajmował do roboty w polu, przy okazji za-

wsze siał coś dla siebie, żeby się wyżywić i zarobić na sprzedaży nadwyżki.

Gdy już uskładał odpowiednią kwotę, kupił — za zawyżoną cenę, bo był czarny i nikt by się z nim nie targował — piękny kawał nizinnej ziemi nad potokiem, oczyścił znaczną połąć z pomocą topora, muła i własnych barków, i zaczął uprawę warzyw. Uformował tarasy, kanały rozprowadzające wodę z potoku, palikował pomidory, walczył z robactwem.

Piętnaście lat później, ku niepokojowi wielu białych farmerów, jego gospodarstwo przynosiło największe plony w całym hrabstwie. Ludzie przyjeżdżali tam, żeby po prostu popatrzeć na to dziwo, dzieło ludzkich rąk i czarnoziemiu, z narożnikami wytyczonymi wielkimi pryzmami kompostu w solidnych obelkowaniach.

Słonko, jej zastępcy oraz Karen poturlali się tam w pickupie Clyde'a. Gdy dotarli na miejsce, przejechali obok domu Zenda, zdecydowanie w lepszym stanie niż większość okolicznych domostw. Papa na dachu była solidnie przybita, żadne okno nie zostało zaślepione dyktą.

Na podwórzu zastali żonę Zenda. Była to pokaźna kobieta o kawowej karnacji, ubrana w jaskrawą sukienkę z worka. Jednej jej nogi uczepił się mały szkrab. W jednej dłoni trzymała patelnię pełną wyłuskanej kukurydzy, drugą rzucając ziarno kurom, które tłoczyły się u jej stóp niczym służący przed królową.

Słonko wysiadła z pickupa i podeszła do niej, mijając prosiaka, który tarzał się w wilgotnym zagłębieniu w podwórzu, pochrzäkując i kręcąc łbem, jakby z nadzieją czekał na komplementy.

Nieopodał, pośrodku klombu martwych kwiatów leżał pies. Też nie wyglądał na żywego, lecz gdy Słonko podeszła bliżej, jego ogon pacnął kilka razy i znów zamarł.

— Kiepski stróż — powiedziała Słonko żonie Zenda.

— Ano. Kiedyś to mieliśmy świniaka, co by panią uzał, ale właśnie trafił do gara. Mogę w czymś pomóc?

— I owszem, proszę pani.

— A skąd u pani ta odznaka? Pani jakiś inspektor od rolnictwa, czy jak?

— Jestem konstablem.

— Wcale że bo nie.

— Właśnie, że tak.

— Naprawdę? Pani jest konstabl? A to jak się stało? Ja myślałam, że to pan Pete jest konstabl.

— Nie. Zastrzeliłam go.

— Ale śmieszne. Wzięła go pani zastrzeliła i odznakę zabrała. Śmieszne rzeczy pani mówi.

— Może i tak, ale naprawdę jestem konstablem. I naprawdę zastrzeliłam Pete'a. Więc powtórzę: naprawdę jestem konstablem.

— Aha. Znaczy, bez urazy.

— Chciałabym porozmawiać z pani mężem. Może mi pani powiedzieć, gdzie go znajdzie?

— Nie wpakował się w żadne kłopoty, co?

— Nie, nic takiego.

Zona Zenda powiedziała wtedy, zdaniem Słonka nie bez oporu, że jej mąż wciąż jeszcze nie wrócił z pola.

Wracając do pickupa, Słonko znów minęła prosiaka i psa, lecz tym razem żadne nie zwróciło na nią uwagi.

Podjechali w miejsce wskazane przez żonę Zenda, wysiedli z samochodu i ruszyli ku niemu — zobaczyli, że siedzi pod drzewem i pałaszuje obiad.

Obok stały dwa odkarmione, spocone muły, wciąż w uprzęży do orki, ale już bez pług, który spoczywał oparty o pień drzewa obok Zenda. Muły, związane w pęczinach, przeżuwały ziarno wysypane do dwóch płaskich tac.

Ziemia, którą Zendo zaorał, odkładając skiby i podcinając chwasty, była czarna jak sumienie grzesznika, a złobiące ją redliny biegły tak prosto, jakby wytyczono je linijką. Na czarnoziemie bujnie pienily się wszelkie warzywa. Kukurydza pięła się wysoko, zieleniejąc. Uwiązane pędy pomidorów wspinały się po tyczkach, unosząc owoce niczym małe, zachodzące słoneczka.

Zendo wgryzał się właśnie w suchara, gdy ujrzał, jak w jego stronę idzie rudowłosa kobieta, nastolatka i dwóch mężczyzn.

Kobieta wyglądała na sponiewieraną i w pierwszym odruchu Zendo chciał wiać, tak na wszelki wypadek, gdyby mieli go o coś oskarżyć. Potem dostrzegł odznakę przypiętą do jej koszuli. Zadumał się nad tym, ale nijak nie potrafił nic z tego zrozumieć.

A zaraz potem wszyscy czworo stali już w cieniu dębu, patrząc na niego z góry. Zendo schował resztkę suchara do pudełka na jedzenie i wstał. Długo to nie trwało. Miał dużą głowę, szerokie barki i krótkie ciało. Gdyby go posadzić na kucyku, nie zahaczałby stopami o ziemię...

no, chyba żeby kto upitolił kucykowi nogi koło kolan i postawił go w rowie.

— Dobry, ale pogoda — sapnął, zwieszając głowę i zaczynając szurać stopami. — Co słyhać, ludziska? Bo piękny nam dziś dzionek Pan Bóg zesłał, nawet jakby upalny...

— To ja — odezwał się Clyde. — Możesz już nie strugać głupiego.

— Ach, to ty sam, Clyde? Żeśmy się nie widzieli pies wie jak długo, za pozwoleniem. Musimy częściej chodzić na ryby.

— To prawda — Clyde podał mu rękę i powitali się serdecznie. Wsiowy uczynił to samo, acz z wahaniem. Zendo nawet nie próbował podać ręki Słonku ani Karen.

— Piękne masz plony, Zendo — stwierdził Clyde.

— Dolina, panie. No i dbam o ten grunt. Czasem puszczę wodę ze strumienia, a do tego dużo odstałego obornika i kompostu.

— Słowo daję, pięknie wygląda — ciągnął Clyde. — Zendo, to Słonko Jones. Teraz to ona jest w tej okolicy konstablem.

— No niech mnie!

— Serio. To konstabl.

— Jak rany. Na serio? Psze pani, pani jest konstabl?

— Tak.

— Robicie mnie w wała.

— Mówię ci, że nie — odparła Słonko.

— Myślałem, że to pan Pete jest konstabl.

— Nie żyje — wyjaśniła Słonko.

— Ojej. Przykro mi to słyszeć.

— Był moim mężem.

— Oj, to naprawdę mi przykro. A jak umarł, jeśli wolno spytać?

— Zastrzeliłam go.

— No nie mówi pani.

— No właśnie mówię.

— Na amen.

— Aha.

Wtedy Karen ruszyła z powrotem do pickupa.

— Jeszcze chwilę nam tu zejdzie — zawołała za nią Słonko. Karen nie odpowiedziała, nie zwolniła kroku.

— Śmierć ojca to dla niej wciąż drażliwy temat.

— Się wie. Tak, psze pani. Rozumiem. Pan Pete to był porządny chłop.

- Nie był. Był z niego kawał sukinsyna i cieszę się, że go zastrzeliłam.
- Ale żeby zaraz kawał sukinsyna?
- No przecież mówię. I założę się, że nawet byś się ze mną zgodził.
- No, psze pani, klócić to się na pewno nie będę.
- Chcielibyśmy się dowiedzieć o tym, czym żeście się zajmowali razem z Pete'em.
- My nic żeśmy razem nie robili.
- A ciało w glinianym garnku?
- A, tamto. To tak. Ale mówił, że nie będzie z tego robił afery.
- Tyle to wyczytałam w jego papierach. Opowiadaj. Powiedz, gdzie ten dzieciak został pochowany. A może podejrzewasz, czyje to mogło być dziecko?
- Opowieść Zenda praktycznie pokrywała się z tym, co Słonko wiedziała już z akt. Ciało znalazł przy orce — ktoś pochował je w dużym, glinianym garnku, pewnie poprzedniej nocy. Było zakopane głęboko, ale on głęboko orał i środkowy lemiesz pługa rozbił rąbek garnka.
- Myślałem, że to może jedna ze skorup po Indiańcach, tego już masę naznajdowałem. Ale nie. No to zajrzałem do tego garnka i widzę, a on zatkany konopnym workiem. I jak go ściągnąłem, zaraz zobaczyłem trupka dziecka, małe to było takie, jak kocię.
- Białe czy czarne?
- Kto jego tam wie. Było całe uwalane, i jeszcze tego paskudztwa tam znalazło.
- Paskudztwa?
- Jakieś klejące coś. Było też na brzegu garnka, ziemia się do tego lepiła. I całe dziecko było tym umazane. Zupełnie, jakby je kto w tym zamoczył. Żem myślał, że to może melasa.
- I co, melasa? — spytała Słonko.
- No tak myślałem, ale śmierdziało inaczej, więc widzi mi się, że to była ropa wymieszana z ziemią.
- Ropa jak do samochodu?
- Może. Nie wiedziałem, co z tym dalej robić. Bałem się, że to może biały dzieciak, że biali pomyślą, że to ja go zabiłem, skoro znalazł się na moim polu, no to żem go schował w lesie.
- Zakopałeś?

— Wstyd się przyznać, ale nie — Zendo pokręcił głową. — Pan Pete znalazł garnek i wiedział, że ta ziemia na nim to moja. Nikt tu w okolicy nie ma takiej żyznej roli. Ja swojej daję wszystko... Myślałem, że bankowo powie, że to ja jestem zabójca. Ale nie. Wcale się do mnie nie czepiał. Nawet nie pytał, czy coś o tym wiem, tylko wziął i biedactwo pochował na cmentarzu dla kolorowych. Przynajmniej powiedział, że tak zrobi.

— Nie wiesz, czy Pete sam znalazł ten garnek? — spytała.

— Tylko on z tym do mnie przyszedł. Więc widzi mi się, że tak. No, może i kto inny znalazł garnek i mu powiedział, a on się domyślił, że to musiało być z mojego pola.

— A gdzie jest ten cmentarz?

— Wasz Clyde wie, gdzie — odparł Zendo.

— Wcale nie — stwierdził Clyde. — Kiedyś wiedziałem. Ale w tamtejsze okolice nie zaniósł mnie od lat. Od kiedy żeśmy tam ostatni raz poszli razem na polowanie, a przecież... rany Julek, myśmy wtedy jeszcze byli zupełnie szczawie.

— Ano, prawda, prawda — pokiwał głową Zendo. — Żeśmy wtedy byli jednego wzrostu. A teraz tylko popatrzcie: Clyde jak drzewo, a ja, panie, jak ten pień.

Wziął patyk i narysował im mapkę, cmentarz oznaczył krzyżykiem i powiedział: — Właśnie tu. Trza będzie trochę iść, żeby się tam dostać. Samochodem nie da rady pod sam cmentarz.

— Dzięki — odparła Słonko. — Możesz wracać do posiłku.

— Znaczący, pan Pete w końcu przylał nie temu człowiekowi, co trzeba? — spytał jeszcze Zendo.

— Ano, tamtego dnia i owszem.

Aby dotrzeć na cmentarz, musieli zostawić pickupa na gliniastej drodze, pod ambrowcem, i przejść przez las. Powietrze wśród drzew było ciężkie, nieruchome, i choć cień chronił ich przed bezpośrednim żarem słońca, panowała tam wilgoć, a moskitów było tyle, co pcheł na starym kundlu.

— Czemu założyli cmentarz tak w lesie? — spytała Karen. — Przecież zawsze są gdzieś przy drodze.

— Niektórym białym wydaje się, że to świetna zabawa, napsuć grobów na cmentarzu dla kolorowych — odparł Clyde. — Kiedy jest w takim miejscu, przeważnie się im odechciewa.

— No ale z noszeniem ciał do zakopania jest urwanie głowy, nie? — odezwał się Wsiowy.

— Ano, pewnie tak — Clyde zatłukł moskita.

— One mnie zaraz zeżrą — poskarżyła się Karen.

— Jak chcesz, możesz wrócić i czekać na nas w samochodzie — powiedziała Słonko.

Karen nie zawróciła jednak. W końcu drzewa przerzedziły się nieco, pojawiła się ścieżka.

— Zendo podał chyba, że powinniśmy skręcić w lewo? — zastanawiała się Słonko.

— Też mi się tak wydaje — przytaknął Wsiowy.

— Aha — mruknął Clyde. — Tak jest. Teraz sobie przypominam. Przeszli więc kawałek ścieżką i wkrótce dotarli do sporej polany,

która wyglądała na wykarczowaną maczetami, a zaraz za nią rozpościerał się gęsto zastawiony nagrobkami cmentarz. Wśród grobów rosły dęby — pnącza i mchy obrastały ich pnie, zwieszały się z gałęzi. Na cmentarzu rósł też samotny dereń i wiciokrzewy, rozsiewające mocną woń kwiecia. Wśród gałęzi derenia uwijały się pszczoły.

Niektóre groby umieszczono przy samych drzewach — widać było, że czasem korzenie wysadzały nagrobki z ziemi czy powodowały ich zapadanie. Ogólnie jednak cmentarz był zadbany, na wielu grobach leżały świeże kwiaty, na innych różańce voodoo czy kawałki jaskrawo zabarwionego szkła. Tu i ówdzie stały nawet słoiki z jakimś płynem.

— Co to jest, tam w tych słoikach? — spytał Wsiowy.

— Czasem bimber — wyjaśnił Clyde. — Przynoszą go tu dla zmarłych.

— Głupi pomysł — osądził Wsiowy. — Marnowanie bimbru. Karen parsknęła śmiechem.

Wsiowy wyszczerzył się do niej: — Moglibyśmy go z Karen wypić, żeby się nie zmarnował, co nie, mała? Znów się roześmiała.

— Karen nie pije — oznajmiła Słonko.

— Pewnie, że nie. Tak sobie tylko żartowałem.

W końcu Słonko wyszukała grobek opatrzony drewnianym krzyżem, zbitym z tanich desek dwoma gwoździami. Obok walały się skorupy garnca. Na krzyżu napisano: DZIDZIUS.

— To Pete to zrobił — stwierdziła Słonko. — Poznają po tym, jak wyrzył w drewnie te litery D. Zupełnie tak samo pisał, kiedy stawiał D.

Pewnie rozbił garnek, żeby wydostać dzieciaka, chyba, że to ktoś inny później go rozwalił.

— Tata nie był taki zły — powiedziała Karen. — Że tak się zajął tym dzieckiem i w ogóle...

Wsiowy utłukł moskita. — Nachodziliśmy się tylko, i nic z tego nie będzie, jakby mnie kto pytał.

— Moglibyśmy dać dziecku jakieś imię — podsunął Clyde. — Napisałibyśmy je na krzyżu. Na ten przykład, że się nazywało Szkrab.

— Nie, nie możemy — odparła Słonko. — I druga sprawa. Nie wiemy, czy było płci męskiej, czy żeńskiej.

— A mnie tam podoba się Szkrab — uparł się Clyde. — I pasuje obojętnie, czy był chłopiec, czy dziewczynka. A co ty na to, Wsiowy? Podoba ci się Szkrab?

— Nie.

— No do diabła, ty się nazywasz Wsiowy. Co jest nie tak ze Szkrabem?

— Wsiowy to tylko ksywka. I nie pytaj, jak się naprawdę nazywam, bo ci i tak nie powiem. No to czegośmy się tu dowiedzieli, Słonko? Po czorta była ta wycieczka?

— Sama nie wiem — przyznała. — Wracajmy.

10

Tej nocy, nim Słonko i Karen położyły się spać, przyszedł deszcz, prawie taki jak te, co chlustały na Arkę Noego, ale ten tak długo nie trwał. Tyle tylko, że zmoczył wszystko dokoła, wzburzył potoki i sprawił, że wezbrały, a potem przeniósł się gdzieś dalej. Namiot postawiono na podłodze starego domu, więc nie groziło im podtopienie, ale czuły, jak woda napiera od spodu na deski, doprasza się, by ją wpuścić.

Po deszczu zrobiło się też chłodniej, więc kiedy Słonko i Karen kładły się spać, temperatura była bardzo przyjemna, a i moskity się nie pojawiły.

Słonko leżała na materacu, nasłuchując, jak deszcz zawzięcie młóci tereny coraz to dalej na południe, i myśląc o dziecku w glinianym garncu wysmarowanym ropą i o tym, że Pete zadał sobie tyle trudu z pochówkiem i wyryciem słowa DZIDZIUS na krzyżu.

To był miły gest.

I zupełnie do niego nie pasował. Szczególnie, gdyby Pete podejrzewał, że to jednak kolorowe dziecko.

Z tej strony Pete'a nie znała, a chciałyby go właśnie z takiej strony znać. Jednak w tej chwili ów aspekt charakteru Pete'a budził w niej, dezorientację i podejrzenia.

Później usłyszała, jak ktoś odrzuca na górę klapę wejścia do namiotu. Usiadła na materacu i zobaczyła sylwetkę stojącego w wejściu mężczyzny. Odciągnął on klapę jeszcze bardziej i znalazł się w blasku księżyca. To był Pete. Cementarna ziemia osypywała się z jego ciała. Sądząc po wyrazie twarzy, był tak wściekły, że mógłby pluć octem.

Wymierzył palec w Słonko i otworzył usta, by coś powiedzieć. Posypała się z nich ziemia. A potem wrzasnął.

I Słonko usiadła na łóżku.

Spojrzała na klapę namiotu: zaciągnięta, zasznurowana. Z dworu słychać było świerszcze i żaby. Słonku musiało się śnić, że się obudziła. Lecz nagle znów rozległ się wrzask.

To nie był Pete. To pantera grasująca po laskach nad potokiem. One potrafiły drzeć się jak kobiety. To właśnie zew pantery ją obudził, a nie martwy Pete.

Słonko zerknęła na Karen.

Córka wciąż spała. Słonko delikatnie podciągnęła koc, okrywając dziewczynę aż po kark.

— Kocham cię — szepnęła.

Położyła się z powrotem i zapadła w niespokojną drzemkę, znów przyszedł sen. Tym razem wiedziała jednak, że śni, więc było łatwiej. A śniło się jej, jak przykłada pistolet do skroni Pete'a i pociąga za spust, i w tym śnie odgłos wystrzału był tak klarowny i słodki, że przeciął wszelkie myśli niczym jasny rozbłysk, którego światło zajrzało do szczeliny gdzieś głęboko w mrocznym wnętrzu Słonka, z tej szczeliny zaś wyłoniły się odpowiedzi na wszystkie od dawna zadawane pytania. W owej chwili, pięknej, cudownej chwili, Słonko posiadała wiedzę o wszystkim.

I się obudziła.

— Jasny szlag — stęknęła. I pomyślała sobie: Już prawie miałam te odpowiedzi. Zaraz zostałyby mi wyjawione wszystkie, psiakrew, zagadki wszechświata, a ja wzięłam i się obudziłam.

Kłapa namiotu drgnęła.

Słonko wyciągnęła rewolwer z leżącej na podłodze kabury i wycelowała w tamto miejsce.

To znów był ten czarno-biały pies. Zdołał wcisnąć łeb pod płachtę namiotu. Ociekał wodą.

— Spokojnie, piesku — zagadnęła go, ale na dźwięk jej głosu zwiął.

Odłożyła broń i położyła się, czekając, aż pies wróci. Nie wrócił.

Gdy nadszedł ranek, właściwie jeszcze przed świtem, gdy w koronach drzew rozbrzmiewał już donośnie śpiew ptaków, a gdzieś awanturowała się wiewiórka, Karen wstała wraz ze Słonkiem. Dziewczyna napaliła w piecu, przygotowała im na śniadanie jajecnicę, a na płycie kuchni opiekała chleb na grzanki.

Słonko obserwowała tę krzątanicę z pewną podejrzliwością. Po raz pierwszy od wielu dni Karen sama z siebie zechciała wziąć się do roboty.

Dziewczyna naznosiła wiadrami wody od pompy, grzała ją w balii na piecu i napełniała gorącą wodą dużą wannę. Zanim naniósła tyle wody, że wanna była pełna, ta wcześniej nagrzana już mocno ostygła, ale wciąż była dość ciepła, by można było wziąć kąpiel z ługowym mydłem o zapachu mięty i porządnie zająć się włosami.

Gdy Karen skończyła się chlapać, Słonko poszła w jej ślady, myjąc i rozczesując sobie włosy. Gdy wkładała spódnice i koszulę, zauważyła, że Karen też się już ubrała, zdążyła również upiąć sobie włosy w coś jakby kok. Założyła jedną z paru porządnych sukienek, jakie posiadała, prezent od babci przed wyprowadzką do namiotu, jak też jedyne dobre buty.

Słonko zauważyła, że dziewczyna nawet lekko pociągnęła wargi szminką, choć przeważnie nie zwracała sobie głowy makijażem. Wyperfumowała się też, i tu zdecydowanie przesadziła.

Kiedy Słonko zakładała i sznurowała swoje robocze bucior, Karen wytknęła jej: — To nie jest damskie obuwie. W takich butach można by iść do roboty w tartaku albo przy wyrzucaniu gnoju ze stajni.

— Teraz jestem konstabłem, a nie nowojorską modelką.

— Powinnaś też upiąć włosy.

— Widzę, że ty upięłaś. Co się stało, że się tak stroisz?

— Bez powodu. Tak mnie naszło.

Słonko podeszła do toaletki, jaką tu sobie zaimprovizowały, i wzięła w dłoń lusterko. „Może faktycznie powinnam upiąć włosy” — pomyślała, przeglądając się.

Opuchlizna twarzy już skłęsała, sińce też zaczęły schodzić. Słonko wreszcie przypominała sobie, może tylko trochę zrobioną na szopa pracza.

Około dziewiątej podjechał pickup Clyde'a. Karen usłyszała silnik, obciągnęła sukienkę i otworzyła namiot.

Przez otwartą klapę Słonko zobaczyła, jak Clyde wysiada z samochodu, a z drugiej strony szoferki to samo robi Wsiowy. Wstała więc, przypięła kaburę z rewolwerem i stanęła w wejściu do namiotu.

Za pickuperem Clyde'a zatrzymał się czarny samochód o białych drzwiach opatrzonych złoto-czarnymi insygniami policji. Wysiadł zeń facet w szerokim, białym kapeluszu, ubrany w mundur khaki i wyposażony w broń i odznakę. Podszedł do Clyde'a i uściśnął jego dłoń, potem przywitał się ze Wsiowym. Wyglądał na wzburzonego. Porozmawiał chwilę z Clyde'em.

Ten powiedział coś, wskazał dłonią namiot.

Facetowi z odznaką komicznie opadła szczęka.

Clyde dodał coś jeszcze. Tamten zdjął kapelusz i szparkim krokiem skierował się ku namiotowi, a Clyde i Wsiowy ruszyli za nim. Słonko wyszła na dwór, Karen za nią.

— Psze pani — zaczął tamten. — Jestem Morgan, zastępca szeryfa w Holiday. Przysłali mnie tu, żebym ściągnął konstabla na pomoc. Słyszeliśmy, że Pete'a zabiła jego własna żona, ale nie wiedziałem, że jego miejsce zajęła kobieta. Mogę zabrać ze sobą tych tu ludzi i...

— To ja jestem konstablem. I żoną Pete'a... znaczy, byłam. Policjant uniósł brwi. — A niech mnie licho.

— Do czego jesteście wam potrzebni?

— Jeden czarnuch zdziczał. Zabił szeryfa.

— Oj — mruknęła Słonko.

— W tych okolicznościach może powinna pani tu zostać — podjął Morgan.

— Jak wygląda sytuacja? — zapytała. Pamiętała, że tych słów zawsze używał Pete.

— No, żem tu przyjechał, bo zastępcy szeryfa to tylko ja i Kuku-ryk, no a ten czarnuch, tego no, to on wziął i odstrzelił szeryfowi łeb, i wlaź do kina i nie chce wyjść.

— Do kina — westchnął Clyde. — Ale go nie zniszczył ani nic, co?

— Chyba potłukł trochę tych naczyń na nagrody w loterii — odparł Morgan.

— Co poniektórzy miastowi chcieli mu dać popalić, właściciel spożywczego nawet wyciągnął broń i spróbował wejść do kina,

a ten czarnuch wziął i mu wygarnął w kolana. Coś mi się widzi, że od tej pory facet będzie się turlał po sklepie na takiej desce z kółkami, jak to kalecy mają. W każdym razie, wziął czarnuch narozrabiał i ludzie w mieście najchętniej to by go zlinczowali. Szeryf nie pozwalał jednak na takie rzeczy, choć ja osobiście nie mam nic przeciwko linczom, jak sobie jeden z drugim zasłuży. Chcą wziąć to kino szturmem, capnąć czarnego, powiesić go i podpalić, albo i spalić kino razem z nim. Prawdę mówiąc, to Kukuryk ich powstrzymuje. Czarnuch nie może z kina nawet nosa wyściubić, póki Kukuryk czuwa, ale ludzie wciąż na chłopą napierają, chcą, żeby zszedł im z drogi. Trafił między młot i kowadło, mówię wam. I już nie wiedziałem, co innego mam zrobić, jak tylko skoczyć po posiłki do najbliższego miejsca. No ale nie miałem pojęcia, że tu baba, no i nie jestem przekonany, czy nie powinniśmy po prostu pozwolić miastowym się z nim porachować.

— Pojedziemy za tobą w pickupie — oświadczyła Słonko. — Karen, zostajesz. Clyde, Wsiowy, macie broń?

— Nie przy sobie — odparł Clyde. — Musimy zajechać do mnie do domu.

— No to ja będę już chyba wracał — stwierdził Morgan. — W ogóle bym tu nie przyjeżdżał, gdyby coś innego było blisko, i gdybyście nie mieli konstabla, no. A poza tym to Kukuryk mnie wysłał, a to on jest starszym zastępcą. No i wiedziałem, że Pete nie żyje, ale kto by pomyślał, że tu baba.

— Dojedziemy — zapewniła go Słonko. — Leć pan przodem, na pomoc Kukurykowi.

— Jasna rzecz, ale jak już nie pójdzie nad tłumem zapanować, to lepiej niech się skrępi na czarnuchu niż na mnie. Jeśli już do tego dojdzie, mogę im nawet pomóc wiązać stryczek, psiakrew...

— Przysięgałeś przestrzegać prawa — powiedziała Słonko. — Zrobisz to, co należy zrobić.

— A kim ty jesteś, do cholery, żeby mnie pouczać? Byle konstabl. Byle baba, do diabła. I to w spódnicy uszytej z męskich spodni.

— Powiem to tak, żebyś zrozumiał, Morgan — wtrącił się Clyde. — Jeszcze chwilę popyskuj, a przyłożę ci tak, że ci błotniki w samochodzie wgniecie. Dotarło?

W policzkach Morgana zapulsowały mięśnie. — Nie musisz gadać takich rzeczy. Już się nam zdarzało razem pracować. Po czorta takie gadanie? Zwyczajnie nie wiedziałem, że to kobieta.

— Zobaczymy się w Holiday — pożegnała go Słonko.

Po drodze zajechali pod chatę Clyde'a, kawałek od głównej drogi, przy biegnącym przez las szlaku oznaczonym takimi wykrotami, że mógłby w nie wpaść cały wóz z sianem.

Zatrzymali się tam, żeby zabrać strzelbę dla Wsiowego i pistolet dla Clyde'a. Słonko myślała z początku, że sponiewierana chatynka Clyde'a także ucierpiała w tornadzie, ale im dłużej się w nią wpatrywała, tym wyraźniej uświadamiała sobie, że ten dom tak po prostu wyglądał.

Gonty na dachu sterczały na sztorc, część z nich zmiotło zresztą na podwórze. Sądząc z faktu, że były już do połowy pokryte ziemią, wały się tam od lat. Rura kominowa była podparta kawałkiem deski, a między nią i ścianą ziała taka szpara, że Słonko mogła zajrzeć do wnętrza domu. Wszystko, co tam dostrzegła, wyglądało na brudne, wytłuszczone i zwalone na kupę. W oknach częściej widać było dyktę niż szyby. Podwórze usiane było kawałkami drewna, częściami samochodowymi i półdzikimi kurami. Ku Słonku bardzo pragmatycznie rzucił się kogut, zatrzepotał skrzydłami, dziobnął ją w jeden but i pomknął gdzieś indziej, uznając zadanie za wykonane.

— Gdyby to był mój kogut, już dziś wieczorem wylądowałby w garze — oznajmiła Słonko.

— To George — odparł Clyde. — George jest w porządku. Myśli, że strzeże kwok.

Omijając graty na podwórzu, opędzając się od kur, na palcach przechodząc rojący się od robactwa warzywnik, ostrożnie wdrapali się w końcu na skrzypiący ganek, przestępując dziury ziejące w potrzaskanych deskach.

Wewnątrz wałało się mnóstwo gazet, czasopism, części do pickupa, potłuczonych talerzy, kartonowych pudeł i skrzynek po jabłkach wypchanych Bóg jeden wie czym. Na podłodze, kartonach i skrzynkach porozstawiane były wiadra. Kapała do nich woda z dachu.

Clyde zapuścił się między ten chłam po broń.

Wsiowy zerknął na Słonko i mruknął: — Słodki domek.

— No, ja tu nie widzę niczego słodkiego.

— Ale jest, Clyde rozlał przy kuchni trochę syropu, boja wiem, sądząc z wyglądu, tak z dziesięć lat temu. I ta plama wciąż jest słodka. Wiem, bo muchy ciągle do niej leżą i się przylepiają. Chcesz zobaczyć?

— Nie, dzięki.

Wrócił Clyde, niosąc strzelbę i rewolwer. Broń wyglądała dużo czyściej niż cokolwiek innego w tym domu.

— Jest coś, czego ty nie chomikujesz? — spytała Słonko.

— Pieniądze. Żarty jestem — odparł Clyde. — Jakbyśmy mieli chwilę, zrobiłbym sobie kanapeczkę na drogę...

— Ale nie mamy. Za to moglibyśmy przed wyjazdem załatwić ci tu mały pożar i zanim wrócilibyśmy po robocie, miałbyś tu choć raz porządek.

— Przynajmniej wiem, gdzie co mam — bronił się Clyde.

— Akurat tam wie — mruknął Wsiowy.

— Wiedziałem, gdzie znaleźć broń — Clyde wręczył Wsiowemu śrutówkę. Podał mu też garść naboji.

— Gdzie śpisz? — spytała wtedy Wsiowego Słonko.

— Bo ja wiem. Tu nic nie wygląda tak samo dwa dni z rzędu.

— A mnie nie spytasz, gdzie śpię? — obruszył się Clyde.

— To twój dom. Pewnie masz jakieś upatrzone miejsce. Martwię się o gościa.

Gdy wsiadali do pickupa, oznajmiła: — Od tej pory, chłopaki, zawsze chodźcie z bronią. Nie możemy lecieć do Clyde'a po uzbrojenie, kiedy nagle okaże się potrzebne.

— Jakoś przeważnie nie było po co — Clyde wrzucił bieg. — Ta tutaj pała — poklepał się po koszuli, gdzie ją ukrył — z reguły wystarcza.

— Ale teraz pracujesz na cały etat, nie dochodząco — wyjaśniła Słonko. — Skoro jesteśmy zawodowcami, musimy zachowywać się jak zawodowcy i tak wyglądać.

— O kurde, jesteśmy zawodowcami? — zdziwił się Clyde. Wsiowy poklepał Słonko po nodze poniżej kabury. — No, widzę, że ty jesteś uzbrojona.

Słonko wiedziała, że i ten dotyk, i towarzyszące mu słowa były zbyteczne, posłużyły tylko za pretekst, żeby pomacać ją po udzie, ale nie potrafiła zmusić się do protestu.

Najchętniej powiedziałaaby wtedy: „Połóż rękę tu, ustami rób to, jedną nogę zaciągnij mi aż za ucho i działaj, póki nie zacznę jodłować”, ale ograniczyła się do: — Mam rewolwer, ale amunicji niewiele. Tyle, co w bębenku.

— Jak dobrze pójdzie, może nie będziesz musiała zastrzelić więcej ludzi, niż masz naboji — odparł Clyde. — Są tacy policjanci, nawet w tych wielkich miastach, co potrafią przez cały dzień nikogo nie zabić,

nawet psa z wodowstrętem nie przystrzela. Ba, psiakrew, przecież Pete przez całe swoje konstablowanie postrzelił tylko jednego chłopca, a i jego chyba przypadkiem. No, za to bił dużo i chętnie, wiadomo, a Jack Trzy Palce wziął nawet od tego umarł, więc w sumie na jedno by wyszło...

11

Droga była błotnista, więc toczyli się powoli. Koła ześlizgiwały się w koleiny i podskakiwały na wybojach, telepiąc pasażerami tak, że Słonko bała się, czy czasem trzewia jej ustami nie wyskoczą.

— Oby wytrzymało to drutowanie, co żem porobił, żeby silnik nie wypadł... — mruknął Clyde. — Zaraz, a tam, kawałek dalej tamtą dróżką, jest taki nawis. Nie za wysokie może urwisko, ale po części wisi nad Holiday. Raz skoczyła stamtąd jedna dziewczucha, chciała się zabić, ale wyszło, że tylko wyrznęła w stok i sturlała się aż na sam dół. Zatrzymała się na tylnej ścianie drogerii. Przed skokiem rozebrała się do golasa. A taki mój kumpel był akurat tam za drogerią, odcedzał kartofelki, i zobaczył, jak się dziewczyna turla. Opowiadał, że właśnie tego dnia rano poszedł do kościoła, pierwszy raz od dziesięciu lat, i myślał, że Bóg zesłał mu prezent. Nic z tego. Dziewucha była wściekła jak osa, bluzgała na wszystkich i wszystko, na niego też. Powiedziała mu, że ten jego wacek nawet na sikanie jest za mały, a co dopiero do innych zajęć. Nic jej nie było, trochę tylko się umazała trawą i nawłaziło jej ostów w tyłek. A ten mój kumpel, Lonnie, już nigdy więcej nie poszedł do kościoła... Ale nocą fajnie jest siedzieć tam na urwisku. Tyle światła tam w dole.

Zbliżając się do Holiday, zobaczyli wznoszące się wzdłuż drogi kiwony, pompujące ropę z odwiertów. Pomiędzy drzewami przeziierały kolejne. Im bliżej podjeżdżali do miasta, tym więcej było szybów wiertniczych, do tego stopnia, że stały nawet w samym Holiday, wręcz między domami. Było ich tyle, że wyglądały trochę jak metalowy las.

— Tak niedawno była tu raptem większa wieś, a teraz mają dziesięć tysięcy luda — mruknął Clyde. — Niezależni poszukiwacze, twarde chłopcy, szulerzy, bandyci i kurwy. Ludzie szaleją od ropy, zupełnie tak samo, jak kiedyś od złota... Psiakrew. Koleiny prawie po osie. Toż to nie ulica, cholera, tylko bajoro.

— Idziesz, widzisz na ziemi kapelusz, podnosisz, a tam w dole facet, i to siedzący na koniu — przytaknął Wsiowy.

Parę mułów i samochodów brnęło ulicą mimo błota i kolein, ale tak naprawdę ruch praktycznie zamarł, a pod nowym budynkiem kina zebrał się już tłum, i biali, i kolorowi. Biali parli do przodu, kolorowi trzymali się tak więcej na obrzeżach, na wypadek gdyby ktoś tu nagle uznał, że przyłożyli się do zaistniałej sytuacji. Ludzie kryli się za samochodami, wystawiali głowy zza narożników budynków. W wielu rękach połyskiwała broń.

— Nie wiem, czy powinieneś podejść bliżej — odezwała się Słonko.

— Wątpię, czy zdołam — odparł Clyde. — Jeszcze kawałek i w życiu się z tego bagna nie wygrzebiemy. Już teraz będzie problem, żeby zawrócić.

Udało mu się jednak wyprowadzić pickupa na twardy grunt, poza jezdnię, i zaparkować samochód spory kawałek od zgromadzonych. Wszyscy wysiedli i ruszyli po chodniku z desek, po przeciwległej stronie ulicy od kina. Wsiowy niósł strzelbę, a Clyde rewolwer, trzymał go jednak przy nodze.

Zebrani obrócili się, by na nich popatrzeć.

— Próbuja wyczytać, co tam stoi na tej odznace na twojej piersi — mruknął Wsiowy. — Znaczy, facetów więcej obchodzi to, co pod odznaką.

— Idź, nie gadaj — ucięła.

Pod kinem ujrzeli Morgana i drugiego zastępcę szeryfa, przyczajonych za zaparkowaną ciężarówką. Truchło muła leżało w połowie na chodniku, w połowie w błocie ulicy. Łeb zwierzaka był w kawałkach, a u drugiego końca piętrzyła się kupa gnoju. Tak świeżego, że jeszcze parował.

— Rąbnęło go tak, że się sczyścił — stwierdził Clyde.

U wejścia do kina dostrzegli, że drzwi są półotwarte, a nie zamykały się dlatego, że wystawała z nich męska noga. Spod drzwi rozlewała się kałuża krwi, a na chodniku leżał biały kapelusz, rondem do góry. Słonko doszła do wniosku, że widzi zwłoki szeryfa.

Gdy byli na wysokości kina, uświadomiła sobie, że nie ma jak przejść bliżej, tylko przez to błoto.

— Mogę cię przenieść, jak chcesz — zaofiarował się Clyde. Słonko przemyślała to sobie i doszła do wniosku, że nie chce, by widziano panią konstabl niesioną przez błoto jak małe dziecko.

— Jak jestem konstabl, to muszę się zachowywać jak konstabl — oznajmiła.

— W tym mieście nie jesteś konstabl — wytknął Wsiowy.

— Sami mnie poprosili, więc jestem tu służbowo.

— A kto powiedział, że konstabl musi być utyłany? — spytał Clyde.

Słonko zadarła spódnicę do pół uda. Wsiowy wyszczerzył się i stwierdził: — Masz rację, cholera. Idź sama.

Gdy brnęli przez błoto, co i raz popatrywała na kino, ale nikt się stamtąd nie wychylił, by do niej strzelić. Według szyldu kino nazywało się THE STRAND, zaś chętnych zapraszano do oglądania *Sucharków w kształcie zwierząt*, z braćmi Marx w rolach głównych.

Słonko miała łydki oblepione błotem, nim przedostali się na drugą stronę jezdni. Strasznie nie chciała opuszczać na to spódnicy, żeby jej nie upaść, ale doszła do wniosku, że tak będzie poręczniej, niż wciąż paradować z podkasaną kiecką. Zauważyła też, że mężczyźni zaniepokojeni wydarzeniami w kinie teraz to na niej skupili całą uwagę. Podobnie jak co poniektóre kobiety, popatrujące z dezaprobatą z bezpiecznej odległości.

No, przynajmniej dzięki temu nie gapią się na sińce na mojej twarzy — pomyślała.

Zaparkowany na chodniku stał jeden z dwóch samochodów należących do miejskiej policji. Ten drugi minęli przy wjeździe do miasta — Morgan zaparkował go za jakimś pickupem.

Sam Morgan krył się za policyjnym samochodem u boku drugiego mężczyzny z odznaką. Słonko domyśliła się, że to ów Kukuryk. Był to wysoki, szczupły gość, kryjący głowę pod brązowym kapeluszem o szerokim rondzie i sterczącej główce. Ubranie wisiało na nim, jakby kryło patyki, nie kończyny, a końcówki nogawek były upchnięte w kowbojkach z wyszytymi na czubach dużymi, czerwonymi orłami. Uszy miał tak wielkie, że gdyby nimi zatrzepotał, mógłby chyba odfrunąć. Cała jego twarz płonęła rumieńcem, czy coś, zupełnie jakby dopiero co się poparzył.

— Mówił już mi, że jesteś baba — zaczął.

— Byłam kobietą, jak mnie widział, i jakoś wciąż jestem — odparła.

— Nie żebym narzekał. Każda pomoc się przyda.

— Co się właściwie stało? — spytał Wsiowy.

— Nie do końca wiemy — odpowiedział Kukuryk. — Lillian, ona tu sprzedaje bilety, powiedziała, że do okienka podszedł ten kolorowy typ, wołają na niego Okopcony, i mówi, że chce bilet. Oczywiście nie chciała mu sprzedać.

— Macie seanse w dzień? — zdziwił się Clyde.

— Czasami. Teraz w mieście jest tylu obiboków, że i za dnia znajdzie się klientela.

— Jasny gwint — mruknął Clyde. — Pójść sobie do kina w środku dnia. Niesamowita sprawa.

— Seanse za dnia, jasne — ucięła Słonko. — Opowiadaj dalej. Kukuryk skinął głową. — Lillian mówi facetowi, że to nie kino dla

kolorowych. No to on spytał, czy może jest wydzielona część dla kolorowych, a ona, że nie, no to on skoczył do domu i wrócił ze strzelbą. Lillian zobaczyła, że nadchodzi, i myknęła pod blat w kasie. Okopcony wszedł do kina, a Lillian dała nogę. Znaczący, pobiegła po nas. Okopcony pogonił wszystkich z kina, a kiedy żeśmy tu podeszli i szeryf chciał wejść do środka, żeby z nim pogadać, no to jak tylko doszedł do drzwi, sama pani widzi, Okopcony do niego wygarnął.

— Szeryf znał Okopconego — wtrącił Morgan. — Dlatego myślał, że będzie dobrze. Tłumaczyłem mu, że z czarnuchami nigdy nie wiadomo. Zdradliwe toto jak grzechotnik. Kiedyś znałem takiego jednego, co jak się wściekł na własną żonę, to poderżnął sobie gardło nożem do masła. Piłował chyba z pięć minut, zanim się zabił. Ale taki był zawzięty.

— Jak by nie było — podjął Kukuryk — jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś aż tak chciał obejrzeć w kinie film, a wy?

— Ja też nie — przyznała Słonko. — Coś mi się widzi, że teraz jednak macie w kinie sektor dla kolorowych...

— Ano, prawda.

— Może tak naprawdę chciał wygrać zestaw naczyń — podsunął Clyde.

— Ale jakby było mało, że Okopcony tam siedzi — ciągnął Kukuryk — to jeszcze ci tutaj parę razy huczeli już, że spalą całe kino. A ja jeszcze nawet ani razu tam nie byłem. Inni ludzie w mieście też nie, więc szkoda by było, żeby się spaliło. No i jeszcze ten kolorowy. Ci tutaj chcą linczu. No, pewnie się facetowi należy, aleja tu robię za przedstawiciela prawa, i to do prawa należy ta robota, znaczący, aresztowanie, a nie do bandy obwiesi, a jeśli trzeba będzie Okopconego zabić, to też zadanie dla sędziego i przysięgłych. No i pewnie tak się stanie.

— A ten kupiec? — spytała Słonko.

— Chciał tam wejść jak jaki rewolwerowiec, i skończył bez nogi. Nie doszedł nawet tak daleko jak szeryf. Był może ze dwa kroki od tego samochodu, jak Okopcony wystawił lufę za drzwi i dał mu po girach. Mówiłem facetowi, żeby się nie pchał, ale kto mnie w tym mieście posłucha? Nikt. Nikt a nikt. No to zabrali go do lekarza w Tyler, bo ten nasz tutaj, to może i coś poradzi, jak się ma katar. Ale nie na postrzały. Co za głupi buc, że się tam pchał. Teraz będzie kicał po sklepie.

— A co się stało z mułem? — chciał wiedzieć Wsiowy.

— Okopcony jeszcze raz wygarnął do tego barana, jak się czołgał za ten nasz samochód, muł się spłoszył od hałasu i wyrwał właścicielowi, podbiegł tu i Okopcony go zastrzelił.

— Czemu?

— Bo ja wiem.

— Jaką ma strzelbę? — spytał Clyde. — Pompkę?

— Aha.

— Szlag.

— Wciąż czuwa tam przy drzwiach?

— Nie wiem. I wolę nie sprawdzać. O, psiakrew. Idzie Phillip Macavee.

Słonko spojrzała za siebie. Przez jezdnię szedł niski mężczyzna w wysokim, czarnym kapeluszu. Brzuszyśko miał takie, że kwalifikowałyby się do wożenia na taczce. Kroczył przez błoto, jakby tańczył kankana. Tłumek też nabrał odwagi — wychynęli zza samochodów i stali, jakby czekając, aż Macavee da im rozkaz, by ruszyli naprzód.

— Co to za jeden? — spytała.

— Facet ma odwiert i wydaje mu się, że jak śpi na forsie, to mu siurek nie capi... oj, przepraszam panią.

— Nie ma sprawy.

— Kiedyś jeździł pickupem i wywoził śmieci. Ale poszcęściło mu się z odwiertem. A teraz wszystkich podbechtuje. To przede wszystkim on wrzeszczy, że powinniśmy spalić kino. To on napuścił też tego kupca. Chyba sama myśl o tym, żeby powiesić albo spalić czarnucha, daje mu lepsze sny nocą.

Zanim Macavee dotarł do nich, Kukuryk rzucił jeszcze: — Jakby Okopcony chciał jeszcze kogoś zastrzelić, fajnie by było, żeby teraz wziął i poczęstował tego drania śrutem.

Macavee parł naprzód, aż zatrzymał się tuż przed Słonkiem.

Przyglądał się jej przez chwilę, po czym zaczął: — Słuchaj no, młoda damo. Powinnaś odpiąć tę odznakę. Siedzieć w domu przy dzieciakach albo bawić się lalkami. To nie plac zabaw. Myślmy z paroma chłopakami, że powinniśmy podjechać samochodem prosto tu pod te drzwi, waląc ze wszystkich luf, żeby kilku innych podkradło się od tyłu. Nawet jeśli nie podejźmiemy aż tak blisko, żeby czarnucha utrupić, przynajmniej wrzucimy butelki z benzyną, żeby się hajcowało. Spalimy to kino i kędzierzawego razem z nim, aż do ziemi.

Słonko wyrwała rewolwer z kabury i ruchem tak szybkim, że sama nie wierzyła, iż jest w stanie to zrobić, śmignęła jego lufą wzdłuż ciała grubasa, nad jego ramieniem, i zza jego zuchwy szarpnęła ku sobie.

To był piękny cios. Głuche plaśnięcie, i głowa Macavee'ego szarpnęła się ku górze, a jego kapelusz poleciał w błoto. Mężczyzna przez chwilę zdawał się obserwować Słonko uważnie, po czym runął prosto na nią.

Uchyliła się w samą porę, by dać mu upaść twarzą w błoto. Czołem przyrznał w krawędź chodnika. Na chwilę zapadła totalna cisza.

Słonko zerknęła na zgromadzony tłum. Ujrzała mnóstwo rozdziawionych ust. — Jak któryś spróbuje się do mnie rzucić, najpierw strzelajcie im nad głowy — poprosiła. — Potem tak, żeby zranić.

— Jak któremu urwie nogę, to się liczy jako rana czy gorzej? — zapytał Clyde.

— A niech mnie diabli — Kukuryk patrzył na rozciągniętego mężczyznę. — Cholera, że sam na to nie wpadłem. Powtarzałem mu tylko, żeby się zamknął.

Morgan przewrócił nieprzytomnego na plecy. Macavee miał ubłoconą twarz i krwawą pręgę przez całe czoło, tam, gdzie trzasnął w deski chodnika.

— Nie zabiłam go chyba, co?

— E, nie — odparł Clyde. — Ale jak się ocknie, mogłabyś mu powiedzieć, że przyjęli go na kelnerkę na statku-kasynie, i też by uwierzył.

— Poszłam tylko za twoją radą.

— No przecież widziałem. Pete też tak zawsze bił.

Tłum, który chciał ruszyć śladem grubasa, cofnął się teraz o krok.

— Śmiało, ludziska — zachęciła ich Słonko. — Niech no tylko Okopcony wystawi lufę i zacznie pompować, a połowa z was skończy rozmazana na drugiej połowie.

Zamamrotali, znów się cofnęli i znaleźli sobie kryjówki za samochodami, czy gdzie tylko uznali, że śrutówka ich nie dosięgnie.

Słonko schowała rewolwer do kabury, obróciła się do Kukuryka i powiedziała: — No, tak czy inaczej trzeba Okopconego aresztować.

— Na to sami żeśmy wpadli — odparł Morgan. — Szeryf też tak sądził. Tylko kiepsko mu wyszło.

— Czyli będę musiała sama tam wejść i go wyciągnąć.

— No bez żartów — stęknął Morgan.

— No bez.

— Przyjechałaś tu na pomoc — wtrącił Clyde. — Nie do aresztowania kogokolwiek.

Słonko uśmiechnęła się do niego, wyszła przed maskę samochodu i na chodnik.

— Psze pani — odezwał się Kukuryk — nie powinna pani tego robić.

— A co, sam tam po niego wejdiesz?

— O nie.

— Morgan?

— Nie zamierzam.

Spojrzała na Clyde'a. — No to lista policjantów się skończyła. Więc wypada na mnie.

— I na mnie — odrzekł.

— Wygląda na to, że i ja też się zgłoszę — stwierdził Wsiowy. — Choc chcialbym, żeby ktoś odnotował, że uważam to za diablo głupi pomysł.

— Odnotowane — stwierdziła Słonko.

— Wolałbym, żeby odnotował to ktoś, kto nie dostanie w czapę, żeby pamiętali, co mówiłem.

— Załatwione — odezwał się Kukuryk. — I w kwestii odnotowania, i że będę was osłaniał. Ale nie wystawię łba przed ten samochód, i pani też bym radził się tu cofnąć.

— Ja się tym zajmę — zgłosił się Clyde.

— Nic z tego — ucięła Słonko. — Albo mi się wydaje, albo jestem twoją szefową. Dawaj tę swoją pałę.

Rozpięła dwa górne guziki koszuli, wzięła płaską pałkę Clyde'a i wsunęła ją pod materiał, tak że zwisiała spod biustonosza, pod lewym ramieniem.

I Słonko ruszyła w stronę wejścia do kina.

— Chyba powinienem wspomnieć, że za dobrze to nie strzelam — wyznał Kukuryk.

Zatrzymała się. — A któryś z was w ogóle da radę w coś trafić?

— Nie dałbym rady pacnąć słonia deską w dupę, nawet gdybym stał zaraz za nim — pochwalił się Wsiowy.

— A ja i owszem — stwierdził Clyde.

— To ułóż się tu na masce i celuj w drzwi.

Clyde pochylił się nad maską samochodu, wymierzył z rewolweru.

— Tylko mi nie wchodź przed lufę — uprzedził. — Jak facet wystawi łeb, to nie będę go o nic pytał. Zarobi kulkę. Aha, uważaj. Zaraz wdepniesz w mule gówna.

Słonko, z rewolwerem w dłoni, podeszła do uchylonych drzwi, ale nie zastała za nimi Okopconego. Przeszła nad zwłokami szeryfa. Rozlana po podłodze krew zaczęła zasychać, lepła się do podeszew butów jak żywica. Nieopodal leżała wywrócona skrzynia, a w niej potłuczone fajansowe naczynia na nagrody w loterii.

Znacząc ślady krwi, Słonko podeszła do mrocznego wejścia na salę, skąd dobiegały filmowe głosy. Zapuściła żurawia do środka. Minęła chwila, nim oczy oswoiły się z ciemnością, ale niedługo wypatrzyła głowę Okopconego. Ten siedział w jednym z foteli przy przejściu, niczym wartownik trzymając strzelbę opartą na ramieniu.

Słonko nie była pewna swoich strzeleckich umiejętności. Może i zdołałaby go stąd trafić, ale jeśli nie, doszłoby tu do regularnej strzelaniny. Coś jej mówiło, że w takim wypadku skończyłaby po niewłaściwej stronie programu wieczora. Okopcony miał już na koncie jednego trupa, jednego kalekę, no i muła. Ruda kobitka z odznaką konstabla nie byłaby dla niego wielką przeszkodą.

Odłożyła więc broń i odezwała się: — Okopcony?

Ten powoli obrócił się w jej stronę, jakby nie miał się czym przejmować. Nie widziała rysów jego twarzy, tylko czarną plamę wśród cieni i migotań filmu.

— Nazywam się Słonko, jestem konstablem w osadzie Rapture.

— Tam, gdzie ten tartak, co nie?

— Tak.

— I kobieta.

— A w tym mieście sami spostrzegawczy ludzie.

— Znaczy, na serio jesteś szeryf?

— Konstabl. Prawie na jedno wychodzi. Mam cię stąd wyprowadzić, żeby cię aresztowali. Tak już musi być.

— Powieszą mnie wtedy. A najpierw obetną mi jajca, żebym się męczył. Już raz widziałem, jak to robią. Najpierw nawet chłopą podpalili, zanim zadyndał.

— Nie pozwolę, żeby do tego doszło.

— Gadanie.

— Mam paru ludzi, pomogą mi przypilnować, żeby tak się nie stało.

— To dostanę krzesło elektryczne.

— Najpierw będzie uczciwy proces.

— Nie ma uczciwych procesów dla kolorowych.

— Zabiłeś człowieka, Okopcony.

— Do szeryfa nic nie miałem. Dobry był chłop. Po prostu chciałem film obejrzeć. W życiu jeszcze żadnego nie widziałem. Powinni nam pozwolić oglądać filmy. Zrobić miejsca dla kolorowych, na ten przykład. Powiesić jakąś zasłonę między nami a nimi, czy coś. Żeby nas nie widzieli.

— Jak ze mną nie wyjdiesz, czyli nie załatwimy tego po mojemu, Okopcony, to cię zlinczują.

— I tak mnie zabiją, tyle że legalnie.

— Ale nie ze spuszczoneymi gaciami, pociętego, skatowanego. Nie żeby każdy widział, jak cię upokorzyli. Tego byś chciał?

Okopcony obrócił się z powrotem ku ekranowi. — Tego kupca mnie ni cholery nie żal. Za mułami też nie przepadam. Słonko spokojnie podeszła bliżej, usiadła za nim.

— Dasz mi obejrzeć do końca? — spytał.

— Da się załatwić.

— To póki co zostawię sobie strzelbę.

— Powiem tym na dworze.

— To nie są prawdziwe wąsy, co nie?

— Że co?

— Nie u ciebie. Ten facet w filmie, to on ma niby wąsy, ale nie prawdziwe, co nie?

Słonko spojrzała na ekran. — Chyba namalowane.

— Też tak myślałem. To chyba ma być śmieszne, nie?

— To ja teraz wyjdę, pogadam z ludźmi.

— Musiałem uruchomić to ustrojstwo tam na górze, jak mu tam, kamerę?

— Nie, to chyba projektor.

— No, musiałem, żeby w ogóle obejrzeć film. Sam wykombinowałem, co i jak. Zawsze byłem dobry w te klocki z mechaniką. Mógłbym tu nawet pracować...

— To ja już wychodzę, Okopcony.

— Natarłem ten fotel dupskim, że ho ho, nawąchał się czarnego zadka, serio. Nie mów im, który to fotel, co? Żeby jeszcze ktoś w nim usiadł.

— To zostanie między nami — obiecała. Powoli wstała i wyszła z kina.

Na serio myślisz, że kiedy skończy się film, on da ci się stamtąd wyprowadzić?

— spytał Kukuryk. — Nie wiem, co on pił, ale i ciebie poczęstował.

— Może, jak będziesz tam szła z powrotem, zanieśesz mu jeszcze coś na ząb — dodał Morgan. — Kawalek kurczaka, suchary, może ciasto. Taki piknik.

— A to niegłupi pomysł — odparła. — Wsiowy, kopnij się do kafeterii, zobacz, czy da się znaleźć coś już gotowego. Powiedz im, że policja zapłaci. Niech wystawią rachunek, czy coś.

Wsiowy ruszył przez błoto.

— Znaczący, która policja zapłaci? — spytał Kukuryk.

— Wasze miasto, wasze konto.

— No nie wierzę, że chcesz tam wrócić — mrucał Morgan. — I jeszcze mu, psiakrew, żarcie zanieśesz.

— Wolisz strzelaninę?

— Pójdę z tobą — zgłosił się Clyde.

— Nie chcę go wystraszyć, jeszcze pomyśli, że złamałam słowo.

— A może pokażemy mu jeszcze jeden film? Albo kreskówkę? — drwił Morgan. — Ech, babo, weź mu może jeszcze dupy daj, co?

Nim zdążyła odpowiedzieć, Clyde trzasnął pięścią w żuchwę Morgana. Ten jakby podskoczył, obrócił się na pięcie i padł na twarz prosto w kupę gówien tuż przy zadzie martwego muła.

— Prosił, prosił, aż wyprosił — mruknął Clyde.

— Dajcie mu z pół minuty. A potem obróćcie na plecy, żeby się nie udusił — poradziła Słonko.

— Ej, ludzie widzieli, co żeś zrobił, Clyde — stwierdził Kukuryk. — Widzieli, żeś uderzył funkcjonariusza na służbie.

— Niby tak — odparł Clyde. — Ale skoro i ja jestem poniekąd funkcjonariusz, to jakby trochę inna bajka.

Wsiowy przykłusował przez błoto z talerzem przykrytym serwetką w czerwono-białą kratkę.

— Musiałem ją buchnąć facetowi z talerza. Się nie cieszył. No i nie mam nic do picia. Tylko kurczak i suchary.

— Dawaj. — I Słonko ruszyła z powrotem do kina.

— A temu Morganowi co się stało? — zdziwił się Wsiowy.

— Zemdłał — wyjaśnił Clyde.

Gdy Słonko zniknęła za drzwiami kina, Kukuryk odezwał się: — Na moje oko Morgan leży już w tym gównie dobrą minutę, albo i dwie.

— No tak by to chyba było — przyznał Clyde.

— To powinniśmy go obrócić.

— Się zastanowię...

W kinie Słonko podała Okopconemu kurczaka i suchary. Wziął talerz i zaczął jeść, wciąż wpatrzony w film. Słonko też spojrzała na ekran, ale nic nie słyszała. Uszy odmówiły posłuszeństwa. Wszystkie myśli krążyły wokół Okopconego i jego strzelby. Po cichu wyciągnęła pistolet, położyła go sobie na podołku i nakryła dłonią.

Gdy film się skończył, Okopcony odłożył talerz na podłogę w przejściu, wstał i oddał Słonku strzelbę.

— Zresztą i tak nie była nabita — przyznał. — Jakby była, sam bym się zastrzelił. Miałem tylko tyle naboju, co żem użył. A że strzeliłem w szeryfa, to żałuję.

— No to wychodzimy, Okopcony.

— Ale przynajmniej żem sobie film obejrzał.

— To fakt.

— Może powinienem wyłączyć projektor?

— Nie, nie trzeba. Ktoś się tym zajmie.

Ruszyli do wyjścia z sali. Przy drzwiach kina Okopcony zatrzymał się nad zwłokami szeryfa.

— To poszło w mgnieniu oka — mruknął. — Poderwałem lufę i zastrzeliłem go, zupełnie bez namysłu.

Kiedy tak stali, Słonko zawołała: — Clyde! Wsiowy! Chodźcie no tutaj, pomożecie.

Clyde i Wsiowy poprowadzili Okopconego między sobą, aż dotarli do policyjnego samochodu, przy którym stał Kukuryk z pistoletem w dłoni. Morgan siedział już na chodniku. Wciąż miał twarz umazaną

mulim gównem. Macavee siedział z tyłu samochodu, oblepiony grubą warstwą błota.

— Wyglądają, jakby mieli grać czarnych w teatrzyku, tacy wymazani — stwierdził Okopcony.

— Zabieramy Okopconego — oznajmiła Kukurykowi Słonko.

— Dla mnie git — odparł.

Sięgnęła pod koszulę, wyciągnęła pałkę i oddała ją Clyde'owi. — Dobra, Okopcony, zbieramy się stąd — poleciała.

Ruszyli przez głębokie błoto, mijając pomrukujący tłumek białych i obserwujących sytuację w milczeniu Murzynów.

— Te wsioki i tak zaraz podjadą pod areszt, każą mnie wypuścić i zarzną — zapowiedział Okopcony.

— Ale to nie tu w areszcie będziesz siedział.

Zaprowadzili go do pickupa i posadzili na pace. Strzegł go Clyde, uzbrojony w strzelbę. Wsiowy zdołał wyjechać z miasta bez przesadnego znęcania się nad skrzynią biegów.

— Dzielnie się tam spisałaś — powiedział.

— Może.

— To gdzie go wieziemy?

— Do Tyler.

— Bardzo dzielna z ciebie kobieta — Wsiowy puścił dźwignię biegów i dotknął dłoni Słonka.

Do Tyler był kawał drogi i zanim uporali się z odstawieniem Okopconego do więzienia, zrobiło się ciemno.

W drodze powrotnej kierowaniem zajął się Clyde, któremu nie przypadł do gustu styl jazdy Wsiowego. Kiedy zajechali na podwórze przed namiotem, reflektory pickupa oświetliły tego wielkiego, czarno-białego psa tuż przy pompie do studni. Zaraz też śmignął w las.

— Biedactwo — użaliła się Słonko. — Wystawię mu coś do jedzenia.

— Jak tak zrobisz, zostanie — wytknął Clyde.

— Pies to jeszcze nie tragedia.

Wsiowy wysiadł, wyciągnął rękę, żeby pomóc Słonku przy opuszczaniu kabiny.

— Pewnie zobaczymy się jutro — powiedział.

— Dobranoc, Słonko — zawołał Clyde.

— Kiepski ze mnie policjant, jak muszę jeździć pożyczonym pick-upem — stwierdziła. — A gdyby coś złego stało się nocą?

— Oby nie — odparł Clyde. — Ej, Wsiowy. Jedziemy. Muszę się kimnąć. A jak będziesz tak długo ścisłał jej dłoń, to jeszcze odpadnie.

— No to do jutra — powtórzył Wsiowy. I pojechał z Clyde'em.

Słonko zauważyła, że pies leży pod wielkim dębem, opierając łeb na przednich łapach i patrząc na nią.

— Chodź tu — zawołała. — Chodź, piesku. Ani drgnął.

Powoli przeszła w jego stronę — wciąż nie ruszył się z miejsca. Lecz gdy dzieliło ich może pięć kroków, zerwał się z warknięciem i umknął w las.

Słonko westchnęła i zadarła głowę, wpatrując się w gwiazdy widoczne wysoko nad wierzchołkami drzew. Skoro już przestało padać, z nieba znikły wszystkie chmury i gwiazdy były wyraźnie widoczne, lśniące niczym oczy noworodka. Słonko widziała gwiazdozbiory układające się na nieboskłonie, próbowała znaleźć Wielki Wóz, ale gałęzie przeszkadzały. Na niedużym wycinku nieba, jaki mogła dojrzeć, układał się z gwiazd pewien wzór, ale raczej nie był to Wielki Wóz, ani też zresztą Mały.

Pod namiotem Karen spała już w łóżku. Oddychała głośno, miarowo. Sukienkę, którą założyła dziś rano, przewiesiła przez oparcie krzesła. Sama leżała na materacu, nie wyściubiając nawet nosa spod kołdry. Na podłodze stała lampa, wypalając resztki nafty w zbiorniczku.

Słonko nie cierpiała widzieć, jak się niepotrzebnie marnuje naftę. Toż to drogie. Postanowiła jednak, że nie wspomni o tym Karen. No, chyba że znów się coś takiego zdarzy.

Ściągnęła koszulę i spódnicę, rzuciła je na krzesło, na którym wisiało ubranie Karen. Odpuściła sobie noszenie halek i gorsetów, budząc w okolicy nieliczne zgorzenie, ale uważała, że jako konstabl może znaleźć się w sytuacji, kiedy szybkie ruchy okażą się niezbędne, a nadmiar bielizny to uniemożliwiało. Wygodnie było sięść na skraju materaca tylko w biustonoszu i majtkach.

Wspominając wydarzenia dnia, aż zadygotała: Boże drogi, kobieto, co cię naszło, żeby tak kozaczyć? A gdyby Okopcony miał jeszcze jeden nabój i nie posłużył się nim przeciwko sobie? Co by było wtedy?

Zdmuchnęła lampę, wsunęła się pod kołdrę i spróbowała zasnąć, ale sen nie nadchodził.

Leżała więc tak przez jakiś czas, aż usłyszała, że coś porusza się dokoła namiotu. Podejrzewała, że to ten pies.

Narzuciła spódnicę i bluzkę, złapała pistolet i po cichu podkrađła się do kłapy namiotu, delikatnie ją rozsznurowała. Kilka razy odetchnęła głęboko, po czym odrzuciła płachtę płótna i boso wyszła w noc.

Psa nie usłwadczyła, ale dostrzegła pospiesznie znikającą wśród drzew sylwetkę. Mężczyzna. Bardzo duży mężczyzna. Słonko wrzasnęła: — A ty kto? — ale nie usłwiała żadnej odpowiedzi, tylko brzęczenie moskita.

Spojrzała w dół i ujrzała przy kłapie namiotu butelkę po mleku. Wewnątrz znajdował się zwitek papieru.

Słonko przez chwilę obserwowała jeszcze las, po czym podniosła butelkę, weszła do namiotu i zasznurowała kłapę. Przeszła do części biurowej za zasłónką z koców i kołder, odłóżyła rewolwer na stół, zapaliła lampę i wytrząsnęła z butelki zrolowaną kartkę.

Rozprostowała ją na blacie.

okopcony mi krewniak — mówieli mi, cożes zrobiela — dobrze zrobiela — dobrze zrobiela względem Okopconego — chop dostanie za swoje co jemu sie należy ale żeś względem niego dobrze zrobiela jak słowo i chcem żebyś wiedziela że jakby co to w razie poczeby mozesz na mie Uczyc w ruźnych sprawach — ja sie znam na ruźnych sprawach

Byku

Byku. Słwiała już, kim jest Byku. O ile to był ten sam facet, a prawie na pewno był. W końcu ilu może być Byków w tej okolicy? Nazywał się Byku Thomas, był wielkim Murzynem i mieszkał gdzieś w lesie. Powiadali, że ma dobrze ponad sześć stóp wzrostu i połowę tego w barach, a gdy ktoś znalazł w chaszczach ślady jego butów, miały ponoć rozmiar dwadzieścia dwa, jak nie więcej. Podobno właśnie dlatego sam je sobie szył. Słonko słwiała nawet pogłoski, że podzelaował je skórą zdartą z dupska białego człowieka. Facet wlaź na jego teren, więc Byku ustrzelił go i miał surowiec na buty.

Słonko uśmiechnęła się na myśl o tym. Któż mógłby być źródłem tej opowieści? Może sam ten biały mężczyzna? Został tylko ranny, a potem czołgał się przez krzaki z oskórowaną dupą, żeby opowiedzieć innym, co go spotkało?

Powiadali też, że Byku załóżył na swojej ziemi pułapki, i w samym domu również. Stało się to ponoć kilka lat temu, kiedy miejscowi członkowie Klanu uznali, że czas mu przytrzeć nosa. Pojechali konno przez

gęsty las, żeby dać czarnuchowi lekcję w jego własnym domu. Jeden koń wdepnął w paść i trzeba go było na miejscu przystrzelić. Jeden Rycerz Białego Goździka wpadł w wilczy dół i złamał sobie nogę, innemu Byku wpackował kulę w ramię.

Ku-Klux-Klan uznał, że Byku cokolwiek ich przerósł, i dali mu spokój, tym bardziej że Byku przesłał wiadomość: jeśli zobaczy ich jeszcze raz, będzie strzelał tak, żeby zabić, bo nie boi się koleśi przebranych w prześcieradła, sam też ma pościel i dość rozumu w głowie, żeby wiedzieć, co się kładzie na łóżko, a co zakłada na grzbiet.

Byku był jedynym znanym Słonku kolorowym, który mógłby powiedzieć białemu coś takiego bez ryzyka dla zdrowia i życia. Po części dlatego, że trzymał się w tych swoich lasach, na własnym, zabezpieczonym pułapkami kawałku ziemi, ale też po prostu w ogóle niczego się nie bał, a zaczepiony oddawał, no a wielu białym zależało zresztą na tym, żeby był zdrow i zadowolony z życia, bo pędził ponoć najlepszą gorzałę w okolicy.

Słonko zrolowała kartkę i wepchnęła ją z powrotem do butelki. Wzięła latarkę, zdmuchnęła płomyk w lampie, przeszła na drugą stronę namiotu i zaczęła szperać w zapasach. Znalazła trochę zeschniętych racuchów kukurydzianych, które kiedyś nasmażyła, i wyniosła je na dwór, pod ten dąb, gdzie po raz ostatni widziała psa.

Położyła racuchy na ziemi, zawołała psa, ale nie przyszedł. Nie pojawił się, nie słyszała, żeby się zbliżał. Zebrała placki, wróciła do namiotu, rozebrała się i położyła spać, z pistoletem u boku.

Minął dłuższy czas, nim faktycznie zapadła w sen, śniąc o tym biednym dziecku i o tym, czemu właściwie Pete zawracał sobie głowę jego pogrzebem. Śnił się jej film z braćmi Marx, Okopcony i jego strzelba, nieszczęsny szeryf, czy raczej jego zwłoki, i biedny, zastrzelony muł. Raz za razem widziała siebie samą, jak wyciąga pistolet, tak błyskawicznie, i bije w zaczep żuchwy Macavee'ego, a ten wali się w błoto twarzą naprzód, a potem jak Morgan dostaje w dźiąsło od Clyde'a i pada prosto w to, co muł wycisnął ze zwieracza.

Zadygotała lekko przez sen, zachichotała.

Tak około świtu Słonko obróciła się na materacu i zobaczyła, że pies leży z łbem leciutko wsuniętym pod klapę namiotu. Opierał pysk na łapach i patrzył na nią.

Powoli wstała.

Pies uniósł łeb.

— Spokojnie, mały — powiedziała.

Podchodziła coraz bliżej, wyciągając ku niemu dłoń. Im bardziej się zbliżała, tym bardziej pies cofał się z namiotu.

Zebrała te racuchy, które znalazła dla niego w nocy, rozsznurowała klapę i wyszła na dwór. Pies znów leżał na ziemi, z pyskiem na łapach.

Słonko wyciągnęła ku niemu prawą dłoń, a w niej placek. Resztę ścisnęła w lewej ręce.

— Już dobrze — powiedziała. — Wiem, jak to jest stracić rodzinę. Jak ci uciekną. Fakt, że ty pewnie do nikogo ze swoich nie strzelałeś, co?

Pies spojrzał na nią, zakolebał łbem na boki, chapnął placek, cofnął się i połknął całego.

Słonko wyciągnęła dłoń z kolejnym racuchem. Pies podszedł ostrożnie, wziął jedzenie. Tym razem się nie cofnął. Dała mu jeszcze jeden placek. I kolejny. Nim nakarmiła go ostatnim racuchem, mogła już wyciągnąć dłoń i pogłaskać go po łbie.

— Chciałbyś być moim psem? Ja cię nigdy nie porzucę. Słowo. Polizał ją po dłoni.

Gdy Karen się obudziła, Słonko była już ubrana i zajęta robieniem śniadania. Smażyła naleśniki. Nalała też do patelni trochę melasy i podgrzewała ją na piecu.

U jej stóp, na podłodze, leżał ten wielki pies.

Słonko obróciła się, zauważyła, że córka wstaje z pośłania, i powiedziała: — Spokojnie. On wciąż jeszcze jest trochę nerwowy.

— Ale nie chapnie?

— Każdy pies czasem ugryzie.

— Ale mnie nie chapnie?

— Jeśli będziesz grzeczna, to nie. Nie wystrasz go.

— Nie wygląda na bojącego się mnie.

Słonko uśmiechnęła się. — Zabrakło nam masła. Ale syrop jest już ciepły. Zaraz będzie śniadanie.

— Zatrzymamy tego psa?

— No. Tak mu obiecałam. Tyle już przeżył złamanych obietnic.

— Jak się wabi?

— Chyba Ben. Tak mówił Clyde, jak się nie mylę. W każdym razie ja będę na niego wołać „Ben”. Twój tata nigdy nie pozwalał nam wziąć psa.

— Ja też zawsze chciałam pieska.

— No, ten to wielkie, stare bydlę, nie? Karen pokiwała głową, powoli wstała z łóżka.

— Wyciągnij rękę, tak swobodnie — poradziła Słonko. — Podejdź do niego powoli.

Córka wykonała polecenie. Pies wstał i polizał jej dłoń.

— Lubi mnie! — ucieszyła się Karen.

— Bo jest za co.

Karen pochyliła się, uściskała psa. Ten wylizał jej ucho.

— Cześć, Ben — powiedziała.

— Umyj ręce przed jedzeniem — poleciła wtedy Słonko.

12

Po mniej więcej tygodniu roboty, polegającej zasadniczo na kręceniu się koło namiotu Słonka z przerwami na doręczenie jednego zawiadomienia o zajęciu komorniczym i pogonienie jednego pijaczka ze sklepu w osadzie Rapture po bijatyce, Clyde obudził się w swoim zapadniętym łóżku, myśląc o Słonku. Śnił o niej, we śnie była nawet jego kobietą, ale tak naprawdę w życiu nie osiągnąłby tego celu. Nie wtedy, gdy w jej pobliżu był też Wsiowy.

Raz śniło mu się nawet, że zabił Wsiowego, zatłukł go na śmierć kurczakiem, a potem pochował trupa wraz z ptasim truchłem na podwórzu. Ten sen podobał mu się niemal tak bardzo, jak tamten, w którym Słonko go pokochała.

Clyde usiadł na brzegu łóżka, rozejrzał się po pokoju. Wszędzie gazety i inny chłam. Ledwie ścieżka przetarta od łóżka do drzwi. A cała reszta domu wyglądała tak samo. Albo i gorzej.

Kurde, co mu się uroiło, że zdoła zrobić na kobiecie dobre wrażenie, choć jego dom wygląda jak kupa gnoju. Ba, sam przypominał kupę gnoju. Można sobie w gnoju rzeźbić, jak tylko serce zagra, układać go w przeróżne kształty, ale w ostatecznym rozrachunku, choćby człowiek pękł, kupa gnoju to kupa gnoju i cześć.

Jakoś nigdy nie wpadł przedtem na to, żeby coś z tym fantem zrobić.

Aż tu nagle, kiedy Słonko zabiła męża, poczuł jakby wiatr ciągnący od otwartych drzwi — drzwi, przez które sam chciałby przejść.

Drzwi, za którymi był pokój w sam raz dla niego i Słonka. Wcześniej taka możliwość nie istniała, ale teraz...

Pragnął tej kobiety. I chciał, żeby ona pragnęła jego. Po raz pierwszy od lat zaczął się przejmować tym, jak wyglądała jego chata i on sam. A już Wsiowy wpędzał go w ciężki stres. Skurczybyk mógłby się wytarzać w błocie i wciąż byłby śliczny. Normalnie jakby Pan Bóg stworzył go do podrywania babek. Taki smukły przystojniak, gęste włosy, bez kłaków w nosie, uszach czy na plecach. Pewnie nawet jajca miał gładziutki.

Clyde naciągnął portki i ruszył między papierzyskami do izby, w której spał Wsiowy. Pokój był spory, ale nazbierało się tam tyle przeróżnego chlamu, że wyglądał na malutki. Sam Clyde nie miał już pojęcia, co to było za barachło i po co je tu trzymał.

Wsiowy spał na materacu na podłodze. Obok stał wielki gar, wciąż pełen wody, która nakapała z sufitu podczas ostatniej ulewy. Potopiło się w tym garze od czorta owadów. Wyglądało to obrzydliwie. Clyde nigdy przedtem nie pomyślał nawet, że to obrzydliwe. Ale teraz to zauważył. Ohyda.

— Może byś tak wziął i wstał — odezwał się.

Wsiowy powoli obrócił się na plecy, zamrugał. — Już czas?

— Dziś idziesz sam. Powiedz Słonku, że potrzebuję trochę wolnego, ale wróć. Nie rzucam tej roboty, nic z tych rzeczy. A jakby mnie bardzo potrzebowała, przyjedźcie. Weź pickupa.

Kiedy Wsiowy pojechał, Clyde stanął na podwórzu, wpatrując się w ten stary, sterany dom. W końcu wszedł do środka, ale zaraz wrócił, ciągnąc za sobą zachomikowaną plandekę. Tu i ówdzie płótno sparciało, ale zasadniczo trzymało się nieźle, więc rozciągnął je między pniami drzew i zaczął wynosić z domu inne rzeczy, które uznał za przydatne: broń, amunicję, garnki, patelnie, latarnie i takie tam. Wszystko ładowało pod plandekę.

Zeszło mu na to pół dnia, nim się zorientował, że zasadniczo taszczy na dwór wszystko, co miał w domu, a to zupełnie nie rozwiązywało problemu.

Zastanowił się nad tym przez chwilę, zaniósł to i owo z powrotem, wyszedł na dwór i wetknął palec w usta, żeby go zwilżyć, po czym uniósł go nad głowę. Praktycznie zero wiatru.

Wrócił do domu, znalazł zapałki i posłużył się jedną, by podpalić pryzmę gazet. Papier tak już przerósł grzybem i pozlepił się, że pło-

mień zgasł. Clyde wyszukał bańkę nafty i rozlał ją po domu, wędrując krętym szlakiem. W końcu, przy drzwiach na dwór, rzucił w płyn kolejną zapalną.

A potem stał na dworze i obserwował, z nadzieją, że wiatr się nie zmieni i nie poniesie pożogi w las. Aż się zdziwił, że chata tak szybko stanęła w płomieniach. Języki ognia niemal od razu pojawiły się w otwartych drzwiach i pomiędzy szpiculcami wybitych szyb. Wewnątrz coś potrzaskiwało, buchało. Wszystkie wiadomości, jakie wydrukowano w ciągu ostatniej dekady, poszły właśnie ekspresem do bogów, zostawiając po sobie tylko smugę dymu.

Ogień strzelił przez dziury w dachu, gonty zaraz zajęły się płomieniem i na chacie osiadł falujący kapelusz pożogi, a czarny dym walił z wszystkich otworów i komina. W oknach potrzaskały ostatnie szyby. Nie minęła godzina, a dom spłonął ze szczeniem, nie licząc komina, bo ten, straciwszy podporę, runął na ziemię z gromkim hukiem, syjąc cegłami we wszystkie strony. Od podłożenia ognia do chwili, gdy ostatnie płomienie pełgały po szerniałych belkach pośród odłamków szkła i popękanych cegieł, minęły może dwie godziny.

W końcu Clyde wyciągnął spod plandeki szpadel, który tam zabezpieczył, poszedł na pogorzelnisko i zaczął rozgrzebywać zgliszczka, żeby płomienie prędzej dogasły. Naciągnął wody ze studni i lał ją całymi wiadrkami w miejsca, które uznał za potencjalnie niebezpieczne, grożące, że w razie zostawienia ich bez nadzoru znów mogłyby stać się zarzewiem.

Krzesa także zachował, ustawivszy je pod plandeką, więc teraz wybrał sobie jedno i uraczył się łykiem z czegoś jeszcze, co sobie zostawił — butelki whisky. Tania berbelucha, smak zdradzał to jednoznacznie, ani trochę słodczy, sam ogień. Późnym popołudniem uznał jednak, że smakuje w sam raz, więc osuszył flaszka i zasnął na krześle.

Śnił, obmyślając sobie plany nowej sadyby. Postawi nową chatę. Taką bez gazet i innego śmiecia, bez pleśni i grzyba, ciekącego dachu i smrodu jak w kurniku. To będzie nowiutki dom, pobielony, z porządnym dachem i kominem jak spod igły, z czerwonej cegły obrzuconej tynkiem.

Spał i marzył, że i samego siebie spali i odbuduje, może na obraz i podobieństwo Wsiowego.

Da się kupić plany takiej przebudowy?

Dym z czarnego stał się siwy i nie bił już warkoczami, ale pykał kłębkami, a zaraz nawet i to się skończyło, ale później, po południu,

gdy Clyde wciąż spał, nadszedł lekki deszcz, wzburzył popioły i znów się zakopciło.

Błyskawice trzaskały i grzmiały, a Clyde nie miał o tym najmniejszego pojęcia.

Kiedy tak chrapał pod plandeką, a deszcz padał na pozostałości jego domu, Zendo podjechał swoim pickupem pod namiot Słonka.

Wysiadł z samochodu, ostrożnie podszedł do namiotu. Nie tknął klapy. Zachowując pełen szacunku dystans, zawołał: — Pani konstabl! Pani Jones!

Słonko, Wsiowy i Karen siedzieli w części biurowej i grali w karty. Na okrzyk Zenda wstali i wyszli na dwór. Mżyło.

Zendo cofnął się już do samochodu — kręcił trzymanym w dłoniach kapeluszem jak kierownicą. Deszcz ściekał mu po twarzy, przemoczył ubranie.

— Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha, Zendo — odezwała się Słonko.

— Nie, psze pani. Nie ducha. Żem zobaczył coś o wiele gorszego.

Karen, ku swemu wielkiemu oburzeniu, musiała zostać w namiocie. Słonko i Wsiowy pojechali za Zendem w pickupie Clyde'a. Wsiowy prowadził. Podjechali pod to drzewo, gdzie po raz pierwszy rozmawiali z Zendem, zatrzymali samochody i wysiedli.

Przed wyjazdem do Słonka Zendo wyprzągł muły i uwiązał je do dwóch różnych drzew niedaleko tego dębu, żeby się nie zaplątały. Obok leżał pług z zamocowanym średnim lemieszem.

Zendo podszedł do Słonka i Wsiowego. — No to ja teraz pokażę, co i jak.

Ruszył w pole, a oni za nim.

— Sobie pomyślałem, że warto by zaorać jeszcze kawałek tej mojej ziemi. Tak jeszcze kilka redlin bliżej pod las, aż tam, gdzie znalazłem tamto dziecko, no i wtedy żem się w to worałem...

Pokazał palcem.

Słonko i Wsiowy spojrzeli na ziemię. Wystawał z niej ciemny, owalny przedmiot, po wierzchu pokryty czymś włóknistym i jakby zaolejonym. Lemiesz rozłupał to coś, odsłaniając ciemne wnętrze z zawartością przypominającą stary, zamokły kapok.

— To jakieś warzywo? — spytał Wsiowy.

— Nie, psze pana, żadna roślina — odparł Zendo. — Podejdźcie no tu bliżej. Zrobili, jak radził. — I teraz popatrzcie.

Słonko przykucnęła, przekrzywiła głowę. W tej wielkiej bulwie był oczodół. Wypełniony czarnoziemem. Poniżej znajdował się nos zeschnięty jak płetwa, a jeszcze niżej wargę, której kawałka brakowało, a reszta wykręciła się niczym robak zaschnięty na rozgrzanej kuchennej płycie. Podgięła się tak, że Słonko widziała też ubabrane ziemią zęby.

— Boże drogi — powiedziała.

— Znaczy, to nie melon? — upewnił się Wsiowy.

— Nie — odparła.

— Żaden melon — potwierdził Zendo.

Wsiowy nachylił się, przyjrzał i stwierdził: — Faktycznie. Nie melon.

Robota była długa, mozolna i wymagająca ostrożności, bo od zwłok czasem coś odpadało, ale gdy już wykopali ciało, okazało się, że pochowano je tu pionowo, jakby ktoś wkopał słupek.

Zwłoki lepily się od jakiejś czarnej substancji. — Tak samo było z tym dzieckiem w dzbanie — powiedział Zendo. — Całe jak w ropie.

— Znaczy, że co? Masz to w ziemi? — spytał Wsiowy. — Ropa w ziemi?

— W tej ziemi nie ma żadnej ropy — odparł farmer.

— Nie ma robactwa — zauważyła Słonko. — Więc może były tu od niedawna.

— To pewnie przez tę ropę. Przez nią i ciało tak szybko nie zgniło. Znaczy, nie całe. A robale zjadły, co chciały, a resztę zostawiły.

— Kto by pomyślał, że robale wybrzydzą — prychnął Wsiowy.

— Przy takiej pogodzie, z tymi upałami, i tak w głowie się nie mieści, że nie zostały same kości — mruknęła Słonko.

— A kto to może wiedzieć, co też się porobi przy takiej pogodzie, a co nie — powiedział Zendo.

— Na trupie nie ma ubrania, a i tak nie widzę, czy to był mężczyzna, czy kobieta — stwierdził Wsiowy.

— Kobieta — oznajmił Zendo.

— A skąd wiesz?

— Kości w biodrach takie rozłożyste — wyjaśnił farmer. — Pewnie miała dzieciaka.

— Ciekawe, biała czy czarna — zastanawiała się Słonko.

— Biała była — odparł Zendo. — To co tam ma na głowie, to nie włosy kolorowej kobity.

Słonko ujęła kosmyk włosów, potarła je między kciukiem a palcem wskazującym. Choć pozlepiane ropą, były jedwabiste, proste.

— Chyba masz rację, Zendo. Znalazłbyś może jakiś stary koc albo prześcieradło? Coś, żeby się dało zabrać w tym trupa?

— Mogę podjechać do domu, poszukać.

— Mógłbyś?

Gdy farmer odjechał, Wsiowy mruknął: — Kurde, jaki on pewny, że to biała kobieta. Ja tam patrzę i widzę właściwie tylko kawał zgniłego mięsa. A on wie, że to kobita, i do tego biała.

— Myślisz, że jakby to była jego robota, to sam by po nas przyjechał?

— Może chce nas zbić z tropu.

— Nie — uznała Słonko. — Sam się tym zdenerwował, telepie go tak samo jak nas.

— Zabójca może mieć wyrzuty sumienia po tym, co zrobił... Jak myślisz, o co idzie z tą ropą?

— Nie mam pojęcia — pokręciła głową. — Dziwna rzecz. To dziecko też było całe w ropie. Nie wiem, o co tu może chodzić. Tylko czemu, cholera, zakopali ich tutaj, na ziemi Zenda?

— Za dużo w tobie łatwowierności, Słonko.

— No ja nie wiem, czy wciąż jestem taka łatwowierna.

— I uważaj na Zenda. Ja tam mu nie ufam.

— A moim zdaniem jest w porządku. Zabieramy stąd ciało, ale nikomu nie mówimy nic na temat Zenda ani gdzie żeśmy je znaleźli. Póki co, gadka jest krótka: tajemnica dochodzenia. Dobra?

— W porządku.

Czekali może kwadrans, nim Zendo przyjechał z powrotem. Dał im wystrzępioną patchworkową narzutę. — Była u psa, żeby miał na czym leżeć. Nie chciałem brać niczego nowego. Może być?

— Pewnie — odparła Słonko. — Ona się nie obrazi.

Zdołali zawinąć ciało w narzutę, załadowali je na pakę pickupa Clyde'a i zawieźli do osady Rapture. Wielebnego Williego Fixxa zastali w domu, przy posiłku.

— No proszę — powiedział pastor, otwierając im drzwi. Wargi lśniły mu od tłustego jedzenia, a oczy powędrowały wzdłuż ciała Słon-

ka od czubka głowy do stóp i z powrotem. — Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, pani Jones? Ochrzcić się pani przyszła? Bo coś mnie się widzi, że wcześniej pani nie chrzcili, nawet za bobasa. Mam tu taką szatę, może pani założyć, pójdziemy do strumienia w głębsze miejsce i załatwimy sprawę.

— Przyszliśmy tu służbowo. To zastępca konstabla, Wsiowy.

— Wsiowy — powtórzył Willie. — Właśnie próbowałem sobie przypomnieć, jak pana wołają. Myślałem, że Łazęga.

— O nie — odparł Wsiowy. — To byłby mój normalny zawód.

— Służbowo, powiadacie — podjął Willie.

— Zgadza się — powiedziała Słonko. — Nikt inny mi nie przyszedł do głowy, bo wielebny przygotowuje ciała do pogrzebu. No ale może trzeba było podjechać do doktora. Sama nie wiem.

— Przywieźliście trupa? Słonko przytaknęła.

— Kto to taki?

— Nie wiemy — odparła. — Myślałam, że może wielebny nam z tym pomoże. Że się dowiemy, jak zginęła, kim była.

— Ciało jest takie więcej sponiewierane — dorzucił Wsiowy. — Nawet nie wiemy, czy to mężczyzna, czy kobieta, i jaki miał kolor skóry.

— Gdzieżeście je znaleźli?

— Póki co, wołałabym nie mówić. Sprawa służbowa.

— Cóż, właśnie kończę kolację.

— Poczekamy.

— To podwieźcie ciało na tył domu. Wiecie gdzie?

— Chyba tak — odparła Słonko.

Willie wrócił do stołu, a Słonko i Wsiowy do pickupa. Wsiowy zajechał na tył domu. Była tam weranda pod niskim dachem i rozłożyste drzewo orzesznika, dające dużo cienia. Wyszli i stanęli między autem a drzewem, Słonko oparła się o pień. Wsiowy stał bardzo blisko niej, a w końcu powoli nachylił ku niej głowę i się pocałowali.

— Już dawno chciałem to zrobić — wyznał.

— A ja chciałam, żebyś to zrobił. Ale nie tu. Nie teraz. Odwzajemniła jednak pocałunek.

— To będzie nam musiało wystarczyć na dłużej.

— No chyba tak — przyznał Wsiowy. — Ty drzysz...

— Ano, chyba tak.

Może pięć minut później z tylnych drzwi wyłonił się Willie, ocierając usta rękawem. Zajrzał na pakę pickupa, gdzie leżały zawinięte w narzutę zwłoki.

— Wonieje, że ho, ho — rzucił, rozwijając materiał. — Oj tak. Trup jak ta lala. Czyli co, nie wiecie, czy biały, czy smoluch?

— Nie — odparł Wsiowy. — Całe ciało jest wymazane ropą, stąd ten ciemny kolor. No i, prawda, mięso już mocno zgniło.

— Niech no spojrzę. No, bankowo kobieta. Widać, bo miednica szeroka.

Słonko spojrzała na Wsiowego. Ten wzruszył ramionami.

— Zobaczmy dalej — Willie wspiał się na pakę. — Oczu już nie ma, ale chyba zostało jeszcze trochę włosów.

Ujął kosmyk między kciukiem a palcem wskazującym. — Jak na czarną byłyby strasznie delikatne. Na moje oko była biała. W sumie powinienem się za nią pomodlić, jak była biała.

— A jeśli jednak kolorowa? — spytała Słonko.

— I tak nie zaszkodzi. Ba, cholera, nawet nad zdechłym psem nie zawadzi się pomodlić, tyle że te, jak zdechną, to już się nigdzie nie wybierają. Weźcie ją wnieście do domu.

Wsiowy i Słonko złapali narzutę za końce, ściągnęli zwłoki z paki samochodu i w ślad za Williem weszli do domu. Zaprowadził ich do pokoiku, gdzie oparte o ścianę stały trzy drewniane trumny, a na stole do balsamowania leżało trochę akcesoriów.

— Da się ustalić, kim była? — spytała Słonko.

— Żeby od razu wiedział, to nie. Trzeba inaczej, sprawdzić, kto zaginął. Sprawdzić, czy ktoś pasuje do opisu zwłok. Zmierzę wysokość i inne takie. Ale trzeba ją będzie pochować raz-dwa. Zresztą chyba wpierw żeście ją wykopali, nie? Ta ropa jest wymieszana z ziemią, i rozmazana po całym ciecie.

— Owszem — przyznała. — Wykopaliśmy ją.

— Może szybciej bym się domyślił, kto to, jakbyście mi powiedzieli, gdzieście ją znaleźli. Może nawet znałem kobietę.

— Z dala od osady — odparła Słonko. — Na zachód stąd, niedaleko lasu.

— Ta ziemia wygląda na ciemną, bo jest z ropą, ale na moje oko i tak była ciemna. Choć tylko po części. Po lewej stronie ciała ziemia jest ciemna, po prawej taka więcej jaśniejsza. A w tej okolicy jest jeden jedyny chłop, co ma taką glebę. Ten smoluch, Zendo. Więc widzi mi się, żeście tego trupa znaleźli na skraju jęgo pola, stąd ta ciemna ziemia

na lewym boku, a ta z drugiej strony to z ugoru. Ha, pewnie sam ją wy-orał...
znaczy, myślicie, że to Zendo ją załatwił?

— Ja niczego nie potwierdzam. Nie mówię, że Zendo ma z tym cokolwiek wspólnego.

— Kiedy ta gleba to jak jego podpis. Przecież każdy wie, że jakby ten czarnuch upuścił jajko w redlinę, wyrosłoby mu kurczakowe drzewo. Bez dwóch zdań, znaleźliście to ciało na jego polu.

— No dobra — ustąpiła Słonko. — Było na jego ziemi, ale musi mi wielebny uwierzyć na słowo: Zendo nie miał z tym nic wspólnego.

— Aby na pewno? — spytał Willie.

— No przecież mówię. I lepiej, żebym nie usłyszała od ludzi, że trupa znaleziono na polu Zenda, bo będę wiedziała, skąd poszła pogłoska.

— Chyba mi nie grozisz, co? — wyszczerzył się Willie.

— Nie ona. Ja — powiedział Wsiowy.

Willie popatrzył na niego przez dłuższą chwilę. — Nie mówiłem przecież, że będę rozpowiadał. No bezczelni jesteście.

— To z nerwów — odparła Słonko. — Miałam ciężki miesiąc.

— Ano pewnie tak — skostatował Willie i podał Wsiowemu dłoń. — Bez urazy.

Wsiowy uściśnął podaną rękę. — Ano bez. Ale lepiej, żeby nie było plotek.

Nie uważasz, że nieco przesadziłeś?

Wracali pickupem do namiotu Słonka.

— No, może — przyznał Wsiowy. — Ale ten jego sposób mówienia mnie drażnił.

— Sama umiem się bronić. Jak zaczniesz wstawiać się za mną, kiedy tego nie potrzebuję ani cię o to nie proszę, jeszcze sobie ludzie pomyślą, że nie umiem sobie poradzić z moimi zadaniami.

— No, po prostu nie lubię tego typu.

— Myślę, że z wzajemnością. Zresztą ja też chyba nie przypadłam mu do gustu.

— W gust to mu trafiłaś, i owszem. Widziałem, jak się na ciebie patrzył, szczególnie kiedy nie widziałaś, jak się gapi.

— A, to dlatego tak się zagotowałaś?

— Będę z tobą szczerzy do bólu, Słonko. Ni diabła nie jestem zazdrosny.

— Aha.

Gdy dojechali pod namiot, zastali Bena leżącego pod drzewem na grzbiecie, z łapami w powietrzu. Pies obrócił łeb, żeby spojrzeć na nich, ale już nie zachowywał się tak jak przedtem — nie spłoszył się, nie uciekł.

— Żeś go rozpieściła — stwierdził Wsiowy.

— No mam nadzieję. Dość już miał nędznego życia. Zresztą ja też. W namiocie powitała ich Karen, świeżo wykąpana, ładnie ubrana, uczesana i pachnąca.

— No, jak taka dama! — zawołał Wsiowy.

Miał rację. Karen wyglądała na starszą niż w rzeczywistości. Czarne włosy rozpuściła jak matka, a jej ciemne oczy lśniły jak wypucowane.

— Oj nie, tak tylko coś na siebie narzuciłam. Wsiowy wyszczerzył się do dziewczyny.

— Chyba pójde zaraz porobić notatki — oznajmiła Słonko. — Tak zawsze robił Pete. Na moje oko niezły pomysł.

— A co żeście widzieli? — spytała Karen.

— Zwłoki — odparła Słonko. — I nic więcej nie wiemy.

— Tak sobie pomyślałam, że mogłabym pójść na spacer — stwierdziła wtedy Karen. — Chciałbyś się przejść, Wsiowy?

— A chętnie się z tobą przejdę. W końcu nie będę robił żadnych notatek.

— Uważajcie tylko na węże — ostrzegła ich Słonko.

W namiocie wyciągnęła notatki Pete'a na temat trupka dziecka odkrytego na polu Zenda. Wróciła myślami do zwłok, które znaleźli. Wydawało się oczywiste, że obie sprawy są ze sobą powiązane. Tylko jak?

Kim była ta kobieta, którą dziś wykopali?

No i dziecko. Czyje było? Czarne czy białe?

Czy Zendo wiedział coś więcej, niż im mówił?

Nie. To jej nie pasowało. Wydawało się, że Zendo był autentycznie wytrącony z równowagi. Oczywiście mógł udawać, ale Słonko nie przypuszczała, by tak się rzeczy miały. Zgłoszenie znalezionej ciała mogłoby posłużyć dla zmylenia tropów białemu, ale w przypadku kolorowego... nie, to już tak nie działało. Nie w okolicy, gdzie czarnych automatycznie uznawano za winnych.

Więc nie. Zendo naprawdę starał się postępować po bożemu.

Czy kobieta była matką tego dziecka? A jeśli tak, czemu oba ciała znaleziono w tak znacznym odstępie czasu? O co chodziło z tą ropą? Czemu pole Zenda?

No i dlaczego w ogóle ktoś pochował tę kobietę w pionie, jakby wkopał słup?

Słonko bębniła ołówkiem po blacie, aż wreszcie przysunęła sobie kartkę i zaczęła spisywać wydarzenia tego dnia. Próbowwała przypomnieć sobie wszystko, co się wydarzyło, każde wypowiedziane słowo.

Kończyła pisać z dręczącym poczuciem, że nie ma bladego pojęcia, co dalej zrobić z tym dochodzeniem.

Dochodzenie...

Jasny szlag, pomyślała. Prowadzę dochodzenie. Normalnie jak detektyw.

A do diabła. Ja tu jestem prawem. Ja. Słonko Jones. Przedstawiciel prawa. Konstabl Słonko, kij wam w oko. Ale wciąż nie wiedziała, co dalej.

13

Clyde ocknął się, z bólem głowy i wiercącym w nosie smrodem spalenizny, bo zaczął trzeźwieć. Spojrzał na szczątki domu. Nie był już tak szczęśliwy ze spalenia własnej chaty, ale też nie przygnębiony.

W każdym razie nie bardziej, niż zanim podłożył ogień.

Wystarczyło, że pomyślał o Słonku i uświadomił sobie, że szanse na ich bycie razem były mniej więcej takie, jak na to, że ustrzelona kaczka spadłaby na ziemię już wypatroszona, oskubana i gotowa do jedzenia.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się dymiącym zgłiszczom, po czym wstał. A wtedy poczuł się tak, jakby jego ciało przeszyła kula i na wylocie urwała mu kawał ciemienia.

Ta whisky.

To był kiepski pomysł, uznał. To był kiepski pomysł.

Posiedział więc jeszcze trochę, ale kiedy zrobiło się chłodniej, zaczął się wiercić, nabrał sił i odwagi, by znów spróbować wstać. Podszedł do studni, wyciągnął wiadro wody i wylał je sobie na głowę. Powtórzył zabieg. Nabrał jeszcze trochę, napił się prosto z wiadra, a resztę znów wylał na głowę.

Z kieszeni wyjął grzebień i po omacku przeczesał sobie włosy z nadzieją, że końcowy rezultat nie wygląda zbyt śmiesznie. Ruszył ścieżką wiodącą ku drodze. Wcale tego nie planował, ale nagle zaczął iść całkiem zwawym krokiem. A gdy tak szedł, głowa jakby mu się gibała, zupełnie jak gdyby nie za pewnie trzymała się na szyi. Clyde miał wrażenie, że ktoś urządził rodeo wewnątrz jego czaszki.

Dzień był tak upalny, że włosy Clyde'a zaczęły już dosychać, nim dotarł do drogi. Na długo przed dojściem do celu wyschła mu też zalana koszula i spodnie.

Minęły ze dwie godziny, nim odległość dzieląca go od namiotu Słonka zmalała do rozsądnych rozmiarów. Już miał pokonać zakręt przed ostatnią prostą, gdy zobaczył, jak z lasu wychodzi Wsiowy, a Karen obok niego.

Wsiowy uśmiechał się, zaś Karen śmiała się w głos. Zatrzymali się na poboczu i Wsiowy otrzepał plecy jej sukienki z patyków i liści, a gdy skończył, Karen pochyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek. Wsiowy ujął jej dłoń, przytrzymał, a dziewczyna w końcu odchyliła się od niego, pozwalając mu jednak trzymać się za rękę, póki już nie dało się przedłużyć tego uścisku. Wtedy skierowała się ku namiotowi.

Wsiowy przez chwilę stał nieruchomo i odprowadzał Karen wzrokiem. Potem, gdy już znikła za zakrętem, obrócił się, rozpiął spodnie i zaczął sikać.

Clyde, który zatrzymał się na poboczu, po części ukryty w cieniu, umknął ich uwadze.

Odczekał chwilę, a gdy Wsiowy zapiął spodnie, wyłonił się z ukrycia i podszedł do niego.

— Ej, cholera, a co ty tu robisz? — spytał Wsiowy.

— Idę drogą.

— No, to widzę. A czemu?

— Spaliłem sobie chatę.

— Co?

— Spaliłem dom.

— A jak to się stało?

— Wziąłem i go podpaliłem.

— Podpaliłeś własny dom?

— No. Więc teraz nie masz dokąd wrócić, Wsiowy. Będziesz musiał sobie jakoś inaczej radzić. Mam tylko plandekę, a pod nią trochę moich rzeczy.

— Jak rany Julek, czemu żeś wziął sobie spalił chałupę?

— Bo już miałem jej dość... Widziałem właśnie, jak Karen cię pocałowała.
— Że co?
— Słyszałeś.
— Oj, takie niewinne cmoknięcie w policzek.
— Mnie tam to raczej wyglądało na podziękowanie. Wiesz, o co mi chodzi.
— Tam do licha, dziewczyna ma już tyle lat, że sama może o sobie decydować.
— Ale jest na tyle młoda, że jak trafi na takiego wygadanego kolesia jak ty, to może się jej tylko wydawać, że o czymś decyduje, a tak naprawdę wszystkim kręcisz ty.

— Powiedziałem, że ma już dość lat, a sam też mogę robić, co chcę, ale nie mówię, że do czegokolwiek doszło. Za szybko wyciągasz wnioski. Zresztą, psiakrew, jesteś wypity. Jedzie od ciebie jak od podłogi w knajpie.

— Słonko cię lubi.

— No wiem.

— Karen to jej córka.

— To też wiem.

— Trudno do ciebie dotrzeć, Wsiowy, co?

— Nie wiem, co masz na myśli.

— Nie masz żadnych uczuć?

— Całą masę.

— Tyle że tylko dla siebie samego.

— Każdy tak ma, Clyde. Wielu ludziom się wydaje, że są tacy hojni, innym dają pierwszeństwo przed sobą, ale naprawdę wcale tak nie jest. Wcale. Ja po prostu troszcę się o siebie. Jeśli dziewczyna chce dać mi całusa w policzek, czy cokolwiek innego, to już jej sprawa. A czy ja chcę jej na to pozwolić, to moja sprawa.

— Myślisz sobie, Wsiowy, że jesteś jakiś lepszy, co?

— Myślę, że jak coś trzeba, to się to robi. I tyle.

— Nie wracaj na noc do mnie.

— Nie mam po co. Przecież spaliłeś chatę. Pójdę sobie teraz na spacer. Powiedz Słonku, że będę z powrotem w trymiga. A skoro już macie pogadać, popytaj ją o to ciało, cośmy je dziś znaleźli.

— Jakie ciało?

Wsiowy wyszedł na drogę, zaczął się oddalać od namiotu Słonka, zatrzymał się jednak nagle, obrócił i powiedział: — Mam nadzieję, że

nie spaliłeś sobie domu tylko po to, żeby się mnie pozbyć. Bo nie musiałeś. Wystarczyłoby poprosić. A poza tym, nawet gdybyś chciał zacząć nowe życie, bo coś mi się widzi, że taki właśnie masz plan, to nawet ładnie ogolony i w nowym kapeluszu nie masz u niej szans, koleś. Bo wciąż będziesz sobą.

— Co ty tam wiesz — burknął Clyde.

— Akurat tyle to wiem, psiakrew.

Clyde dotarł w końcu pod namiot Słonka, a tam wyszedł doń Ben i go obwęchał. Clyde poklepał psa i wszedł do namiotu. Karen siedziała na krześle, trzymając na kolanach książkę. Patrzyła gdzieś w pustkę, z rozmarzoną miną. Nawet nie zauważyła Clyde'a, póki ten się do niej nie odezwał.

— A, cześć, Clyde. Mama jest po drugiej stronie.

Przeszedł za zasłonę i zobaczył Słonko przy stole, piszącą coś zawzięcie w notesie z żółtego papieru. Zerknęła na niego, gdy wszedł, uniosła palec w geście „poczekaj chwilę” i pisała dalej.

Clyde siadł sobie na krześle i obserwował ją przy tym zajęciu. Lubił na nią patrzeć praktycznie przy każdym zajęciu. Miała takie rude, długie i proste włosy, jak języki ognia, ale ich kolor był znacznie ładniejszy niż te płomienie, które wylizały mu chałupę do cna. Twarz miała gładką, rumiane policzki, a nos i usta takie, że piękniejszych chyba w życiu nie widział. Te usta naprawdę strasznie mu się podobały. W tym śnie z zeszłej nocy odgrywały bardzo ważną rolę. Podobało mu się nawet to, że stopy kryła w robociarskich buciorach: psiakość, takie drobne stopki w masywnych buciskach, normalnie śliczny widok. I ten szeroki pas od broni. Niby nic ślicznego, a jednak Clyde'owi nawet on się podobał. Pewnie nawet gdyby Słonko miała zniecka zgiąć się wpół i wypierdzieć kościelny psalm, przytupując do taktu, on i tak byłby zachwycony.

„Śliczna”. Nigdy przedtem o niczym nie myślał w ten sposób.

— Co jest, ognisko robiłeś? Wypalałeś chaszczę? — spytała.

— Coś w ten deseń. A Wsiowy mówił, że zaraz będzie z powrotem.

Pomyślał o tym, co zobaczył po drodze, i skonstatował, że tak naprawdę nie widział nic. Pomyślał sobie, że tak czy inaczej powinien jej o tym coś powiedzieć, ale nie miał pojęcia, od czego zacząć. Co takiego widział? Jednego całusa, i to w policzek.

— A Karen już wróciła? — spytała Słonko.

— No. Siedzi tam za zasłoną, czyta książkę. Wsiowy mówił, żebym cię spytał o ciało, co żeście je znaleźli.

— Właśnie o tym pisałam. Zendo znalazł trupa.

— Jeszcze jednego?

— Ale tym razem nie dzieciaka... — I opowiedziała mu o wszystkim. Kończąc, dodała: — Wsiowy myśli, że Zendo mógł być w to zamieszany.

— A skąd.

— To samo myślę.

— Zenda znam całe życie. Wsiowego raptem kilka tygodni. Wcale nie jest taki cwany, jak mu się wydaje. Jakbym chciał się czegoś dowiedzieć, prędzej spytałbym Zenda niż Wsiowego. Chyba że potrzebowalibyśmy lekcji wylegiwania się pod drzewem.

— Wygląda na całkiem bystrego.

Clyde odchrząknął głęboko z gardła, jak ktoś, kto właśnie się zorientował, że nakarmiono go końskimi pączkami. Doszedł jednak do wniosku, że nie ma sensu dalej gadać o Wsiowym. Pewnie robił z igły widły. Nie jego powinno się pytać o zdanie w temacie tego chłopaka.

— Zamordowano ją? — spytał zamiast tego.

— Tak sędzę. Pastor Willie ogląda ciało. Sama na pewno nie zakopła się tam na polu, ale nie potrafię powiedzieć, jak zginęła. Za mało zostało z tych zwłok. Może po prostu umarła i ktoś postanowił ją tam zasadzić jak kartofla, ale w to wątpię.

— A masz jakiś pomysł, żeby się wywieść, kto to zrobił?

— Ani jednego. Pomyślałam sobie, że zapiszę wszystko, co wiem, przejrzę akta Pete'a, może tam znajdę coś, co mi pomoże.

— Ze coś podobnego się już wydarzyło?

— No właśnie, Clyde, tak pomyślałam. Może coś takiego zdarzyło się już przedtem. Znaczący, w sumie to i owszem.

— To niemożliwe.

— No właśnie. Ale może jeszcze coś, co wyglądało podobnie. I może Pete wiedział, kto wtedy to zrobił, albo przynajmniej coś podejrzewał.

— Nie obłoby ci się to o uszy już wtedy?

— Pete nie o wszystkim mi mówił. Ale koniec końców, sprawdziłam, czy zdarzyły się wcześniej jakieś podobne sprawy, i na nic takiego nie trafiłam. A jedno muszę powiedzieć: Pete naprawdę przykładął się do spisywania tego, co robił jako konstabl. Psiakrew, z prawie wszystkiego robił notatki. Przeważnie krótkie, i pisał je tak, żeby sam wiedział, o co chodzi, żeby na przyszłość mógł tylko do nich zajrzeć i wszystko sobie przypomnieć. Czasem nie mam pojęcia, o co mu chodziło w niektórych zapiskach...

— Słonko, ty myślisz, że człowiek mógłby zacząć nowe życie?

— Że co?

— No, rozumiesz, odmienić swój los. Może osiągnąć coś lepszego.

— Nie no, wiesz, tej roboty nie stracisz, jak długo ja się na niej utrzymam. A to zawsze lepsze niż tartak, nie?

— Ale chodzi mi o prawdziwą zmianę, tak żeby człowiek sam się odmienił.

— No, mam nadzieję. Pewnie. Tak sędzę. Słowo daję, Clyde, musiałeś być koło jakiegoś wielkiego pożaru. Aż mi oczy łzawią.

— Że co?

— Mówię, że czuć od ciebie jak od ogniska.

— Tak wonię, bo spaliłem sobie chałupę.

Słonko rozdziawiła usta. Gdy zdołała już podnieść żuchwę do właściwej pozycji, stęknęła: — Rany Boskie. Co się stało?

— Wziąłem zapalki i tyle.

— Sam żeś to zrobił?

— Aha.

— Umyślnie?

— Bardziej umyślnie się nie dało.

— A gdzie się podzieje Wsiowy?

To pytanie przeszło mu serce niczym strzała.

— Nie wiem. Nie u mnie. A, psiakrew, co mnie obchodzi, gdzie się przytuli!

Mina Słonka nieco skwaśniała. — Masz jakieś problemy ze Wsiowym?

— Odrobinę.

Ben zaszczekał i zaraz pojawił się sam Wsiowy, odchylając zasłonkę z koca. Słonko spojrzała na niego. Clyde widział, jak jej twarz zajaśniała niczym latarnia zapalona w mrocznym, pozbawionym okien domu.

— Clyde spalił sobie dom — poinformowała Wsiowego Słonko. — Rozmyślnie.

— Aha. Słyszałem.

Obok Wsiowego wślizgnęła się Karen. — Że co zrobił? Słonko powtórzyła jeszcze raz to samo.

— Clyde, czemu żeś wziął i coś takiego zrobił?

— Żeby zacząć życie od nowa, złotko, i pozbyć się szczurów — odparł.

— Śmieszne — Karen uśmiechnęła się szeroko. — Spaliłeś cały" dom, żeby pogonić szczury?!

Clyde patrzył, jak Słonko przygląda się uśmiechowi Karen, i myślał sobie: „No tak, ten kawałek o szczurach nie był specjalnie śmieszny, co? Ale ten uśmiech to pierwszy taki prawdziwy na jej twarzy od czasu, kiedy zginął jej tata. Ja to wiem, kochana, i ty też. I chyba wiem, czemu tak się cieszy, i choć to świetnie, że jest szczęśliwa, i wiem, że chciałabyś, żeby zawsze była szczęśliwa, to jeśli mam rację, to jest szczęśliwa ze złego powodu, bo to tylko dziecko, a Wsiowy... Wsiowy łże jak pies. Och, taka duża, piękna, rudowłosa dziewczucha, i nic nie podejrzewasz? Niczego nie zauważyła?... Pewnie, że nie. Jeśli chodzi o tego sukinsyna, jesteś równie ślepa, jak Karen. Jasny gwint, czuję, jak obie się grzejecie, jak się do niego palicie. Obie rozgrzane, wilgotne i chętne, a ja siedzę tu, pragnę ciebie, kocham cię, a ty mnie nawet nie widzisz.

...A może to ja mam nie po kolei w głowie? Może między nim i Karen nic się nie dzieje, no, chyba że jest dla niej jak drugi tata, i po prostu wybrali się, psiakrew, na spacer w ciemny las, i tyle, a ja po prostu jestem zazdrosny o to, że Wsiowy z tobą kręci, o to, co do niego czujesz. No tak, pewnie tak po części jest.

.. „Jasne. Jak cholera”.

14

Duża ciężarówka toczyła się z warkotem, co i raz kaszłąc czarnym dymem. Maski grzechotała głośno, bo kłapa osłony silnika trzymała się na pętli drutu do belowania siana, a cała karoseria przechylała się na jedną stronę, bo amortyzatory były już zupełnie wyrobione. Na pace, osłoniętej wysokimi burtami z desek, siedziało pięciu mężczyzn, trzy kobiety i jeden chłopak, może trzynastoletni. Za kierownicą siedział mężczyzna o nabiegłej krwi twarzy i cygarze niemal wrośniętym w zęby. Poza nim w szoferce nie było nikogo, i nikogo nie zamierzał tam wpuścić, nawet choćby jednej z tych wymęczonych kobiet.

Całą grupę zabrał z rana spod przędzalni bawełny w Holiday. Regularnie zbierali się tam ludzie szukający pracy, przeważnie na próżno, a kierowca wiedział, że bez problemu znajdzie sobie parobków do

roboty jeśli tylko podjedzie tam i obieca dolara dziennie za pracę na swoich polach, z dala od miasta, na podmokłej nizinie wśród drzew.

Kiedy już dzisiejsza ekipa skończyła robotę, kiedy się zgrzali, wypocili i zmęczyli, miał ich zawieźć do osady Rapture, żeby mogli się dowiedzieć, czy jest dla nich robota w tartaku, i tam zapłacić im za pracę.

Żeby podjechać pod górkę, wysprzęglił i zredukował bieg, ale nie dodał gazu, więc ciężarówka zrobiła parę żabek i silnik zgasł. Kierowca zaciągnął ręczny i wysiadł z szoferki, podszedł do paki.

— Mam problem — zawołał.

Ci na skrzyni jęknęli głucho, a jeden, ubrany w starą marynarkę, tak wytartą, że prawie prześwitywały przez nią zielone prążki koszuli, podniósł się nieco, złapał za deski burty i wyrzwał pomiędzy nimi na kierowcę.

Duży był z niego facet i z wyglądu silny, choć nieco otłuszczony. Jego włosy miały tę szczególną barwę, znaną wszystkim siwiejącym rudzielcom.

— Bo żeś sprzęgło źle włączył — powiedział.

— No, to też, ale coś mi szwankuje w tym gracie. Już nie pierwszy raz coś takiego się zdarzyło. Więc zejździe wszyscy, popchniecie, to może uda mi się znów włączyć sprzęgło i pojedziemy dalej.

— Wsiadaj i zapal jeszcze raz. Ruszy.

— E, nie, tak się wam tylko wydaje, ale tak nie da rady. Coś w tym silniku nie gra jak trzeba. To nie pierwszy raz. Wsiadajcie, no, popchniecie.

— A kiedy dostaniemy wypłatę?

— Jak dojedziemy do osady Rapture.

— A czemu nie teraz? Nie rozumiem, czemu mamy tam jechać, żebyś nam zapłacił. Chcemy tam dotrzeć, żeby szukać pracy. Nie musimy się tam tłuc za wypłatą. Weź nam zapłać tu i teraz.

— Podobają mi się ten pomysł — odezwał się inny mężczyzna.

— Jasna sprawa — przyznał kierowca — ale najpierw musimy uruchomić ciężarówkę. To taki wielki dramat? Muszę dotrzeć do osady, żeby mieć dla was pieniądze.

— Czemu? — spytał ten w marynarce.

— Bo jak nie, to nie będę miał z czego wam zapłacić. Tam mam pieniądze.

— W takiej dziurze mają nawet bank?

— Banku nie. Ale w tamtejszym sklepie można zostawić pieniądze na przechowanie. Nie jak w banku. Oni są lepsi niż bank. Przechowa-

ją pieniądze i trzeba za to trochę od nich kupić, ale nie zbankrutują jak bank i nie ściągają odsetek, tylko właśnie trzeba coś czasem kupić, a przecież i tak trzeba czasem zrobić zakupy. Mąkę kupić, czy coś.

— Jak tam dojedziemy, to już i tak będzie zamknięte.

— Myślę, że nie, a nawet jeśli, to i tak znam właściciela. To akurat nie problem.

Powoli wszyscy wysiedli z ciężarówki. Mordziasty kierowca przerzucił cygaro w drugi kącik ust i polecił: — Dobra, ustawcie się z tyłu, a jak dam znak, zaczniecie pchać. Tylko stańcie tak więcej po bokach, żebym was nie rozjechał, jakby się zaczęła toczyć w tył.

— To może ja spróbuję — powiedział ten postawny w marynarce.

— Nikomu innemu nie pozwalam prowadzić tej ciężarówki.

— Może jednak powinienes pan — rzucił chłopak — jak pan tak koślawo jeździsz.

Dzieciak wyglądał na takiego, co to nie da sobie w kaszę dmuchać. Spod tweedowej czapki sterczały rozwichrzone, płowe włosy.

— A ty nie pyskuj do starszych. Bo będzie po gębie.

— Wcale nie będzie — uświadomił mu ten w marynarce.

— Słuchajcie, ludzie, pomóżcie mi po prostu odpalić tego grata. Dojedziemy do osady i będę mógł wam wszystkim zapłacić.

— Dobra, zrobmy to i cześć — powiedziała jedna z kobiet. Była wymęczona, ciężarna, a przepracowała cały bity dzień. Od pracy w polu miała kurz we włosach, a między zębami pojawiły się już szczyrby. Wyglądała, jakby lada chwila miała ze szczętem wyschnąć tak, że zabrałby ją wiatr, zostawiając tylko pękaty brzuch z ukrytym w nim dzieckiem.

— No dobra — uległ ten w marynarce.

Przeszli za ciężarówkę, a ten mordziasty wrócił za kierownicę. Wystawił głowę za okno i rzucił: — Ustawcie się do pchania.

Podzielili się na dwie grupy, czworo z jednej strony, pięcioro z drugiej, i wparli ręce w ciężarówkę. Kierowca krzyknął: — Gotowi?

— Gotowi — odparł jeden z mężczyzn.

— No to ruszamy — kierowca odpalił silnik, pokonał opór sprzęgła, po czym ruszył z miejsca i zaraz zaczął nabierać prędkości.

— Hej! Hej! — chłopak pogonił za ciężarówką. — Wracaj tu! Z okna szoferki wyłoniła się ręka i pomachała im.

— Wracaj — powtórzył chłopak.

— Niech mnie diabli — stęknął ten w marynarce. — Przecież wiedziałem, że tak to się może skończyć.

— Akurat — powiedział inny.

Ten w marynarce spojrział na niego. Był to facet tak chudy, wymęczony i wyglądający na równie steranego, jak owa ciężarna kobieta, która była zresztą jego żoną.

— Jasny szlag, przepracowaliśmy cały dzień za nic — jęknął chłopak.

— Tak by to wyglądało — przyznał ten w marynarce i cała grupa ruszyła drogą.

— Może dogonimy go w osadzie Rapture — odezwała się ciężarna.

— Zmusimy go, żeby nam zapłacił.

— Jak go złapię, to nie tylko pieniądze straci — rzucił ten chudy.

— Z zębami też się pożegna, a może i nie tylko z zębami.

— Wątpię, czy naprawdę pojechał do osady — powiedział inny mężczyzna. — Może tak tylko gadał.

— A może pójść na jego pole i tam go szukać — dodał kolejny.

— Do osady jest dużo bliżej niż na jego pole — odparł ten w marynarce. — Jakoś przełknę tę stratę, ale mam nadzieję, że kiedyś jeszcze spotkam drania.

— Trochę jakbym się przyzwyczajał do tego, że kończę z gównem w garści — mruknął ten chudy. — Normalnie prawie zaczynam to lubić, myśleć, że tak właśnie powinno być.

— Już nic więcej nie mów — powiedziała jego żona. — Nawet o tym nie wspominaj.

Była noc, chmurna, ciemna jak wnętrze jelita, kiedy pod namiotem Słonka zatrzymał się samochód. Wsiowy poszedł gdzieś samopas, a Clyde ruszył piechotą ku zgliszczom domu. Gdy Słonko usłyszała warkot silnika, czemuś wzięła to za zły omen.

Ben zawarczał gniewnie. Słonko, wciąż nie rozstająca się z bronią, choć teraz potrafiła już odłożyć ją do kąpielni, poprawiła kaburę na biodrze, wstała i wyszła na dwór — akurat w chwili, gdy reflektory auta zgasły. Ben z ujadaniem podbiegł do drzwi kierowcy. Po stronie pasażera też siedział jakiś mężczyzna, ale było zbyt ciemno, by Słonko mogła dostrzec, kto to taki.

Słonko kilka razy okrzyknęła psa, a ten ku jej zaskoczeniu usłuchał — przybiegł do niej, siadł przy nodze i zamilkł.

Pamiętała, jak Pete wspomniał raz, że najgroźniejsze psy to te, co przestają szczeekać i tylko obserwują. Opuściła dłoń i podrapała Bena po łbie.

Z samochodu wysiadł mężczyzna, założył kapelusz. Wszedł przed maskę auta, ostrożnie stawiając nogi. Wyglądało to tak, jakby w każdej chwili był gotów wskoczyć na maskę.

— Nie pogryzie, co? Pastor Willie.

— Mnie nie gryzie.

— I tak wolę mówić stąd.

— A proszę.

Wtedy z namiotu wyszła także Karen. Wciąż słodko pachnąca, a że była ubrana na ciemno, a czarne włosy rozpuściła na ramiona, zlewała się z ciemnością tak, że wyglądała niemal jak unosząca się wśród nocy odcieleśniona głowa.

— Chodzi o to ciało, co żeś je przywiozła — podjął Willie.

— Się domyśliłam. A kto tam z tobą przyjechał?

Pasażer w samochodzie wytknął za okno rękę, potem głowę. Wciąż nie widziała dokładnie, kto to. — Tu Henry, Słonko — zawołał.

Coś ucisnęło ją w żołądku. Właściwie nie znała Henry'ego, ale na tamtym zebraniu bez problemu można było zobaczyć, jak miał poukładane w głowie. Do tego był liczącą się postacią w osadzie Rapture. Skoro tu przyjechał, to znaczyło, że kaznodzieja jednak nie zachował odnalezienia trupa w tajemnicy. Nie była tym zaskoczona. Wyskok Wsiowego pewnie uraził dumę pastora. A to, że ona, kobieta na znaczącym stanowisku, kazała mu zachować milczenie, bankowo też nie pomogło. Cóż, prawdę mówiąc, tak czy inaczej był z niego kawał buca, więc pewnie i tak by nie posłuchał.

— Witaj, Henry. Widzę, Willie, że zrobiłeś dokładnie to, przed czym cię przestrzegałam.

— Bo chyba wiem, czemu nie chciałaś, żeby te wieści się rozeszły.

— Co ty powiesz.

— Wiem, kto to.

— No to mów.

— Miała naszyjnik. Nie widzieliście go, bo wpadł do wnętrza ciała, tam, gdzie wygniło. A gdzie indziej werznął się w rozkładające się mięso. A na naszyjniku było jej nazwisko.

— Jakie?

— Jimmie Jo French.

— Rany Boskie, ja ją znałam.

— No, powiedziałbym. Spuściłaś jej manto.

— Bo zła byłam, że się puszcza z Pete'em.

— Jej śmierć zmieniałaby sprawy między tobą a Pete'em, nie? — odezwał się Henry.

— Pete też nie żyje, więc co miałyby się zmienić?

— Może wtedy wydawało ci się, że coś by się zmieniło — upierał się.

— Wtedy?

— Jimmie Jo zginęła już kupę czasu temu. Pewnie najpierw leżała w tej ropie, nasiąkła nią, a dopiero potem została zakopana. To ty to zrobiłaś? Ty ją zakopałaś?

— Byłam na nią wściekła, ale nie oszalałam.

— Tak tylko tu rozmawiamy, Słonko.

— Jasne.

— Mamo, o co im chodzi? — spytała Karen.

— Później ci wyjaśnię, córuś — Słonko poklepała ją po ramieniu.

— Jimmie Jo miała w sobie dzidziusia — ciągnął Willie. — Dziecko zostało z niej wycięte. Nie po lekarsku. Ktoś rozerznął jej brzuch i wyrwał stamtąd dzieciaka. Widać po tym, jak została rozcięta.

— O Jezu.

— Nie używaj imienia Pana, Boga swego, nadaremno.

— Powiedziałam „O Jezu”, Willie, a nie „Do diabła z Jezusem”.

— No weź się pohamuj.

— Willie, chcesz coś konkretnie powiedzieć, to mów. To wy tu do mnie przyjechaliście, więc mówcie swoje. I ty, i Henry.

Willie wziął głęboki wdech.

— Zabiła ją kula z trzydziestki ósemki w tył głowy. Wydobyłem ten pocisk.

— Ten twój rewolwer — wtrącił Henry — to trzydziestka ósemka, prawda?

— Chcecie powiedzieć, że to ja ją zabiłam?

— Mówię, że mogłoby na to wyglądać.

— Chyba tylko gdybyś ty chciał to tak przedstawiać, Henry. Czemu miałabym ją pakować w ropę?

— Żeby zakonserwować ciało?

— A po co?

— Gdybyś chciała ukryć gdzieś zwłoki, żeby się ich później pozbyć.

— Śmiechu warte. Skoro już raz bym się ich pozbyła, po co miałabym się z nimi szarpać drugi raz? Zresztą trzydziestek ósemek jest tu jak psów. A ja dopiero ze śmiercią Pete'a dostałam broń.

— To ty tak mówisz — wytknął Henry. — Nie mówię, że to nieprawda, ale twierdę, że nie wygląda to dla ciebie zbyt dobrze, Słonko. Nie wiem, czy udałoby się nam tego dowieść, ale chyba zdołałbym skłecić przeciwko tobie całkiem mocne argumenty, więc jeśli nie chcesz narobić sobie kłopotów, może nawet wylądować w więzieniu, to może powinnaś jednak po prostu zrezygnować z tej posady, oddać ją jakiemuś mężczyźnie?

— Komuś z twojego wyboru?

— Z wyboru rady.

— Przecież to ty jesteś „rada”, do diabła.

— Mama nigdy by czegoś takiego nie zrobiła — odezwała się Karen.

— A pomyślałaś, że zastrzeli ci tatę? — wytknął Willie. — Przyszło ci to wcześniej do głowy?

Karen umilkła.

— Dosyć, Willie — powiedziała Słonko.

— A nawet jeśli to nie ty ją zabiłaś — podjął Henry — i tak wszystko sprowadza się do tego, czy z Pete'em naprawdę było tak, jak mówiłaś. Bo tego nikt nie wie. Prawnie nikt w ogóle się tym nie zajął. Po prostu zabiłaś chłopca i przejęłaś jego robotę. Nawet jeśli nie zabiłaś też jego kochanki, to i tak nie wygląda dobrze. A co się stało z dzieckiem? Mściwa kobieta mogłaby nawet posunąć się do tego, żeby wyciąć je z łona rywalki.

— A teraz jeszcze kręcisz z tym typkiem, Wsiowym — dodał Willie. — To też nie wygląda za dobrze. Widziałem wtedy przez okno, jak żeście się całowali. Widziałem.

— Mamo? — jęknęła Karen.

— To nie było nic takiego — odparła.

— No, mnie tam nie wyglądało na „nic takiego” — stwierdził Willie.

— Dosyć, powiedziałam. Zdenerwowaliście mi córkę, denerwujecie mnie, a to wszystko tylko gadanie. Czczą gadanina.

Karen z płaczem pobiegła do namiotu.

— Zadowoleni? — spytała na to Słonko.

— Nie — odpowiedział Willie. — Tylko mówimy, że to źle wygląda, i tyle.

— Jakoś mi się nie wydaje, żeby którykolwiek z was tylko to miał na myśli. A co do Wsiowego, to człowiek po prostu dla mnie pracuje, i tyle.

- Ano, nie wątpię, że ma co robić — rzucił Willie.
- Ty aby na pewno jesteś kaznodzieja?
- Przecież wiesz, że tak.
- A jak sobie pastorzy radzą z uciekaniem przed psami?
- Że co?
- Ben. Bierz go.

Ben szczeknął i wyrwał ku samochodowi. Willie wrzasnął, obrócił się i śmignął za samochód, zdążył wskoczyć za kierownicę, zanim pies tam dotarł, ale w pośpiechu zgubił kapelusz. Ben rzucił się nań, przydepnął jedną łapą i szarpnął zębami. Kapelusz rozdarł się jak mokra kartka.

- To nie było śmieszne, Słonko — sapnął Willie.
- Mnie ubawiło.
- To był dobry kapelusz.
- Ano był. Jak chcesz, mogę ci go oddać.

Ben przebiegł do drugich drzwi i zaczął podskakiwać na zadnich łapach, kłapiąc zębami przed otwartym oknem, bryzgając pianą.

Henry podniósł szybkę. Ben co i raz odbijał się od szkła, kłapiąc zębami, ujadając, kąsając powietrze. Wysmarował szybę śliną.

Willie uruchomił silnik, światła reflektorów wbiły się w noc, i wyjechał sprzed namiotu ze znaczną prędkością.

- No to pa — zawołała Słonko.

Ben gnał za samochodem przez dłuższą chwilę, ale w końcu zawrócił i przybiegł do niej. Słonko zaprowadziła go do namiotu, dała wody i jedzenia, pogłaskała go, ucałowała w ten stary, twardy łeb.

Potem wyprowadziła go na dwór i zajęła się córką.

- Wszystko w porządku? — spytała.

Karen siedziała na skraju materaca, z kolanami podciągniętymi pod brodę, opasując nogi ramionami. Nawet w świetle lampy Słonko widziała, że ścisnęła się tak zawzięcie, że dłonie jej pobieleły.

- Zabiłaś ją, mamus?

- No wiesz co?

- Zabiłaś ją przez tatusia? A tatusia przez nią?

— Czegoś takiego bym nie zrobiła. Twojego taty wcale nie chciałam zabić. Wcale. Ale on tak mnie bił. Tak bił. Więc złapałam za pistolet.

— Ale po biciu już ci się poprawiło. Wyzdrowiałaś. I tak samo byś wyzdrowiała, gdybyś go nie zastrzeliła.

- Chyba że by mnie zatłukł.

— A dzidzius. Ten na cmentarzu dla kolorowych. To moja siostrzyczka? Czy braciszek?

— Córuś, nawet nie wiemy, czy tamto dziecko to od tej kobiety, a nawet jeśli, to i tak nie znaczy, że to było dziecko twojego taty.

— Mówili, że ona była kochanką tatusia. Tak mówili, prawda? I że to za to ją zabiłaś. Naprawdę była taty kochanką?

— Tak mówili. I faktycznie była kochanką taty. Jedną z wielu, córuś.

— A ja myślałam, że tatuś cię kochał.

— Ja też. Dawno temu.

— A Wsiowy to ci się podoba?

— Podoba. Owszem.

— Wiesz, o co mi chodzi.

— To tego nie wiem, maleńka. Akurat teraz niczego nie jestem pewna.

— A całowałaś się z nim?

— Tak.

Karen zapadła w dłuższe milczenie. W końcu odezwała się: — Czemu oni byli tacy wredni?

— Henry chce mnie pogonić z tej posady, żeby objął ją ktoś, kto mu pasuje. Nie wiem, czemu się tak zawzięł, chyba tylko dlatego, że jestem kobietą i sama idea mu nie pasuje. No i nie przepada za twoją babcią. Bo ona ma większą władzę nad tartakiem niż on. Jakby chciała, mogłaby go zwolnić z roboty, i może zechce, skoro już twój dziadek nie żyje. Myślę, że Henry chciałby się ubiegać o jakiś urząd. Myśli sobie, że Holiday i osada Rapture niedługo połączą się w jedno miasto.

— A się łączą?

— Nie wiem. Pewnie tak. Ale nie mam pojęcia, czemu Henry jest na mnie aż tak cięty.

Karen położyła się na boku, całym ciałem na materacu, wciąż ściskając nogi. Leżała tak na ich posłaniu i łkała tak głośno, jakby miała się rozpaść na kawałki.

Słonko podeszła do materaca, usiadła, wyciągnęła rękę i zaczęła gładzić córkę po włosach.

Karen nie protestowała.

Po jakimś czasie, z głośnym jękiem, zwróciła się ku mamie i jak małe dziecko wpełzła jej na kolana, objęła Słonko za szyję.

Słonko objęła ją, całowała, i pół godziny później córka zasnęła w jej ramionach.

Gdy Karen już spała, Słonko ułożyła ją na materacu, nakryła kołdrą i wróciła na biurową stronę namiotu, żeby schować swoje dzisiejsze notatki.

Smutek przysiadł jej na ramionach jak zmęczony słoń. Słonko siadła przy stole, schowała twarz w dłoniach i zaczęła myśleć o tym, co jej powiedzieli Henry i pastor Willie.

Może im jednak oddać tę odznakę? To by ułatwiło sprawę. Nie zabiła Jimmie Jo, ale Henry i Willie strasznie by chcieli wmalować ją w rolę morderczyni, chętnie też oskarżyliby ją o to, że zabiła również dziecko, tak się zapiekła, że wycięła je z brzucha matki.

Co za brednie.

A niech sobie wezmą tę odznakę, cholera — pomyślała. I robotę, psiakrew, też. A ja... A ja co?

Zostanę bez grosza.

A ludzie będą przekonani, że faktycznie to moja sprawka. A nawet jeśli Henry i Willie nie rozpuszczą tych kłamstw dalej — w co mocno wątpiła — i tak osiągną swoje. Więc nic z tego. Zostaję.

Zostaję w robocie i dowiem się, kto zabił tę kobietę i dziecko, bo na pewno to właśnie ono zostało pochowane na cmentarzu dla kolorowych. O tym Williemu nie wspomniała. O tym wiedzieli tylko ona sama, Karen, Wsiowy i Clyde. Pod warunkiem, że trzymali język za zębami.

Jak chcą objąć tę posesję, to będą musieli mi ją odebrać. A ja nie poddam się bez walki.

15

Porzucona przez „bambra” piątka mężczyzn, trzy kobiety i chłopak ciągnęła szosą aż do czasu, kiedy po słońcu została już tylko cienka czerwona smużka prześwitująca blado między drzewami. Potem zapadła noc i blask księżyca omotał się wśród gałęzi sosen niczym najdelikatniejszy puch, ale z czasem wygrał mrok i zapadły cienie. Księżyc lśnił chłodno na niebie, pośród wyraźnych, białych punktów gwiazd. W końcu nadciągnął wał gęstych chmur — wiatr przygnał je szybko, po czym zostały tak nad głowami maszerujących. Wtedy już prawie nie

było nic widać, nie licząc przelotnych błysków przez szpary w chmurach.

Niemal cała grupa postanowiła wtedy zaleć obozem przy drodze, ale mężczyzna w marynarce i chłopak wciąż szli ku osadzie Rapture.

Upał minionego dnia uwiązał wśród drzew niczym pot pod pachą marynarki z gofrowanej bawełny. Skoro niemal zabrakło blasku księżyca, nie widzieli zbyt dużo drogi przed sobą. Szli więc tam, gdzie nie rosły drzewa, i w ten sposób nie zbaczali z szosy. Wszędzie dokoła cykały świerszcze, a w dolince, gdzie przez las wił się strumień, wielka żaba wydawała z siebie takie odgłosy, że aż włosy jeżyły się na karku.

— Normalnie jakby popsuty klakson — stwierdził chłopiec.

— Te wielkie zawsze mają taki głos — wyjaśnił mężczyzna. — Jak słyszysz skubańca, myślisz sobie, że bydlę ma z dziesięć stóp wysokości. A jak ty właściwie masz na imię?

— Wszyscy wołają na mnie Gęsiak, ale naprawdę nazywam się inaczej.

— I nie przeszkadza ci, że cię nazywają Gęsiak?

— Lepsze to, niż moje prawdziwe imię, a i brata przezywali gorzej.

— A jak na niego wołali?

— Kupa.

— Kupa? Czemu?

— Właściwie to nie wiem. Znaczy, chyba dlatego, że zawsze walił w gacie. Cały czas, aż skończył jedenaście lat. Był o rok starszy ode mnie.

— Był?

— Coś złapał, no i umarł. Chyba Heinego-Medinę. Mama i tata mieli nas dziewięcioro, więc sobie pomyślałem, że sam dam sobie radę. Żeby moje rodzeństwo, same dziewczyny, miało lepsze szanse.

— Chyba miałaś jakieś starsze siostry?

— No tak, ale ich to nie ciągnęło do przygód jak mnie.

— To powiedz jeszcze, czemu na ciebie wołali Gęsiak.

— Bo biegam jak gęsiak.

— A naprawdę jak masz na imię?

— Draughton.

— I co w tym takiego złego?

— Wolę Gęsiak.

— Niech będzie, że Gęsiak.

— A jak ty masz na imię?

— Lee.

— I nie za gorąco ci w tej marynarce?

— No, trochę. Ale nie wyrzucę jej, bo muszę mieć coś na zimę. Do pracy mogę ją zdjąć, mam się jednak czym okryć nocą. Nie jest tak źle, jak ją noszę tak w drodze, już się przyzwyczailem.

— Ja wszystko, co mam, to te ubrania i czapka. W butach mam już poprzecierane zelówki. Załatałem je sobie tekturą.

— To tak jak ja, synek.

— Mam laskę miętówki, co żem ukradł w sklepie. Trochę się, hm, połamała, boją noszę w przedniej kieszeni, ale jak chcesz, możemy się podzielić.

— No jasne.

Chłopiec wygrzebał miętówkę z kieszeni spodni. Faktycznie strasznie się połamała, ale pozbiierał wszystkie kawałki i podzielił je, część wsypał w dłoń mężczyzny.

Ten wrzucił je sobie do ust, wszystkie naraz. Były pooblepiane paprochami i piaskiem, ale był tak głodny, że paprochy i piasek potraktował jak przyprawy. Ostatni posiłek zjadł dwa dni temu — gotowany but, który narychtował sobie niedaleko torów wraz z grupą włóczęgów. W garnku wylądował też pokrojony kartofel, ale Lee nie załapał się na bulwę, a but, choć pocięty na kawałeczki i gotowany tak długo, aż zmiękł tak, że dało się go zjeść, wciąż smakował farbą do skóry, i Lee później porzygał się tym wszystkim.

A w tej chwili był tak głodny, że żołądek piłował go niczym poderżnięte gardło.

— Co chcesz robić w Rapture? — spytał chłopca.

— Zakręcić się za robotą, tak jak ty.

— Chłopak w twoim wieku nie powinien pracować. Pomagać w domu, to i owszem, ale nie pracować jak dorosły.

— Wciąż to samo powtarzam, ale chyba nikogo to nie obchodzi. Robiłem już wszystko, z wyjątkiem tych prac, z których są pieniądze. Umieję orać, mogę robić za tragarza, malarza, zbieracza bawełny. Trochę nawet pracowałem w objazdowym cyrku, aż wreszcie szef przełożył mnie przez koło wozu i wsadził mi w tyłek.

— Przykro mi.

— Nie no, trochę bolało, ale to on miał gówna na fiucie. A potem wziąłem i podłożyłem ogień pod ten wózek, w którym spał, i się drań podpalił, ale go cyrkowcy ugasiłi. No to dałem nogę, zanim się nie wykurował i nie domyślił, kto go tak urządził. Miał tam taką jedną babę

z maleńką głową, co potrafiła być naprawdę wredna, jak jej kazał. Mogła skoczyć na człowieka i tłuc go oburącz tak szybko, jak tylko umiała, i tak nawet przez całą noc. Coś mi się widziało, że poszczułby ją na mnie. Już napuszczał ją na innych.

— Czyli swoje przeżyłeś.

— Poradzę sobie z każdą robotą, nawet jeśli jest ciężka i daje w krzyże.

— Poczekaj, aż będziesz w moim wieku.

— A ile masz lat?

— Jestem po pięćdziesiątce, i niech to ci wystarczy. Chmury się rozchodzą. Zaraz wyjdzie księżyc.

Uszli jeszcze kawałek, gdy nagle Lee wyciągnął rękę i zatrzymał chłopaka. — Uważaj.

Wielki, czarny wąż pełził przez drogę, chłoszcząc ogonem, unosząc wysoko łeb.

— Jasny szlag — sapnął chłopak. — Sam Szatan ma mniejszego fiuta.

— Naprawdę nie powinieneś tak gadać.

— Fajny z ciebie gość, ale nie jesteś mój tata.

— To fakt.

— Co to było, mokasyn błotny?

— Nie, chyba tylko stary, wyrośnięty wąż smugowy. Te nikomu krzywdy nie robią. Znaczy, chyba że kurom, jajkom i szczurom. Szczurów im nie żałuję, ale idzie się zdenerwować, jak wlezie taki człowiekowi do kurnika, a miało się ochotę na jajecznicę na śniadanie.

W dalszą drogę ruszyli dopiero, gdy mieli pewność, że wąż odpełził głęboko w las.

— A te smugowe to są jadowite? — spytał Gęsiak.

— E, nie. Ale i tak nie lubię drani. Niby takie same stworzenia boże jak każdy z nas, ale jak którego zobaczę, a mam motykę pod ręką, to wezmę i urąbię mu łeb, czy jadowity, czy nie.

— No to ten stary wąż miał farta, że dziś w nocy nie miałeś motyki.

— Żebyś wiedział. Raz, jak byłem mały, jeden połoz pogonił mnie dokoła domu, tak kilka razy, a jak schowałem się w środku, to wystawił łeb i zajrzał do środka przez okno.

— No co ty?

— Serio. Okno nie było wysoko nad ziemią, ale i tak się bardzo zestrachalem. Mama złapała motykę i urąbała mu łeb. Potem się dowie-

działem, że położy gonią za ludźmi, i owszem, ale jak się zatrzymasz, to i on się zatrzyma, a wtedy sam możesz takiego pogonić. Przystaniesz, to zawróci i ruszy za tobą. Taka zabawa, niby że. Tak sobie myślę, że tamten zajrzał wtedy przez okno, bo chciał, żebym wyszedł na dwór, żebyśmy bawili się dalej. Atu mama wzięła i ucięła mu łeb. Potem zawsze miałem przez to coś jakby poczucie winy.

— Wyglądasz trochę jak kaznodzieja.

— Tu byś się pomylił. Choć kiedyś faktycznie chodziłem ze Słowem Bożym.

— Tylko dla forsy, żeby doić frajerów? Uleczenie, te rzeczy?

— Nie, synek. Ja robiłem to na serio, i nikogo nie uleczyłem, bo nikt nie może człowieka wyleczyć, jak tylko sam Pan Bóg.

— A czemu żeś z tym skończył?

— Trochę tak jakby siły zabrakło. Wciąż słyszałem głos Pana, ale nie potrafiłem już zrozumieć, co do mnie mówi. Czuję się jak ktoś, kto traci słuch. Uszy wciąż na tyle sprawne, by wiedzieć, kiedy ktoś mówi, ale już za słabe, żeby rozróżnić słowa.

— A co ci odebrało siłę? Wóda? Hazard? Dupy?

— Wiem, że nie jestem twój tata, ale słowo daję, że za młody jesteś, żeby tak gadać.

— Kiedy ja nie umiem gadać inaczej. A jak się rozchodzi o wóde, hazard i dupy, to wszystkiego zdarzyło mi się pokosztować, więc myślę, że mam prawo o tym mówić, i od razu się przyznam, że dupy podpasowały mi najlepiej. A ty jak?

— Wszystko po trochu, w tym także rzeczy spoza tej twojej listy. Prawdę mówiąc, nie tylko za pracą tu przybyłem. Chcę tu naprostować to i owo, przynajmniej na tyle, na ile się da. Spróbuję przeprosić się z jedną panią, jeśli wciąż tu jest i w ogóle zechce mnie słuchać.

— A jeśli nie zechce?

— Nie miałbym do niej pretensji.

— A jeśli nie ma jej w osadzie Rapture?

— O tym staram się nawet nie myśleć. Jak o tym myślę, nie czuję się dobrze, więc nie myślę i nie będę o tym myślał, chyba że faktycznie jej tam nie będzie. Wtedy będę miał nowy zestaw zmartwień.

— To dawne dzieje?

— Aha.

— To daj sobie spokój. Mój tata zawsze mówił: jak już coś zrobiłeś, nie ma sensu dalej o tym dumać. Od dumania nic się nie naprawi.

- Może i ma rację. Ale nie tylko dla niej chcę to zrobić. Dla siebie też.
- A, do diabła, różne rzeczy w życiu robiłem, a nie mam żadnych wyrzutów sumienia.
- Może dlatego, że jeszcze nie zrobiłeś niczego naprawdę paskudnego.
- Buchnąłem miętówkę. Inne rzeczy też kradłem.
- To złe uczynki, ale są gorsze rzeczy.
- Może i złe, ale miętówkę zjadłeś.
- Bo głodny byłem.
- No a ja dlatego ukradłem tę miętówkę, i jeszcze ze cztery więcej. Ta była ostatnia. Masz papierosa, Lee?
- Nie. Nie palę. A ty jesteś za młody na papierosy.
- A ten znowu, „za młody” i „za młody”. No to może prymkę, albo choć trochę tabaki?
- To samo — uciął Lee.
- Gdzieś tak po godzinie Gęsiak i Lee zorientowali się, że do osady mają dalej, niż im się zdawało, i raczej nie dotrą tam przed świtem.
- Co prawda, wszystko to opierało się wyłącznie na domysłach, bo żaden nie miał zielonego pojęcia, ile jeszcze drogi przed nimi. Lee był już kiedyś w osadzie Rapture, ale dawno temu, a od tego czasu wiele się pozmieniało.
- Jestem tak zmęczony, psiakrew, że zaraz chyba padnę na twarz — mruknął Gęsiak.
- Ja też — przyznał Lee. — Po tym, jak te tu gwiazdy nisko wiszą. .. o, widzisz, tam za tymi drzewami...
- Ano, widzę.
- Skoro wiszą tak nisko, znaczy, że robi się już naprawdę późno, a ja jestem wypruty jak metka ze spodni.
- I ja. Ale jeśli dasz radę przejść jeszcze kawałek, to i ja też. Pokonali więc kawałek drogi, lecz wreszcie uznali, że dalej już nijak nie dadzą rady.
- Nawet jak dojdziemy do osady, i tak wcale nie będą tam na nas czekać z kwiatami i ciepłym posiłkiem — stwierdził Gęsiak. — Na moje oko równie dobrze mogę spać na ziemi tutaj, jak i tam. Nie pierwszy raz przyjdzie mi spać na gołej ziemi.
- Dobrze gadasz. Dajmy sobie spokój.

Zeszli więc z drogi w las, szukając miejsca nadającego się na legowisko. Raptem kilka jardów od pobocza natknęli się na stos liści u stóp drzewa, który w tej chwili wydał im się istnym puchowym materacem. Lee zauważył zaraz, że to drzewo, potężny dąb, miało nisko zwieszający się konar, który kiedyś został rozszczepiony, może uderzeniem pioruna. Powstało coś w rodzaju naturalnego hamaka, na tyle szerokiego i głębokiego, że spokojnie zmieściłby się tam dorosły człowiek. Lee nagarnął tam liści i oznajmił: — No, Gęsiak, masz tu gotowe łóżko.

— A w życiu. Sam sobie coś uszykuję. Nie potrzebuję pomocy, żeby wałnąć się gdzieś spać. A poza tym nie włożę na drzewa, jeśli nie muszę. Nigdzie się nie wspinam, jeśli nie muszę.

— Daj spokój, toż to góra pięć stóp nad ziemią.

— Mimo wszystko, nie dla mnie.

— Co z ciebie za chłopak, że nie chcesz włązić na drzewa?

— To nie włożenia nie lubię, ale spadania.

Więc Lee zajął miejsce na konarze, a Lee ułożył się w liściach. — Jak liście były tak usypane w stos, mój tata zawsze mówił, że to małpoludy tak zrobiły. Znaczący, zgarnęły je tak na kupę.

— Uwierzyłeś w to?

— Bo ja wiem. Chyba nie. Ale to fajna historyjka.

— Jacy byli twoi rodzice, Gęsiak?

— Pewnie tacy sami, jak inni ludzie. Biedni. Ale oni byli biedni nawet jeszcze przed Kryzysem. Mama miała trochę irokeskiej krwi, tata trochę Choctaw. Jak wiatr nam zabrał ziemię z pola, poszedłem w świat, żeby nie mieli aż takiego garba ze wszystkimi dzieciakami. Ja wybrałem się tu, na południe, do wschodniego Teksasu, a oni dalej, do Kalifornii.

— Czemu nie zabrałeś się z nimi?

— Nie chciałem wylądować gdzieś, gdzie pogoda wciąż jest taka sama. Szlag mnie trafia, kiedy lato ciągnie się bez końca. Lubie, jak nie wiem, czy będzie zwykły deszcz, czy burza, pogodnie czy upalnie. Pewnie, że podobało mi się bardziej, jak jeszcze miałem dach nad głową i regularne posiłki. Może i byłoby mi lepiej, jakbym pojechał tam do Kalifornii, jak tak teraz o tym myślę.

— Byłem tam. Nic specjalnego. To samo, co i tu, tylko klimat stabilny i mają pomarańcze. Ja też nie lubię, jak wciąż jest tak samo, Gęsiak. Jak się pogoda zmienia, to i człowiek może się nauczyć zmieniać. Jak nadążać za wydarzeniami. Nie da się wyrobić sobie charakteru, gdy wszystko idzie gładko.

— A może mnie wcale nie jest potrzebny charakter. Może wystarczyłyby mi trzy posiłki dziennie, łóżko i jakieś coś nad głową, żeby deszcz nie padał...

— Możliwe, Gęsiak.

Niedługo potem Lee usłyszał już chrapanie chłopca i ze zdziwieniem skonstatował, że sam nie może zasnąć. Myśli kłębiły mu się w głowie, a chrapanie Gęsiaka nie pomagało.

Leżał więc i patrzył w gałęzie nad sobą. Z początku widział tylko ciemność, ale gdy z czasem oczy oswoiły się z mrokiem, dojrzał zarysy poszczególnych konarów, a w końcu nawet parę prześwitujących między nimi gwiazd.

Poczuł dawne pragnienie. Znał je z kaznodziejskich czasów. Pragnienie, by myślami dotrzeć aż do Boga, który niewątpliwie jest tam za kotarą z nocy i gwiazd, i może nawet nie okaże się tak wredny, jak by to sugerowały Jego czyny. Czasem Lee miał nadzieję, że Bóg jest wredny wyłącznie wobec niego.

Może sobie na to zasłużył.

Już od jakiegoś czasu nie miał pojęcia, na jaki los zasługiwał, podejrzewał też, że to i tak nie miałyby znaczenia. Zasługi nic tu nie znaczyły.

Był czas, kiedy Lee czuł się bliski Bogu, miał siebie za sługę Bożego.

To było wiele grzechów temu.

Leżał tak, patrzył i dumał, aż wreszcie niebo zaczęło się rozjaśniać, a w końcu i on zamknął oczy.

16

Wczesnym rankiem następnego dnia Marilyn pojechała do namiotu Słonka. Zastała tam i ją, i Clyde'a. Ten siedział przed namiotem na składanym, drewnianym krześle i pił kawę. Słonko dała Benowi jeść na dużej patelni — trochę chleba nasiąkniętego smalcem i wczorajszym sosem. Obok stała druga, większa patelnia, pełna wody.

Marilyn zatrzymała pickupa tuż obok namiotu. Pies obrócił się ku niej, patrząc uważnie.

— Chapnie mnie? — spytała Marilyn przez otwarte okno szoferki.

— Jest całkiem grzeczny — odparła Słonko. — Ale podejść tam, odprowadzę cię do namiotu.

— Nie ma sprawy, możemy pogadać po drodze. Wsiadaj. Cześć, Clyde.
Clyde uniósł w toaście kubek z kawą. A Marilyn dodała:
— Wygląda na to, że krzywda ci się nie dzieje.
— No ja nie wiem. Chyba właśnie przed chwilą coś sobie naciągnąłem.
Strzyknęło mi w łokciu, jak unosiłem ten kubek.
Słonko pogłaskała Bena, wsiadła do szoferki obok Marilyn, a ta uruchomiła silnik i pojechały.
— A gdzie ten drugi? — spytała Marilyn.
— Wsiowy? Nie wiem. Miał przyjść, ale jakoś dotąd się nie zebrał. Nie za bardzo pilnuję godzin pracy. W końcu nie mamy kupy spraw do rozwikłania. Fakt, że powinien już tu być. Zeszłej nocy Clyde zabrał pickupa do siebie, więc Wsiowy musiał dotrzeć piechotą, gdzie tam nocuje. Bo już nie mieszka u Clyde'a. Chyba jakoś się między nimi nie ułożyło, no a potem Clyde wziął i sobie spalił chałupę.
— Że co?
— No, dom sobie spalił. Taki patent miał na sprzątanie, a przynajmniej tak mówi. I to jedna zbrodnia, cośmy ją rozwikłali. Kto spalił chatę Clyde'a. On sam. A teraz musi spać pod plandeką.
— Ty wiesz, czemu Clyde pogryzł się z Wsiowym, co?
— Nie.
— Przez ciebie. Nic o tym nie wiem, a i tak mogę ci to wyłożyć. Obaj cię lubią.
— Możliwe.
— Łamiesz serca i nawet o tym nie wiesz, Słonko. Z tego, co słyszałam, masz też na głowie parę prawdziwych zbrodni.
— Co, Willie był u ciebie z wizytą?
— Henry.
— Już sama nie wiem, który z nich to łeb węża, a który — jego dupsko — mruknęła Słonko — ale jeśli o mnie chodzi, ci dwaj to jeden gad.
— Powiedzieli mi, co myślą.
— Myśleć to sobie mogą, co chcą.
— Sądzę, że na następnym zebraniu osady spróbują cię wywalić. Może nawet cię oskarżą o zabicie Pete'a, Jimmie Jo i że zabiłaś też tego dzieciaka, co jest pochowany na cmentarzu dla kolorowych.
— Czemu miałabym tu urządzać taką jatkę? Że co, ni z beczki, ni z owieczki wzięłam zabiłam Jimmie Jo i jej dziecko, a potem jeszcze zastrzeliłam Pete'a? Czemu miałabym to zrobić?

— Z zazdrości. To wiele tłumaczy.

— Aż taka zazdrosna to nie byłam, ani tak stuknięta. I nie oddam tej roboty. Nie zabiłam tej kobiety, próbuję ustalić, kto to zrobił. Po prostu trochę to potrwa. Przecież jestem konstabłem, nie detektywem, do diabła, i dopiero uczę się tej roboty. Nawet Pete musiał się nauczyć.

— Słyszałam, jak sobie poradziłaś tam w Holiday. Wyglądało na to, że dobrze zrobiłaś.

— Tak sędzę.

— Ale chłopca i tak zlinczowali.

— Że co?

— Zebrał się tłum, wyciągnęli go z więzienia, obcięli mu klejnoty i go podpalili. Nawet zdjęcia z tego robili. Sprzedawali je potem w sklepie jak pocztówki.

— Co za koszmar. Czyli niczego nie osiągnęłam.

— Oddałaś mordercę w ręce sprawiedliwości.

— Nie. Oddałam mordercę na lincz. A to samo chcieli mu zrobić już w Holiday. Mówił, że dokładnie to mu zrobią, co zrobili. Czyli co najwyżej odwlekłam to, co i tak się stało.

— I tak by go zabili. Należało mu się.

— Możliwe. Ale nie spaliliby go na drzewie i nie robili z tego pocztówek. Chryste Jezus. Legalnie przynajmniej poszłoby szybko, i nie byłoby sprzedawania zdjęć... przynajmniej mam nadzieję, że szybko. Szlag.

— Mówią, że to tamtejsi policjanci wpuścili ten tłum do więzienia.

— Mam nadzieję, że to nieprawda.

— Przykro mi, Słonko.

— Mnie też. Gorzej niż przykro. A, psia krew, może i mają rację. Co ze mnie za konstabl. Mam trupka dziecka, zabitą kobietę, i zielonego pojęcia, kto to zrobił i dlaczego, a to jedno, co myślałam, że udało mi się nieźle załatwić, skończyło się dokładnie tak samo, jakbym nie ruszyła tyłka z domu. A teraz jeszcze ludzie myślą sobie, że to ja popełniłam te morderstwa, którymi się ponoć zajmuję, a kiedy Henry i Willie dopną swego, plotki rozejdą się jeszcze szerzej.

Przez chwilę jechały w milczeniu. W końcu odezwała się Marilyn: — Zrobię, co mogę, żebyś się utrzymała jako konstabl. Ale niczego nie obiecuję. Co innego, kiedy wszyscy myśleli, że zabiłaś kogoś, kto cię tłukł, wtedy wystarczyło pięć centów podwyżki, ale jeśli Henry doda do pieca, przekona ich, że może to ty zabiłaś Jimmie Jo i dzieciaka, albo

przynajmniej wmówi im, że za słabo się starasz, by złapać ich mordercę...

— Kiedy będzie zebranie?

— Za któryś dzień. W czwartek, tak koło południa. I tylko dla szyszek z osady, nie ogólne.

— Przyjdę.

— Może lepiej nie — uprzedziła Marilyn. — Może się zrobić brzydko, coś jak oglądanie dupy buldoga z bliska.

— No wiem.

— Masz jakieś pojęcie, kto mógł to zrobić i dlaczego?

Słonko pokręciła głową. — Ani w ząb. Są jednak pewne sprawy, które mi się nasunęły, więc spróbuję jeszcze sobie to dziś przemyśleć, a potem wezmę i coś z tym zrobię.

— Kochana, byłoby naprawdę dobrze, gdybyś sobie z tym poradziła przed tym zebraniem.

— To akurat raczej mało prawdopodobne. Ale się postaram. No i, Marilyn...

— Tak, córka?

— Wiem, że jest jak jest, ale naprawdę byłaś wobec mnie w porządku. I przepraszam za Pete'a, serio.

— Nie będę ci kłamać, Słonko. Są dni, że się budzę i najchętniej to bym cię zabiła. Wiem, jak było, ale i tak chcę cię zabić, i nie potrafię pojąć, czemu nie ma już Pete'a, czemu to zrobiłaś. Ale mijają parę minut i już dokładnie wiem, czemu. Co z tego, i tak mi się to nie podoba. Jonesa też mi brak. Nie żebym zaraz wpuściła go z powrotem do domu, ale czasem mi go brak.

— Mnie to strasznie dręczy — przyznała Słonko. — Nie mam się czym chwalić, ale naprawdę myślałam, że on mnie zaraz zabije. I już nigdy nie pozwolę, żeby ktoś mnie tak traktował.

— Jest tak: musimy się trzymać razem, ty i ja. Żeby mieć pewność, że z Karen wszystko będzie dobrze. A gdzie ona jest, swoją drogą?

— Śpi.

— Aż tak długo?

— Ano, normalnie jak Śpiący Rycerz. No i wzięło ją na strojenie się. Chyba powoli wyrasta na dorosłą kobietę.

— Dla tego chłopaczka, co się z nim widywała?

— Nie, chyba wyleciał jej z głowy. Myślę, że podkochuje się we Wsiowym.

— Lepiej na to uważaj.

— Przecież on wie, że to dzieciak. To jednostronna sprawa. Po prostu dziewczyna robi do niego maślane oczy.

— Za słabo go znasz, żeby mieć pewność, czy czasem się facet nie odwzajemni.

— Oj, chyba jednak go znam.

— Ale będziesz mieć oko?

— No pewnie.

— I jeszcze jedno. Ta dziewczyna, co ją znaleźliście, dostała z trzydziestki ósemki.

— No, tak słyszałam. A ty skąd o tym wiesz, do licha?

— Już rozpuścili plotki, kochana. Może strzelano z broni Pete'a, zresztą kto wie, może on sam to zrobił. Diabli mnie biorą, że to mówię, ale skoro ciebie tak bił, mógł ją zastrzelić, jak się dowiedział, że kobieta ma z nim dzieciaka, gdyby tego nie chciał. Może i tak było, a jeśli nie ustalisz, czyja to robota, można by właśnie na niego zwalić. Zresztą, do diabła, trzydziestka ósemka Jonesa jest tu w tym schowku na mapy zaraz przed tobą. Masa ludzi ma pistolety w tym kalibrze.

— Dziwię się, że sugerujesz, że to robota Pete'a.

— Nie dlatego, żeby mi się to podobało, nie wiem też, czy faktycznie to on zrobił, ale przynajmniej zyskałabyś na czasie, miała jeszcze parę dni na odszukanie faktycznego sprawcy. Może taka odpowiedź wystarczyłaby na zebraniu w osadzie.

— A jeśli nie odnajdę prawdziwego mordercy? Jeśli to nie Pete?

— Równie dobrze możemy zwalić winę na niego...

Słonko zauważyła, że Marilyn zamrugwała, a po chwili z jej oka wy-smyknęła się łza. Marilyn miała bardzo piękną twarz, ale akurat teraz słońce oświetlało ją tak, że zmarszczki były bardziej widoczne, jak drobne redliny, zaś tu i ówdzie kosmyki włosów wyswobodziły się z upięcia i opadały na policzki i czoło. Zdaniem Słonka przypominała przez to greckie posągi, które widziała na obrazkach w książkach, i przypomniała jej się ta historia o Helenie Trojańskiej, co ją kiedyś czytała: może tak właśnie wyglądałaby Helena, gdyby dożyła sześćdziesiątki? Wciąż piękna. Taką twarz jakiś artysta mógłby zechcieć wyrzeźbić w granicie.

Gdy Marilyn otarła łzę grzbietem dłoni, Słonko mruknęła: — Chyba nie musimy już dłużej nad tym debatować.

Marilyn pokiwała głową. — Przejedziemy się kawałek. Chciałabym ci coś pokazać.

*

Zostawiły na piaszczystych, wąskich drogach kłęby kurzu, aż w końcu podjechały pod mały dom z wielką werandą, na której w bujanym fotelu siedział Bill Martin. Obok niego leżały dwie kule.

Przy domu stał stary, granatowy pick-up oznaczony plamami rdzy, jak też czarny Ford, nie taki stary i z wyglądu w całkiem niezłym stanie.

— Co mu się stało? — spytała Słonko, kiedy wjeżdżały na podwórze.

— Drzewo na niego odskoczyło. Prawie zdołał zejść z drogi, ale go jednak zahaczyło. Się nadwreżył. Don Walker mi o tym powiedział. Co by się nie zdarzyło w tartaku, prawie na pewno Bill i Don by o tym gadali. Ci dwaj znają każdego, o wszystkim wiedzą...

Gasząc silnik, Marilyn dodała: — Prawdę mówiąc, myślę, że pewnie trochę udaje, żeby wyrwać sobie parę dni wolnego. Lubi pieniądze, ale nie lubi na nie pracować.

— Po co tu przyjechałyśmy?

— Pożyczył trochę pieniędzy od Jonesa. Myśli, że jak Jones nie żyje, to ja nic o tym nie wiem. Przynajmniej tak mi się wydaje. Usłyszałam, że ma ten drugi samochód, i coś mi przyszło do głowy.

Wysiadły z samochodu i podeszły do werandy. Wtedy dopiero pies, który spał pod nią w cieniu, zażenowany tym, że dał się zaskoczyć intruzom, poderwał się, wyrznął łbem w deski i zaczął ujadać.

— Stul pysk! — wrzasnął Bill.

Pies szczeknął jeszcze parę razy, żeby pokazać, kto tu rządzi, zamilkł i znów legł na miękkim piasku pod schodami. Kiedy podchodziły z Marilyn pod werandę, Słonko widziała, że jego czujne ślepia podążają za nimi. Był to spory, czarno-biały ogar o wystrzępionych, łopoczących uszach — ewidentnie nie raz polował na szopy.

— Dzień dobry, pani Jones, pani konstabl Słonko — powitał je Bill.

Słonko miała wrażenie, że jej przydomek wypowiedział nieco kpiąco, ale darowała sobie reakcję, bo było jeszcze zbyt wcześnie, żeby wziąć i matola po prostu zastrzelić, a poza tym strzelanie do kaleki na kulach nie wyglądałoby najlepiej.

— Witaj, Bill — odparła Marilyn.

Otworzyły się drzwi i wychynęły zza nich trzy głowy. Dzieci. Zdaniem Słonki, tak od dziewięciu do dwunastu lat. Kiedy tak wyzierały na dwór, można by pomyśleć, że ustawiono te głowy w słupek — u góry dwie dziewczynki, na dole najmłodszy, chłopiec ze szczerowatą buźką

i oczyma niczym kozie bobki. Słonko podejrzewała, że żadne z nich nawet nie zawitało do miejscowej szkoły, jaka by ona nie była — oferowana w osadzie Rapture edukacja kończyła się na dziewięciu klasach. Jeśli kto chciał więcej, trzeba było się wozić do Holiday, tam szkoła miała klas jedenastie. Większość jednak dawała sobie spokój, jak tylko nauczyli się czytać, pisać i rachować. Potem czekała ich już przecież tylko praca w polu, no, może w sklepie, a tylko ogromnie fartowny dzieciak mógł trafić do szkoły fryzjerskiej w Tyler.

Słonko nie była nawet pewna, czy sama wyśle Karen do szkoły po tych wakacjach. Mała musiałaby już uczyć się w Holiday i Słonko nie wiedziała, jak miałyby to załatwić.

— Wracać mi do domu, a migiem — rozkazał Bill. — Tu dorośli rozmawiają. No, już mi stąd.

Główki znikły, jakby rozstała się pod nimi dziura i wszystkie w nią powpadały. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

— Cholerne bachory — stęknął Bill. — Nic tu sobie człowiek nie odsapnie. Ze też ta moja żona musiała ich urodzić trójkę, a potem wzięła i umarła.

— Niewdzięczne babsko — stwierdziła Słonko.

Bill spojrział na nią z miną, w której Słonko rozpoznała głęboką konsternację. Nie miał pojęcia, czy faktycznie doczekał się współczucia, czy zeń kpią.

— Przejdę od razu do rzeczy — odezwała się Marilyn. — Pożyczyłeś od mojego męża pieniądze. Zalegasz ze spłatą.

Jakby mu całe mięso spęzło z kości twarzy.

— Nie zapomniałem, pani Jones. Ani na chwilę. Jak tylko będę mógł wrócić do roboty, spróbuję się wypłacić.

— A skąd masz ten samochód? — spytała Marilyn.

— Przehandlowałem za mego starą prasę do syropu i inne rzeczy z kuchni. Gdy go wzięłem, nie był na chodzie, ale naprawiłem grata i już jeździ.

— Jeździ?

— Aha.

— No bo słyszałam, że masz i samochód, i pickupa, i chyba możemy zrobić małą wymianę. Twój dług u Jonesa za ten samochód. Wciąż zostanie ci pickup, żebyś miał czym jeździć i wozić, co ci tam trzeba.

— To porządny samochód — zauważył Bill.

— Grata bym nie chciała.

— Potrzebny mi jest.

— Masz pickupa.

— I podoba mi się.

— Masz u mnie dług.

— Ano tak, psze pani. Tak by to wyglądało — przez chwilę dumał nad sytuacją. — Mógłbym oddać pani pickupa w zamian za część długu.

— Już kupę czasu jesteś mi winien te pieniądze, Bill. Kiedy byłeś w potrzebie, pomogliśmy ci. Ta pożyczka wygrzebała cię z kłopotów, nie?

— No pewnie. Przydało się. Musiałem mieć wsparcie, kiedy mi żona umarła.

— No więc?

— Więc... musiałem pożyczyć te pieniądze.

— I dostałeś je od nas.

— Jones mi je dał. Bo pani nie chciała mu na to pozwolić.

— I miałam dobry powód. Wciąż żeś go nie spłacił. Ale co byłeś winien jemu, jesteś teraz winien mnie.

— Kiedy nie poukładało mi się w życiu.

— Rozumiem, że nie jesteś w najłżejszej sytuacji, ale dług to dług, a myśmy z Jonesem przez sporo czasu nawet ci tego nie wypominali. Ten samochód pokryje całą kwotę, uznam sprawę za zamkniętą. Jakbym chciała robić ci kłopoty, samochód by nie wystarczył. Wzięłabym i wóz, i coś jeszcze.

Słonko widziała, że utrata samochodu doskwiera Billowi bardziej niż zraniona stopa.

— Głosowałem za Słonkiem na konstabla, kiedy pani chciała.

— Głosowałaś za podwyżką płacy — zripostowała Marilyn.

— Nie byłoby innego wyjścia?

— Nie chcesz oddać samochodu, to oddaj te pieniądze, co jesteś winien.

— Szlag — westchnął Bill.

— Co, myślałeś, że zapomnę o długu?

— Taką jakby miałem nadzieję — wyszczerzył się. Marilyn pokręciła głową.

— W życiu.

— Wciąż mógłbym to spłacić.

— Na to już za późno. Albo z miejsca oddajesz mi połowę gotówką, albo zabieram samochód. I lepszej oferty nie będzie.

— Nie mam nawet na ćwierć tej sumy. Ciężkie czasy. Pani mi tu normalny bandytyzm uprawia.

— Nie. Daję ci szansę spłaty długu, i to jeszcze żebyś został z górką.
— A jeśli odmówię?
— Po to przyjechałam z konstablami. W samochodzie mam twoje pokwitowanie pożyczki.
— Nawet pani nie wie, czy coś Jonesowi oddałem.
— Wiem, że według umowy za każdą zwróconą sumę miałeś dostać pokwitowanie. Ja tam żadnych takich kwitów nie mam. Pokażesz swoje?
— Kazałyby mnie pani aresztować?
— No jasne.
— A do diabła z tym — Bill zaczął udawać szczodrego. — Weźcie ten cholerny samochód.

Gdy Bill dokuśtykał ku nim z kluczykami do wozu i umową kupną, którą przepisał na Marilyn, ta oddała kluczyki Słonku.

— Twój — powiedziała.
— Nie mówiła pani, że to będzie jej auto.
— Bo i po co — ucięła Marilyn.
— Aby na pewno? — spytała Słonko. — W końcu to porządne auto.
— Ano pewnie — przytaknęła Bill.
— Dlatego właśnie chcę, żebyś je miała — odparła Marilyn. — Potrzebujesz wozu. Nie możesz wciąż być zależna od innych. A gdyby Clyde rzucił robotę?
— Nie wiem, co powiedzieć.
— Powiedz „dziękuję”.
— Dziękuję, Marilyn.
— A ja nie chcę, żeby ona go dostała — odezwał się Bill.
— Niby czemu? — spytała Marilyn.
— Nie no, ja wiem, że ona jest konstabl, ale tak naprawdę to wcale nie jest.
— A jestem — powiedziała Słonko. — Naprawdę. A gdybyś nie rozliczył się z panią Jones, to bym cię aresztowała.

Sądząc po minie, Bill był gotów gryźć szyby.

— Naprawdę szlag cię trafia, że to kobieta ma tę robotę, co? — dodała Słonko.

Wgramolił się z powrotem na werandę, walnął na fotel bujany. Gdy się usadowił, zaczął się wściekle kolebać, jakby mógł wykatulać się

hen, z tej werandy, ze wschodniego Teksasu, byle dalej od miejsca, gdzie kobiety stanowią prawo i mogą zedrzeć z niego samochód za jakiś tam dług.

— I bardzo dobrze — stwierdziła Marilyn. — Odstaw samochód do domu, Słonko. Powiedz Karen, że niedługo po nią przyjadę, zabiorę ją do kina w Holiday.

— Słonko już tam była — odezwał się Bill z werandy. — To tam ocalała tego czarnucha.

— Pewnie się ucieszysz, jak ci powiem, że go zlinczowali — powiedziała Słonko.

— Już słyszałem. Oszczędziłaby sobie pani mnóstwo zachodu, jakby im pani pozwoliła załatwić to od razu na miejscu, w Holiday. No, pewnie w Tyler załapał się jeszcze na parę posiłków. Nie był ich wart, nawet jeśli dali mu tylko chleb i wodę.

— Na twoim miejscu bym się zamknęła — poradziła Słonko. — Pamiętaj, że mówisz z konstabłem.

— Ale nie o sprawach konstabla. Tak sobie gadam. Idźcie już stąd. Macie, coście chciały.

Podniósł się z fotela i pokuśtykał do domu. Nie przytrzymał drzwi, więc zamknęły się za nim z łomotem.

Słonko nauczyła się kierować jeszcze za dzieciaka, gdy pracowała na farmie, zanim zwęszyła, jakie plany żywi wobec niej gospodarz. Jak dała stamtąd nogę, potem nie było za wiele okazji, żeby pojeździć. Czasem jeździła po coś dla Pete'a, ale rzadko, jak już naprawdę czegoś potrzebował. Nie lubił widzieć kobiety za kółkiem, a już szczególnie swojej kobiety, wadziła mu też sama świadomość, że Słonko w ogóle umie prowadzić i mogłaby sobie gdzieś odjechać. Lubił ją mieć pod ręką, jak to mówił — czyli pod własnym dachem, pod pięścią, uwięzioną niczym szczur w pudełku po butach, nawet bez dziurek, żeby napływało powietrze.

Kiedy więc teraz jechała, z opuszczonym oknem, tak że wiatr rozwiewał jej włosy, jakby rozdmuchiwał płomień, czuła, jak wzbiera w niej coś jakby zachwyty. Na szyi i policzkach rozlały się rumieńce, jakby pod skórą kryły się miechy i dęty na węgle, które Słonko miała już dawno za wygasłe. Jej skóra zdawała się lizać powietrze, które smakowało tak słodko, i Słonko poczuła w sobie siłę, jakby jej kości nagle obróciły się w stal, i jechała tak przed siebie, choć przez okno nawiewało nieco kurzu, aż zaczęła kaszleć, a pył oblepił jej spoconą

twarz, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Nic a nic, bo palił się w niej cudny płomień, dzięki któremu czuła przyjemne ciepło nawet w niezbyt przyjemnym upale wschodniego Teksasu, a świat za oknem postrzegała już nie w szarościach i przykurzonej bieli drogi, ale w jasnej zieleni sosen i cedrów tej puszczy, błękitach nieba, kwieciu jaskrów, łubinów, słoneczników i wszelkich innych pieniających się tu roślin, a nawet najtwardszych bylin, które umykając z cienia drzew, ciągnęły się wzdłuż krawędzi drogi niczym szpalery gapiów na defiladzie — wszystko to widziała, kiedy w zakręty wchodziła z taką szybkością, że ryk silnika płoszył stadka ptaków, i w tej pięknej chwili czuła się niczym królowa wszystkiego tego, co obejmowała wzrokiem.

Zajechała czarnym fordem pod swój namiot, a gdy Clyde, wciąż na krześle przed wejściem, dostrzegł ją za kółkiem, z wrażenia wstał i podszedł ją powitać.

— Ukradłaś ten wóz? — spytał przez otwarte okno.

— Nie, dałam się pijaczkowi pomacać po cycku.

Spojrzał na nią z tak wstrząśniętą miną, że parsknęła śmiechem, nim powiedziała mu, jak weszła w posiadanie tego auta — wciąż siedząc z rękami na kierownicy, głową opartą o siedzenie i tylko trochę obróconą w bok, w stronę Clyde'a, żeby wciąż mogła czuć swój samochód.

— Jasny szlag, no to teraz, jak masz własny wóz, możesz mnie wylać.

— Nie wygłupiaj się — wysiadła z forda i zamknęła wóz. — Nie poradziłabym sobie bez ciebie. Jesteś moją prawą ręką. A skoro o tym mowa, gdzie się podziała moja lewa ręka?

Z namiotu wyszła Karen. Miała ułożone włosy, wyglądała zdecydowanie zbyt schludnie, zbyt czysto, jak na kogoś, kto ponoć dopiero co wstał. — Czyje to auto? — spytała.

— Nasze. Dzięki twojej babci.

— Serio?

— Serio.

— O rany Julek — jęknęła. — Nasz własny samochód.

Podeszła bliżej, żeby obejrzeć forda, a Słonko poszła pod pompę obmyć spoconą twarz z kurzu. Najpierw zebrała włosy na karku, aby to sobie ułatwić, a gdy obróciła głowę, by woda spływała jej po twarzy, zauważyła, że Clyde na nią patrzy, a minę miał taką, no tak słodką, że Słonko pomyślała: „O jasny gwint, Clyde, nie zakochuj się we mnie, bo nie dam rady”. Wtedy obróciła głowę w drugą stronę, nadstawiła pod

strumień drugi policzek i zobaczyła, że drogą nadciąga Wsiowy, tym swoim spokojnym, opanowanym krokiem. Słonko pomyślała, że to aż dziw, jak to najwyraźniej nie miał się go pot ani pył, a gdy promienie słońca padły na jego czapkę, ta wyglądała niemal jak czarna aureola.

W tym momencie poczuła, jak wzbiera w niej podobne ciepło, co w czasie jazdy samochodem, ba, nawet intensywniejsze, i tym razem żar nie skupił się na twarzy, lecz w jej łonie.

— Cześć, Wsiowy — zawołała go Karen.

— Witaj, kochaniutka — odpowiedział.

17

Lee, któremu śniło się, że jest Tarzanem i śpi na drzewie z Jane w objęciach, ocknął się, słysząc jęk.

Przez chwilę, uświadomiwszy sobie, że nie jest Tarzanem, był dezorientowany — nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, a gdy uniósł wzrok i zobaczył gałęzie drzewa, uznał, że chyba jednak jest Tarzanem i że to Jane tak jęknęła. Skoro nie było jej przy nim, a on sam był całkowicie ubrany, wykluczało to jęk rozkoszy czy nawet taki wynikający z rwania w plecach, raczej wskazywało na skargę spowodowaną być może upadkiem z drzewa, bo drzewa, jakkolwiek romantyczne, nie są zanadto wygodnymi miejscami do spania. No, chyba że dla małp.

I wtedy w pełni się rozbudził. Był na drzewie, ale nie w Afryce, a pod nim spał Gęsiak.

Lee przewrócił się na bok, spojrział w dół. Gęsiak siedział, opierając się plecami o pień. — Do diabła ciężkiego — stęknął. — Wąż wziął mnie ugryzł.

— Że co?

— Wąż. Mokasyn.

— Na pewno?

— Pewnie że na pewno. Się obudziłem, jak mnie dziabnął. To nie był żaden połów. Wiem, że te zaszrane mokasyny to jadowite bydlaki. Przynajmniej tyle wiem. Widziałem, jak wlaźł potem w te liście. Dziabnął mnie w dłoń. Mały był. Za bardzo nie boli.

— Gdzie dokładnie polazł?

— No, nie mówił mi, gdzie się chce kimnąć. Ale wlaźł tam, w te liście...

Gęsiak pokazał palcem, gdzie.

Lee zeskoczył ze swojego konara i rozejrzał się wokół, znalazł solidny kij.

— On już mnie ugryzł — wytknął Gęsiak. — Nawet jak go obijesz tym kijem, nie będzie ze mną lepiej.

Lee upuścił drąg. — Masz rację. Trzeba z tobą do lekarza. Dasz radę iść?

— W rękę mnie ukąsił, nie w nogę.

— Ważne, żeby iść powoli, ostrożnie, bez pośpiechu. Bo inaczej jad się wzburzy i szybciej pójdzie po żyłach.

— Ale będzie dobrze?

— Pewnie. Tylko musimy znaleźć doktora.

Wyszli więc na jezdnię i ruszyli w drogę. Już wstał ranek, zaczęło się robić gorąco. Lee miał nadzieję, że do osady Rapture nie było już daleko i że mieli tam lekarza, i że nie dotrą tam zbyt późno. Rozejrzał się wokół, próbując przypomnieć sobie, jak wyglądała kiedyś ta okolica, zorientować się, gdzie właściwie są, ale równie dobrze mogliby wędrować przez Rumunię.

Kiedy tak szli, Gęsiak odezwał się nagle: — Ręka zaczęła mnie boleć, jak w ogniu palona, i taka ciężka teraz jest.

Lee spojrział na dłoń chłopca. Strasznie nabrzmiała, pociemniała.

— Włóż ją sobie pod koszulę. Rozepnij parę guzików. Włóż ją tam, tak na Napoleona, żeby ci się nie majtała przy nodze.

— O Jezu, jak boli.

— Wiem, synek. Trzymaj się.

Uszli jeszcze kawałek, gdy wtem Gęsiak padł na kolana. — Ale mi się kręci we łbie. Gorąco mi w głowę, jak wściektemu psu, albo i gorzej.

— Będzie dobrze, synek.

Gęsiak zwałił się w piach, twarzą naprzód.

Lee podniósł go i ruszył z chłopcem na rękach. Nie było lekko, nie zaszedł daleko, a już musiał położyć małego na ziemi. Znów go podniósł, lecz tym razem przerzucił sobie Gęsiaka przez bark. Tak też było ciężko, ale lżej, niż nieść go na rękach. Tym razem zaszedł dwa razy dalej, nim się zatrzymał i z wielkimi trudnościami przełożył chłopaka na drugie ramię.

Gęsiak już się nie odzywał. Ani pisał. Był rozpalony w dotyku. Mimo wszystko, Lee wciąż do niego mówił: — Daj radę, synek. Nie może już być zbyt daleko, do cholery. Już tu kiedyś byłem, dawno temu, i widzi mi się, że jesteśmy już blisko.

Ale szli i szli, a drogi nie ubywało. Lee chciał się zatrzymać, położyć. Upał i ciężar wyssały zeń wszystkie siły, lecz wciąż brnął przed siebie. Myślał sobie: „Całe szczęście, że Gęsiak to chudy dzieciak, bo bym padł martwym bykiem i nie wstał. No, ale jakby był gruby, to by pewnie nie biegał jak gęsiak, i miałby inne przezwisko. Pewnie by go wołali Prosiak, albo co”.

Nogi ciążyły coraz bardziej, ręce ogarniało znużenie, Lee usiłował jednak skupić się na drodze przed sobą, przed każdym zakrętem myśląc, że zaraz odsłoni się przed nim osada Rapture. Zastanawiał się, jak ona teraz wygląda. Kiedy stąd odchodził, dopiero co ją założono, nazwa była nowiutka, świeża, i prawie nic się za nią nie kryło. Jasny szlag. Kiedy to było? Trzydzieści lat temu? Trzydzieści trzy? Nie bardzo pamiętał. Miał wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat. A teraz niewiele ponad pięćdziesiąt. Nie. Bzdura. Gdzie ten czas przeleciał. Miał pięćdziesiąt cztery lata. Znaczy, niewiele czy wiele ponad pięćdziesiąt? Chryste Panie, jaki ten chłopak ciężki. Jest gorąco, piekielnie gorąco, i chłopak też rozpalony. Taki rozpalony.

Lee potknął się, padł na kolano. Gęsiak zsunął mu się z ramienia, rąbnął w szosę.

— Jezu, synek, przepraszam — stęknął Lee, ale chłopak nie zareagował ani na upadek, ani na jego słowa.

Wyteżając się niczym Atlas, biorący niebo na barki, Lee znów zdołał podnieść chłopaka, tym razem trzymając go za rękę i nogę, tak że zwisał mu z pleców. W ten sposób z początku było łatwiej, ale wkrótce Lee poczuł ból w ramieniu, w nodze, i pomyślał: „Muszę się na chwilę położyć. Oj nie. Nie wolno. Liczy się każda sekunda”. Zerknął na dłoń chłopca, majtającą się swobodnie. Była czarna, napuchnięta, w ogóle nie przypominała ręki, tylko jakieś nieboskie stworzenie.

— Damy radę, Gęsiak — sapnął, zastanawiając się, czy aby na pewno, czy w ogóle chłopak jeszcze żyje. Wciąż brnąc przed siebie, rozluźnił się, próbując usłyszeć oddech dzieciaka, i dał radę. Czuł nawet lekkie, ale wysiłone ruchy ciała Gęsiaka przy każdym tchu wymęczonych płuc.

— Jezu, jak Boga kocham — odezwał się znów. — Wiem, że sobie nagrabiłem. Ale nie wyzywaj się za to na dzieciaku. Pomóż mi przyjść mu z pomocą.

Jezus nie wyciągnął z nieba pomocnej dłoni. Bóg nie zesłał rydwanu ani lekarza. Duch Święty nie kibicował mu z pobocza.

Lee parł dalej, potknął się, opadł na kolano, znów wstał i szedł przed siebie, mrużąc do Boga Ojca, Jezusa i Ducha Świętego: — Wy psie syny. Wszyscy trzej.

I wtedy usłyszał dźwięk.

Prawie się wywrócił, gdy obracał się w jego stronę.

Drogą nadciągał pickup z drewnianymi burtami. Lee wyszedł na sam środek jezdni. Pickup skręcił i zatrzymał się na lewym poboczu, aż coś zagrzechotało na pace. Za kierownicą siedziała kobieta. Z wyglądu w wieku Lee. Niebrzydka, z siwym pasmem przez środek głowy. Oczy miała jak zimne, błękitne ognie. Sięgnęła do drzwi od strony pasażera, opuściła szybę.

— Co jest? — spytała.

— Chłopaka wąż ugryzł.

— Jadowity?

— Dłoń mu spuchła, wielka jak moja głowa. Mówił, że to mokasyn.

— Wsiadajcie.

Lee wsiadł do szoferki, ułożył sobie Gęsiaka na kolanach. Ściągnął mu z głowy przyciasną czapkę i zgarnął mu włosy z oczu, czapką otarł pot z twarzy chłopca. Ukąszoną dłoń ułożył mu na piersi. Była czarna i ogromna. Wyglądała tak, jakby mogła wybuchnąć przy ledwie pacnięciu. Lee podwinął chłopakowi rękawy. Wzdłuż ukąszonej ręki ciągnęły się czerwone i sine pręgi.

— Widzi pani, jak go urządził.

Marilyn zerknęła na rękę chłopca, wyjechała na jezdnię.

— Myślałem, że chłopak będzie miał jakieś szanse, jak go dotaszczyć do osady Rapture, do doktora.

— Większe szanse będzie miał, jak go zabierzemy do Ciotki Cary. To akuszerka, ale zna się też na ukąszeniach węży i różnych innych rzeczach, co to lekarze nie zawsze. W sumie z niej też taki jakby lekarz.

— Mam nadzieję, że to dobry wybór.

— No i do niej jest bliżej.

— Do osady jest w ogóle dalej, niż pamiętałem.

— A dawne te wspomnienia? Kiedy żeś pan tu był? Powiedział, jak było.

— Kiedyś szła tam prostsza droga, ale wciąż ją wymywało, jak potok wzbierał, więc ją przerobili — wyjaśniła. — Ta nowa trochę kluczy, ale już jej tak nie podmywa.

— Z tą Ciotką Cary, to na pewno dobry pomysł?

— Wielu ludziom pomogła — odparła Marilyn. — Widziałam już, jak robiła przeróżne rzeczy. Raz przyjechała do Rapture i odebrała poród, że trzeba było matce rozciąć brzuch. I dzieciak wyżył, i matka. Ciotka Cary pozszywała kobietę żyłką wędkarską, i się zrosło. W takich sprawach, czy tak jak tu teraz, wolę do niej niż do doktora. Poza tym do niej mamy bliżej, a ten chłopak potrzebuje pomocy już zaraz.

Zjechali z głównej drogi na wąski dukt. Pickup kolebał się i trząsał, rzeczy na pace grzechotały jak głupie. Lee zerknął przez ramię i wyjrzał przez tylne okienko. Były tam świdry do wiercenia dziur pod pale, łopata i siekiera.

Aż chciał, żeby cały ten złom wyleciał za burtę. Od ich łomotu zaczęła go boleć głowa.

Z początku Marilyn jechała szybko, ale dukt się do tego nie nadawał, więc zdjęła nogę z gazu.

— Nie oddycha normalnie — stwierdził Lee.

— Jad uderza w płuca — odparła. — W różne miejsca, ale i w płuca. Robi się tak, że człowiek nie wyrabia z oddychaniem, a potem trucizna idzie już prosto do serca.

Drzewa rosły tu gęściej. Z ciemnych, poskręcanych, najeżonych cierniami pni zwieszały się długie liany. Skręcili w dróżkę nawet węższą od tego duktu, i równie wyboistą, i zaraz zatrzymali się na wykarczowanej polanie, gdzie stała stara chałupa, nieduża, z osuwającym się gankiem. Przed domem stał pień z wbitą weń siekierą, wałały się części od wozu, lemiesz i obfita kolekcja kurzych piór.

Marilyn zaparkowała przy samym ganku, wysiadła i zawołała do drzwi: — Ciotko Cary! Jesteście tam?! Tu Marilyn Jones. Jesteście? Mamy tu pilny przypadek.

Drzwi otworzyły się i na ganek wyszedł Wuj Riley, a za nim Tommy, jego syn.

— To jej mąż, Wuj Riley, i ich syn Tommy — przedstawiła ich Marilyn.

Lee zauważył, że Wuj Riley wyglądał młodziej, niż on sam, bynajmniej nie jak wuj. Był duży, krzepki, miał wygoloną głowę. Na sobie miał przykrótkie spodnie i przyciasną, białą koszulkę z krótkimi rękawami, wyplamioną. Chłopak, bosy, był ubrany w drelichowy kombinezon. Miał długie włosy, kręcone, sterczące w powietrze jak sprężyny ze starego materaca.

— Co tam u pani, pani Marilyn? — spytał Riley. — Czym możemy służyć?

— Mamy tu chłopaka, co go wąż ukąsił, Wuju. Mokasyn. Mocno już spuchł. Potrzebna nam Ciotka Cary.

— Akuratnie wyszła, zioła zbiera. Tommy, leć po mamę, powiedz, żeby wracała do domu raz dwa.

Tommy wbiegł z powrotem do domu, wypadł tylnymi drzwiami. Usłyszeli, jak siatkowe drzwi zatraskują się za nim, huknęło ostro, jak ze sztucera.

— Wnieśmy go do chaty — poleciał Wuj Riley.

Z pomocą Lee wniósł Gęsiaka do jedynej izby sypialnej, ułożyli go na łóżku. Wuj Riley podłożył poduszkę pod głowę chłopaka, przyjrzał się dłoni.

Lee rozejrzał się po izbie. Było tu sporo półek, a na nich słoje i woreczki, w słojach zaś dostrzegł korzonki, coś, co wyglądało jak ziemia, jakieś barwne proszki, a w jednym kilka łąbów mokasynów, unoszących się w płynie barwy moczu. W innych słojach z łąbów węży ciągnęły się czerwone smuzki, jak stężałe nitki krwi.

Wuj Riley nachylił się nad Gęsiakiem, obejrzał jego dłoń. — Nieźle go chapnął.

— Chłopak mówił, że wąż był mały.

— Te młode są najgorsze. Jad aż w nich buzuje.

Trzasnęły tylne drzwi i po chwili w izbie pojawiła się bardzo ładna, nieco przykości kobieta o podbarwionej czerwienią karnacji i drobnych, czarnych piegach rozsypanych na policzkach. Głowę miała obwiązaną szmatą w czarno-czerwoną kratę. Nawet nie spojrzała na Lee ani Marilyn, tylko zaraz pochyliła się nad chłopcem, obejrzała jego dłoń, szturchnęła ją palcem.

— Tommy, kopnij się po ten mój ostry kozik — poleciła. — Ten, co nim gruszki szczepię. Przynieś go tu, i jeszcze trochę mojego lekarstwa, i szklankę.

Chłopak wybył, a po chwili wrócił ze szklanką, nożykiem i jakimś dzbankiem.

Ciotka Cary położyła szklankę i kozik na brzegu łóżka, zdrowymi, białymi zębami wyciągnęła korek z szyjki dzbanka i naląła nieco jego zawartości do szklanki.

— Najlepszy destylat od pana Byka — stwierdziła.

Lee po woni poznał, że to bimber. Ciotka Cary łyknęła nieco ze szklanki, dołała więcej i postawiła ją na podłodze, sama ukłękła zaraz

obok. Otworzyła kozik, zamoczyła ostrze w bimbrze, po czym dopiła, co było w szklance. Usiadła na skraju łóżka, ujęła dłoń chłopca i dwakroć dziobnęła ranę nożem. Nie cięła po opuchliznie, wzdłuż czy w poprzek, tylko dziab, prosto w dziurki po kłach węża. Strzyknęła ciemna ropa. Ciotka Cary podniosła dzbanek, chlapnęła nieco na ranki.

— Daj no mój kamień — poleciała.

Tommy wypadł z izby, wrócił z białym, gruzłowatym kamieniem, w sam raz mieszczącym się w dłoni. Ciotka Cary wzięła go i przycisnęła do ran.

Na oczach Lee kamień zaczął ciemnieć.

— Toto wysysa truciznę? — spytał.

— Ano.

— Taki kamień?

— Ja na niego mówię „mleczny kamień”. Tommy, wyciągnij ze studni dzbanek z mlekiem.

Chłopak znów wybiegł z izby. Pod jego nieobecność kamień jeszcze bardziej pociemniał.

— Ja nie wiem, czy to faktycznie kamień — dodała. — Ale jad wyciąga jak ta lala.

Wrócił Tommy, niosąc wilgotny dzbanek z mlekiem. Uwieszono go w studni na linie, żeby schłodzić zawartość. Ciotka Cary naląła pół szklanki mleka. Odstawiła naczynie na podłogę i powiedziała: — Patrz pan na to.

Włożyła kamień do mleka, a ciecz zaraz ściemniała niczym chmura burzowa.

— W mleku wychodzi najlepiej. Trochę robiłam, że w wodę, ale wtedy idzie gorzej. Jakby mleko wysysało jad z kamienia.

Gdy zawartość szklanki tak już pociemniała od jadu i ropy, że kamienia wcale nie było widać, Cary podała naczynie Tommy'emu i poleciała: — Wylej to, ale tak, żeby ci na ręce nie chlapnęło. I przynieś z powrotem. Tylko żebyś nie wylał gdzieś koło warzywnika, pamiętaj!

— Tak, proszę mamy.

I chłopak jeszcze raz zniknął. Wrócił ze szklanką bez mleka, ale z kamieniem. Ten wydawał się większy, niczym napęczniała gąbka, a przy tym znów był tak biały, jak z początku.

Ciotka Cary wlała do szklanki nieco bimbru, zakołysała nią łagodnie, wyłowila kamień i znów przyłożyła go do rany. Ponownie wypełnił się trucizną.

Cary zdjęła wtedy z półki Biblię, otworzyła ją, przekartkowała i zaraz znalazła potrzebne miejsce. Odczytała na głos kilka linijek. Skończywszy, wyjaśniła: — To wiersze od leczenia.

— Poznałem — odparł Lee. Sięgnął do głowy Gęsiaka, dotknął czoła. Wciąż było spocone, gorące, ale już nie rozpalone.

— Teraz mu naszykuję coś do picia — powiedziała Ciotka Cary. — Trochę zbije gorączkę.

— Wyjdzie z tego? — spytała Marilyn.

— To już wola boska — odparła Ciotka Cary. — Ale tak myślę. Ano, psze pani, tak myślę.

Lee zauważył kolejną niezwykłą rzecz. Spuchnięta dłoń Gęsiaka skłęsa już nieco, nie była też już czarna. Teraz skóra była jasnosina, a linie, które pełzły w górę ramienia, cofnęły się mocno. Z ranek sączyła się już krew, nie jad.

— Riley — odezwała się Ciotka Cary — sięgnij no tam za piec, może znajdziesz jakie pajęczyny.

Wuj Riley podszedł do kuchennego pieca, zajrzał za niego i wygarnął garść pajęczyn, jakby zbierał nici na krośnie. Przyniósł je żonie, a ta zgmiotła je w kompres i przycisnęła do ran. Pajęczyny nasiąkły krwią, która zaczęła krzepnąć.

— Żeby krew przestała lecieć — wyjaśniła Ciotka Cary. — Nigdy nie sprzątam za piecem. Kto wie, kiedy się człowiekowi przyda pajęczyna.

Lee wyciągnął rękę, delikatnie dotknął dłoni Gęsiaka.

— A niech mnie diabli porwą. Już prawie nie ma gorączki.

— Bo wyszedł z niego cały jad — odparła Ciotka Cary. — A nas wszystkich diabli porwą, jak się nie wyrzekniemy grzechu.

18

Tego samego dnia, nieco później, Henry, już i tak durnowaty ze szczęścia, że udało mu się znaleźć coś, czym mógłby naznaczyć Słonko jako zbrodniarkę, załapał się na kolejne wydarzenie, które było jak idealny lukier z białkiem na solidnym torcie czekoladowym, choć jeśliby się temu przyjrzeć uważniej, musiał nieco pomóc przy tym lukrowaniu.

Bo poszedł do pracy i nudziło mu się, siedział w biurze i tak naprawdę nic nie musiał robić, więc postanowił, że wyrwie się z tartaku, wyskoczy do Holiday, gdzie znał taką fajną kobitkę, co to robiła co trze-

ba za pięć dwadzieścia. Dziwna cena, ale taką sobie wyznaczyła, a warta była każdego centa. Blondynka, cycata, a tyłek miała taki, że dwie można by oddzielić, ale i tak jędrny i miły w dotyku, choć czasem w upały dostawała wysypki między udami.

Kiedy tam jechał, jak zwykle rzucił okiem na mieszkanie na piętrze nad apteką. Dziwne miejsce. W pomalowanej na jaskrawą czerwień ścianie od ulicy były tylko dwa okienka, tak że fasada wyglądała jak twarz faceta z udarem słonecznym, takiego z kwadratowymi oczami. Od tyłu okien było mnóstwo. Wychodziły na porośniętą trawą, piaszczystą skarpe, zbocze wielkiego, porośniętego lasem urwiska, które nawisało nad budynkiem apteki i tym mieszkaniem. Tam na piętrze mieszkał John McBride. Henry robił z McBride'em interesy, ale kiedy nie musiał nic z nim załatwiać, starał się nawet o tym typie nie myśleć. To nie był facet, o którym chętnie człowiek myślał, jeśli nie musiał. Przybył tu z Houston, a dokładniej to z Chicago, na życzenie Henry'ego — któremu zdarzało się teraz żałować, że tak zrobił, bo McBride był z tych, co to niby pracują dla kogoś, ale po jakimś czasie zaczyna człowiekowi świtać, że to on robi na takiego McBride'a, i nie da się skubańca pozbyć. Nagle typ wie już wszystko o twoich interesach i w każdym ma działkę. Wtedy człowiek zaczyna żałować, że w ogóle drania poznał, nawet jeśli w pewnych sprawach był nader poręczny, bo miało się wrażenie, że przybył tu z miejsca gorętszego niż Houston czy nawet Meksyk. Znacznie gorętszego.

A z nim przybył tu ten drugi. Ten czarny. Ten, co to mówił mało, a jeśli już, to jakby gadał do niewidocznej osoby stojącej zaraz za tobą, trochę po lewej. No właśnie. Ten czarny. Jak założył ten swój kapelusz i frak, wyglądał jak chrabąszcz. Zły cień McBride'a.

O tym typie Henry wolał w ogóle nie myśleć. Nawet o jego imieniu wolał nie myśleć, bo się bał, że w ten sposób mógłby go przywołać. Jeśli McBride przybył tu z bardzo gorącej okolicy, ten drugi... ten musiał pochodzić z jeszcze głębszej otchłani.

Henry wrócił myślami do tej kurewki, co ją zamierzał odwiedzić, ale przybywszy na Dodge Street, z bólem przyjął wiadomość, że wyszła na umówioną wizytę gdzie indziej.

Wyglądało na to, że zaczął się pechowy dzień. Henry nie miał ochoty wracać do tartaku, nie chciało mu się też jechać do domu i tam patrzeć, jak żona pije, ale zaświtało mu, że ma przecież w skrytce biurka w domu schowany mały czarny notatnik, a w nim adresy kurew, a nawet parę numerów telefonów do tych, co miały własną linię albo znajo-

mego z aparatem. Sam nie korzystał jeszcze z usług tych kobiet, zamiary dostał od współpracowników. Nawet nie planował kiedykolwiek ich wykorzystać, w końcu miał już tę blondyneczkę, co mu pasowała, ale skoro dziś nic z tego nie wyszło, a on wciąż miał chęć zamoczyć kaczora, chociaż ze stałą nie wyszło, pojechał więc do domu z misją: wydostać czarny notes.

Wchodząc do przedpokoju, nie powitał żony okrzykiem. To nigdy nie był dobry pomysł — i tak mogła się pojawić w każdej chwili, hałda cielska, coś jakby samobieżna przyzma ziemniaczanego puree zwieńczona kłębem włosów tłustych jak ciekący filtr oleju.

Przez drzwi salonu zobaczył sterczącą nad oparciem kanapy pulchną, białą stopę. Podeszedł tam po cichu, zawołał żonę po imieniu, ale nie odpowiedziała.

Zerknął za kanapę. Żona leżała tam — nago, jak zwykle, a jej druga noga spoczywała na siedzeniu kanapy, tylko paskudnie wykręcona, tak że odsłoniło się to coś, po czym szło odróżnić kobietę od przyzmy puree, i na ten widok Henry'ego aż poderwało, jakby zobaczył porośniętą włosem ranę.

Wtedy zauważył też, że żona generalnie nie wyglądała najlepiej. Jej obrzmiałe od sadła piersi opadły, zakrywając twarz kobiety — cud boski, pomyślał Henry — a zwały tłuszczu, z których składała się reszta jej cielska, spływały z kanapy na podłogę, istny sadłospad.

Jeszcze parę razy zawołał ją po imieniu.

Nic. Przeszedł na drugą stronę kanapy, popatrzył z bliska. Niewiele zobaczył. Już chciał sięgnąć do jednego z cyców, odsłonić jej twarz, ale na samą myśl dostał dreszczy. Już od lat nie dotykał tych wymion, i teraz też wcale się do tego nie palił.

Podeszedł do kominka, wziął pogrzebacz, z jego pomocą uniósł jedną pierś, potrzymał ją przez chwilę w górze, jakby to był jakiś wredny zwierzak, którego co prawda trafił celnym strzałem, ale bał się, że bydlę jednak wciąż jeszcze żyje. Spod cyca wyłoniła się ręka, przerzucona nad twarzą, w dłoni zaś wciąż tkwiła szklanka, przyciśnięta wylotem do ust kobiety.

Wtedy zrozumiał.

Stała za kanapą, jak zwykle zalana w drobny mak, i odrzuciła raptownie głowę, żeby sobie golnąć, ale impet tego ruchu sprawił, że wywróciła się do tyłu. Fiknęła nad oparciem kanapy, nabierając jeszcze pędu, kiedy piersi niczym wory mąki wyrznęły ją w twarz, reszta ciała dołożyła swoje i baba rąbnęła w podłogę, aż echo poszło.

A może to był atak serca? Nieważne. Grunt, że nie żyła. Aby na pewno?

Już się zdarzało, że serwowała mu takie zmyłki, do tego stopnia, że miał chęć pogadać o niej z McBride'em, ale wołał nie ryzykować. Wystarczyło, że zniknął burmistrz Holiday, za co odpowiadał właśnie McBride, a Henry mu za to zapłacił.

Jeszcze raz starannie przyjrzał się żonie. Wymiociny oblepiały jej usta i podłogę nieopodal, usta zresztą były szeroko otwarte, a szklanka tak naprawdę w nich tkwiła. I to do połowy.

Henry opuścił pogrzebacz, aż pierś opadła na miejsce, po czym szturchnął ją tym prętem w bok, parę razy, tak dla pewności. Sztur-chańce były całkiem mocne, ale ona ani drgnęła, ani się odezwała.

Roześmiał się. Sam siebie zaskoczył tym śmiechem, który przybył zupełnie znikąd, jak grom z jasnego nieba. Śmiał się i nie mógł przestać. Zatańczył w kółeczku.

Ostatnio powątpiewał w istnienie Boga, ale teraz wiedział, że się mylił. Mało, że Bóg istniał, to jeszcze stary skurczybyk trzymał stronę Henry'ego.

Odłożywszy pogrzebacz, Henry znalazł nad kominkiem szklankę i żoniną butelkę, nalał sobie solidną porcję i osuszył jednym haustem, poprawił. Alkohol zupełnie go nie brał.

Henry był odurzony szczęściem, nie whisky. Cieszył się bardziej, niż gdyby dobra wróżka wydłużyła mu fiuta o sześć cali.

Z sypialni przyniósł kapę i narzucił ją na żonę.

Ta jęknęła.

Niby nic, a jednak dźwięk.

Henry zatrzymał się, zaczął nasłuchiwać, rozejrzał się. Miał nadzieję, że usłyszał tylko burczenie we własnym brzuchu, niespodziewane wiatry, czy co. Ale nie — znów jęknęła.

Podszedł do żony, podniósł kapę. Powieki kobiety zatrzepotały lekko, znów się zamknęły. Dłoń, wciąż zacisnięta na szklaneczce, odchyliła się od ust, pacnęła na podłogę.

Henry zrewidował swoje poglądy odnośnie Boga.

Pochylił się, znów nakrył kapą twarz żony, po czym złapał materiał tak, żeby dokładnie zacisnąć jej nos, i pochylił się naprzód, dociskając tkaninę całym ciężarem ciała. Kobieta była tak słaba, że nawet zanadto się nie szarpała. Stopa stercząca nad kanapą majtnęła się kilka razy, niczym biała flaga kapitulacji, po czym zamarła.

Henry wciąż naciskał. Wolną ręką wyjął z kieszonki zegarek, otworzył wieczko. Zerknął na cyferblat, wciąż cisnąc drugą dłonią, dodatkowo opierając kolano o skroń żony. Starannie obserwował ruch wskazówek. Fałdy tłuszczu żony zakolebały się, ale nie poderwała się ona, nie zaczęła szarpać, tylko zadygotała.

Po chwili nawet falowanie sadła ustało, a Henry ustalił, że dociskał kapę do nosa żony przez jakieś cztery minuty.

Zmęczony, puścił materiał i wstał. W końcu pochylił się znów i uniósł kapę. Żona wyglądała na nieżywą. Znów złapał za pogrzebacz i ponownie zaczął ją szturchać, nawet mocniej niż przedtem, ale tym razem przez kapę, żeby nie zostawić śladów.

Tym razem Bóg faktycznie stanął po jego stronie, nawet jeśli Henry musiał mu dopomóc.

Nalał sobie więcej whisky, wypił małymi łyżkami, po czym poszedł zawiadomić Williego. Mógł do niego zadzwonić, obaj mieli telefony, ale taką wiadomość wolał przekazać osobiście. Ostatnim razem tak go nosiło ze szczęścia, kiedy na dwunaste urodziny dostał karabinek kaliber 22 i trafił siedzącego na drzewie kota sąsiadów.

Jadąc do Williego, zastanawiał się, czy kaznodzieja znajdzie trumnę tak wielką, żeby ta stara krowa się zmieściła. Przecież chyba dorównywała gabarytami niedźwiedziowi, psiakrew. Będzie trzeba kupy chłopa, żeby ją wynieśli. Albo i przyjdzie zaprząć odkarmionego wołu...

No dobra. Bez wołów. Ale wyobrażał sobie takiego stojącego u drzwi, z długimi łańcuchami od chomąta do jej stopy, a potem poganianego brutalnymi razami bata i wywlekającego stare, tłuste, martwe babsko nad kanapą i za dom.

Potem pomyślał sobie: Może powinienem ją najpierw ubrać?

Nie. Za wiele zachodu.

W co ją ubrać do pogrzebu, tak w ogóle?

Mógłby na ten przykład wyciąć w kapie dziurę, tak żeby przeszła głowa. Zawsze to jakaś opcja.

Grunt żeby nie wyglądać na zbyt uszczęśliwionego. Jeśli zanadto będzie się cieszył, może pożałować. Jeszcze ludzie pomyślą, że to on ją załatwił, a nie dobry, cudny los.

I mieliby rację, prawda.

Kiedy tak jechał, doszedł do wniosku, że wszystko pięknie się składa. Najpierw haki na Sunset, a teraz żona pokonana przez alkohol, grawitację i jego zaciśniętą dłoń.

Boże, błogosław fermentację.

Boże, błogosław Izaaka Newtona.
Boże, błogosław mięśnie ręki Henry'ego.
Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął śpiewać.

19

W lesie było duszno od gorąca, roiło się od moskitów, a promienie słońca nierzadko grzęzły wśród drzew. Światło padało na krzyż na grobie, rzucało cień na poznaczoną cętkami jasności, zasypaną liśćmi ziemię.

Clyde i Wsiowy, wsparci na łopatach, patrzyli na Słonko w oczekiwaniu na rozkazy. Nie odzywali się do siebie, chyba że musieli.

Słonko zauważyła, że choć Wsiowy nie był pijany, to z rana walnął sobie klina na rozruch, i rozeźliło ją to. Był w końcu w pracy, a ona była jego szefową. Podejrzewała, że powinna coś powiedzieć, ale sobie odpuściła.

Nie była pewna, czemu odpuściła, miała jednak pewne podejrzenia. I wcale się jej nie podobały. Nie tak powinno się załatwiać takie sprawy. Gdyby to Clyde przyszedł na cyku, dostałby do słuchu. Ale Clyde by tak nie zrobił. On zawsze zjawiał się na czas, gotów do działania. Taki już był.

A tego ranka Słonko doszła do wniosku, że faktycznie mają coś do zrobienia. Przyszło jej to do głowy zaraz po tym, jak odstawiła nowy samochód pod dom.

— I co, tak będziecie pozować z tymi szpadlami? — spytała.

— No bo ty nie masz łopaty — odparł Wsiowy.

— Jestem tu szefem, więc będę się tylko opędzać od moskitów.

— Nie rozumiem — odezwał się Clyde. — Po co mamy tu kopać? Nie widzi mi się oglądanie martwych dzieciaków. Poza tym, nic już z niego nie zostało, może kość albo dwie. Coś nam to powie?

Sunset pacnęła moskita, został z niego ciemny placuszek na jej policzku. — Muszę mieć pewność, że to dziecko tam jest.

— Zendo je widział — wytknął Clyde.

— No wiem. Wierzę mu. Ale chcę się upewnić, że faktycznie je tu pochowano.

— A niby czemu nie? — spytał Wsiowy.

— Nie wiem — odparła Słonko. — Pewnie i tak. Ale się zastanawiam, czemu właściwie zabito Jimmie Jo i dzieciaka?

— Może to robota Pete'a — podsunął Clyde. — Się wkurwił na babę, przez byle co, i wziął ją zabił, tak jak mógł i ciebie, gdybyś go pierwsza nie kropnęła.

— Już to rozważałam. Był wredny, mógłby zabić, ale nie sądzę, żeby załatwił to w ten sposób. Po prostu wziąłby ją zgwałcił, wpakował kulę w łeb, i kropka.

— No ale ktoś faktycznie wpakował jej kulę w łeb — uparł się Clyde. — I to z broni tego samego kalibru, co jego. Którą sama nosisz. Na moje oko masz rozgryzione, kto kogo zaciukał, i tak też bym powiedział na zebraniu, psiakrew. Pete wściekł się na swoją babę, zabił i ją, i dzieciaka, a jeśli był tak nachlany, żeby ją zgwałcić i zabić, jak mógł zrobić i z tobą, to moim zdaniem był dość pijany, żeby wyrznąć dziecko z jej brzucha. A potem się spił, znaczy, jeszcze bardziej, wzięło go na dumanie i wyżył się na tobie, prawie cię zatłukł. I cześć. Wracajmy do domu. Taki upał, cholera, i weź tu kop.

— Od czorta ludzi ma trzydziestki ósemki — odparła Słonko. — Wcale też nie myślałam, że Pete będzie mnie lał, jak za niego wychodziłam. W życiu nie myślałam, że kogoś obje tak, jak zlał Jacka Trzy Palce.

— No właśnie, co to była za sprawa? — wtrącił się Wsiowy. — Musiał go strasznie złomotać. Wciąż o tym słyszę.

— Pete pobił się z nim o Jimmie Jo, więc nie za chętnie o tym wspomina — powiedziała Słonko. — I zrobił to na moich oczach. Zobaczył Jacka, powiedział mu, żeby się odchrzanił od Jimmie Jo, a ja stałam zaraz obok, i jak się do niego dorwał... Pete miał gdzieś, czy wiem, że ściąga majtki innej kobiecie. Obchodziło go tylko to, że i Jack miał na nią chętkę. Widzi mi się, że sama Jimmie Jo powiedziała mu o Jacku, ot tak, żeby się nie nudziło. Taka już była. Może nawet Jack właśnie się do niej nie przystawiał, a ona się na niego obraziła...

— Zaczynam żałować, że nie widziałem tej draki — mruknął Wsiowy.

— Jeszcze teraz tak sobie pomyślałam, że może Pete wiedział, że Jimmie Jo nosi jego dzidziusia, i dlatego tak się wściekł na Jacka.

— Znaczy, że co, że on ją naprawdę kochał? — zdziwił się Clyde. — A nie tylko ganiał za dupami?

— Myślę, że mnie zlał, bo wiedział, że ona nie żyje. Pragnął jej i nie mógł jej mieć, więc się na mnie wyżył. To ją kochał, nie mnie.

— No to nie miał gustu ^— stwierdził Clyde. — I wciąż jestem przekonany, że to on ją zabił. Może dlatego, że dzieciak nie był jego.

Pomyślałaś o takim układzie? Może zupełnie nie szło tu o miłość. Może faktycznie Jacka stłukł z zazdrości, ale nie dlatego, że był taki zakochany. Po prostu nie chciał, żeby jakiś facet brał się z łapami za coś, co Pete miał za swoje. Warte rozważenia, co?

— Fakt — przyznała Słonko.

— Więc tak mogło być. Może wziął się wściekł do tego stopnia, że wypruł z niej dzieciaka, potem i ją, i małego zadekował tu na polu Zenda. Jak ten znalazł dziecko, Pete przyjechał tu, obejrzał sobie miejsce i nie próbował zwalić winy na Zenda nie z dobroci serca, ale może dlatego, że trochę go sumienie gryzło i nie chciał kręcić stryczka na kogoś, o kim wiedział, że jest niewinny. Więc wziął zakopał dzieciaka, z nadzieją, że kobiety nie znajdą.

— Tego też nie łapię — wtrąciła Słonko. — Skoro ją zabił, to czemu dzieciaka pochował tutaj, a ją zostawił tam w polu?

— Może czemuś jednak chciał, żeby ją kto znalazł. Nie wadziło mu, że ją znajdują, ale wolał ukryć, że wypruł z niej dzieciaka.

— Willie bardzo szybko się tego domyślił — wytknęła Słonko.

— Może nie wiedział, że tak łatwo da się do tego dojść — upierał się Clyde. — Tego sobie jeszcze nie poukładałem. Ale mógł to zrobić, a potem dostał w łeb, i dopiero teraz wszystkie jego grzechy wyłażą na jaw. Psiakrew, mnie tam to wszystko pasuje jak ta lala.

— Może — pokiwała głową Słonko. — Chyba po prostu nie chce mi się wierzyć, że to robota Pete'a. Nie chciałabym, żeby tak było. W końcu był ojcem Karen. Ale to tylko dowód, że co do mężczyzn mam nawet gorszy gust, niż przypuszczałam.

Clyde zerknął na Wsiowego i rzucił: — Ano, zdarza się, że kobieta wybierze sobie kiepskiego chłopca.

— Kopmy już — ucięła.

— Wciąż nie wiem, po cholere — odezwał się Wsiowy. — Jest tam dzieciak, no i co z tego? Wciąż będziemy wiedzieć tyle samo, co i przedtem, z trupkiem czy bez.

— Bo o to proszę — odparła.

Wryli się głęboko w ziemię, nim znaleźli niedużą, drewnianą skrzynkę.

— Powinniśmy wyważyć wieko — uznała Słonko.

— Jakoś mi to nie leży, Słonko — mruknął Clyde. — Znaczy, martwy dzieciak, a my mu zakłócamy wieczny odpoczynek.

— Jeśli faktycznie wieczny, to niczego nie zakłócisz — wytknął Wsiowy.

Słonko wzięła od Clyde'a łopate, wetknęła sztych pod wieko i wylała je jak łomem.

Było tam coś zakutane w kocyk, który zawilgotniał, pociemniał, zaczął gnić. Słonko włożyła dłoń do skrzynki, odsłoniła drobną, ciemną czaszkę, jakby skórzastą.

— Faktycznie, niemowlę — skonstatował Wsiowy.

— Bidulek Szkrab — uzalił się Clyde.

Słonko dotknęła czerepu. — To ta ropa tak wszystko zakonserwowała — stwierdziła. — Nadała kolor i ten zasuszony wygląd.

— To kolorowy dzieciak? — spytał Wsiowy.

— Nie wiem — odparła. — Wątpię, czy w tej chwili ktokolwiek zdołałby to stwierdzić.

Odkleiła kocyk od szczątków. Reszta ciała była drobna, jakby żyłasta, większość zresztą już wygniła. — Pewnie na głowę poszła większość ropy — mruknął Clyde.

— Ano — potaknęła Słonko

— A to co? — wskazał Wsiowy.

Słonko na powrót zawinęła dziecko i spojrzała tam, gdzie pokazywał. W skrzynce znajdowało się też metalowe pudełko. Niemal wypełniało trumienkę. Narzucono na nie jakąś tkaninę, ta jednak już przegniła i przypominała raczej starą pajęczynę.

Gdy szczątki dziecka były już całkiem zawinięte, Słonko delikatnie ułożyła je na ziemi, po czym wyciągnęła z trumienki długie, prostopadłościenne pudło. — Zamknięte na kłódkę — zauważyła.

— Cofnij się — rzucił Wsiowy, a gdy Słonko odsunęła się od skrzynki, rąbnął w kłódkę sztychem łopaty. Poszły iskry, zamek puścił.

Słonko otworzyła pudło. Wewnątrz znajdował się pakunek zawinięty w impregnowaną tkaninę i przewiązany sparciałym sznurkiem. Zerwała sznur, wyjęła ukryty w opakowaniu przedmiot.

Diariusz.

Słonko przekartkowała znalezisko. Na kolejnych stronach były wykreślone mapki, opatrzone obliczeniami na marginesach, a w środek wetknięto parę złożonych, luźnych kart. Rozłożyła jedną z nich, przyjrzała się jej dokładnie. Na karcie znajdował się dokładny opis parceli gruntowej. Druga luźna karta zawierała podobną treść.

— Wygląda mi to na mapy z geodezji — stwierdził Wsiowy. — Widzisz tę pieczętkę? Zapisano w Holiday. Znaczy, że rzecz powinna być tam u nich w sądzie.

— Jakoś nie widzi mi się, żeby Pete ot, tak sobie to tutaj zadekował — odezwał się Clyde. — Ale to jednak świństwo, że wziął to i schował pod Szkrabem, biednym dzieciakiem, nieważne, jaki miał powód.

— A może tak zabierzemy to stąd i będziemy dalej dumać gdzieś, gdzie tak komary nie żrą? — zaproponował Wsiowy.

— Słusznie — uznała Słonko.

Zgarnęła papiery i zamknęła je w księdze, ułożyła ją na ziemi, włożyła dziecko do trumienki i zakopali ją z powrotem.

— Clyde, ty taki więcej wierzący — powiedziała. — Zmów jakąś modlitwę. Ja tam, psiakrew, nie mam Bogu nic do powiedzenia, jeśli w ogóle jest jakiś Bóg.

Clyde popatrzył na nią przez chwilę, w końcu jednak powiedział parę słów. Słonko włożyła diariusz do pudła i pozwoliła, by Wsiowy zaniósł znalezisko do samochodu.

Clyde siadł za kółkiem, a Słonko — między nim a Wsiowym. Kiedy jechali, Wsiowy pogrywał na harmonijce ustnej. Niezły w tym był.

— Myślałam, że grasz na gitarze?

Przestał grać. — Bo tak. Ale mam tylko harmonijkę. No i drumłę, ale na niej to już gorzej mi idzie.

— Tu bym się zgodził — mruknął Clyde. — Sam słyszałem.

— Clyde, ty nie poznałbyś się na dobrej muzyce, choćby ci palec w dupę wetknęła — odciął się Wsiowy.

— Może, jak ty grasz, to jednak nie jest taka dobra.

— Jak dzieci — westchnęła Słonko. — Więc co z gitarą, Wsiowy?

— Najpierw muszę na nią zarobić. Myślałem, że tu będą nam płacić.

— No, chyba na koniec miesiąca.

— Nieraz na trasie zdarzyło mi się narobić za nic — stwierdził Wsiowy. — Jak przyszło do płacenia, niejeden się robił niewidzialny.

— Tu nie ma komu znikać — odparła Słonko. — Marilyn dotrzymuje słowa.

— Muszę kupić trochę drewna, zacząć budować chatę — powiedział Clyde. — Jak przyjdzie zima, bez ścian i dachu dupsko mi szronem zarosnie, a szkoda takiego młodego... Słonko, jak myślisz, o co chodzi z tą księgą, co była przy dzieciaku?

— Się będę musiała zastanowić.

Lee i Marilyn siedli na skraju ganka u Wuja Rileya, pocąc się, majtając nogami i sącząc lemoniadę, którą naszykowała Ciotka Cary. Ta poszła znów do lasu zbierać korzonki i inne takie, Wuj Riley w podwórzu zaczął obdzierać kurę z pierza, a Tommy wlaźł na drzewo.

— No to już chyba z chłopakiem wszystko będzie dobrze — odezwała się Marilyn.

— Ano, pewnie tak. Cieszę się, że się na panią natknęliśmy.

— I wzajemnie. Szukasz pracy?

— Owszem.

— W tartaku trudno będzie o wolne miejsce, a poza nim w osadzie raczej nic się nie znajdzie. Spróbuj w Holiday. Tam chętnie biorą do roboty, bo robią pieniądze na ropie. Idzie jak burza.

— Tak słyszałem. Ale najpierw mam do załatwienia parę spraw w Rapture...

— Jakaś tajemnica?

— Pewnie nie, choć nie będę się darł z dachu, żeby wszyscy usłyszeli. Jakoś z nikim poza Bogiem żem o tym wcześniej nie gadał, a On nie dał po sobie poznać, żeby go to obeszło. Panią obchodzi?

— Sama spytałam, nie?

— No dobra. Kawał czasu temu, jak byłem młody chłopak, koło dwudziestki albo coś, poczułem powołanie. Pan zstąpił na mnie jednego ranka i wiedziałem, że muszę iść głosić Jego prawdę.

— Zawsze się nad tym zastanawiałam. Jak Bóg zstępuje na kaznodziejów? Widziałeś Go może?

— Nie. I żadnych tam krzaków gorejących też nie było. Moi rodzice próbowali ruszyć z gospodarstwem w Oklahomie, ale im nie wyszło. Byli tacy Indianie, co uważali, że to są ich ziemie, no i chyba mieli rację. Rząd podzielił grunt na parcele, rozdawał białym, co się chcieli osiedlić, ale ci Indianie, czterech czy pięciu ich było, twierdzili, że to ichnie.

— Znaczy, że co, weszli na wojenną ścieżkę, czy jak?

— Nie, to nie był film z kowbojami. Ci Indianie byli cywilizowani. Nosili marynarki, kapelusze i czterdziestki piątki. Ale jak zabili moją mamę i tatusia, to już nie byli tacy cywilizowani. Zamordowali ich w naszym domu, zostawili mnie przy ciałach. Nie wiem, czemu i mnie nie zabili. Jeden przyłożył mi nawet lufę do czoła, odciągnął kurek, ale nie pociągnął za spust. Po prostu patrzył na mnie przez minutę, a po-

tem zmył się razem z resztą tej bandy. Przez parę dni żałowałem, że mnie nie zabił, ale potem się z tego cieszyłem, bo wyruszyłem na odwet.

— Ile miałeś wtedy lat?

— Czternaście. Był dziewięćdziesiąty czwarty, czy coś koło tego.

— I co, dopadłeś ich?

— Jeden zadarł z prawem, capnęli go i powiesili. Sam zająłem się dwoma. Goniłem ich aż do Kansas. Tam się rozdzielili, więc wybrałem sobie jednego. Zaczaiłem się na niego pod burdelem w Leavenworth. Jak wyszedł, rzuciłem się na niego od tyłu i poderżnąłem mu gardło.

— O Jezu.

— No, koszmarnie to było. Ale wtedy wcale się nie przejąłem. Wybrałem się na poszukiwanie tego drugiego, a jak go w końcu znalazłem, strzeliłem mu w plecy. Schowałem się w koronie drzewa, wiedziałem, że będzie pod nim przejeżdżał, no i jak jechał, to go zastrzeliłem z karabinu, co go wcześniej ukradłem. Wie pani, potem usłyszałem, że za tę kradzież karabinu powiesili jednego Murzyna. Dowiedziałem się o tym dopiero po latach, ale fakt, że powiesili go, bo myśleli, że to jego robota, nawet jeśli samego karabinu u niego nie znaleźli. Przejeżdżał przez te okolice niedługo po mnie. Wyobraża sobie pani? Powiesić kogoś za kradzież karabinu? I to nie on go ukradł, na dobitkę. Jak się o tym dowiedziałem, dumałem, czyby jakoś nie dać im znać, ale sobie pomyślałem, że jeszcze i mnie powieszają, a przecież tamtemu życia nie przywrócę, nawet jeśli powiem, jak naprawdę było... W każdym razie po tym, jak zabiłem tego drugiego, wzięło mnie na dumanie, jak tu znaleźć tych pozostałych, no i leżałem sobie w szczerym polu gdzieś tam w Kansas, w środku nocy, próbowałem zasnąć, gapilem się w gwiazdy, i nagle całe pragnienie zemsty gdzieś ze mnie poszło. Jakby Pan sięgnął z nieba, chwycił moje serce i zabrał zeń całą czerń, w zamian napełniając mnie światłem. I właśnie wtedy postanowiłem zostać kaznodzieją. Do osady Rapture przybyłem około tysiąc dziewięćsetnego.

— Boże drogi. To ty jesteś ten Wielebny...!

— Już nie. Lee Beck, do usług. No ale wtedy wołali na mnie Wielebny, to fakt. No i przybyłem do tej osady, co na nią teraz mówicie Rapture, i trochę dobrego tu zdziałałem. Trochę chrzcilem, trochę ogłady przyniosłem. A potem, jak Dawid, zbłądziłem. Wykorzystałem jedną młodą damę. Nazywała się Bunny Ann.

— Znałam ją.

— Serio?

— No. Nie za dobrze, ale ją znałam.

— Użyłem sobie z nią, a potem dałem nogę. Nie wiem, czy wyszła za męża, czy w ogóle tu mieszka, no, nic nie wiem, i nie chciałbym jej namieszać w życiu. Po prostu chciałem odwiedzić ją, przeprosić. Wyprostować, co się da.

— A co z jej córką?

— Że co?

— Nie wiedziałeś, że zaszła w ciążę i urodziła córkę? Lee przygarbił się pod marynarką.

— Córka... Miała córkę?

— Z tobą, jeśli Bunny mówiła prawdę. Dała jej nazwisko po tobie. A chcesz się jeszcze czegoś dowiedzieć?

— No nie wiem.

— To moja synowa.

— O mój Boże.

— A to jeszcze nie koniec komplikacji.

— Zanim o tym, co z Bunny Ann? Wciąż tu mieszka?

— Nie. Zwiąła z handlarzem butami.

— Handlarzem butami?

— Aha.

— No cóż, pewnie powinienem był zabrać ją ze sobą. Albo w ogóle nie uciekać. Po prostu nie byłem jeszcze gotów, żeby gdzieś zostać na stałe, a jak już sobie z nią użyłem, w końcu byłem wielebny, to chyba pomyślałem zaraz, że trzeba wiać. Tak jakby dało się uciec przed Bogiem.

— Jedno powiem: na moje oko, sprzedawca butów to przy kaznodziei bardzo małe piwo.

— No, to jakaś pociecha. Chyba. A o co chodzi z tymi komplikacjami?

— Rozchodziłoby się o mojego syna, i o to, jak skończył. Męża twojej córki. Tak przy okazji, mówią na nią Słonko, choć mama dała jej na imię Carrie Lynn.

— No więc co się stało?

Marilyn opowiedziała mu więc — jaki był Pete, co mu zrobiła Słonko, o swoim mężu i o tym, jak na kłodzie wjechał w piłę, no, wszystko, od początku do końca.

Gdy skończyła, odezwał się Lee: — Jakbym tu pchnął pierwszą kostkę domina. Przeze mnie zdarzyło się tyle rzeczy, i to same złe. Jak

człowiek jest młody, nie myśli o takich sprawach, że może coś zrobić, a wyjdą z tego przeróżne rzeczy. Rany Boskie, i co z Carrie Lynn... znaczy, jak Słonko?

— U niej wszystko dobrze.

— Po tym, co zrobiła? A pani? Jak pani sobie z tym radzi?

— Słonko musiała tak zrobić.

— W to wierzę. Ale Pete był pani synem. Bez dwóch zdań...

— Jak jej wspomniałam, są chwile. Chwile, kiedy jej nienawidzę. Ale to tylko chwile. No i jeszcze jedno, Lee: masz wnuczkę.

— O Jezu.

— Na imię ma Karen. Akurat w tej chwili lekko jej nie jest, pewnie się domyślasz. Na twoim miejscu nie goniłabym już za Bunny Ann. Kobieta ułożyła sobie życie, zapomniała o przeszłości, może nawet załapała się po drodze na fajne buty. W to, że Słonko jest taka, jaka jest, włożyła dokładnie tyle samo, co ty. Ty uciekłeś od niej, ona od Słonka, została ci więc teraz córka i wnuczka. Może to właśnie im powinieneś poświęcić swój czas. Tym dwóm.

— Jakby mnie kto obuchem zdzielił.

— Się nie dziwię. Jak skończyłeś z kaznodziejowaniem, co porabiałeś?

— Imiałem się przeróżnych zajęć, po całym kraju. W końcu poczułem, że muszę tu wrócić, zobaczyć się z Bunny Ann. A teraz nie wiem już, czy chcę jej dalej szukać. Dobrze pani powiedziała. Mam coś, na co bardziej warto poświęcić czas. Jeśli mnie dziewczyny nie wyrzucą. Jak pani myśli, wyrzucą?

— Tego ci nie powiem, Lee.

I siedzieli dalej w milczeniu, sącząc lemoniadę, i mogliby tak długo siedzieć, ale z domu zawołał Gęsiak.

— Muszę sprawdzić, co u niego — stwierdził Lee.

W alkierzu zobaczył, że chłopak już próbuje usiąść.

— Chwila, pomogę ci.

Lee złożył poduszkę we dwoje, żeby Gęsiak mógł oprzeć na niej głowę.

— Nie czuję się najlepiej — mruknął chłopak.

— Czułbyś się dużo gorzej, gdyby nam ludzie nie pomogli.

— Gdzie jesteśmy?

Lee opowiedział mu o Marilyn, Ciotce Cary, Wuju Rileyu i Tommym.

- Normalnie wzięli cię położyli we własnym łóżku — zakończył.
- Czarni ludkowie?
- No chyba nie będziesz tu zaraz kręcił nosem, co?
- Ja tam nic do czarnych nie mam. W ogóle do nikogo nic nie mam. No, chyba że do tego węża... Lee?
- No?
- Wyjdę z tego?
- Na to wygląda.
- Chłopak popatrzył na zabandażowaną dłoń.
- Bo wiesz, jakby jednak nie, to powinienem ci coś powiedzieć, szczególnie że jesteś pastor.
- Już nie jestem. Od tamtych czasów robiłem masę rzeczy, byłem nawet agentem u Pinkertona, ale tak to nikt na mnie nie woła. Wszyscy tylko Kaznodzieja i Kaznodzieja. A ja już z tym skończyłem. Bóg dawno ode mnie odszedł. A ty wyzdrowiejesz, mały. Z niczego nie musisz mi się spowiadać.
- Kiedy ja nigdy nie zaliczyłem żadnej dupy, Lee. Nałgałem. Po prostu chciałem zrobić wrażenie.
- W porządku.
- Chciałbym, ale nigdy nie zaliczyłem.
- Jeszcze będziesz miał okazję. Myślę, że powinniśmy zmienić temat, a na twoim miejscu w ogóle dałbym sobie spokój z gadaniem i myśleniem o tych sprawach tak do szesnastych urodzin, a potem i tak poczekał do ożenku.
- A ty sam poczekałeś?
- Nie.
- Ciężko wytrzymać, co nie? No i trzeba to zrobić z niedobrą dziewczyną, taką, co to się z nią człowiek na pewno nie ożeni.
- W takie rzeczy to nie wierz. Żadna kobieta ani dziewczyna nie jest niedobra, póki mężczyźni jej taką nie zrobią. Nie jestem twój ojciec ani pastor, ale wierz mi, warto żyć po bożemu. Robisz różne rzeczy, a za nimi ciągną się całe łańcuchy wydarzeń, dobrych albo złych. Właśnie rozmawiałem o tym z Marilyn.
- To ta, co nas zabrała?
- Aha.
- Ładna?
- W moim wieku. Ale tak, moim zdaniem ładna.
- Nie zamoczyłeś aby, kiedy spałem, co?

Lee pacnął go lekko w głowę. — Skończyłbyś z tym. Połóż się i stul dziób. Zobaczę, co dalej z nami.

— Nie zostawisz mnie tu, co?

— Nie. Nie zostawię.

— Sam powiedziałeś, nie jesteś mój krewniak. Nic nie jesteś mi winien. Nie musisz zostawać.

— Póki co, nie mam nic lepszego do roboty. Coś mi się widzi, że przez jakiś czas zostanę z tobą. Odpocznij. Zaniedługo Ciotka Cary i Wuj Riley będą smażyć kurę. Jeść chyba możesz, co?

— Jak stary basior.

21

Posiadanie samochodu przyniosło radość i swobodę, i z tego właśnie powodu, jak też dlatego, że idea wydała się jej sensowna (nawet gdyby nie była, Słonko wmówiłaby to sobie), postanowiła pojechać do Holiday zaraz następnego dnia rano, podejść do sądu i zobaczyć, czy uda się jej dojść do ładu z tymi mapkami znalezionymi w grobie.

Przejrzała cały diariusz i uznała, że on nie miał z mapkami nic wspólnego. Były tam notatki ze spraw Pete'a, i to niezbyt wielu, bo był niedawno zacząty. Słonko doszła do wniosku, że Pete po prostu wetknął w księgę te kartki i zakopał wszystko razem, może z nadzieją, że w ten sposób papier lepiej się zachowa. O tak, właśnie dlatego, była niemal pewna.

Więc trzeba pojechać do Holiday, odwiedzić sąd, zobaczyć, co tam mają. Postanowiła, że pojedzie ze Wsiowym, a Clyde'a wyśle, żeby sprawdził grunty obok parceli Zenda, pogadał z nim, może Murzyn wie, do kogo należy ten teren. Wiedziała, że cały ten plan jest tylko po to, żeby znalazła się sam na sam ze Wsiowym, i gryzło ją to. Pozwoliła, żeby rządziły nią własne lędźwie. Zawsze się gadało, że to faceci myślą łebkiem w gaciach, a nie tym na karku, a tu najwyraźniej i u niej nie do końca głowa podejmowała decyzje, i Słonku wcale się to nie podobało, a jednak nie mogła się oprzeć. Prawdę mówiąc, na samą myśl o wyjeździe ze Wsiowym robiło się jej jakoś dziwnie.

Zamierzała z samego rana zawieźć Karen do Rapture, żeby spędziła dzień u Marilyn. Babci się to spodoba, Słonko sądziła, że Karen też się ucieszy. Może pojedą do Holiday, do kina?

Do diabła. Sama też chętnie obejrzałaby jakiś film. Albo może wyskoczy na ten Festyn Ropy, co go tam urządzili na cześć tego, co ropa zrobiła z Holiday. Znaczy, że przeobraziła miłą, spokojną miejscinę w tonące w błocie rojowisko pełne oprychów, hałasu, stalowych wież wiertniczych i mnóstwa ludzi ocierających się o siebie ramionami i Bóg wie czym jeszcze.

Sama myśl o posiadaniu samochodu sprawiała, że Słonko czuła taką moc, jak wtedy, kiedy miała w dłoni broń. Nawet lepiej. Czuła się wolna. Czy tak właśnie przez cały czas czuli się mężczyźni?

A przynajmniej większość z nich?

A ona miała jeszcze dwóch mężczyzn, którzy jej pragnęli.

Był Clyde. Na którego nie miała chęci.

I Wsiowy. A jego pragnęła jak wszyscy diabli.

Bo jak to fajnie być pożądaną po tym, jak tyle czasu spędziła zamknięta w domu, a kiedy Pete jej pragnął, to raczej jako worka treningowego. Żeby młócić w nią pięściami. Młócić penisem. Nie było w tym miłości ani prawdziwego pragnienia, takiego, na jakim jej zależało.

Więc teraz może nie było cudownie, ale lepiej, niż za życia Pete'a.

Gdyby nie Karen, która strasznie to przeżywała, Słonko mogłaby chyba nawet strzelać do męża dzień w dzień. Ileż to otwierało możliwości!

Słonko myślała sobie o tym wszystkim, dając żreć Benowi pod wielkim dębem nieopodal drogi, w niemal zupełnych ciemnościach. Po zachodzącym słońcu została jeszcze luna, ale szybko dogasała, a resztki światła wyłapywały pył wiszący między drzewami, formowały zeń sznury, tak że można by pomyśleć, iż z gałęzi zwieszają się długie, delikatne kosmyki blond włosów.

Odetchnęła pełną piersią, smakując powietrze.

Karen siedziała w namiocie, czytała książkę. Clyde uległ i podwiózł gdzieś Wsiowego, a potem pewnie wrócił na pogorzelnisko swojej chałupy i poszedł spać pod plandekę.

Słonko cieszyła się tymi chwilami. Sam na sam z psem. W tej chwili było nawet lepiej, że Wsiowy nie znajdował się przy niej, a gdzieś daleko, i mogła o nim myśleć. Mogła zdjąć kaganiec wyobraźni.

— Bry wieczór — odezwał się ktoś.

Słonko obróciła się raptownie, upuszczając patelnię pod nosem Bena, i zaczęła wyciągać rewolwer z kabury.

Nim dobyła broni, cudza ręka nakryła jej dłoń — łąpsko tak duże, że nawet gdyby miała cztery dłonie, zmieściłyby się pod nim z zapa-

sem, i w jednym ruchu, tak szybkim, że oko nie nadążało, rewolwer spoczywał już na dłoni stojącego przed Słonkiem czarnego mężczyzny o czuprynie kędzierzawej jak wybuch i bujnej brodzie, wysokiego prawie jak sosna i szerokiego w barach prawie jak wóz z drewnem. Ben obrócił się ku niemu z warczeniem.

— Spokojnie, piesku — mruknął mężczyzna.

Ben przestał warczeć, zaskomlił i otarł się o nogawkę przybysza, niczym kot.

— Nie masz się czego bać, kobito — powiedział czarny. — Nie przyszedłem tu cię ukrzywdzić. Chcę pogadać.

— Byku?

— To ja.

Oddał jej rewolwer. Zerknęła na psa. — Ale mi stróż.

— Kiedy psy mnie lubią — wyznał Byku. — A szczególnie jak podchodzę nocą i się z nimi zakoleguję. Pies jest lojalny, chyba że lubi żreć bebechy z królika. Wtedy lojalności wystarczy mu tylko do chwili, kiedy się przyzwyczai do porcyjki noc w noc.

— Więc to dlatego nie miał apetytu.

— No i się z nim zakolegowałem — Byku pochylił się, poklepał Bena po łbie. — Ale to dobry pies. I dobrze pani strzeże. Jakbym nie był w porządku chłop, on by to wyczuł, i za żadne królicze flaki by się nie sprzedał. Nie wszystkie psy tak mają. Niektóre lubią patrochy nieważne, z czyjej ręki, ale ten nie jest z takich.

— A ty skąd o tym wiesz?

— Bo moje serce, jak i jego, jest dobre i wierne...

— Boże drogi. Więszego chłopca w życiu nie widziałam.

— Mój brat był większy, jak żeśmy byli dzieciaki. Pewnie wyrósłby na większego ode mnie, ale wziął utonął, jak pływał w Sabinę. Mam siedem stóp wzrostu, tak między nami. Nie wiem, ile ważę, ale jakbym się przewrócił, radzę uciekać.

— A czemu żeś się kolegował z moim psem?

— No tak go wyciągałem kawałek w las. Nie chciałem tak po prostu tu podejść, żeby się na mnie rzucił i jeszcze panią wystraszył.

— No to nie wyszło najlepiej. I tak się zestrachalam, że ho, ho.

— Ale z Okopconym to dobrze pani zrobiła.

— Dostałam ten twój list.

— Gadanie lepiej mi wychodzi niż pisanie. Nigdy żem się nie uczył, liter ani nic, tyle, co sam podłapałem, więc często żem musiał zgadywać, co i jak. No więc nawet nie wiem, czy napisałem do końca

to, co chciałem: Okopcony i ja, przez długi czas, to żeśmy byli jak bracia. Ale potem trochę się zeźlił. Nie mocno zeźlił, ale tak trochę. No a pani zrobiła tam tak, no, rzadko się zdarza, żeby jaki biały zrobił coś w porządku wobec mnie czy moich ludków, ale pani to tak, no i jestem wdzięczny. Więc dlatego żem tu przyszedł, żeby coś pani powiedzieć.

— Dawaj.

— Żem przyniósł bańkę samogonu. Stoi tam, za tym drzewem, gdzie żem sobie czekał. Popijemy?

— Jeszcze nie próbowałam.

— Jak źle do tego podejść, może strasznie sponiewierać. Ale jak podejść dobrze, to pójdzie dobrze.

— No to zorganizuję szkło.

Gdy Słonko weszła do namiotu, przy samej klapie spotkała Karen.

— A to kto, mamuś?

— Przyjaciel.

— Kolorowy? Przyjaciel?

— Tak, kolorowy, ale wygląda przyjaźnie.

— Jesteś pewna, że to bezpieczne? Wygląda jak olbrzym.

— Bo jest wielki.

— Może ci zrobić krzywdę.

— Zabrał mi rewolwer, ale zaraz oddał, więc nie sędzę, żeby planował mi coś zrobić. Wynieś nam dwa krzesła, żebyśmy mogła sobie z nim chwilkę posiedzieć, a sama wracaj zaraz do namiotu.

— Się boję, kiedy taki wielki facet się tu kręci.

— Masz tu strzelbę, Clyde zostawił. Jak chcesz, siedź z nią. Słonko wzięła szklanki, Karen dwa krzesła, i wyszły na dwór. Byku stał oparty o dąb, z niedużym białym dzbankiem w garści.

— Jak się panna miewa? — przywitał Karen.

— Doskonale — odparła i zaraz zmyła się do namiotu.

— Myśli, że wielki czarnuch weźmie was zgwałci i powyrzyna, spali namiot i zeżre psa?

— Coś w ten deseń.

Usiedli na krzesłach, Byku nalał po porcyjce tej swojej berbeluchy. Pies położył się między nimi. Słonko upiła łyczek.

— Słodki Jezu — sapnęła. — Jakbym piła naftę, i to podpaloną.

— Ale zostaje słodki, miły posmak — odparł Byku.

Parsknęła śmiechem, uniosła szklankę, ale już nie piła. Byku ze swojej strony pociągnął jak trzeba. Kiedy opuścił szkło, oznajmił: — Że tak pomogłaś Okopconemu, ludzie wygadują przeróżne rzeczy. I to biali ludzie.

— E tam, gadanina.

— Czasem to ci z Klanu.

— Znam chyba połowę tych z Klanu.

— Mówią, że trzeba ci dać nauczkę.

— Skąd wiesz?

— Kolorowi umieją robić tak, jakby byli niewidzialni. Robotnicy, pokojówki, praczki. I co tylko usłyszą, w końcu o wszystkim dowie się Byku.

— Czemu tobie o tym mówią?

— Nie wiem. Może dlatego, że się żadnego białasa nie boję. Znaczy, tak naprawdę to się boję, że się ich zlezie wielka gromada, ale o tym nie wiedzą.

Wyszczrzył się do niej. Pomyślała, że wyglądał teraz trochę jak niedźwiedź odsłaniający kły.

— Bogiem a prawdą, kobito, na białych to mnie się nawet sikać nie chce. Nienawidzę ich, bo mnie nienawidzą, i nawet nie sądziłem, że się wśród was znajdzie jeden przyzwoity.

— Znaczy, mogę się chwalić, że to ja jestem ta przyzwoita? Znów się wyszczrzył. — Możesz. A może, jak ty jesteś przyzwoita,

to znajdzie się i drugi. Może trzeci. Ale na to, że będzie czwarty, to jakoś nie mam nadziei.

— Naprawdę jest nas dużo.

— Nie przyszedłem tu po to, żeby pocmoktać białego cycka, a już na pewno nie twój. Przyszedłem, bo jestem ci coś winien za to, co żeś zrobiła. Może i zrobiłaś tak, bo takie prawo, ale wzięłaś i zrobiłaś. To już coś. Śmiało, łyknij jeszcze. Będzie ci lżej.

Słonko pociągnęła jeszcze łyczek. Jakby w gardło wpadła płonąca kulka naftaliny.

— O żesz — sapnęła.

— O przeróżnych sprawach mi gadają — podjął Byku. — Bo ja jestem ten, od którego kolorowi biorą gorzałę, a oni lubią wypić, i pogadać, a jak popiją, to się lepiej gada... Czort wie czemu, ale tak jest. Więc ci mówię, uważaj na siebie. Są ludzie, co cię nie lubią, bo jesteś kobita, tak samo jak mnie, bo jestem czarny. Ani w tym sensu, ani logiki. Ale ty i ja nie chcemy siedzieć w miejscu, które nam przypisali,

a to się nie podoba wielu ludziom. Lubią, kiedy jest, jak jest, i można liczyć, że tak będzie zawsze. Że czarni robią swoje, baby robią swoje. A my jesteśmy inni, i to im staje kością w gardle. Jak na ciebie ruszą, a myślę, że ruszą, to przez Klan. Albo może nie. Ale raczej tak. Jak zobaczysz typa w prześcieradle, strzelaj prosto w łeb. Jedno ci powiem, przez te prześcieradła łatwiej ich trafić...

— Serio było tak, że przyjechali po ciebie?

— No.

— I jak się skończyło?

— Dla nich kiepsko. Mówię, w prześcieradło łatwo trafić. Tylko nie strzelaj za wysoko. Może ci się wydaje, że pod tymi szpiczastymi czapkami są głowy, ale niezupełnie. Celuj tak raczej tuż nad kołnierz.

Słonko musiała to sobie przetrwać, ale w końcu zrozumiała.

— Zawczasu planujesz, Byku.

— I to na różne strony. Nie no, bo wiem jedno, jak umrę i ktoś znajdzie mojego trupa, to ja nie wiem, czy trafi się jakiś kolorowy, co chciałby się nim zająć, i to mnie nie boli, ale boję się, że mogą mnie dorwać białe ciotki. Był taki dziadek w Sacul. Powiesili go, pocięli i sprzedawali gnaty na pamiątkę. Chono, kolego, kup se kość z czarnucha, dwa centy od sztuki. Jak umrę, to bym chciał, żeby mnie ktoś po prostu spalił, aż zostanie sam popiół.

— Ale ta sprawa z Okopconym... — wtrąciła Słonko. — To, za co mam u ciebie kredyt zaufania. To i tak nie skończyło się najlepiej. Wiesz o tym, nie?

Pokiwał głową.

— Ale to nie twoja wina, kobito. Żeś zrobiła, co się dało. We łbie masz lepiej poukładane niż twój chłop, i się cieszę, że go zabiłaś...

— Pete robił ci kiedyś problemy?

— Tylko raz.

— Dla niego też pewnie kiepsko się to skończyło.

— Ano. Nie najlepiej. Niby że mu ulżyłem, znaczy zabrałem ten sam rewolwer, co i tobie, pacnąłem go parę razy i pogoniłem do domu. Coś mi się widziało, że się nie będzie chwalił, że czarnuch zabrał mu broń, obił go jak szczeniaka, wysypał naboje i oddał rewolwer.

— A po co do ciebie przyszedł?

— Po to, co masz w szklance.

— Rany Julek. Łamię prawo, piję nielegalnie wyprodukowaną whisky.

Wyszczerył się. Miał komplet mocnych, białych zębów. — Więc teraz mam na ciebie haka... On chciał się ustawić tak, bym mu płacił za prowadzenie tego interesu. Ot, uszczknąć kawałek tortu. Ale ja tam za spółkami nie przepadam. Szczególnie z białymi konstablami.

— Ja też jestem biały konstabl.

— Ano prawda. A, jeszcze jedno. Zawsze żem uważał, że białe kobity, no bo takie przy tyłku małe i w ogóle, i twarze takie mają bez mocy, bo nosy kurde chude, a włosy w ogóle bez sensu, no, że one wszystkie brzydkie są i już. Ale ty, choć biała, wcale nie wyglądasz źle.

— No ja nie wiem, czy to komplement, czy nie.

— Nic lepszego nie wymyślę.

— Chciałbyś coś zjeść? Właśnie miałam szykować kolację.

— Lepiej, jak nie będą myśleć, że za dobrze trzymasz z czarnymi. I bez tego masa ludzi jest na ciebie zła. Zabiłaś Pete'a. Zostałaś kon-stablem, choć jesteś kobita, a potem pomogłaś Okopconemu. Ale będę na ciebie uważał. W domu nie mam nic do roboty, tylko pierdzieć w stołek. No i na festyny parafialne też jakoś rzadko chodzę.

— A chciałbyś częściej?

— Średnio. Widzisz, kobito, moje dni już policzone. Zaczyna mnie brać reumatyzm. Szybkość już nie ta. Ci biali, co mnie nienawidzą, prędzej czy później mnie dorwą. Dobrze wiem. Więc się nie boję. Jak chłop wie, że z nim koniec, to już się więcej nie boi. No, może troszkę. Ale co ma być, to będzie... Co jakiś czas wpadnę, zobaczę, co u ciebie słychać. Jak się nadarzy okazja, żeby ci odplacić za to, co zrobiłaś dla Okopconego, to się wypłacę.

— Co zrobiłam? Zawiozłam go do Tyler, żeby go tam zlinczowali.

— Ale się starałaś. I posłuchaj no. Jakbyś mnie potrzebowała, powieś strzęp białej szmatki po drugiej stronie tego tam dębu. Zobaczę. Może nie od razu, ale wkrótce. I przyjdę. Bo wiesz, czasem dobrze się wyrwać z puszczy. Czasem zapominam, jaki kolor naprawdę ma niebo, jak widzę tylko urywki między gałęziami, niekiedy zielone, bo to słońce w liściach. Trochę już mnie męczy siedzenie po krzakach i udawanie, że jestem stary, zły niedźwiedź.

— Coś mi się widzi, Byku, że byłby z ciebie niezgorszy niedźwiedź. Uśmiechnął się, zakorkował dzbanek, pochylił się i poklepał psa.

— No to się będę zbierał.

Wstał, wszedł za dąb, a gdy Słonko podniosła się, by go pożegnać, już gdzieś przepadł. Wtopił się w krzewy i drzewa. Miała raz wrażenie, że słyszy, jak Byku przedziera się przez chaszczę, ale gdy tam spojrze-

ła, nic nie zobaczyła. Potem dogasły ostatnie promienie światła i ciemność zapadła niczym kurtyna. Wzmógł się wiatr, niosąc ku nozdrzom Słonka wilgotną, gliniastą woń od strumienia, odezwał się nocny ptak, garstka świerszczy wszczęła świergot, jakby jednocześnie odbiły karty w fabryce, a po paru chwilach pojawiły się robaczki świętojańskie.

Słonko upiła jeszcze łyżeczek bimbru i wzdrygnęła się cała. Resztę wylała na ziemię. Podszedł Ben, obwąchał świeżą kałużę, raptownie poderwał łeb i poszedł sobie.

— Mądry pies — powiedziała. — Słowo ci daję, nie chciałbyś tego pić. Może coś w tym zamarynować, ale pić, o nie.

22

Następnego ranka, mimo ewidentnych oporów Karen, Słonko zawiozła córkę do Marilyn. Karen siedziała sztywno na siedzeniu obok, skrzyżowawszy ramiona, z taką miną, zdaniem Słonka, jakby ktoś zmuszał ją do połykania pinezek.

— Myślałam, że chętnie spotkałabyś się z babcią — powiedziała. Karen poruszyła się na siedzeniu, ale rąk nie rozprostowała.

— Chciałam pójść na Festyn Ropy.

— A kto mówi, że nie możesz? Poproś babcię, to cię zabierze.

— To Wsiowy mi opowiedział o tym Festynie.

— Mnie też — odparła Słonko. — Inaczej bym nie wiedziała.

— Mówił, że mnie zabierze.

Słonko przełknęła to i powiedziała: — Nie chodziło mu, prawda, o randkę, kochanie. Tylko że mogłabyś pojechać z nami.

— No ale z wami nie idę, prawda?

— Bo babcia chciałaby cię zobaczyć. Możesz się wybrać z nią. Poza tym, nawymyślałaś sobie o Wsiowym niestworzonych rzeczy. On cię lubi. Ale nie w ten sposób.

— A skąd możesz wiedzieć?

— Bo wiem.

— Bo ty go lubisz. Bo się z nim całowałaś.

— Proszę bardzo. Masz mnie na widelcu. Lubię go.

— No ale ja go bardziej lubię.

Słonko doszła do wniosku, że nie ma co się wdawać w przepychanki o to, kto kogo bardziej lubi. - Wsiowy jest dla ciebie za stary, kochanie, i już.

- Jesteś zazdrosna, i tyle.
- Nie jestem zazdrosna.
- Myślisz, że nie wolno mu mnie lubić, bo jestem młoda?
- Lubić może, ale nie w ten sposób. I tyle, Karen. Jedziesz do babci, i możesz pojechać z nią na festyn albo siedzieć w domu. Jak wolisz.
- On podoba ci się bardziej niż tata?
- Po prostu mi się podoba. Nic więcej.
- Ale nie odpowiedziałaś względem taty.
- Kiedy kochałam twojego tatę, to go kochałam, i wciąż to i owo w nim kocham, pewne wspomnienia, ale zmusił mnie, bym go przestała kochać. Widzisz, biciem możesz skłonić kogoś, by się odkochał.
- Karen prychnęła. — Podobało ci się, że go zabiłaś.
- Nie. Wcale.
- Jakoś nie zabrzmiało to przekonująco.
- Wyjaśniłam ci już, najlepiej jak umiem. Wyłożyłam ci też, jak będzie między tobą a Wsiowym.
- Wydaje ci się, że wszystko wiesz.
- Wcale nie. Nie wiem wszystkiego. Jeśli już coś wiem, to właśnie to, że nie wiem wszystkiego. Prawdę mówiąc, bardzo mało wiem.
- To na pewno. Nic a nic nie wiesz. Na niczym się nie znasz.
- No, moja panno, ani słowa więcej.
- A co, uderzysz mnie, tak jak mówisz, że tata cię bił?
- Nie. A chciałabym. Bardzo bym chciała. I to nie tylko gadanie, że tata mnie bił. Bo bił. Sama się nie urządzałam tak, jak wyglądałam. Dobrze wiesz, dziecko, że mnie bił. Wiedziałaś nawet, zanim go zabiłam, prawda?
- Nie.
- Wiedziałaś.

Karen obróciła się na siedzeniu i wbiła wściekle spojrzenie w okno.

Resztę drogi do Rapture pokonały w milczeniu, a gdy Słonko zajechała pod dom Marilyn, Karen wyskoczyła z wozu, trzasnęła za sobą drzwiczkami i pobiegła na werandę, znikła wewnątrz domu.

Słonko siedziała przez chwilę nieruchomo, rozważając, czy powinna spróbować dalszych wyjaśnień, ale postanowiła: dość. Można bez końca tłumaczyć się z czegoś, czego wytłumaczyć i tak się nie da.

Zawróciła samochodem i chciała już odjeżdżać, gdy w lusterku ujrzała Marilyn. Otworzyła drzwiczki, a teściowa podeszła i zajrzała do wozu.

— Widzi mi się, że Karen strzela fochy — stwierdziła.
— Dziewczyny tak mają — odparła Słonko.
— Pewnie, przejdzie jej. Naszykuję jej porządne śniadanie, zobaczymy, może będzie chciała się wybrać do Holiday, na film czy coś.
— Robią tam teraz takie coś, nazywa się Festyn Ropy. Podobno z muzyką i w ogóle. Sama się tam dziś wybieram. Służbowo.
Marilyn uśmiechnęła się.
— To masz tu coś, żeby sprawy służbowe poszły lepiej — wręczyła Słonku trzy koperty. — Wypłata dla ciebie i chłopaków.
— Trochę wcześniej, nie?
— Fakt. Ale ile można ciągnąć bez pieniędzy?
— Dzięki.
— Nie ma za co. Załatw, co masz do załatwienia, ale znajdź chwilę dla siebie. Chyba ci się należy.

Nim Słonko wróciła do namiotu, byli tam już Clyde i Wsiowy. Ten ostatni rozbił sobie namiot nad potokiem, tak że dwie mile dalej, dawało się dojść piechotą, ale Słonko nakłoniła Clyde'a zeszłego wieczora, by jednak zabrał Wsiowego po drodze do roboty.

Clyde nie był tym zachwycony, ale go ugadała. Wystarczyło, że spojrzała mu w oczy, uśmiechnęła się, nieco poflirtowała. Czowała się przy tym nisko duchem, jak mrówka po amputacji kończyn, ale i tak to zrobiła, a poszło tak gładko, że aż miała ochotę zrobić to jeszcze raz.

Wysiadła z samochodu. — Jak się macie, chłopaki?

Powitali ją, podszedł też Ben, podtykając łeb do pogłaskania. Słonko uniosła wzrok, zobaczyła, że Clyde'owi spod kapelusza walił się kłęb kudłów, rękawy koszuli były ni to podwinięte, ni proste, spodnie obwisłe w kroku, a szczecina na policzkach sprawiała wrażenie wżar-tego w skórę brudu.

Wsiowy może i koczował nad potokiem, ale jego ubranie wyglądało na odprasowane. Był uczesany, czysto ogolony, miał bystre oczy. Tego ranka nie powitał klinem.

Clyde natomiast, sądząc po wyglądzie, wychodził z długiego ciągu, choć pewnie wcale tak nie było. Po prostu tak się czuł. Może zaczął żałować, że puścił chatę z dymem.

Gdy podchodzili do niej, już chciała opowiedzieć o Byku, ale się rozmyśliła. Nawet nie wiedziała, czemu. Wizyta Byka bardzo przypominała jej o tym, jak kiedyś, mając jedenaście lat, przy zbieraniu jagód w lesie natknęła się na niedużego, czarnego niedźwiedzia ryjącego pod

hikorą w poszukiwaniu orzechów. Gdy zbliżyła się do zwierzęcia, ten oderwał się od rycia i obrócił, by się jej przyjrzeć, podnosząc się na zadnie łapy. Patrzyli tak na siebie przez minutę. W końcu niedźwiedź opadł z powrotem na cztery łapy i ruszył prosto ku niej. Zastygła.

Gdy dzielił ich tylko krok, niedźwiedź zatrzymał się, nadstawił nosa i obwąchał ją, a ona jego, i pachniał tak brudno, błotem, gnojem, moczem. Może dla niedźwiedzia jej zapach był równie paskudny.

Gdy już się Słonka nawąchała, minął ją, kołysząc się leniwie, i znikł w chaszczach.

Zadziwiająca chwila, a Słonko nigdy nikomu o niej nie opowiedziała.

Bo też nie bardzo było komu. Wtedy jeszcze mieszkała z matką, ale ta przeważnie była zalana albo z jakimś facetem, więc nie było sensu jej opowiadać, skoro i tak by się tym nie przejęła — „Widziałaś niedźwiedzia? No wielkie mi co”.

Prawdę mówiąc, nie opowiedziałyby o tym nikomu, nawet gdyby miała jakiegoś powiernika.

To była jej wyjątkowa chwila, Słonko strzegła jej niczym skarbu.

Z wizytą Byka było tak samo. Przynajmniej póki co. Słonko zamierzała zachować ją dla siebie. To, jak się pojawił i zniknął, nawet zgrabniej niż ten niedźwiedź. Wciąż też czuła w głębi gardła smak tej jego parszywej whisky, pieprzny płomień nad rozbitym szkłem i lepкими grzechami.

— Więc dziś będzie tak, że się rozdzielimy — oznajmiła. — Wsiowy, jedziesz ze mną. Clyde, chciałabym, żebyś się wybrał do Zenda. Spróbuj się wywieźć o tych ziemiach obok jego farmy, tam, gdzie znaleźliśmy ciało.

— Czemu? — spytał Clyde.

— Może to się jakoś wiąże. My ze Wsiowym sprawdzimy w sądzie. Zobaczymy, czy te papiery, co żeśmy je znaleźli, mają z tym jakiś związek. Dowiemy się, czemu nie leżały w sądzie, i czy w ogóle powinny tam być.

— Uwinę się do południa — stwierdził Clyde. — Albo i wcześniej. To może wszyscy pojedziemy do Zenda, i stamtąd do Holiday?

— Myślę, że według mojego planu zaliczymy więcej miejsc i oszczędzimy czas — odparła.

— No, parę miejsc na bank zostanie zaliczone — mruknął Clyde.

— Dość, Clyde — ucięła. — Pracujesz dla mnie, masz pewne obowiązki, jak ci się nie podoba, droga wolna. Proszę tylko, żebyś się zajął czymś, co trzeba załatwić.

— Nie tylko o to prosisz...

— Ona tu rządzi — wtrącił Wsiowy. — Sam mi ostatnio mówiłeś.

— Nie pleść mi tu, jeden z drugim. Dość już tego. Słuchajcie, jeszcze jedna sprawa. Mam dobrą wiadomość. Wypłata przyszła wcześniej.

Podala im koperty. Wsiowy zajrzał do swojej i mruknął: — No, zawsze to pieniądz.

— Obiecywał ci ktoś majątek? — odparła.

Clyde złożył swoją kopertę wpół, wetknął ją do kieszeni na tyłku, po czym bez słowa wszedł do pickupa i odjechał.

— Jak myślisz, zrobi, co mu kazałaś? — spytał Wsiowy.

— Owszem. To zabiorę mapki i też możemy się zbierać.

— Jak już tam będziemy, moglibyśmy w sumie rozejrzeć się trochę, może wpadlibyśmy do kina albo na ten Festyn Ropy.

— Jedziemy służbowo, Wsiowy.

— No wiem. Ale moglibyśmy, nie?

— No tak.

Wyszczrzył się. — Nie zapomniałaś tamtego pocałunku, co?

— Jakże bym mogła?

— Gdzie Karen?

— U babci.

— Myślałem, że pojedzie z nami. Mówiłem jej o festynie.

— Od początku planowałeś, że tam pojedziemy, co?

— A ty nie?

Słonko miała nadzieję, że nie jest z tych, co to rumienią się jak piwonie.

— No to teraz wiem, czemu jej tu nie ma — dodał Wsiowy.

— Aleś ty pewny siebie.

— Na pewno wiem, czego chcę, nawet jeśli co do innych spraw nie mam pewności.

— Karen trochę się w tobie podkochuje. Nie zachowuje się, jak przystało na jej wiek.

— Poważnie?

— Poważnie. I dlatego nie ma jej tu.

— To jedyny powód?

— To ja pójdę po te mapki.

Całe miasto udekorowano barwnymi wstęgami, zwieszającymi się z szybów wiertniczych i dachów budynków, a nad Main Street przez całą szerokość ulicy rozciągnięto białą płachtę, na której wielkie, granatowe litery układały się w napis FESTIWAL ROPY, HOLIDAY, TEKSAS. Na ulicach roilo się od ludzi, samochodów, wozów, mułów i koni. Słonko miała wrażenie, że patrzy na mrówki, które oblażyły trupa.

Main Street obeschła już po ulewach, ale w schnącym błocie zostały głębokie koleiny i rozpadliny. Po jednej stronie ulicy woda naniosła muł na deski chodnika, więc teraz pokrywała je zaschnięta glina. Tu i ówdzie w głębsze wyrwy nasypało żwiru, ale ten już przepadł w błocie, więc stan nawierzchni praktycznie się nie poprawił.

Słonko prowadziła samochód po wybojach z minimalną prędkością. Kolebiąc się, minęła kino — kolejka od kasy ciągnęła się aż za róg, ostatni stali na jezdni. Słonko zerknęła na repertuar. Wciąż pokazywali ten sam film z braćmi Marx. Wróciły wspomnienia o tym, jak to siedziała w fotelu za Okopconym, czekała, aż film się skończy, żeby móc go wyprowadzić i zawieźć do Tyler... a tam i tak go zlinczowali.

Chyba jednak nie miała dziś chęci na kino.

Podjechała pod biuro szeryfa, zaparkowała przed budynkiem zaraz obok tablicy z napisem ZAKAZ PARKOWANIA. Opodal biura szeryfa rósł duży dąb — siedziało pod nim dziesięciu kolorowych, opierając się plecami o pień. Słonko zauważyła, że drzewo opasane jest łańcuchem, zaś każdy z tej dziesiątki był do tego łańcucha przykuty za rękę. Wysoki facet z odznaką, o czarnych włosach sterczących spod kapelusza, uzbrojony w strzelbę, paradował pod dębem w te i nazad, trochę tak jakby nerwowo.

Weszli do budynku. Wsiowy niósł blaszane pudło z mapkami i resztą papierów.

Kukuryk siedział za biurkiem. Przed sobą, na blacie, miał kapelusz — obie dłonie opierał na skrajach ronda, jakby chciał go przytrzymać. Miał strasznie kanciaste ciało, opięte różowitką skórą, i czuprynę niemal tak rudą jak Słonko, nastroszoną wzdłuż środka głowy niczym koguci grzebień. No, to już wiem, czemu wołają go Kukuryk, pomyślała Słonko.

Spojrzał na nich i odezwał się: — W mieście wszyscy powariowali. Ani nic nie załatwicie, ani niczego nie powstrzymacie. Syf i już. — Pewnie ktoś na tym zarabia — stwierdził Wsiowy.

— Pewnie tak. Po to zresztą wymyślili cały ten festyn. Dla forsy. Tak jakby mało było problemów z tym, że ludzie walili do kina, to teraz jeszcze pchają się z całej okolicy na muzykę i fajerwerki.

— A cała ta gromada przykuta do drzewa? — spytał Wsiowy.

— W ciupie zbrakło miejsca. Przeważnie pijaki. A jak biali, to nie chcą siedzieć z kolorowymi.

— Nie ma to jak wybredni przestępcy, robi wrażenie — mruknęła Słonko. — Gdzie masz partnera?

— Wziął rzucił robotę, jak Clyde mu przyłał. Teraz ja jestem szeryf. A wiesz, że od tego ciosu w końcu mu jeden ząb wypadł? Z tyłu.

— No to mu niepotrzebny — podsumował Wsiowy.

— A ja podziwiam sobie odznakę — podjęła Słonko. — Jak to jest, być szeryfem?

— Już sam nie wiem, czy mi się podoba i czy w ogóle tego chcę. Lepiej było, jak byłem zastępcą, jak miałem kogoś, żeby mi mówił, co i jak... Nie jesteście tu chyba służbowo, co?

— Może — odparła.

— Może?

Wsiowy położył pudło na biurku szeryfa i otworzył je. Wyjął mapki i papiery. Kukuryk obejrzał je i powiedział: — To mi wygląda na dokumenty, co powinny być w sądzie.

— Też się nam tak wydawało — oznajmiła Słonko.

— To sprawy gruntowe — ciągnął Kukuryk. — Mapki geodezyjne. Skąd żeście je wytrzasnęli?

— Znaleźliśmy — wyjaśniła.

— Znaleźliście? Potaknęła.

— A co, wyglądają znajomo? — spytała.

Szeryf jeszcze przez chwilę oglądał papiery, po czym pokręcił głową. — Tak jak mówiłem. Idźcie do sądu, tam dowiecie się więcej.

— Taki mieliśmy plan, ale pomyślałam, że wpadniemy z wizytą przez grzeczność. A potem pokręcimy się na Festynie.

— Służbowo?

— Odepniemy odznaki — odparła.

— Aha. Cóż. W porządku. Bo ja tu sobie posiedzę, poczekam, aż ktoś zostanie zabity, albo co, i mnie zawołają. Nie idę na miasto. Za duży ruch, psiakrew.

Z zaplecza wyszedł mężczyzna w białym stetsonie, zbudowany jak krzepki odziomek. Do koszuli miał przypiętą odznakę.

— O, a to mój zastępca, Klocek — odezwał się Kukuryk. — Nowo najęty.
— Siemasz, Klocek — powitała go Słonko.
— Kurde, ale jesteś galanta kobita — odpowiedział.
— Dzięki.
— Mam jeszcze jednego zastępcę, wołają go Trąbka. Ale teraz go tu nie ma.
— Aha, zaparkowaliśmy przed biurem, tam gdzie napisane, że nie wolno —
powiedziała Słonko.

— Nie ma problemu — odparł Kukuryk. — Służbowo można.

— Czarny ford — dodała.

— Czarnych fordów tu cała masa.

— To co, mam napisać jakąś kartkę, wyłożyć za szybą?

— E, nie, jakoś sobie poradzimy.

Słonko i Wsiowy wyszli na dwór, on z pudłem pod pachą. Zostawiając samochód pod biurem szeryfa, poszli do sądu, przeciskając się przez tłum na ulicach. Co i raz ktoś popatrywał na Słonko, jakby jej odznaka i broń były elementami kostiumu, a ona sama jedną z atrakcji festynu.

— Znaczy, kto ty niby jesteś? — jakiś mężczyzna złapał ją za ramię.

— Konstabl.

— No, wyglądasz jak ta lala, daję słowo. Nie pracujesz aby czasem na Dodge Street?

— Nie.

— A, to przepraszam. — I poszedł sobie.

— Dodge Street? — mruknęła.

— Burdele tam są — wyjaśnił Wsiowy.

Słonko raptem obróciła się ku odchodzącemu. — A to sukinsyn — warknęła. Wsiowy parsknął śmiechem.

— A ty skąd wiedziałeś o tej Dodge Street? — spytała.

— Ludzie gadali.

Budynek sądu znajdował się pośrodku Main Street. Ulica rozwidlała się wokół niego i zbiegała z powrotem za gmachem. Zbudowano go z oszlifowanego, różowego kamienia. Do wysokich, szerokich drzwi wiodły długie i szerokie schody. Był to jedyny tak duży i jedyny ładny budynek w mieście, jeden z nielicznych murowanych z kamienia.

Wszystkie okna wychodzące na ulicę były zapaćkane bryzgami zaschniętego błota.

Mimo upału na zewnątrz, w sędzie panował chłód — gdy Słonko oparła dłoń o kamienny portal drzwi, ten też był chłodny, jak stygnące zwłoki. Kiedy Słonko i Wsiowy ruszyli do szerokiego, kamiennego blatu otaczającego łukiem atrakcyjną kobietę w przypiętym do włosów czarnym kapeluszu, tylko stukot ich obcasów przerywał ciszę.

Uniósłszy wzrok, kobieta spojrzała na Słonko, lecz zaraz przeniosła wzrok na Wsiowego. Ten uśmiechnął się i Słonko zauważyła, jak tamta przełyka ślinę. Mogła sobie wyobrazić, co kobieta za blatem czuje w tej chwili w podbrzuszu — podobnie czuła się sama, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy.

Słonko wyjaśniła, że przybyli służbowo, w sprawie policyjnej, ale nie wdawała się w szczegóły.

Odznaka i uroda Wsiowego przełamały wszelki opór. Kobieta poprowadziła ich długim korytarzem, po obu stronach którego ciągnęły się rzędy zasznurowanych pudeł. Kiedy tak szła, jej szynki kolebały się pod czarną sukienką tak intensywnie, że Słonko zaczęła podejrzewać, iż kobieta najchętniej zaraz wyskoczyłaby tyłkiem z kiecki.

Zauważyła, że Wsiowy przygląda się temu widowisku z uznaniem, i szturchnęła go łokciem. Wyszczерzył do niej zęby.

— Wszystko, czego możecie szukać, jest w tych pudłach, a tam na końcu macie parę stołów i krzesła. Możecie oglądać, co tylko zechcecie, ale niczego nie wolno wam zabrać. Nie chcecie chyba niczego wynieść w tym pudle, co?

— Mamy tam trochę służbowych papierów — odparła Słonko. — Nie zamierzam niczego więcej tam wkładać.

— No, to proszę bardzo. Jesteście w prawie. Ale spytać musiałam. Taka praca.

I odeszła korytarzem, a Wsiowy odprowadził ją wzrokiem. Słonko też. Był to widowiskowy wymarsz, godzin oprawy muzycznej — może niekoniecznie całej orkiestry dętej, ale entuzjastyczne bicie w tarabany byłoby jak w sam raz.

Słonko otworzyła blaszane pudło na jednym ze stołów w końcu korytarza i wyjęła obie mapki. Każda z nich była opatrzona na wierzchu literą i liczbą. Na jednej było to „L-1999”. Na drugiej „L-2000”.

Posłużwszy się piórem i kartką przygotowanymi na stole, spisała te sygnatury i schowała mapki z powrotem. Oboje ruszyli korytarzem na poszukiwania, aż znaleźli rząd pudeł nisko nad podłogą, a w nim

także te z poszukiwanymi numerami. Wzięli każde po jednym i zanieśli je do stołu. Zamocowane klipsem sznurki przytrzymały kartonowe wieka pudeł. Rozwiązali je więc i wysypali zawartość jednego na stół.

Wewnątrz znajdowały się mapki podobne do tych z blaszanego pudła.

Niemal identyczne.

Tylko z innymi oznaczeniami. — Nic a nic z tego nie rozumiem — stwierdził Wsiowy.

— To te same parcele.

— No, to wiem. Ale co z tego?

— To musi być istotne, inaczej Pete nie ukryłby ich w tym grobie. Czekał no. Parcele te same, ale inaczej wykreślone. Widzisz tu? Jest różnica. Ta tutaj czerwona linia inaczej dzieli grunt.

— Może są dwie różne mapki, bo ktoś kupił kawałek parceli i ją wydzielili.

— Możliwe.

Słonko otworzyła drugie pudło, przejrzała jego zawartość. Tamte papiery również były opatrzone numerami. Przyjrzała się im bacznie, sprawdziła też inne, podobne akta w kartonie.

— Łeb mi od tego pęka — mruknął Wsiowy.

— Spójrz no tutaj. Numery na mapkach są te same, tu, na tych sądowych parcele są inaczej podzielone, ale nazwiska właścicieli się też zgadzają.

— Gdzie ty to widzisz?

Słonko pokazała Wsiowemu kilka dokumentów z pudła. — Właścicielem jednej parceli jest Zendo Williams, a dla drugiej grupa ludzi: Jim Montgomery... to burmistrz Holiday. Znaczy, był, bo gdzieś przepadł. A niech mnie diabli! Henry Shelby.

— Ten od tartaku?

— Nie kto inny. John McBride. Tego nie znam.

— I co to znaczy?

— Bo ja wiem.

— Mówiłaś, że burmistrz przepadł. Znaczy gdzie?

— Diabli wiedzą. Niektórzy myślą, że dał nogę z jakąś kobietą. Wszystko zgadywanki — zmarszczyła brwi. — Teraz mnie zaczęła boleć głowa.

Jeszcze raz obejrzała mapki, sprawdziła daty na dokumentach poświadczających własność gruntów.

— Zendo płacił wyższą cenę za akr, niż tamci, choć ich parcela jest zaraz obok. Widzisz?

— No i?

— Zdarli z niego więcej, bo to Murzyn.

— Się zdarza — skwitował Wsiowy.

— A nie powinno.

— Kochana, na świecie mnóstwo spraw nie powinno się zdarzać. Ale najczęściej dzieje się, jak się dzieje, bo temu czy owemu uchodzi to na sucho. Tak mi się widzi, prawda.

— Jeszcze jedna rzecz. Parcela Zenda powinna mierzyć dwieście siedemdziesiąt pięć akrów. Tak wychodzi z tej mapki z grobu. Ale tu, na tej drugiej, widać, że kawałek jego gruntu podpada pod parcelę, która należy do tych trzech: Henry'ego, burmistrza i tego tam, McBride'a.

— Może Zendo im odsprzedał.

— Może. Ale na wszystkich papierach jest ta sama data. Wygląda mi na to, że Pete schował w grobie oryginalne papiery, a tu są podmienione, z działką Zenda wyznaczoną nieco inaczej.

— Myślisz, że by nie zauważył?

— Jak kupisz taki kawał gruntu, a komuś innemu, białemu, część wpadnie w oko, to geodeta wymierzy tak, jak mu każą. Przez to Zendo nie domyśliłby się, że urwali mu tak na moje oko ze dwadzieścia pięć akrów. Tu wzdłuż tej linii biegają drzewa, prawie bez przerwy, więc mógł się dać nabrać. Zresztą i tak praktycznie musiał im wierzyć na słowo. Okradli go z pomocą chorągiewek, łąt i kresek na kartce papieru, a on pewnie nawet nic o tym nie wie.

— Więc w całej tej sprawie chodziło o to, żeby ukraść kawał gruntu czarnuchowi?

— Na to by wyglądało... Wsiowy, nie mów tak na Zenda. Grzecznie jest mówić „kolorowy”.

— Jak wolisz. Ja jednak wciąż nie rozumiem, czemu twój mąż ukrył te papiery w dziecięcym grobie.

— Ja też nie.

Słonko złożyła mapki wyjęte z kartonowych pudeł i schowała je w tym blaszanym.

— Kłamczucha z ciebie — stwierdził Wsiowy.

— Służbowo. Nie chce mi się tłumaczyć Pannie Wiercizadek. Nie chcę, żeby o tej sprawie dowiedzieli się ci, co nie powinni. Cokolwiek by to znaczyło.

- Cwana jesteś.
- I galanta. Klocek tak mówi.
- Ma Klocek rację.

Słonko zawiązała kartonowe pudła, odstawiła je na miejsce i wyszli z sądu. Wsiowy niósł blaszane pudło wydobyte z grobu.

23

Gdy Clyde dotarł pod farmę Zenda, już prawie wywietrzył zeń gniew. Mógł zrozumieć, czemu Słonko wolała Wsiowego zamiast niego, za sam wygląd, ale nie doceniała walorów Clyde'a. No, prawda, chałupę sobie spalił, jeździł pickupem powiazanym drutem i sznurem, mieszkał pod plandeką, ale duchem był tak porządny, że trudno o lepszego. Owszem, cholera, był wartościowym człowiekiem. Tego był pewien. W każdym razie prawie. Na tyle, na ile się dało.

Jechał z opuszczonymi szybami, żeby wiatr zabrał trochę smrodu. Tej nocy spał na sienniku pod plandeką, ale się z niego stoczył i utyłł w błocie, a rano nie miał ochoty się myć w zimnej wodzie ze studni, zaś na jej grzanie nie było czasu. Nawet gdyby miał czas, posiadał tylko krótką wannę. Czasem, jak do niej wlał, miał problem z wyjściem. Jakby mu się do dupy przykleiła, cholera. Kiedyś miał dłuższą wannę, trzymał ją na werandzie na tyłach domu i zapomniał wynieść przed podpaleniem. No i się stopiła.

Było jak było, wiedział, że jak się nie będzie kąpać, to nijak nie za-punktuje u Słonka.

Gdy dojechał pod pole Zenda, ten akurat orał zagon, wąski pas ziemi wśród kukurydzy tak wybujałej, że słoniowi sięgałaby pod oczy, a zielonej jak świeża trawa. Zendo zaprzął tylko jednego muła. Orał akurat od drogi ku drzewom, więc Clyde oparł się o drzewo, pod którym farmer jadał zwykle lunch, i czekał, aż ten dotrze do końca zagonu i zawróci.

Zendo ruszył z powrotem — Clyde dostrzegł, że farmer pomachał mu na powitanie, ale nie przerwał pracy. Poczekał więc, aż Zendo przemierzy cały długi zagon, wyprowadzi muła za pole i uwiąże lejce do pługa, po czym podszedł i uściśnął mu dłoń.

- Jak tam ci leci, Clyde?
- Po łuku, więcej w lewo.

— Przynajmniej masz czym. Wyszędłbyś tak w pole i poorał parę redlin, wyschłyby ci siki raz dwa.

— Nie nadaję się do orki — odparł Clyde. — Raz dostałem taką robotę, to muły mi uciekły. Robiłem dla Starego Fitzsimmonsa. Wcale się nie ucieszył. Cały dzień ganiałem za mułami, prawie nic nie zaorałem. Wziął mnie wylał.

Zendo parsknął śmiechem. — Ale żeś się chyba nie tłukł taki kawał, żeby mi opowiadać, jak ganiałeś muły?

— Ano nie.

— Tak myślałem.

— Konstabl mnie wysłała. Czyja jest ta ziemia obok twojej, Zendo?

— Prawdę mówiąc, to nie wiem. Jakoś nigdy tam nikogo nie widziałem, ale czasem słyhać było, że drogą jedzie ciężarówka. No, parę razy żem widział, że jest tam pan Pete, bo tam jechał.

— Jak żeś go zauważył?

— Wiesz, Clyde, ale żeby nikt inny się nie wywiedziało, to jest tam taki stawek, więc sobie pomyślałem, że ryb nałapię. Wpada tam strumień, no to myślałem, że będzie dobre branie. A tu nic. Wtedy akurat żem tam był z wędką, jak usłyszałem samochód i zobaczyłem, że to pan Pete.

— Znaczy, jest tam droga?

— No przecież mówię.

— I właśnie tam zabrałeś tego trupka dziecka?

— Wstyd przyznać, ale tak.

— No wiesz, na twoim miejscu, znając białych, może i sam bym tak zrobił.

— Sam jesteś biały.

— Nie całkiem. Trochę jest we mnie z Indianina. A całe mnóstwo z narwańca. Pokazałbyś, gdzie zostawiłeś tego dzieciaka? Może to ważne. W sumie to nie wiem, ale może się przyda, a Słonko... znaczy, konstabl... chciała, żebym się rozejrzał.

Zendo poprowadził Clyde'a przez las. Szli i szli, a było tak gorąco, że każdy oddech był jak łyknięcie kłęбка waty. Trochę to trwało, nim dotarli nad ten stawek, o którym mówił Zendo. Nie był za wielki, widać było ujście strumienia. Woda w stawku była ciemna, przykurzona, nie rosło tam żadne zielsko — zresztą dokoła też rośliny niezbyt się pieniały.

— Aż nie wierzę, że miałeś nadzieję coś tu złapać. Chyba że węża.

— Tak tylko myślałem.

Obeszli stawek, przedzierając się przez krzaki, wydostali się spomiędzy drzew. Między sosnami wiła się wąska dróżka, ginąca w lesie zaraz za następnym zakrętem.

— Ten garnek z dzieciakiem żem położył właśnie tu — stwierdził Zendo. — Sobie pomyślałem, że może pan Pete go przyuważy. Albo kto inny. Nie wpadłem na to, że się domyślą, że to z mojego pola. Ej, Clyde, nie powinniśmy aby wracać? Dalej nigdy się nie zapuszczałem, a i tutaj nie powinno mnie być. Może to ziemia którego białego.

— Jesteś ze mną.

— Ano prawda, ale ty to inna bajka. Jak mnie tu jaki biały przyuważy, jeszcze pomyśli, że sobie na Bóg wie co pozwalam. No i mam jeszcze kawał orki do odrobienia, a ten mój stary muł w końcu spróbuje się wyrwać spod tego drzewa, co żem go do niego uwiązał.

— Jasna sprawa. Sam się tu rozejrzę.

Zendo ruszył z powrotem, a Clyde wyszedł na drogę. Nie uszedł daleko, a już skończyły się drzewa, odsłaniając połać porośniętą tylko nędzną, szorstką trawą i żółknącymi chwastami.

Zauważył, że słońce odbija się w czymś na ziemi — podszedł tam i poczuł, jak trawa miękko kleśnie pod butami. Z początku myślał, że to mokradło, ale ciecz była zbyt ciemna nawet jak na zastałą wodę.

Pochylił się, zanurzył w niej palce, potarł je o siebie — śliskie. Ob-wąchał opuszki i już wiedział, po czym chodzi.

Podszedł jeszcze kawałek — ziemia była tu miększa, nie porośnięta trawą. Sączyło się z niej coś ciemnego, z wyglądu śliskiego, granatowego w promieniach słońca. W wysięku, zalane warstewką cieczy spoczywały martwe ważki, żaby, nawet ptak.

Ropa.

Clyde natychmiast zorientował się, czemu tam w stawku woda była taka brudna, jakby martwa. Dostała się do niej ropa.

— O do diabła — mruknął.

Obszedł wysięk szerokim łukiem, starając się nie wdepnąć w żadną głębszą kałużę. Kroczył to tu, to tam, przyglądając się ropie ze wszystkich stron. Wysięk był całkiem rozległy, a skoro ropa wydostawała się na powierzchnię ziemi w ten sposób, to oznaczało, że głębiej jest jej cała masa.

Raz widział, jak w Holiday odwiert trafił w złożę. To było coś. Ziemia dudniła, jakby miała się rozstąpić. Ludzie zakrywali uszy dłońmi, niektórzy wręcz zatykali je gliną. Ropa bryznęła z ziemi, ponad wieżę

wiertniczą, strzelając wysokim i szerokim, czarnym strumieniem, siejąc wokół gorącymi kroplami. Długo potrwało, nim to poskromili, i wciąż ciągnęli z tego szybu. W tym miejscu pewnie wyglądałoby to podobnie. Tu pod ziemią było dość ropy, żeby jeden smolisto czarny wytrysk zrobił z człowieka bogacza.

Clyde przypomniał sobie trupka dziecka, wymazanego ropą, wspomniawszy, że według Słonka ciało Jimmie Jo też było nią pokryte.

Zdjął kapelusz, wytarł nim twarz i chciał już ruszać z powrotem, gdy dostrzegł wśród drzew coś połyskującego. Blask nie gasł, więc Clyde ruszył w tamtym kierunku.

Zaniedługo znalazł się w lesie, a po jakimś czasie wyszedł na polanę. Na polanie stał dom. Nie za duży, ale porządny. Prosta konstrukcja, kryta blachą. Clyde zauważył, że w jednym miejscu spod blachy wystaje kawałek papy.

Ten blask, który go tu ściągnął, był odbiciem słońca w dachu domu. W pewnej odległości, wśród drzew, Clyde dostrzegł też wychodek. I ten był kryty blachą, spod której wзираła papa.

Domek nie miał ganku, drzwi były nisko nad ziemią, ale ułożono pod nimi kamienie, i wszędzie dokoła też, zamiast drewnianych fundamentów. Ponieważ to nie była kamienista okolica, trzeba je było tu przywieźć i ułożyć. Żmudna robota. Znak, że ktoś troszczył się o ten domek, chciał mieć solidny, zacny dach nad głową.

— Hej tam w domu — zawołał Clyde.

Nikt nie odpowiedział, nie zaszeleścił żaden ruch.

Clyde dotknął drzwi, a te uchyliły się. Sprawdził zamek — nie był rozbity, po prostu ktoś nie przekręcił klucza.

Wewnątrz było duszno, gorąco, ale choć chatka była urządzona prosto, to jednak przyjemnie. Była tu tylko jedna izba, a w niej kuchenny piec, łóżko, stół, parę krzeseł i cedrowy kufer. W oknach wisiały całkiem ładne firanki, a na stole stała szykowna lampa naftowa z dużym mosiężnym reflektorem. Na półkach stały talerze i na wprost opróżniona flaszką gorzały.

Clyde znalazł zapalniczkę obok lampy i podpalił knot. Izbę wypełniło światło. Nie, żeby było tu coś szczególnego do oglądania. Clyde otworzył kufer. Wypełniały go kobiece stroje, w tym kilka takich raczej nieskromnych. Jedną sukienkę rozpoznał. Widział w niej kiedyś Jimmie Jo.

Zamknął kufer, zgasił lampę i ruszył z powrotem ku gospodarstwu Zenda. Gdy tam dotarł, Zendo poczęstował go wodą z drewnianej becz-

ki Clyde wziął drewniany czerpak i napił się. Nie wspomniał farmerowi o swoich znaleziskach. Sam nie był pewien, co to wszystko znaczyło, więc uznał, że lepiej będzie obgadać rzecz ze Słonkiem, nim wspomni o tym komukolwiek innemu.

Pojechał do Rapture, zatrzymał się przy sklepie i kupił sobie lemoniadę. Gdy wyjeżdżał z osady, zobaczył, że na cmentarzu na wzgórzu właśnie trwa pogrzeb. Do dołu tak okazałego, że zmieściłby się w nim mały hipopotam, z pomocą wielokrążków na trójnogach i mułów opuszczano na linach wielką skrzynię po maszynierii. Clyde dostrzegł, że nad wykopem stoi Henry, a zaraz obok niego Willie Fixx, kaznodzieja. Do tego jeden kolorowy od poganiania mułów i jeszcze po jednym po bokach skrzyni, pilnowali, żeby równo szła.

Clyde rozpoznał tego przy mułach - był to Zack Washington. Dwóch pozostałych nie kojarzył. Poza nimi nikogo tam nie było. Nawet by się nie domyślił, że to pogrzeb, gdyby nie czarne sukno wyłożone na burty pickupa Williego Fixxa.

Nie wiedział, kogo chowają, ale podejrzewał, że to ktoś bliski Hen-ry'emu. Skoro trup był w skrzyni, a nie w trumnie, Clyde wywnioskował, że to pewnie jego żona. Gadali, że na starość i od gorzały zrobiła się gruba i straszna, nie jak człowiek. A teraz pewnie zimny trup.

Gęsiak siedział na fotelu bujanym na koślawym ganku chaty. Starał się utrzymać na kolanach talerz z kawałkami pieczonej kury. Właśnie pochłaniał jeden z nich, łapczywie, mażąc się tłuszczem. Niedaleko ganku siedział żółty kocur, obserwując Gęsiaka z taką miną, jakby od patrzenia, jak chłopak je tę kurę, serce mu pękało.

Lee pracował na podwórzu wraz z Wujem Rileyem — ustawiał na pniaku przycięte bierwiona, a Wuj rozszczepiał je siekierą. Wuj Riley rozebrał się do podkoszulka, na który wylażyły ciemne plamy potu. Każdemu zamachowi siekiery towarzyszyło stęknienie, ostrze spadało z impetem, klocek pękał na pół, a świerszcze podskakiwały w popłochu. Wydawało się, że podwórze aż się od nich roi.

— Jeszcze żem nigdy nie widział tylu świerszczy — stwierdził Wuj Riley.

— A ja owszem — powiedział Lee. — Nawet więcej, z tysiąc razy więcej. Sypnęły się z nieba jak brzęcząca chmura i zeżarły wszystko, co tylko znalazły zielonego, nawet koszule.

— Poważnie?

— Brały się za wszystko, co zielone. Była susza i robale głodowały, jak wszyscy.

— No niezła historia.

— Szczera prawda.

— Się nie chce wierzyć, że owad odróżni jeden kolor od drugiego.

— Mówię tylko, co sam widziałem.

Gdy rozłupali jeszcze parę bierwion, Wuj Riley stwierdził: — Dość. Będzie czym palić w kuchni dziś przy kolacji, jutro na śniadanie i w południe, a poza tym w krzyżu mnie łupie.

— Mogę trochę porąbać — zaoferował Lee.

— E, nie. Obleci.

Wuj Riley wbił siekierę w pień, z tylnej kieszeni spodni wyciągnął bandanę i otarł pot z twarzy i karku. Spojrzał na Gęsiaka, wciąż pochłoniętego jedzeniem.

— Nieźle się chłopak kuruje.

— To fakt. Dzięki wam, Wuju, i Ciotce Cary.

— Się kobieta zna na tych rzeczach.

— W życiu czegoś takiego nie widziałem. I jeszcze jedna sprawa: karmicie go tak, że chyba w życiu w tydzień tyle nie zjadł. Jestem wam wdzięczny.

— Bo mikry taki był. Twój syn?

Lee pokręcił głową. — Opowiedział mi całą historię o swojej rodzinie, jak to odszedł od nich, żeby mieli lżej, ale sądzę, że sami gdzieś go porzucili. Nie wydaje mi się, żeby mógł do nich wrócić, nawet jakby chciał. Żeśmy razem pracowali na farmie, potem orznęli nas z wypłatą i skończyliśmy na drodze, aż go ukąsił ten wąż, a potem natrafiła na nas Marilyn. I tak trafiliśmy tutaj. Całe szczęście.

— Lepiej zostaw go u nas jeszcze na dzień, może dwa.

— Nie mam nic przeciw, przyda mu się, jak tu zostanie. Ale sam nie chciałbym się wam narzucać.

— Się nie narzucasz. Od dawna zem nie miał z kim pograć w warcaby.

— Lubisz mnie tylko dlatego, że każdą partię przegrywam.

— Ano, to plus.

— Nie, dzięki. Myślę, że już pora ruszać dalej. Muszę się z kimś zobaczyć, naprawić parę spraw, o ile się w ogóle da. Ale to niedaleko, i wrócę tu do was. A tymczasem mógłbyś już wykwaterować Gęsiaka z łóżka, dajcie mu jakiś siennik, czy coś. Naprawdę zacie żeście zrobili, że oddaliście mu własne łóżko.

— Ajak się wykuruje, co z nim? — spytał Wuj.

Lee spojrział na Gęsiaka. Ten łapczywie dojadł ostatni kawałek kurczaka.

— Sam nie wiem — przyznał. Wspomniął, jak obiecał chłopakowi, że go nie zostawi, a tu właśnie to planował. Zawsze chciał z kimś zostać i zawsze uciekał. Może jeśli gdzieś się stąd zabierze, to i młodego tam weźmie. Może tak miało być od tej chwili — koniec z porzucaniem ludzi, o których się człowiek troszczy.

Kiedy tak rozmawiali, podjechał pickup Marilyn, wciąż grzecho-cząc rupieciami na pace. Gdy kobieta wysiadła, Lee zauważył, że wygląda bardzo przyjemnie, czysto, a ubrana była w jasnozieloną sukienkę z białą lamówką.

Powitali ją obaj.

— Zajechałam zobaczyć, co tam u Gęsiaka — wyjaśniła — ale widzę, że sobie chłopak nie krzywduje.

Młody pomachał jej z ganku ręką.

— To naprawdę miłe z twojej strony, Marilyn — stwierdził Lee.

— Miałam jeszcze jeden powód. Chciałam cię podwieźć. Mówiłeś, że chcesz się spotkać ze Słonkiem.

— No, to też miłe. Chętnie. Ale prawdę mówiąc, planowałem ruszyć się stąd jutro. Tak sobie myślę, że powinienem jeszcze przez ten dzień potowarzyszyć Gęsiakowi, no i może znów spuścić Rileyowi manto w warcaby.

— Nie wygrał jeszcze ani partii — prychnął Wuj. — Ale mogłabyś zostać u nas na obiad, Gęsiak nie zeżarł chyba jeszcze całej kury.

— No to chętnie — uśmiechnęła się.

24

Wsiowy i Słonko schowali do bagażnika samochodu pudło z mapami, jak też kaburę i rewolwer Słonka, a wychodząc z za forda, dostrzegli, że do linii więźniów pod dębem dołączyła jeszcze grupa kolorowych mężczyzn oraz jedna kobieta, też czarna. Pod drzewo wyszedł także Klocek, który właśnie poił aresztowanych z drewnianego cebrzyka metalowym czerpakiem na długiej ręczce. Ten nowy zastępca szeryfa, co stał tam wcześniej, nadal trzymał straż — strzelbę złożył na ramionach jak małe dziecko i patrzył na ulicę, obserwował przechodzące kobiety.

Słonko i Wsiowy przeszli się po mieście, przeciskając przez tłum, aż w końcu dotarli do banku, gdzie zrealizowali otrzymane od Marilyn czeki.

Poszli do kawiarni i zjedli sobie po steku, wypili kawę, po czym przespacerowali się z powrotem, aż za sąd, gdzie trwał festyn, więc ulicę zagrodzono niebieskimi i żółtymi kozłami. Grała tam kapela, głównie skrzypce i banjo, dziewczyny śpiewały. Wsiowy namówił ich, żeby jemu też pozwolili śpiewać, pożyczył sobie opartą beczynie o krzesło gitarę, i jak zaczął...

Słonko aż nie mogła uwierzyć, bo był tak dobry, jak twierdził — czasem basował niczym z dna starej studni, kiedy indziej jego głos kłuł wysokimi nutami, w sam raz pasującymi do słodkiego śpiewu dziewcząt. Wsiowy śpiewał o miłości, o rozstaniach, śpiewał o zachodach słońca i wschodach księżyca. Słonko czuła, jak jego głos wślizguje się w nią i tarabani wewnątrz jej skóry. Po trzech piosenkach oddał muzykantom gitarę wśród gęstych oklasków i wiwatów — Słonko miała zresztą wrażenie, że za bardzo się do tego nie palił — i z uśmiechem zszedł z podestu.

Słonko zdjęła odznakę i schowała ją do zapinanej kieszonki koszuli. — Dobry jesteś — powiedziała.

— Wiem.

Znaleźli budkę, gdzie można było rzucać w butelki piłeczkami palantowymi — Słonko trafiła raz, Wsiowy cztery razy. Wygrała darmowy rzut, sromotne pudło, a on brązowego, pluszowego misiaczka z czerwonymi guziczkami w miejsce oczu, którego jej wręczył. Zgadywali, ile waży grubas w innej budce, a kiedy wszedł na wagę, okazało się, że oboje się mylili. Jedli różową watę cukrową, pili korzenną lemoniadę z papierowych kubków, kupili sobie tłuste kiełbaski na patyku, podzielili się torbą prażonej kukurydzy, łuskali jeszcze gorące orzechy ziemne. Rzucali obręczami tak, by spadały na wetknięte w piach patyki — tu Słonko okazała się lepsza od Wsiowego. Jej kółka wylądowały na czterech patykach, więc wygrała kolejnego misia, dużego, granatowego, z białym brzuchem. I chodzili tak sobie z Wsiowym, obnosząc się z misiami, a w brzuchach kotłowało im się od tego jedzenia, słodczy, lemoniady i upału. Słonko śmiała się, pokpiwała z misia wygranego przez Wsiowego, twierdząc, że z takimi rozmiarami żaden z niego niedźwiedź, na co on odparł, że ten jej trochę się przeżarł, i od słowa do słowa śmiali się już razem, poszturchiwali i szli niemal wtuleni w siebie. Ich dłonie zetknęły się, palce splotły. Zapadła noc, zrobiło się chło-

dniej wrócili więc do samochodu, wciąż trzymając się za ręce. Wsiowy powiedział: „Przegapimy fajerwerki”, Słonko odparła: „Ano, pewnie tak” i wyjechali z Holiday. Słonko zawiozła ich w to miejsce na skarpie, o którym opowiadał im Clyde.

Nic nie mówiła, po prostu zjechała z drogi w wąski szlak, który wskazał wtedy Clyde, powoli, bo było tam wyboisto; Wsiowy też milczał, a dróżka wiała się wśród ciemnych drzew, aż w końcu zrobiło się szerzej i wyjechali na szczyt nawisu.

Słonko zaparkowała tuż nad krawędzią, zgasła światła i silnik. Za przednią szybą, dokładnie tak, jak mówił Clyde, rozpościerał się w dal

i w dół (choć niezbyt daleko w dół) piękny widok - widzieli całe Holiday rozświetlone jak na Boże Narodzenie z racji festynu. Iluminacja była tak śliczna, że aż się chciało rzucić tam z urwiska, łapać lampki. Nawet szyby wiertnicze obwieszono sznurami żarówek, które teraz zdawały się unosić wysoko nad innymi światłami jak kłęby gigantycznych robaczek świętojańskich.

Gdy opuścili szyby, w samochodzie zrobiło się przyjemnie, orzeźwiająco, a z miasta niosła się ku nim muzyka, ktoś śpiewał coś jakby „Zachłyśnij się mną”, a przynajmniej tak się Słonku zdawało, bo aż tak dobrze to jednak nie było słyhać. Wsiowy bez słowa przysunął się tuż do niej.

Obróciła ku niemu twarz, a gdy ich wargi zetknęły się, poczuła, że zdecydowanie nie jest jej już chłodno, ale to było takie fajne gorąco co brało się tam z dołu i rozchodziło po całym ciele, grzejąc jak miękki koc w ciemny, jesienny poranek, a zaraz potem i jej, i jego dłonie zaczęły myszkować tu i tam, i już nikogo nie obchodził widok za szybą.

Więc przyjęła go na przednim siedzeniu, rozkładając uda, a on zabrał się do roboty... i było tak wspaniale, jak chyba nigdy dotąd, a gdy się skończyło, to wcale się nie skończyło, bo zaraz zaczęło się od nowa, więc zmienili pozycje, próbowali wszystkich kombinacji, jakie są dostępne dwojgu ludziom, a gdy tym razem dochodziła, poczuła się tak, jakby wszystkie promienne nadzieje całego świata dojrzewały w jej wnętrzu, a potem normalnie urwało jej głowę, a tam na dole, w mieście akurat odpalili fajerwerki, więc wybuchła śmiechem i przez dłuższy czas nie mogła przestać się śmiać, i wtedy Wsiowy wydał z siebie taki odgłos, który się jej spodobał, i wycofał się z niej, i poczuła gorące, wilgotne bryźnięcie, a potem osunął się na nią, taki ciężki, ciepły, miły w dotyku, oddychający równie szybko, jak ona sama, i ich piersi wzno-

siły się i opadały, zwalniając stopniowo, aż wreszcie się uspokoili, i minął spory kawałek czasu, nim którekolwiek się odezwało czy choćby miało na to chęć.

25

Nazajutrz rano po Festynie Ropy, kiedy Kukuryk podjechał pod biuro szeryfa, Mam Street była migoczącym w słońcu bajorem, pełnym śmiecia i przyzmi kału (ludzkiego i zwierzęcego) i przyozdobionym trójką nieprzytomnych z przepicia, wśród których znajdowała się blada, tłusta baba bez majtek, z kiecką zadartą nad głowę. Kukuryk ruszył ulicą i zwolnił tylko na tyle, by schylić się i zakryć kobiecie tyłek spódnicą, starając się na nią nie patrzeć.

Czarni aresztowani za pijaństwo i chuliganerię wciąż byli przykuci do łańcucha wokół dębu, ale teraz spali w cieniu drzewa. Klocek, który ich pilnował, też zasnął, oparty plecami o biuro szeryfa ze strzelbą na kolanach. Jego pomocnik, Trąbka, który miał połowę rozumu Klocka i nawet tej połowy się wstydził, też był niedaleko. Kimał w trawie. Kukuryk podejrzewał, że Trąbka spił się jak ci tam, przy łańcuchu, albo i gorzej.

Postanowił ich nie budzić. Ci na łańcuchu nigdzie się przecież nie urwą, a nie potrzebował Klocka ani Trąbki. Szczególnie tego buca Trąbki. Nie kusilo go ich towarzystwo, nie przy tym, co miał do załatwienia, kogo miał odwiedzić w mieszkaniu nad apteką. Zresztą i tak zamierzał koło południa rozpuścić wszystkich pijaków do domu.

Spojrzał w górę ulicy, w kierunku miejsca, do którego musiał się udać, i pomyślał sobie, że szeryf Knowles nie pozwoliłby mu wpakować się w taki układ.

— Dobry z ciebie chłop, Kukuryk — mawiał czasem Knowles. — Tylko czasem trzeba, żeby ktoś ci pokazał, którądy droga.

Tyle że szeryfa Knowlesa nie było już wśród żywych, a jedyna droga, jaką miał przed sobą Kukuryk, wiodła w górę ulicy, ku temu człowiekowi. Z którym wcale nie chciał się widzieć. Którego powinien aresztować. Ale nie aresztuje. Bo nie potrafi. Nie ma jaj. I za głęboko już w tym siedzi.

Całe piętro nad apteką stanowiło jeden apartament. Kukuryk nie cierpiał chwil, kiedy musiał tam wchodzić. Po tych rozchwierutanych schodach.

Ciemne zasłony licznych wysokich okien wychodzących na tyły budynku były za dnia zawsze odciągnięte, ale wewnątrz nigdy nie było zbyt jasno. To przez ten wielki nawis za i nad apteką, porośnięty jeszcze na szczycie sosną i dębem. Odcinał mnóstwo słońca, a w przedpokoju nie było oświetlenia elektrycznego, tylko parę lamp naftowych, a i te rzadko się paliły, więc zawsze zalegały tu cienie. Przez środek wielkiego pokoju zupełnie bez sensu szła drewniana ścianka działowa, na pół długości pomieszczenia, tak że można było iść albo na prawo, albo na lewo. Ścianka nie sięgała do sufitu, jakby kto był dość wysoki, mógłby nad nią patrzeć. Kukuryk nigdy nie szedł na prawo, tam gdzie były okna i światło, ale zawsze na lewo, ciemnym korytarzem, gdzie deski podłogi trzeszczały jak pękający lód, wiodącym do pograżonych w półmroku pokoi, w których lubił przesiadywać McBride. Za nimi były jeszcze inne pomieszczenia, ale tam nigdy nie był. Widział jednak, jak wychodzi stamtąd Człowiek-Chrabąszcz, a za nim nie przepadał. Nazywał go tak w duchu, bo facet zawsze nosił długi frak i czarny melonik. Kukurykowi kojarzył się przez to z olbrzymim insektem, cholera wie czemu.

Kukuryk wszedł zatem po schodach, poprawił pas z rewolwerem, ściągnął łopatkę i zapukał do drzwi.

Minęła dłuższa chwila, po czym otworzyła mu kobieta ubrana tylko w czarne, jedwabne pończochy, z czerwoną podwiązką na jednym udzie. Poza tym była nagusieńka. Jedną dłoń złożyła na kroczu, jakby to coś pomogło. Jej piersi kołysały się ciężko, a blond włosy były zebrane i upięte na karku, lecz luźne pasemka opadały na twarz, to tu, to tam, zupełnie jakby z głowy kobiety ściekało słońce. Na nosie, wzdłuż skrzydełka, miała drobną, białą bliznę.

Kukuryk zdjął kapelusz i ujął go w obie dłonie, jakby z szacunku dla widoku przed oczyma. Zdecydowanie wolał to, niż żeby otworzył mu Człowiek-Chrabąszcz.

— Wchodź, słodziutki — odezwała się, cofając dłoń sprzed tego, co pod nią kryła, jakby uznała, że już wystarczająco się postarała.

Już ją kiedyś widział (choć teraz oglądał kawałki, których wcześniej jego oczy nie znały), ale jak się nazywała, nie miał pojęcia. Gdy odwróciła się, by poprowadzić go w głąb apartamentu, jej goły tyłek kolebał się jak dwa wesołe dzieciaki turlające się w worku.

Poszli na lewo od ścianki działowej, gdzie wisiał rząd ozdobnych, srebrnych talerzy. Kukuryk spojrział w jeden z nich i zobaczył samego siebie, skręconego, ściśniętego przez metal i światło. Minęli wypolero-

wany kontuar baru i weszli do pokoju, gdzie stało łóżko i kilka kanap, a pośrodku stół, nakryty białym obrusem, na nim zaś srebrny dzbanek do kawy i również srebrne filiżanki i spodki. Nad stołem wisiała na sznurze elektryczna lampa. Żarówka była zakurzona, kiepsko świeciła. Zamontowany pod sufitem wentylator miał powietrze, woniące tytoniem i czosnkiem, z nutką siarki ze spalonych zapalek.

McBride leżał na kanapie dokładnie naprzeciwko i palił cygaro, którego dym słał się gęsto po tamtej stronie pokoju, zawisając mu nad głową niczym czarnosina chmura. Miał na sobie jedwabny szlafrok, szary jak popiół. Okrycie było do połowy rozchylone. Włosy na klatce piersiowej i przedramionach McBride'a były już siwe, choć wąsy wciąż miał aż nadto czarne. Zdaniem Kukuryka facet był już po sześćdziesiątce, choć wyglądał na twardego pięćdziesięciolatka.

Do tego jeszcze miał na sobie tę durną perukę, jak zwykle, kiedy był w mieszkaniu. Bujne, czarne kudły, gryzące się z irlandzką, krwistą karnacją. Wychodząc na miasto, McBride zakładał tylko czarny melonik, bez peruki, ściśle dopasowany, tak, by nie zabrał go wiatr i nie odsłonił się czerep — Kukuryk podejrzewał, że McBride był kompletnie łysy, no, może prawie.

— Kukuryk — odezwał się McBride i wstał.

Poły szlafroka rozsunęły się na boki, przez co Kukuryk ujrzał nawet więcej McBride'a, niżby chciał. Ten podszedł do stołu i usiadł na jednym z krzeseł. Przekrzywiła mu się też peruka, i Kukuryk nie wiedział już, gdzie podziąć wzrok. Trudno było się zdecydować, na co patrzeć. U góry te włosy, niżej, no, McBride w całej okazałości.

— Siadaj, Kukuryk. Napijesz się kawy? Usiadł. — No może.

— I dobrze. Ej, suczka, zorganizuj nam kawę.

— A co ja, pokojówka? — odparła blondynka.

— Tylko świeżą. I żebym nie musiał prosić drugi raz. Blondynka wyszła. A McBride uśmiechnął się do Kukuryka pod wąsem.

— Czasem trzeba im przylać, jak nie w dziób, to w tyłek, ale w końcu dotrze, na bank. I jak ci się ta dupcia podobała?

Kukuryk poczuł, że się rumieni. Zdołał tylko wykrztusić: — Niezła. McBride roześmiał się.

— Niezła. To pierwszorzędne dymanie. Co cię przyniosło? Jak dla mnie pora jeszcze młoda, zresztą sam widzisz, że byłem zajęty czym innym. Nie wpadłeś chyba tylko na filiżankę kawy, co?

— Nie, proszę pana.

— Festyn Ropy poszedł gładko?

— No, chyba tak.

— Dobrze. Więc w jakiej przyszedłeś sprawie?

— Konstabla, tam w osadzie Rapture.

— A niby czemu miałby mnie obchodzić konstabl... chwila. To ta zdzira od Pete'a, tak? Aha. Słyszałem o tym. To ta, co jak ten stary pierdoła szeryf dał się zabić, wzięła i wygarnęła tego czarnucha z kina, kiedy ty stałeś jak kołek i ssałeś paluchy. A Macavee dostał od niej po łbie pistoletem, nie?

— Tak, proszę pana.

— I jak tam nasz Macavee?

— Wyniósł się z miasta.

McBride wyszczerzył zęby. — Wygląda na to, że dziewczucha ma ikrę. I ponoć ładniutka. Zgadza się?

— Chyba tak.

— Chyba. Jest ładna czy nie? Taka ładna jak ta moja tutaj?

— Chodzi taka więcej ubrana. McBride parsknął śmiechem.

— Ano, pewnie tak.

— Bo była wczoraj u mnie w biurze z jednym swoim zastępcą — podjął Kukuryk. — Wołają faceta Wsiowy. No i pokazała mi takie coś. Mapki z geodezji. Parcele jednego takiego kolorowego. Zenda. Tylko że to były te mapki sprzed podziału. Rozumie pan, nie?

McBride pochylił się, opierając łokcie o stół, co sprawiło, że na jego mocarnych przedramionach splotły się gruzły mięśni.

— A skąd ona je wzięła?

— To pewnie te same, co je miał Pete i ta jego kurew Jimmie Jo. Nie wiem, skąd Słonko je wzięła.

— Te mapki, co je ukradł Pete? Te, o których mi mówiłeś? Kukuryk pokiwał głową.

— Wspomniałeś już o tym Henry'emu?

— Mówił mi pan, że jakby coś takiego wyszło, to najpierw do pana.

— Słusznieście zrobili, szeryfie. I to ja zawiadomię Henry'ego, nie ty. Coś mi wyglądasz na zdenerwowanego, Kukuryk. A ja nie cierpię nerwowych. Patrzę na takiego i myślę sobie, czy zaraz nie podkradnie się do mnie od tyłca i nie zasadzi mi kciuka w dupę.

— Przepraszam, panie McBride... — Kukuryk uniósł wzrok, bo do pokoju wróciła blondynka. Rozpuściła włosy, coś na siebie włożyła i przyniosła dzbanek świeżej kawy i dodatkową filiżankę, ceramiczną. Dołała trochę kawy do srebrnej filiżanki McBride'a, po czym ceramiczną postawiła przed Kukurykiem i jemu też naląła.

— Jak byś ją chciał podmacać, to proszę bardzo. Mam u niej otwarty rachunek, co nie, złotko?

— I bez tego mi dobrze, dziękuję — odparł Kukuryk. ...McBride roześmiał się w głos. — Akurat ci dobrze. Już, mała, leć stąd, bo przez ciebie Kukuryk cały się zapoci.

Szeryf próbował nie odprowadzać jej wzrokiem.

— Chciałoby się mieć taki materacyk we własnej sypialni, co, Kukuryk? — A gdy ten nie odpowiedział, McBride wrócił do tematu: — I co, odzyskałeś te mapki?

— Nie proponowali, żebym je wziął.

McBride poruszył się w krześle, rozprostował nogi, schował obie stopy pod stół.

— A sam nie poprosiłeś?

— Nie wiedziałem, jak by się za to zabrać.

— Bo przyniosła jej ładna kobitka, co? Mam rację?

Kukuryk napił się kawy, niemal rozlewając zawartość filiżanki. — Coś w tym guście.

— No i co zrobili?

— Poszli do sądu.

— Ty im poradziłeś, żeby tam poszli? No, Kukuryk, to już było durne. Znaczy, dałeś im szansę, żeby to sobie poukładali.

— Tak, proszę pana.

— Mapki się nie liczą, chyba że porówna się jedne z drugimi. Nie błysnąłeś mi tutaj, Kukuryk. Jak poszli do sądu i sprawdzili papiery, to zobaczą, że się pozmieniało. Tak właśnie zagrał Pete z tą swoją kurewką, że zgarnęli papiery, żeby mieć na nas haka, że niby sypną nas przed jakimiś szyszkami od ścigania przestępców, jeśli nie odpalimy im działki, i to nie jakiejś tam drobnej, jak twoja, ale porządnej. Jak moja. Czy Henry'ego. O nie. Ja jestem za stary wróbel na takie numery. Po to właśnie mnie tu ściągnięto, żeby załatwiać takie sprawy. Więc swoje pozłatwiałem. Wystarczyłoby, żebyś powiedział: „Te mapki to własność miasta. Nie wiem, jak znalazły się w waszym posiadaniu, ale powinienem zwrócić je prawowitym właścicielom, więc dziękuję, żeście mi je przynieśli”. Chyba proste rozwiązanie, co, Kukuryk?

— Chyba tak. Sam na to wpadłem, ledwie wyszli.

— Ale wtedy było już ciut za późno, Kukuryk, nie?

— Tak, proszę pana.

— Atak ładnie nam tu szło. To tu zarobiłem trochę grosza, to tam, ale nie musiałem się nad tym pocić. Mam ludzi od takich spraw, i to mi się podoba. Wysoko zaszedłem. Jak coś sobie wymyślę, to będzie zrobione ale nie moimi rękami. Nie lubię robić czegoś, czego robić me muszę zawracać sobie głowy sprawami, którymi nie powinienem się przejmować. A ty mi tu przynosisz problem. Ta kobieta... jak jej tam?

— Słonko.

— No proszę, jak ładnie. To przezwisko, nie?

— No, ruda jest. Nie wiem, jak się naprawdę nazywa.

— Najpiękniejsza rzecz na świecie, rozebrać taką i zobaczyć, jak między nogami rudzieje futerko. Poruszy taka biodrami, i jakby machała czerwoną płachtą na byka. Ale nie w tym rzecz, me tym razem. Jest tak, że na naszej drodze pojawił się wybój, i przez ciebie, Kukuryk, żeśmy prosto w ten wybój wjechali. A wiesz, jak to jest, jak się w coś takiego wjedzie, Kukuryk?

Szeryf pokręcił głową. . ,

— Przez taki wybój może nam z paki wszystko w cholerę polecieć. Wszystko, psiakrew. Dotarło?

Kukuryk przytaknął.

McBride wetknął palce pod tę obrzydliwą perukę, podrapał się po głowie. . ,

— Jak się wszystko rozleci, będę musiał sam się zająć sprawą, narobić się bardziej, niżby było trzeba. Rozumiesz, nie to, żebym nie lubił tej roboty, ale nie cierpię prostować czegoś, czego wcale me trzeba by było prostować, łątać dziur, które nie musiały być łątane. Nadążasz, Kukuryk?

— Tak, proszę pana.

McBride sztachnął się głęboko cygarem, wypuścił dym z nosa. — Dałoby się może wyciągnąć mapki od tej suki za forszę? Poszłaby na to?

— Nie sądzę. Wyglądała mi na pewną siebie, jakby chciała jakieś krzywdy naprawiać, czy coś.

— Dobroczyńca w spódnicy. Z takimi często są kłopoty. Jak dewo-ci czy abstynenci, dorwie się taka do jakiegoś tematu jak buldog i me popuści, nawet jeśli to wcale nie służy zdrowiu. Nie cierpię dobroczyńców Dajcie mi policjanta, polityka, z takimi zawsze da się wszystko za-

łatwić. Nawet księdza można przekabacić, ale ze szczerze wierzącymi czy dobroczyńcami człowiek nigdy nie wie, na czym stoi.

— Może dałoby się przekabacić Wsiowego — podsunął Kukuryk. — Jest u niej zastępcą konstabla, wczoraj kręcili się razem, tu w mieście. Zna Słonko, wie tyle samo, co i ona, może też wiedzieć, gdzie są mapki.

— Nie znam człowieka. Widzisz, Kukuryk, próbujesz teraz zwalić swoją robotę na kogoś innego. A tego nie lubię.

— Nie, proszę pana.

— Jak sprawa się rypnie, i ja, i Henry stracimy kupę pieniędzy, co byśmy zarobili na tej ropie. Do tego odsiadka, a za tym wcale nie tęsknię. Nigdy jeszcze nie siedziałem, a zrobiłem niejedno, za co by się należało. Nie planuję opalać się przez kraty, ni diabła. Więc tak, Kukuryk: masz się z tą kobietą spotkać. Powiesz jej, że coś cię tknęło, że sprawdziłeś w papierach i zobaczyłeś, że coś tam nie gra, że ktoś próbuje orznąć tego czarnucha... jak mu tam?

— Zenda.

— ...tego Zorro, że chcą mu ukraść ziemię.

— Zenda.

— No więc tak jej powiedz. Uderz w te jej dobroczynne struny. Pewnie da się ugadać, odda ci te mapki, bo uwierzy, że się tym zajmiesz. Jak nie odda, to mamy problem. Kukuryk, przewaźnie jak masz z kimś problem, to wszystko się jakoś ułoży. Ale mieć problemów ze mną to bym ci nie radził. Rozumiemy się?

— Tak, proszę pana.

— Nie wadzi mi, jak ktoś próbuje ukręcić sobie coś na boku, wyciągnąć po coś łapę. Ale żeby znał swoje miejsce. Nie tak jak Pete, co chciał mnie i Henry'ego wyruchać na ciężką forszę. Tego nie lubię. Ty nie z takich, nie próbowałbyś takich numerów, co, Kukuryk?

— Nie, proszę pana.

— Dobrze. To by było na tyle. Tylko jeden drobiazg na koniec. McBride wstał i jego szlafrok znów się rozchylił. Kukuryk wbił

wzrok w swoją filiżankę na stole. McBride poszedł do drugiego pokoju i zaraz wrócił. W dłoni miał plik banknotów. Podeszedł do Kukuryka, zatrzymał się tuż przy nim. Stał tak blisko, że jego penis niemal dotykał łokcia szeryfa.

— Wyciągnij dłoń, Kukuryk — polecił.

Ten obrócił się w krzesło i wyciągnął dłoń, a McBride położył na niej studolarowy banknot. Potem drugą setkę. I trzecią. Pozostałe

cztery złożył wpół i schował do kieszeni szlafroka. — Płacę ci, bo przyszedłeś do mnie, jak trzeba. Ale nie dostałeś wszystkiego, Kukuryk, bo spieprzyłeś robotę. Masz dostać te mapki, *amigo*.

McBride zamknął dłoń Kukuryka na banknotach, ścisnął tak mocno, że szeryf zwalił się z krzesła i wylądował na kolanach. Penis McBride[^] miał tuż przed nosem.

— Pocałuj go, Kukuryk.

— Nie.

— Ależ tak. Cmoknij.

McBride ścisnął dłoń szeryfa jeszcze mocniej, aż zatrzeszczało. Kukuryk nachylił się nieco i pocałował łebek penis McBride'a.

Ten puścił jego dłoń i cofnął się o krok. Kukuryk wstał, czerwony jak cegła.

— To wcale a wcale nie było potrzebne — wydusił. — Nie trzeba było tak.

— Kurde, Kukuryk, cmoknąłeś mnie w pytę, a osłodziłeś sobie cały dzień.

Kiedy szeryf już poszedł, McBride zawołał blondynkę. Weszła do pokoju, a on zaraz zaciągnął ją na kanapę. Gdy skończył swoje, powiedziała: — Sama nie wiem, po co zwracałam sobie głowę ubraniem.

— Nie prosiłem, żebyś się ubrała — odparł. — No już, zabieraj się. Leć do domu.

— Nie chciałam cię zdenerwować. To przez tego Dwaj jestem tak trochę nie w sosie.

— Już wstał?

— Aha. Nie chciałam być tam z nim w kuchni. Ani ciebie zdenerwować.

— Wcale mnie nie zdenerwowałaś, po prostu rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę. No już, leć, póki jeszcze mam dobry nastrój.

Wyszła do drugiego pokoju i ubrała się. Gdy wróciła, McBride leżał rozciągnięty na kanapie.

Przyjrzała mu się bez słowa.

Gdy sobie poszła, wstał, zamknął za nią drzwi, napił się kawy, zawiązał pasek szlafroka i poszedł do kuchni. Dopiero co jadł, ale miał chęć pogotować, a pomyślał sobie, że jeśli to, na co ma ochotę, chce ugotować porządnie, to trochę mu zejdzie. Nałożył fartuch — duży, z krótkimi, falbaniastymi rękawkami, przyozdobiony nieco koronką u dołu i po bokach. Ściągnął kilka garnków, rozpałił naftowy piecyk

i nastawił garnek wody na spaghetti. Wziął ząbek czosnku, połamał go w palcach, ułożył kawałki na desce do krojenia i rozbił tłuczkiem. Załatwił się z tym tak sprawnie, że ani trochę się nie rozbryznęło, ale oczy zaszyły mu łzami.

Usłyszał szelest i obrócił się. W drzwiach, ukryty w cieniu, stał Dwaj, jak zwykle w długim czarnym fraku w wiktoriańskim stylu. Frak, rozwidlony u dołu, leżał na nim tak, że typ wyglądał jak gigantyczny żuk, cały czarny, masywny, milczący, tylko zielone oczy pały mu w twarzy. Niby czarnuch, a oczy zielone, no i ten frak. Aż nienaturalne, a jednak.

— Nastawiłem coś do jedzenia — odezwał się McBride. — Trochę jeszcze z tym zejdzie, ale mogę zrobić więcej. Chcesz, żebym i dla ciebie przygotował porcję?

— Nie jesteśmy głodni — odparł Dwaj i wyszedł.

26

W nocy, nim doszło do tego wszystkiego między Kukurykiem a McBride'em, Słonko przyjechała do domu jak upojona po kochaniu się ze Wsiowym. Wysadziła go przy jego obozowisku, przy drodze, ze dwie mile od jej namiotu. Sadyba Wsiowego była bardzo prosta, konstrukcja z kijów i innych takich, okryta tylko starymi koszulami, żeby było coś jakby dach. Gdy Słonko spytała, skąd wziął te koszule, odparł, że dostał je od Clyde'a. Zapytała, jak się teraz między nimi układa, ale zmienił temat. Gdy się rozstawali, pożegnał ją najdelikatniejszym, najśłodszym całusem, jakiego w życiu doświadczyła — tak się jej przynajmniej wydawało.

Chciała ściągnąć Wsiowego do domu na noc, ale obawiała się, że następnego ranka Marilyn odwiedzie Karen, wyszłoby nieciekawie. Szczególnie, że Karen wciąż wodziła za Wsiowym cielęcymi oczami, normalnie jakby miała cieczkę. Zaczęła się jednak zastanawiać nad znalezieniem mu jakiegoś lepszego lokum. Byłoby miło, gdyby miał własny dom, w którym mogłaby go odwiedzać.

Gdy zajechała pod namiot, na powitanie wyszedł Ben. Zauważyła, że pickup Clyde'a stoi pod wielkim dębem. Dostrzegła jeden but oparty na desce rozdzielczej. Otworzyła bagażnik, wyjęła pudło z mapkami i resztą papierów, i podeszła do pickupa. Okna samochodu były otwarte, więc zajrzała do auta od prawej strony. Clyde leżał rozciągnięty na

siedzeniu, tylko tę jedną nogę wyrzucił na deskę rozdzielczą Księżyc lśnił na tyle mocno, że mogła przyjrzeć się jego twarzy, kiedy tak cicho pochrapywał - w obramowaniu przydługich włosów wyglądał na dużego chłopca. Tak naprawdę był całkiem ładny, wręcz przystojny, tylko

Weszła do namiotu, Ben zaraz za nią, położyła pudło na stole w części biurowej, spróbowała jeszcze zastanowić się nad różnicami w mapkach, ale wszystkie myśli krążyły wokół Wsiowego, jak im tam było na nawisie, i o tym delikatnym pocałunku na dobranoc.

Potem pomyślała sobie: „No już zupełnie zdumiałam, zadurzyłam się jak dziecko, a tu przecież mają mnie za morderczynię me tylko Jimmie Jo i jej biednego dzieciaka, ale i Pete'a". Podejrzewała, że Henry dokłada wszelkich starań, żeby tak właśnie to wyglądało, że zabiła Jimmie Jo, bo Pete z nią kręcił, a potem z kolei z tego samego powodu zabiła i Pete'a, i jeszcze twierdziła, że to w samoobronie.

Co gorsza, jej własna córka podkochiwała się w facecie, z którym Słonko dopiero co kochała się na przednim siedzeniu samochodu. Clyde kimał w pickupie pod drzewem jak odtrącony nastolatek czekający, aż ukochana wróci do domu, a na dobitkę odkryła jeszcze coś jakby spisek obliczony na orznięcie Zenda z należnej mu ziemi, i me miała zielonego pojęcia, co z tym począć.

I jeszcze coś. Coś, co kołatało się jej gdzieś głęboko po głowie. Cos, co czuła, ale nie potrafiła tego uchwycić ani choćby dobrze namacać.

Pomyślała sobie, że napiłaby się kawy, ale uznała, że to kiepski pomysł Było już zbyt późno, a poza tym nie chciało się jej. Mozę zatem whisky niechby nawet tej berbeluchy od Byka, ale nic nie miała, wiedziała zresztą, że zaraz by tego pożałowała. Stanęło na tym, że wyszła do pompy i naciągnęła sobie wody do szklanki. Ben wyszedł za nią, więc skoro już machała wajchą, naląła też trochę do miski, którą trzymała dla psa pod pompą. Woda była zimna, ale smaczna, więc Słonko stanęła przy pompie i piła, jedną ręką gładząc Bena po łbie, kiedy chleptał swoją wodę z miski.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi pickupa.

Clyde wyszedł na cokolwiek niepewnych nogach, powiedział: — Bry wieczór.

— Dobry.

— Czekałem na ciebie.

— No, widzę.

— Strasznie długo ci zeszło.

— Skąd wiesz? Przecież spałeś.

— Było już późno, jak zasnąłem. Teraz usłyszałem, jak pompa chodzi.

— Przepraszam.

— Nic się nie stało.

— Dowiedziałeś się czegoś tam u Zenda?

Złapał dwa krzesła, które miała wystawione poza namiot, i przyniósł je pod pompę. Usiedli.

— Dowiedziałem się, że na tej parceli obok jest ropa.

— No, wreszcie to i owo zaczyna się łączyć.

— Chyba z tych rzeczy, co o nich nic nie wiem. U mnie tam jedyne, co się połączyło, to półdupki, tak się dziś napociłem.

— Chętnie posłuchałabym więcej o tym, jak ci się tyłek lepi, ale może opowiesz dokładniej, coś tam zobaczył?

— Na tym gruncie stoi też taki mały domek. Nikt tam nie mieszka, ale wszedłem do środka i znalazłem sukienkę, w której kiedyś widziałem Jimmie Jo. Z tych sukienek, że jak człowiek zobaczy w takiej kobitę, to już mu siedzi w głowie.

— Weź nie przypominaj.

— Niedaleko od domu jest wielka kałuża ropy, dokoła trawa zupełnie padła, a ropa sączy się z ziemi. Naciekło jej nawet do takiego stawiku, co tam jest. Na moje oko ta parcela jest warta kupę forsy.

— Można by przyjąć, że to właśnie w tej ropie wymazana była Jimmie Jo?

— Nawet by pasowało. Powiedziałbym, że jak ją ktoś zastrzelił, to potem wpakował i ją, i szkraba w ropę, żeby zostawić dla kogoś coś jakby wiadomość.

— Myślę sobie, że Jimmie Jo i Pete wiedzieli o tej ropie, próbowali na tym ukręcić jakieś szacherki. Jeszcze nie wiem, co dokładnie robili, ale na pewno coś w tym stylu.

— Skąd ta pewność?

— Przez te mapki. Bo w sądzie znaleźliśmy ze Wsiowym coś jeszcze. Chodź do namiotu.

Przy stole, w świetle latarni Clyde obejrzał sobie zawartość pudła — te mapki, które były tam od początku, i te ukradzione przez Słonko.

— Więc paru białych facetów próbuje ukraść grunt Zenda, bo jest tam ropa — stwierdził.

— Właśnie, a że to kolorowy, pójdzie im gładko.

— Może Zendo sam im odsprzedał ten kawałek.

— Nie sędzę. Ale nie zamierzam go o to pytać. Póki co, im mniej chłop wie, tym lepiej dla niego.

— Czemu jeszcze nie zaczęli tam wiercić?

— Pewnie nie mieli czasu. Trzeba się trochę przyłożyć, żeby zebrać cały sprzęt. Może potrzebują pieniędzy na rozruch.

Clyde przetrawił to sobie, po czym powiedział: — Może... Kojarzę wszystkie nazwiska z tej mapki, poza jednym: McBride. Znasz człowieka?

Pokręciła głową.

Clyde zjechał niżej w krześle. — Dziś w nocy zajmowałaś się tylko sprawami służbowymi, Słonko?

— Nie.

Pokiwał głową. — Byliście na festynie?

— Tak.

— Ty i Wsiowy?

— Tak.

— Podoba się tobie, co?

— Tak.

— Wyszło jeszcze coś, poza festynem?

— A to już nie twoja sprawa. Powinieneś się wstydzić, że pytasz kobietę o coś takiego.

— Karen jest u Marilyn, nie?

— Aha.

— Nie przywiozłaś go tutaj, więc może jednak nie było aż tak miło.

— Było w sam raz — odparła. — I nie twoja sprawa.

— Wyglądasz tak, jakbyś bujała w obłokach.

— Wcale się nie bujam.

— To takie powiedzenie. No, wiesz, że jakbyś o czymś marzyła.

— Się nie rozpędzaj, Clyde. Myślę, że pójde już spać, a ty idź do diabła.

— Może nie zaraz do diabła, może przekimam się tutaj, w pick-upie? W domu nie czeka na mnie nic lepszego. Tylko plandeka i komary...

— Tu też rypią.

— Dziś w nocy ani jeden mnie nie uzał.

— Jak sobie chcesz, Clyde.

— To dobranoc, Słonko.

— Dobranoc, Clyde, i wiesz, to wciąż nie twoja sprawa...

Gdy Karen obudziła się następnego ranka, przez chwilę nie miała pojęcia, gdzie jest, ale przypomniała sobie, że ma łóżko w gościnnej sypialni u babci. W chwili przebudzenia przypomniała sobie film, który oglądała poprzedniego dnia w Holiday, u boku Marilyn, i było to miłe wspomnienie, bo i film był śmieszny (pierwszy, jaki widziała), ale nie dane jej było długo się tym nacieszyć.

Szybko usiadła, opuściła stopy na podłogę i — ubrana tylko w halkę — popędziła przez dom, wypadła na osłoniętą siatkami od owadów werandę. Zdołała wypaść przez siatkowe drzwi i zbiec po schodach, więc poszło już na ziemię. Wymiociny szły niekończącymi się falami, aż przez chwilę pomyślała, że zaraz wypluje własny żołądek, ale w końcu nudności ustały.

Ciężko klapnęła na schodek werandy. W ustach miała taki posmak, jakby ktoś napchał tam zasikanych, spleśniałych skarpet i jeszcze ubił je wymazanym w gównie kijem. Koszmarny smród z tartaku wcale nie pomógł, a niebo miało dokładnie tę samą, żółtozieloną barwę, co i wsiąkające w ziemię, parujące rzygowiny.

Karen myślała, że to może przeziębienie czy inna grypa, ale to nie było tak, że cały czas źle się czuła. Tylko rano. Mdlilo, jakby jej wnętrzności gotowały się w czarcim garze. Potem była eksplozja, oczyszczenie się z tego wszystkiego. Z reguły wystarczyło, żeby się później położyła na pięć-dziesięć minut, i była jak nowo narodzona. Miała tak już od kilku dni, i z początku z apetytem było średnio, ale nagle zrobił się wilczy. Czuła na przykład wściekłą chęć na przysmażane świńskie skórki na ostro, które ostatnio jadła w dzieciństwie. I na musztardę. Ze skórkami był problem, nigdzie nie mogła ich znaleźć, ale zeszłej nocy zrobiła sobie kanapkę z musztardy, nałożyła grubą warstwę między dwie pajdy chleba, a jak ją skończyła, zaraz zrobiła sobie drugą. Nawet teraz, po wymiotach, choć rzygowiny woniały gorczycą i octem, znów nabrała chętki na musztardę.

Podpierała głowę dłońmi, póki nie przestało się w niej kręcić, i już chciała wstać i wrócić do domu, gdy na werandę wyszła Marilyn i usiadła obok wnuczki.

— Już dobrze?

— Aha.

— Co się dzieje?

— Wymioty.

— No, to słyszałam.

— Nie chciałam cię budzić.

— Oj, dziecko, już od paru godzin nie śpię. Byłam w kuchni. Może powinnaś napić się czegoś na żołądek?

— Już wszystko dobrze.

— Zaszkoziło ci coś?

— Może... Nie wiem... Babciu... Da się zająć w ciążę... przy pierwszym razie? Myślałam, że za pierwszym razem się nie przyjmie.

— Boże drogi. Nie mów?

Karen obróciła się ku Marilyn, a jej twarz wyglądała niczym owoc, z którego ktoś wysał przez słomkę cały sok.

— Kiedy tak.

— Ze Wsiowym?

Karen przytaknęła. — Skąd wiesz?

— No bo wykluczyłam niepokołane poczęcie. Już wcześniej zaczęłaś wymiotować z rana?

— Ze dwa czy trzy dni. Mama nie zauważyła.

— Sama ma teraz sporo na głowie. Pewnie o niczym jej nie powiedziałaś?

Karen pokręciła głową. — Jaka ja jestem puszczałka.

— Nie. Nie. Jesteś po prostu dziewczyną. A on to dorosły facet. Wiedział, jak z tobą zagrać. Są tacy, co nie obchodzi ich nic poza tym, żeby im samym było dobrze.

— Mnie też się podobało.

— No, to przynajmniej tyle z tego miałaś, niektóre mają nawet mniej szczęścia.

— Ja go tak strasznie kocham.

— Ty kochasz samo kochanie, dzieciaku, nie jego. To facet, któremu się wydaje, że jest playboyem. Wiedziałam, jak tylko go zobaczyłam. I myślę, że to dobrze o mnie świadczy. Nie sądzę, żebym miała taki znów dobry gust do facetów, i nawet choć Pete był moim synem, a twoim ojcem, nie wydaje mi się, żeby Słonko też dobrze wybrała, czy przedtem, czy teraz.

— Co ja teraz zrobię? Nie mogę powiedzieć mamie.

— Musisz jej o tym powiedzieć.

— I co potem?

— Albo urodzisz dziecko, albo ściągniemy Ciotkę Cary, żeby się nim zajęła.

— Jak to, zajęła?

— Spędziła je, zanim się urodzi.

— Tego nie mogłabym zrobić.

— Więc urodzisz. I wychowasz to dziecko.

— Czyli już nic nie będzie tak, jak przedtem.

— Ano nie. Ale z tą zmianą da się żyć. I ja, i twoja mama dajemy radę z tym, co musimy znieść, to i ty przetrzymasz to, co przed tobą. A my możemy ci pomóc.

— Źle zrobiłam.

— Mnie też zdarzyło się w życiu parę razy zrobić coś złego, kochanie. O pewnych rzeczach nawet nie będę mówić. Czasem przychodzi na człowieka coś jak gorączka i wtedy wszystko może się zdarzyć. Wszystko, a potem musisz żyć z wyrzutami sumienia. Jednych rzeczy żałuje się bardziej, innych mniej.

— Babciu, wiesz, tobie mogę opowiadać o sprawach, o których nie powiedziałabym mamie...

— Po to są babcie. Do licha, dziewczyno. Aż tak źle nie zrobiłaś. Po prostu poszłaś tą ścieżką, na którą rwie się zwierzę w każdym z nas. W twoim wieku, jak dziewczyna się grzeje, nie trzeba jej długo namawiać. Ludzie nie koty, cały czas marcują, a za młodu to już najbardziej. Kiedy ładny chłopak, taki jak Wsiowy, umie powiedzieć, co trzeba, łatwo zrobić coś, czego się robić nie powinno. W kochaniu nie ma nic złego, maleńka, ważne jest tylko to, kogo kochasz i czego ten ktoś chce od ciebie w zamian.

— Mówił, że jestem śliczna.

— Nie kłamał. Cerę masz po ojcu, kości po matce. Powiedział ci, że się pobierzecie?

— Nie. Wspomniałam sobie to wszystko, i ani razu niczego mi nie obiecał. Po prostu mówił o mnie same dobre rzeczy, dotykał, a kiedy tak robił, czułam, że muszę go mieć.

— Jakbyś chciała, żeby cię podpałił.

— No właśnie. Skąd wiesz?

Marilyn parsknęła śmiechem. — Nie zawsze byłam taka stara. Od dawna nic mnie tak nie rozpałiło, ale wiem, jakie to uczucie. Zostają wspomnienia.

— Babciu, czuję się normalnie tak, jakby ktoś wrzucił mnie do wora, trząśł, trząśł i w końcu cisnął precz.

Marilyn wzięła Karen w ramiona, przytuliła. — Odpręż się. Znajdziemy jakieś wyjście.

- Powiesz mamie? Ona go lubi, wiesz. Słyszałam, jak Willie mówił, że się z nim całowała.

— Wiem, że go lubi. I wcale mi się to nie podoba. Ale nie, ty sama musisz jej powiedzieć.

— Kiedy nie wiem jak.

— Podpowiem ci.

Tego ranka Słonko podjechała do szałas Wsiowego, chciała się z nim zobaczyć, ale chatka z kijów, gałęzi i starych koszul gdzieś przepadła, jak i on sam. Jakby wiatr zabrał go i poniósł hen. Wysiadła, rozejrzała się dokoła i zobaczyła, że sam porozwłóczył szałas na kawałki, rozrzucił po lesie. Wyglądało to tak, jakby się wściekł i postanowił raz na zawsze skończyć z tym miejscem. Pojechała do domu.

Pod namiotem zobaczyła Clyde'a i Bena. Clyde zaparzył kawę i siedział w jednym z krzeseł przy pompie, popijając z kubka. Ben siedział obok, z dłonią Clyde'a na karku. Gdy Słonko podjechała bliżej, Clyde wszedł do namiotu i wrócił, niosąc kubek dla niej. Usiedli razem na krzesłach, sącząc kawę.

Clyde odezwał się po chwili: — Wsiowy przyjdzie dziś do roboty?

— Nie wiem.

— Nie było go tam, gdzie mieszka, co?

— Nie.

— Może po prostu się przeniósł, znalazł lepsze miejsce.

— Chyba sam w to nie wierzysz, co?

— Ano nie.

— Masz nadzieję, że się zmył w cholere, co?

— Aha. Ale i nie.

— A co to ma znaczyć?

— Mam nadzieję, że się wyniósł. Chociaż nie chciałbym, żeby cię okłamywał, żeby ci było smutno.

Nie patrząc w jego stronę, Słonko położyła dłoń na jego ramieniu.

Clyde przełknął ślinę. Zmusił się do rozluźnienia mięśni, tak by czuć ciężar i ciepło jej dłoni przez rękaw koszuli. Odetchnął głęboko. Słonko użyła troszeczkę perfum, ot, tyle tylko, by powietrze wokół niej pachniało nieco bardziej słodko.

Może to nie było dużo, ta dłoń na jego ramieniu, ale zawsze coś, kąsek, którym mógł się pocieszyć. Coś jak żołądz znalezione przez ślepego wieprza — najeść się tym nie naje, ale przynajmniej głód już tak nie ssie.

Po rozmowie z McBride'em Kukuryk wrócił do biura, cały roztrzęsiony, z obolałą dłonią. Nic nie miał złamane. Potężny uścisk McBride'a przemieścił kości, które teraz wracały powoli na miejsce, ale ręka bolała jak diabli.

Kukuryk myślał o tym, do czego zmusił go McBride, i rzygać mu się chciało. Czuł się tak, jakby potrzebował wgramolić się w szczudłach na pieniek, żeby sięgać innym ludziom do kostek. McBride naprawdę nie musiał mu tego robić. Zrobił, bo mógł, łysy sukinsyn w peruce.

Kukuryk wyciągnął miednicę, nalał do niej wody i zaczął szorować wargi grubą kostką mydła, trąc, aż prawie zaczęła ciec z nich krew, a smak mydlin wypełnił mu usta. Aż mu podjechał żołądek, ale był pewien, że lepiej czuć to, niż tamto, co wciąż dojmująco pamiętał.

Po namydleniu zdjął kapelusz i zanurzył twarz w miednicy, trzymał pod wodą tak długo, póki starczyło tchu. Kiedy się wynurzył, prychając, po omacku sięgając po ręcznik, wcale a wcale nie czuł się czystszy.

Wymaszerował na schody przed biurem, rozejrzał się po ulicy, spojrzął wściekle na czerwony apartament nad apteką. Miał szczerą chęć kopnąć się do biura, wyciągnąć strzelbę i wpaść do McBride'a z ponowną wizytą. Kazałby mu possać lufę, o, tak właśnie. Powinien był w ogóle odgryźć bydlakowi fiuta, złapać w zęby i wyrwać z korzeniami. Ależ z niego tchórz, że zrobił to, co zrobił. Powinien pozwolić, by McBride zmiażdżył mu dłoń, nim się do tego zniżył.

Znów zaczął myśleć o strzelbie, ale teraz już powątpiewał, czy dałby radę, czy nie skończyłby czasem z lufą w dupie. McBride pompowałby w niego kolejne naboje, aż do wyczerpania magazynka. Łatwo było zgrywać twardziela na słońcu, na schodach własnego biura, ale tam, w tym dusznym pokoju, gdzie światła było ledwie ciut, wszędzie panoszyły się cienie i siedział McBride w tej paskudnej peruce... tam, to była zupełnie inna sprawa. No i jeszcze ten Człowiek-Chrabąszcz.

Kukuryk pomyślał sobie, że mógłby wyciągnąć z szuflady biurka jedno z tych cygar, co to je palił szeryf Knowles, zapalić, coś jakby dla oczyszczenia, żeby wykadzić sobie dymem usta, ale im dłużej wspominał o tych wielkich, grubych cygarach, które lubił poprzedni szeryf, tym mniej mu się ten pomysł podobał.

Wyszedł za róg budynku biura i zobaczył, że wszyscy kolorowi nadal śpią, przykuci do dębu, i że Klocek i Trąbka wciąż też jeszcze się

nie ocknęli. Opadła na nich rosa — Kukuryk widział jej wilgotny ślad na kapeluszu Klocka i kolanach jego spodni. Był tak wściekły, że chciał ich już obsztorcować za spanie na warcie, ale się rozmyślił. Wolał, żeby jeszcze się nie obudzili.

Przyuważył, że na samym narożniku budynku biura zebrała się garstka świerszczy, i żeby rozładować wściekłość, zmiażdżył parę z nich otwartą dłonią, po czym szybkim gestem zdrapał resztki o kant cegieł.

Wyszedł z powrotem przed budynek, znów stanął na schodach. Ocierał właśnie usta grzbietem czystej dłoni, kiedy ulicą nadjechał granatowy samochód, ominął nieprzytomną grubaskę i zatrzymał się, choć silnik wciąż pracował. Otworzyły się drzwi od strony pasażera i wysiadł Wsiowy, niosąc przerzucony przez ramię tobołek z koca. Kukuryk przyjrzał się, próbując rozpoznać kierowcę. Widział go już kiedyś w mieście, ale nie znał z nazwiska. Samochód ruszył dalej, mijając biuro szeryfa, w kierunku sądu.

Wsiowy zatrzymał się na chwilę na jezdni, przyjrzał rozciągniętej grubasce tak wnikliwie, jakby był biologiem morskim, studiującym wyrzuconego na brzeg wieloryba, po czym skierował się w stronę Kukuryka. Mijając go, skinął głową.

— A ty co, myślałem, że robisz za zastępcę konstabla — zagadnął go Kukuryk.

— Czasem. Dziś mi się nie chciało. I nie wiem, czy mi się jeszcze zechce. Tak naprawdę to lubię śpiewać i grać. Zeszłej nocy trochę sobie pośpiewałem, i już wiem, że to właśnie powinienem robić. A że dostałem wypłatę, to wpadłem zobaczyć, czy dałoby się tu kupić gitarę. Nie wiesz, czy ktoś miałby jedną na zbyciu?

Kukuryk pokręcił głową.

— Ale masz czerwone wargi. Żeś się czymś poparzył, czy jak?

— Nie. Ale jest jedna sprawa. Ta dziewczyna, Słonko, co mi się widzi, że ci się podoba... bo ci się podoba, co nie?

— No, nawet nawet, szczególnie pod pewnymi względami — odparł Wsiowy.

— Szykują się jej diabelne kłopoty, kolego. Ale może dałoby się jej pomóc.

Kończąc mówić te słowa, Kukuryk poczuł się jak ogłuszony. Same wyskoczyły mu z ust, zupełnie jak jakaś żaba.

— Jakoś wolę pilnować własnego nosa — stwierdził Wsiowy.

Kukuryk spojrział na niego pytająco. — Przecież jesteś od prawa i porządku?

— Coś nie jestem pewien, czy dalej chcę robić w tej branży. Jakoś nigdy mi się nie widziało, że do tego pasuję. Zresztą ty sam jesteś szeryf, nie? Więc jeśli to sprawa dla szeryfa, to szeryfuj. Ja się wycofuję.

— Podoba mi się ta ruda — spróbował znowu Kukuryk.

— Do diabła, każdemu chłopu by się spodobała.

— Ja nie o tym. Ma dziewczucha serce. Ma więcej odwagi ode mnie. I przyda jej się to wszystko.

— Niby że jak?

— Jest taki McBride...

— John McBride?

— Skąd wiesz?

— Widziałem jego nazwisko na papierach w sądzie.

Kukuryk pokiwał głową. Zauważył, że ta gruba na jezdni zaczęła zbierać się na nogi. Zdołała przewrócić się na brzuch, podeprzeć na jednym kolanie.

— Wyglądasz mi na gościa, który chętnie ukręciłby coś na boku — stwierdził.

— A nie sądzę, żeby Słonko też była z takich.

— Ze niby o co chodzi z tym kręceniem na boku? O czym ty gadasz, Kukuryk?

— Myślę, że mógłbyś dziewczynie pomóc, a sam zarobić trochę forsy w trymiga.

— A skąd by się wzięły te łatwe pieniądze?

— Ode mnie.

— Wiesz co, koleś, mam lepsze pomysły na spędzenie tego poranka niż zabawa w zgadywanki.

— Henry Shelby, taki gość z tartaku w osadzie Rapture...

— Wiem, który to.

— ...wziął sobie coś takiego wymyślił, uważasz. Polował na gruntach należących do tego czarnucha Zenda i znalazł ropę. Zendo nawet nie wie, że to jego ziemia. A nawet jeśli tak podejrzewa, to Shelby wszystko ustawił. Dzień po tym, jak znalazł ropę, wziął poszedł do Zenda i spytał, czyby nie sprzedał kawałka ziemi, że niby pod wycinke, a Zendo nie, że nie chce sprzedać, no to Henry go zapytał, czy w ogóle wie, ile ma tej ziemi, a Zendo na to, że nie. Po prostu kupił kawał gruntu i obrabia kawałek, co wie, że jego. Tutaj kolorowi nie zadają zbyt wielu pytań, jak już coś sobie kupią, nawet jeśli muszą za to zapłacić prawie dwukrotną cenę. Cieszy się chłop, że ma to, co wie, że je-

go, nawet jeśli ma dużo więcej, tylko o tym nie wie. No i o ropie też oczywiście nie wiedział. Bo mógłby zmienić zdanie. Geodetom nawet się nie chciało tam jechać, wyznaczyć mu, odkąd dokąd ma parcelę. Tyle że wyrysowali mapkę, a człowiek naprawdę musi posiedzieć nad tymi papierami, żeby wyrozumieć, co i jak. A jeśli Zendo jest jak cała reszta tych naszych kolorowych, to nawet czytać nie umie. No więc Henry Shelby mówi mu tak: „Słuchaj, wezmę nawet zapłacę, żeby mierniczy dokładnie wymierzył ci działkę, bo skoro nie mogę odkupić kawałka twojej, to kupię te grunty tu obok”. Dla Zenda to żaden problem, bo i pomiary dostał za darmo, i wie już dokładnie, ile ma tej ziemi.

— Tylko że podzielono ziemię inaczej, niż powinno być — wtrącił Wsiowy.
— Tego żeśmy się mniej więcej ze Słonkiem domyślili.

Obaj obrócili się, by popatrzeć, jak obok kuśtyka ta gruba pijaczka. Kukuryk miał wrażenie, że to jedna z tych z Dodge Street. Zresztą nawet szła w tamtą stronę. Gdy ich minęła i znalazła się już w bezpiecznej odległości, wrócił do opowieści:

— Wyznaczyli Zendowi kawałek większy, niż mu się wydawało, że to jego, żeby się cieszył i nie marudził. Ale resztę zostawili sobie, wielki kawał, tam, gdzie jest ropa. Żeby się nie wydało, Shelby musiał załatwić sprawę z burmistrzem. Bo się nieźle znali, uważasz.

— Słyszałem jednak, że burmistrz gdzieś nawiał, czy coś — powiedział Wsiowy.

— Czy coś — skinął głową Kukuryk. — Burmistrz i Henry kumpłowali się, razem rżnęli w karty i chodzili na dziwki. Shelby wyłożył mu kawę na ławę, no bo bez burmistrza nie dałoby się szachrować z papierami w sądzie. Żeby było urzędowo. Więc musiał odpalić mu działkę. A potem pojawił się ten McBride, za to burmistrz gdzieś wsiąkł. Coś mi się widzi, że Henry nie był z nim aż tak bardzo zaprzyjaźniony...

— Nie czujesz się dziwnie, że tak wiesz o tym wszystkim?

— Potrzebowali mnie, więc i ja się załapałem na udział. Nie w samej ropie, po prostu dostaję od nich forszę. Głównie od McBride'a, ale wiem, że i tak Henry płaci za wszystko. Teraz siedzę już w tym naprawdę głęboko. I się boję. Wolałbym nie robić niczego naprawdę złego, a tak mi się widzi, że tego właśnie sobie ode mnie zażyczą. Czegoś parszywego. I to niedługo.

— Jak próbujecie zachować te mapki w tajemnicy, to lepiej by było zorganizować porządną strażników w sądzie — wytknął Wsiowy.

— Jak na złodziei czy pomagierów złodziei, jakoś nie za bystrzy jesteście.

— Nigdy nawet nie przyszło im do głowy, że ktoś tam zajrzy, skoro Pete już nie żył i w ogóle. A nawet jeśli, co z tego? Oryginały mapek przepadły. Aż tu nagle zjawia się z nimi Słonko. Byłoby lepiej, żebym je wtedy od niej zabrał. Jakby mi oddała te papiery, nie byłoby teraz problemu.

— To czemu żeś nie poprosił?

— Kiedy ja jakoś nigdy nie umiem dobrze wybrać — Kukuryk pokręcił głową.

— Muszę wydostać od niej te papiery. Dla jej dobra. I mojego też. Pomyślałem, że mógłbyś to załatwić, dla niej. Miałbyś z tego sto dolarów.

— To konkretna suma, słowo daję. Kukuryk przytaknął.

— Ale wciąż jeszcze nie wszystko żeś mi wyłożył — stwierdził Wsiowy.

— Musisz wiedzieć tylko tyle: wydostań te papiery, to jej nic się nie stanie. Ale jest ktoś, kto dorwie kwity, choćby miał ją zabić.

— McBride?

— No, McBride. Może nie własnymi rękami, ale załatwi sprawę. Zabierz jej papiery, mapki, tak żeby nic jej nie zostało, i może obejdzie się bez kłopotów.

— Wystarczyłoby, żebyście dorobili więcej nowych mapek.

— Jak się gdzieś pojawią te stare, i tak narobią gnoju.

— Wiesz, co ci powiem? Ta stowa brzmi strasznie kusząco, ale jak tak mówiłeś o tym, że burmistrz zniknął, a ty sam się boisz, to już jakby mniej. Więc widzi mi się, że najlepiej będzie, jak sobie zapomnę, że w ogóle rozmawialiśmy, i będę się trzymał z dala od Słonka. Spędziłem tam kilka chwil, było miło, ale czas ruszać dalej.

— No, chyba jesteś dużo cwańszy, niż mi się wydawało.

— Jak chodzi o pilnowanie własnego nosa, to jestem cwany, że ho, ho.

— A co ze Słonkiem?

— Ja tam do niej nic nie mam. Taka kobieta może chłopa uszczęśliwić. Ale jakoś nie chcę być aż tak szczęśliwy, nie z jedną babą do grobowej deski. Ja nie z tych. Musiałbym grać o większą stawkę, niż byle sto dolarów. Mam taką zasadę: jak wybieram ścieżkę, to taką, na której nie ma przeszkód, a jak się nie da, to przez krzaki. Na razie, Kukuryk.

I Wsiowy poszedł sobie ulicą. Kukuryk przez chwilę odprowadzał go wzrokiem, ale nagle nad Main Street przesunął się cień. Szeryf zadarł głowę.

Z początku myślał, że to stadko ptaków. Były jednak nisko, usłyszał brzęczenie skrzydeł.

Owady. Wielki rój. Nagle zakręciły jak jeden, śmignęły nad nawis skarpy za czerwonym apartamentem i znikły wśród drzew.

Tego dnia miało się odbyć zebranie w osadzie. Słonko dumiała nad tym od samego rana. Jak i o Wsiowym. Wysłała Clyde'a, żeby go szukał. Nie rwał się do tego, ale wiedziała, że to zrobi, że miała nad nim aż taką władzę, i czuła się przez to fatalnie. Choć nie aż tak, żeby odwołać polecenie.

Idąc ku samochodowi, zauważyła, że między gałęziami drzew jest jakby więcej miejsca, więcej słońca się tamtędy przedostaje, i przez chwilę zbiło ją to z pantafelku. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że od dłuższego czasu panowały suche upały i drzewom zaczęło brakować wody. Gałęzie wiotczały, liście kurczyły się, brązowiały, zaczynały opadać, chrzęszcząc jej pod stopami jak deptane krakersy.

Znów dumiała o zebraniu, kiedy pickup Marilyn wjechał z łomotem na podwórze i zatrzymał się. Słonko zauważyła, że w kabinie są nie tylko Marilyn i Karen — tuż przy drzwiach od strony pasażera siedział duży, nawet przystojny starszy mężczyzna. A na pace przyjechał młody chłopak.

Zaczęli wysiadać — starszy pan, ubrany w znoszoną marynarkę, nie oddalał się jednak od samochodu, a chłopak w ogóle nie ruszył się z miejsca. Karen podeszła do matki, opuściła rękę, by pogłaskać Bena, który zajął pozycję obronną u boku Słonka.

— Jest tu Wsiowy? — spytała dziewczyna, a głos załamał się jej przy pytaniu.

— Nie — odparła Słonko.

— A gdzie jest?

— Właściwie to nie wiem. Co to za ludzie?

— Nie wiem. Zabrałyśmy ich od Wuja Rileya. Słyszałam, że chłopaka ukąsił wąż. I on cały czas się na mnie gapi, mamó. Aż się nerwowa robię.

— Czemu tu nie podejda?

— Boją się Bena.

— To zabierz psa do namiotu. Każ mu się położyć.

— Możemy potem porozmawiać?

— No pewnie. Już, zabierz Bena.

— Chodź, Ben.

Pies i dziewczyna zniknęli w namiocie. Marilyn stanęła wtedy pod pompą, żeby naciągnąć wody i obmyć sobie twarz. Uniosła głowę ku Słonku, a z brody poleciały krople. — Ten tam to Lee. A chłopaka wołają Gęsiak.

— Kim oni są?

— Lee to człowiek, którego powinnaś poznać.

— Serio?

— Lee, chodź no tu — zawołała Marilyn.

Ten podszedł, uklonił się. — Witaj, Słonko — powiedział.

— Znamy się? — spytała.

— Nie. Ale chciałbym cię poznać.

Słonko spojrzała na Marilyn z nadzieją, że ta jej pomoże. Teściowa ruszyła jednak w stronę wielkiego dębu przy drodze. Gęsiak zapuścił się pod wychodek, zniknął wewnątrz.

— Więc się nie znamy? — indagowała dalej.

— Nie — Lee pokręcił głową. — Ale coś nas łączy. Jestem twoim ojcem.

Przez dłuższą chwilę oboje stali w milczeniu, aż nagle Słonko bardzo szybkim ruchem spoliczkowała Lee — wyrznęła go tak mocno, że aż przyklęknął na jedno kolano.

Powoli wstał, trzymając dłoń przy zaczerwienionej twarzy.

— Ty sukinsynu — powiedziała.

— Niby mała, ale krzepę masz.

— Sukinsyn.

— Bez dwóch zdań. Może to nic nie zmieni, ale nawet nie wiedziałem, że istniejesz.

Karen i Ben wyjrzeli zza klapy namiotu. Gęsiak wyszedł z wychodka w samą porę, by zobaczyć, jak Lee staje na nogi. — Nic ci nie jest, Lee? — zawołał.

— Wszystko w porządku. Tylko nie podchodź.

— Wracaj do namiotu — Słonko poleciała córce.

— Ależ, mamoo...

— Choć raz, jeden raz, psiakrew, zrób, co ci każe. Głowa Karen znikła za płótnem, a zaraz po niej psi łeb.

— Więc co, pofiglowałaś sobie z moją mamą i się zmyłaś, tak? Ot i cała historia?

— Tak, tak właśnie było — pokiwał głową. — Ale nie miałem pojęcia o tobie, dopóki Marilyn mi nie powiedziała.

Słonko posłała teściowej ostre spojrzenie.

Marilyn, wciąż tam pod dębem, wzruszyła ramionami.

— Pojawiasz się po tylu latach, a ja co, mam być jakaś przejęta, czy jak?

— Nie musisz się przejmować. Świetnie rozumiem, że może to ciebie wcale nie obchodzić. Ale ja naprawdę nic o tobie nie wiedziałem, Słonko. Byłem młody. Twoja matka też. Popelniliśmy błąd. A, do diabła, to ja popelnilem błąd. Uwiodłem ją, a przecież byłem kaznodzieją... znaczy, wtedy byłem. Już nie jestem.

— Czego ode mnie chcesz?

— Daj mi parę minut.

— Nie jesteś mu nic winna — odezwała się Marilyn z bezpiecznej odległości, spod dębu. — Ale może warto go posłuchać.

— Uciekłeś — stwierdziła Słonko. — I moja matka też. Ale ona przynajmniej opiekowała się mną przez jakiś czas, i zostawiła mi ładną parę butów. Aczkolwiek te już dawno znosiłam na amen. A teraz pojawiaasz się ty. Byłam bita, gwałcona, zastrzeliłam męża, znalazłam i wykopałam trupa jego kochanki i jej dzieciaka, a teraz jeszcze ciebie mam na karku. Coś ty, dziadek, zrobił, na całą rodzinę rzuciłeś klątwę?

— W pewnym sensie właśnie tak. Dlatego przyszedłem. Tam w namiocie, to moja wnuczka?

— Domyślam się, że pytasz o tę czarnowłosą dziewczynę, nie o psa.

— Wiem, kiedy dostaję za swoje — westchnął Lee. — Ale posłuchaj choć tego jednego. Chcę cię poznać. Jeszcze wcale cię nie znam, a już cię kocham...

— Chrzanisz.

— Wiem, jak to brzmi.

— Akurat.

— Ale wiem. Jesteś moją córką, z krwi i kości. Jedyna prawdziwa rodzina, jaką mam... ty i Karen, pies już nie. I kocham cię, bo myślę, że Bóg sprowadził mnie tu z powrotem, żebym naprawił to, co wyrzodziłem, pomógł ci. Żebym cię bezwarunkowo kochał.

— Miło z twojej strony. Tylko, jeśli Bóg jest taki sprytny, to czemu w ogóle pozwolił ci stąd nawiać? Masz na to odpowiedź?

— To ja sam uciekłem, nie Bóg.

— No tak. Cóż, ani za tobą, ani za nim specjalnie nie przepadam.

— Słonko, jak człowiek młody, to głupi — wtrąciła Mariłyn. — Obie powinnyśmy coś na ten temat wiedzieć. Głupio sobie wybrałyśmy mężów. I nie tylko.

— Dałam się ogłupić jednemu mężczyźnie, i to strasznie, i nie chcę, żeby kolejny mnie ogłupił. Nawet własny ojciec.

— Zawsze dajemy się wystrychnąć na dudka — odparła Mariłyn. — Każdy może oszukać każdego, a powodów nawet nie da się zliczyć.

Słonko przyjrzała się jej uważnie. Mariłyn odwróciła się, odeszła dalej. Słonko spojrziała z powrotem na Lee i stwierdziła: — No, do diabła, oczy faktycznie mam po tobie.

— To fakt — przytaknął. — I włosy też. Ale wyglądasz zupełnie jak twoja mama.

— O nie, nie jestem pijaczką.

— Kiedy ją znałem, też nie była. Była młoda, jak ja, pełna świeżości i marzeń. Może to właśnie ja je ugasiłem.

— Kiedy byłam mała, dzieciaki śmiały się z moich włosów. Lepiej trafić do paki, niż mieć rude kłaki, takie tam. Więc rzadko bywałam w szkole. W ogóle rzadko się zdarzało, żeby mi ktoś przy czymś pomógł.

— Wygląda na to, że jakoś sobie jednak poradziłaś. Konstabl, proszę ja was. Z rewolwerem.

— Nie to, żeby mnie wybrali. Niezupełnie tak było.

— Ile jest kobiet, które robią to co ty?

— Ja tam żadnej innej nie znam... jak właściwie się nazywasz?

— Lee. Na nazwisko Beck, tak samo jak ty. Ale chciałbym, żebyś mówiła do mnie „tata”.

Lee i Słonko wybrali się na przejażdżkę. Ona prowadziła, stosując się do jego wskazówek. Próbowwała ułożyć sobie to wszystko w głowie, zdecydować, co właściwie czuje, co powinna czuć.

Zatrzymała się, kiedy ją poprosił, niedaleko potoku, kawałek za tartakiem w osadzie Rapture. Wysiedli z samochodu i zaczęli wędrować po okolicy — Lee skręcał to tu, to tam, aż wreszcie zatrzymał się nad brzegiem potoku.

— Wtedy było tu więcej ziemi, teraz woda ją pewnie zabrała. W tym miejscu był nad potokiem taki nawis. Rosły na nim drzewka, prawda. A pod nimi było tak naprawdę intymnie. Dokoła rozrosły się krzewy, trawa. Ale były też czerwone mrówki. Od cholery ich było.

— Ten nawis przepadł w burzy, nawet całkiem niedawno. A tę burzę to pamiętam diabelnie dobrze. To w jej trakcie zastrzeliłam męża. Znam to miejsce, o którym mówisz. Chodziłam tam się bawić.

Uśmiechnął się do niej. — Serio?

— No.

— Tu właśnie byłaś poczęta, Słonko. Znaczy, tam. Tam, na tym nawisie, co go zmyło.

— Ty i mama... tutaj?

Skinął głową. — Może dla ciebie to miejsce nie wygląda romantycznie, ale dla nas takie właśnie było. Często tu przychodziliśmy, a raz nie skończyło się tylko na trzymaniu za ręce. Tylko ten jeden raz. Nie wiedziałem, że się załęgło, że tak powiem. Leżeliśmy tam sobie razem i słyszeliśmy, jak pod nami płynie woda, spaliśmy w upalne południe, bo wydawało się nam, że wtedy nikt nie będzie nas szukał. Bo widzisz, twoja mama, jak ty, była właściwie sama na świecie. Praktycznie żadnej rodziny.

— Może wtedy była jeszcze w porządku. Potem zaczęła pić.

— Chodźmy dalej.

Ruszyli wzdłuż potoku. — Już za późno, żebym miał jej szukać — stwierdził Lee. — Teraz to zrozumiałem. Znalazłem jednak córkę, i może to wystarczy. Ba, nawet i wnuczkę. Jeśli pozwolisz, by to mi wystarczyło.

— A ten chłopak? To twój syn?

— Nie. Ot, dzieciak, którego napotkałem, kiedy wędrowałem. Wąz go ukąsili i twoja teściowa podwiozła nas do chaty Wuja Rileya. Jego żona go uratowała. Prawie całkiem już wydobrzał.

— Karen skarżyła się, że się na nią gapił.

— Bo jest śliczna, a Gęsiak, no, się chłopak ciut szybko rozwija. A w każdym razie chciałby. Ale kłopotów z nim nie będzie.

Siedli na samej krawędzi urwiska, zwieszając stopy w powietrzu. Lee odchylił się do tyłu, spojrzął w niebo, zapatrzył w drzewa, wyglądał tak, jakby chłonał to wszystko przez skórę.

— A Mariłyn... czy ona cię lubi? — spytała Słonko.

— Nie w ten sposób, o jakim myślisz. Choć może i do tego by doszło, gdybyśmy razem nad tym popracowali. Sam nie wiem. Wygląda na miłą kobietę. Ale w jej uśmiechu jest cień.

— Co masz na myśli?

— Ma kobieta swój krzyż.

— No, pewnie tak — przyznała Słonko.

Na twarzy Lee zagościł uśmiech, kiedy zaczął mówić: — Wierzę w Boga, Słonko, ale dla mnie to nie jest ten Bóg, o którym mówiłaś, ten, któremu nie ufasz. Nie wiem zresztą, czy to on, znaczy, płci męskiej. W ogóle nie wiem, co i jak jest z Bogiem. Już nie. Nie wydaje mi się, żeby coś tu zależało od tego, czy Mu ufamy, czy nie. Ani od naszych modlitw czy pragnień. Bóg po prostu jest. Uświadomiłem to sobie właśnie w tej chwili, jak tak siedziałem tu na brzegu i patrzyłem na to, co nad nami, niebo takie błękitne, drzewa zielone...

— Mnie tam wyglądają raczej na brązowe.

— Fakt. Masz rację. Podsychają. Ale widzisz, do czego zmierzam?

— Nie.

— Wiara, do jakiej mnie przyuczono, wiara, którą wyznawałem, była zanadto uproszczona, ale też w pewnym sensie zbyt skomplikowana. Teraz to rozumiem. Jakby mnie olśniło światło, nagle to pojąłem. Pod wszystkimi fałszywymi wzorcami, jakie sami układamy, kryje się faktyczny wzór. Układanka, która połączy się nagle w jedną całość niczym groszowa łamigłówka. Siedzimy tu sobie nad strumieniem, słońce grzeje, owady brzęczą dokoła, woda płynie pod naszymi stopami, niebo jest błękitne, drzewa... no, brązowe, a jeśli się położymy i będziemy leżeć naprawdę nieruchomo, czujemy nawet, jak Ziemia się kręci. Ziemia i ty, i każdy inny na tej wielkiej kuli gliny, my wszyscy razem, zespół części, myśli i zamiarów, wirujący wokół bez jednej przerwy, i wszyscy, każdy z nas, jesteśmy częścią tego samego.

Słonko przyjrzała mu się bacznie, nim odparła: — Aha. I ja, i oni, i wszystko inne. Z wyjątkiem wszystkich tych buców, co mnie nienawidzą i chcą, żebym za zabicie Pete'a zgnęła w więzieniu. A przecież on chciał mnie zabić. Tych samych buców, co chcieliby gadać, że zabiłam Jimmie Jo, taką jedną kurew, i jeszcze jej dzieciaka. Nie no, pewnie, że jestem z nimi połączona, kiedy tak wirujemy na tej glinianej kuli. Z nimi wszystkimi, z wyjątkiem ciuli, co nienawidzą kolorowych i ich linczują nawet po tym, jak ci podobno dostali szansę na uczciwy proces. Połączona jestem ze wszystkimi z wyjątkiem własnej córki, z którą zupełnie nie umiem sobie poradzić. Z wyjątkiem tego faceta, co to myślałam, że go kocham, a on chyba wystawił mnie dokładnie tak, jak ty wystawiłeś mamę. Nie no, pewnie. Jesteśmy jedną wielką rodziną, ja, ta planeta, cały wszechświat.

— No dobra. Więc tych akurat ludzi odejmijmy od tego mojego objawienia.

— Ależ wciskasz kit.

— To fakt.

— Robisz mnie w jajo, co? — spytała. — Mamę wykantowałeś. Więc co, teraz mnie kantujesz?

— Czasy kantowania już się dla mnie skończyły.

— Tak mówi każdy kanciarz.

— To prawda.

— Okantował mnie już jeden facet, może, tak sobie myślę, i drugi, i naprawdę bym nie chciała, żeby mój ojciec był trzecim z kolei. Jakbym miała jeden kłopot więcej, a jednego przyjaciela mniej, moglibyście mnie przechrzcić na Hioba.

— Na mnie możesz polegać. Słowo daję. Nigdzie się nie wybieram. Zostanę tu, w okolicy. Tu zamierzam podjąć walkę. Chcę poznać bliżej i ciebie, i Karen. Jeśli mi pozwolicie. Aha, Słonko, no, może to nie ja powinienem ci o tym powiedzieć, może nie powinienem nawet wiedzieć o tym przed tobą, ale Marilyn mi powiedziała. Nie bardzo wiem czemu, ale powiedziała i tyle...

— Ale co ci powiedziała?

— Karen jest w ciąży.

— O Boże. Kiedy to się mogło stać?

— Jest gorzej.

— Jak może być jeszcze gorzej?

— Marilyn mówi, że ojcem jest pewien facet, którego dobrze znasz, nie żaden tutejszy chłopak, tylko mężczyzna. To pewnie ten, co mówisz, że cię chyba okantował, no i muszę powiedzieć, że tak właśnie najpewniej było.

— Wsiowy?

— Otóż to właśnie.

Słonko szukała w twarzy Lee śladów kłamstwa. Uśmiechnął się do niej. Tak samymi kącikami ust, jakby chciał powiedzieć: Jestem przyjacielem. Nie bij już więcej, proszę.

— No pięknie — stwierdziła. — Najgorsze więc już się stało.

— Dasz radę.

— Nie byłabym taka pewna.

— Nie jest dobrze, ale poradysz sobie, na medal. Aten Wsiowy... nim się nie przejmuj. Nie jest tego wart. Pomożemy Karen i maleństwu. Zobaczysz.

Pokręciła głową. — Łapiesz się za całe mnóstwo problemów, a poznałeś mnie nawet nie godzinę temu.

— Bo z tobą każda minuta jest pełna wrażeń.

— Żebyś wiedział.

— Jestem ci winien całą masę godzin, Słonko. Po prostu wcześniej o tym nie wiedziałem. A teraz już wiem. To co, pozwolisz mi coś w tej kwestii zrobić? Dasz mi być ojcem?

— Chyba za wcześnie, żebyśmy się już ściskali, co?

— Może i tak. Ale nie zaszkodzi spróbować.

Więc się uścisnęli. Myślała, że będzie tylko krótka chwila kontaktu, a potem się rozstąpią, jak to ludzie uprzejmi. Ale złapała się na tym, że ściska go z całej siły. A zaraz potem zaczęła łkać, a on gładził ją po plecach, szepcząc: — Już dobrze, dziecinko. Już dobrze. Tata przyszedł.

Więc jęknęła już tylko raz, jak ranny kojot, tak głośno, że ptaki zerwały się do lotu.

28

W poszukiwaniu Wsiowego Clyde zajechał do Holiday, krążył po ulicach, aż zauważył go przez wielkie okno kawiarni, zaparkował więc pickupa i wszedł tam.

Wsiowy siedział samotnie przy stole, pijąc kawę. U łokcia miał talerzyk, a na nim widelczyk i okruszki ciasta. Uniósł wzrok, gdy Clyde wszedł do kawiarni i stanął nad jego stolikiem.

— Clyde — powitał go.

— Sukinsynu.

— Do diabła, chłopie, jesteśmy w miejscu publicznym.

— No to wyjdź na ulicę, ptaszku świergolaszku. Wtedy już nie będzie publicznie.

— Będziemy na ulicy, debil. To też miejsce publiczne.

— Niby tak. Ale przynajmniej nie nałamiemy mebli. Wsiowy westchnął. — Co cię ugryzło?

Clyde rozejrzał się wokół. Inni klienci kawiarni zaczęli się już na nich gapić. Usiadł przy stoliku, oparł się łokciami o blat i mruknął: — Słonko o niczym mi nie powiedziała, wysłała mnie tylko, żebym cię znalazł, ale wiem, co się stało.

— Niby co takiego?

— Zauroczyłeś ją. Zaserwowałeś jej kupę łgarstw...

— Tego nie robię. Nigdy.

— Nie słowami, ale spojrzeniami, zachowaniem. Omotałeś ją tak, że ci się oddała, bo myślała, że cię kocha, a ty zdaje się to samo zaordynowałeś też jej córce. A teraz nawet się nie pokażesz. Co robisz tu w mieście, Wsiowy?

— Rzuciłem tamtą robotę.

— Rzuciłeś, bo dostałeś, co żeś chciał.

— No, wypłatę, Clyde. Wypłatę dostałem. Więc mogę już sobie kupić gitarę.

— No i je dwie. Słonko i Karen.

— Tego ci nie powiedziała, dałbym głowę, więc skąd ta pewność?

— Widzę, jak się zachowuje.

— Jesteś zazdrosny.

— Żebyś wiedział. Nawet jej nie powiedziałaś, że odchodzisz. Czemu?

— Zamierzałem wysłać wiadomość. Może nawet bym sam tam wpadł. Słuchaj, teraz mam normalne mieszkanie — podał Clyde'owi adres. — Odwiedziłbyś mnie kiedyś, jak już ochłoniesz.

— Żałosny kutafon. Gdyby dało się ciebie sprzedać za tyle, na ile sam siebie cenisz, byłaby regularna kupa forsy.

— Nikogo nie okłamałem. Dostałem, czego chciałem, ale i one miały chęć.

— Słonko myślała, że jesteś kimś lepszym. A Karen to dzieciak, i tyle.

— Wiesz, Clyde, jest takie stare powiedzenie. Idzie tak: „Jak obrośnięta, może być przerznięta”.

— Wyjdź na ulicę. No, dawaj. Wychodź.

— Jesteś ode mnie ze dwa razy większy.

— Więc spuszcze ci podwójny łomot.

Wsiowy westchnął. Dopił kawę, wstał, wysupłał z kieszeni trochę bilonu i zostawił go na stole.

Wyszli z kawiarni. — Nie chcę, żeby ludzie mieli widowisko — odezwał się Wsiowy. — Chodźmy tam na zaplecze.

— Jasne, po co ci widowisko. Kłamać i załatwiać swoje sprawy wolisz po ciemku.

Przeszli na tyły kawiarni. Clyde spytał: — To co, chcesz po trochu czy wszystko naraz?

— Jak sobie chcesz, tak będzie.

Więc wtedy Clyde rzucił się na niego, z takim jakby rykiem, i czuł się wtedy silny jak byk, zawzięty jak pies ze wściekliczną, ale Wsiowy

gdzieś przepadł. Zupełnie jakby ziemia się pod nim rozstąpiła i zniknęła, sukinkot, bo zaraz potem Clyde zorientował się, że walczy z powietrzem, a tu już znikąd nadleciał taran i rąbnął go w żebra. Nim Clyde połapał się, że Wsiowy zrobił unik i sprzedał mu lewego sierpowego, było już za późno, bo zaraz dostał jeszcze kopa od tyłu w jaja, a gdy zgiął się wpół, Wsiowy wyskoczył w górę i potraktował go łokciem w potylicę, tak mocno, tak ostro, że w oczach stanęły gwiazdy, i zaraz leżał już jak długi, twarzą do ziemi, a Wsiowy ładował mu z buta: w oko, w żebra, w ramię, aż w końcu złapał go za włosy, kurdupel jebany, podciągnął głowę Clyde'a do góry i przyłożył mu do szyi zimną stal.

— Mogę ci poderżnąć gardło, zanim zdążysz powiedzieć „ale ostre”, albo cię puszczę, jeśli tylko otworzysz usta i przyłożysz je do tego tu kamienia. Masz wybór.

— Ty mały...

Wsiowy zaciął go. Niegłęboko, tak trochę. Clyde z początku czuł tylko nacisk, potem zaszczypało, coś mokrego pociekło po piersi, pod koszulę.

— Następnym razem pojedę od ucha do ucha, na całego. Bez przystanków. Więc wybieraj. Cięcie gardła? Kamień w ustach? Mów.

— Kamień.

— To kładź na nim usta.

Clyde wykonał polecenie, poczuł piasek, a do tego jeszcze taki posmak miedzi z głębi gardła.

Wsiowy zabrał nóż i z całą siłą, jaką zdołał zebrać, trzepnął w potylicę Clyde'a, a ten wgrzył się w kamień.

Potem był kolejny kopniak, w skroń, i jeszcze jeden, i Clyde zgasł jak świeca.

Gdy oprzytomniał, Wsiowego już przy nim nie było. Ubyło mu też kawałka zęba na przedzie. Wstał, pomacał wyszczerbiony ząb, zaklął. Nie mieściło mu się w głowie, że tak łatwo dał sobie skopać tyłek. Szedł do boju jak rycerz na dorodnym rumaku, a ten smok, i to taki niewyrośnięty, spuścił mu wpierdol w minutę osiem.

Cały był obolały, wciąż krwawił z rozcięcia na szyi, pluł krwią. Do-kuśtykał do pickupa i ruszył z powrotem do namiotu Słonka. Ledwie sobie radził ze sprzęgiem, tak go rwały mięśnie, a droga rozmywała się przed oczami, wciąż pełnymi łez. Czuł się jak ostatnia dupa wszechświata.

*

Kukuryk wybył z miasta mniej więcej w tym czasie, kiedy przyjechał tam Clyde — miał zamiar odwiedzić Słonko, nałgać jej, spróbować wydostać te mapki. Jednak tuż przed tą polanką, gdzie miała namiot, odbił w lewo, na wąski, myśliwski szlak. Tarabanił się tamtędy, spłoszył stadko przepiórek, jechał, aż już zupełnie zabrakło drogi, pod szpaler odwodnionych drzew u stóp wzgórza lśniącego czerwienią gliny.

Zaparkował, spojrzął w lusterko. Spod kapelusza wyzierała chuda, długonosa, widmowa twarz. Nie podobało mu się to oblicze — mało, że brzydkie, to jeszcze charakteru było w nim mniej niż w ropusze. Popatrzył na to wzgórze za drzewami, pomyślał, że to pewnie stary indiański kurhan. Tak mu wyglądało. W rodzinnych stronach, w Mineoli, orał takie pagórki, znajdował garnki, groty strzał, kości.

Wysiadł z samochodu i oparł się o niego, zamyślony, zasłuchany. Z oddali usłyszał stukot pociągu, samotne wycie gwizdka — wiedział, że za tą linią drzew biegną tory.

Zdjął pas z bronią, przez otwarte okno położył go na siedzeniu samochodu, odpiął odznakę, ją też tam włożył. Ruszył piechotą pod górę, pomiędzy drzewa, napotkał zwirowe torowisko, a zaraz i szyny, w palącym słońcu połyskujące granatem i czernią. Z oddali słyszał rumor zbliżającego się składu. Wystawił stopę, dotknął nią szyny. Przez zelówkę poczuł wibrację pociągu.

Wiedział, że pociąg zwolni na zakręcie, bo niedaleko był rezerwuar z wodą, gdzie zatrzymają się, by uzupełnić zapasy w tendrze. Tam zawsze na pociągi wskakiwali włóczędzy. Rozejrzał się dokoła, czy jakiegoś nie przyuważy, ale żadnego nie dostrzegł.

Przymrużył oczy, spojrzął wzdłuż szyn i zobaczył plującą dymem lokomotywę, im bliżej, tym większą. Cofnął się pomiędzy drzewa, a gdy pociąg wszedł w zakręt i mocno zwolnił, wręcz pełzł, Kukuryk zaczął biec. Pędząc, spłoszył parkę gołębi w krzakach, strzeliły w górę, aż się wystraszył, ale biegł dalej, aż dopadł pociągu, jednym skokiem był już na burcie wagonu, przedostał się między ten a następny i stanął tam, trzymając stopy na buforach. Planował, że gdy zatrzymają się po wodę, może zeskoczy, poszuka otwartego wagonu albo sam sobie któryś otworzy. Wtedy mógłby już jechać pod dachem, położyć się wygodnie i odjechać z tego życia. Tak daleko, aż mu się zachce wsiąść. Bez określonego miejsca przeznaczenia. Po prostu jechać, aż mu się nie odechce.

Pomyślał sobie o Słonku, o tym, że ona nic nie wie, nie ma pojęcia, co się przeciwko niej szykuje, a miał wrażenie, że Klocek i Trąbka spokojnie przystaną na plany McBride'a, tak jak kiedyś on sam. Przez chwilę myślał, czyby nie zeskoczyć, może ją uprzedzić. Ale nie. Nawet na to nie miał jaj. Czuł się tak, jakby McBride wiedział o jego ucieczce, jakoś ją zwęszył, może nawet ruszył jego tropem, czy raczej posłał za nim tego Dwaj. Wolał być jak najdalej od Holiday czy osady Rapture, ba, nawet daleko od Teksasu, gdy McBride dowie się, że nawiał z miasta. Może trzeba by pojechać aż za Luizjanę? Ten typ potrafił żywić do człowieka śmiertelną urazę za byle co.

Kukuryk patrzył na przemykające obok drzewa, zobaczył, jak po obu stronach pociągu wznoszą się skarpy wykopu, i nagle znalazł się w cieniu, ale potem wyjechali spomiędzy wzgórz i znów pojawiły się sosny, tu i ówdzie jakiś dom. Odetchnął głęboko. Gdy znów wypuścił powietrze, rzucił: — Powodzenia, ruda.

Świsnął gwizdek lokomotywy, pociąg z łomotem i zgrzytem wszedł w zakręt, i tyle go widzieli, i Kukuryka też.

Wróciwszy pod namiot, Clyde został za kółkiem samochodu, nie chciał wysiadać. Zauważył, że wozu Słonka nie było na miejscu. Nawet się z tego ucieszył.

Na krzesłach przed namiotem siedzieli Marilyn i jakiś krępy facet, łuskali groch, który przywiozła. Ziarna sypali do toreb. Na masce pick-upa Marilyn rozsiadł się młody chłopiec i popatrywał na Karen, zajętą łuskaniem grochu do patelni w cieniu dębu. Clyde próbował sobie wy-kalkulować, kim są ci dwaj nieznajomi, ale jakoś nikomu nie przeszkadzali, więc odpuścił sobie wysiadanie i zadawanie pytań. Wcale nie chciał wychodzić z auta.

Krępy zauważył go jednak, wstał i podszedł do pickupa.

Wetknął dłoń przez otwarte okno: — Lee Beck. Marilyn mówi, że masz na imię Clyde.

Clyde po krótkim uścisku mruknął: — Teraz to są ze mnie resztki Clyde'a.

— A co ci się stało?

— Dostałem łomot.

— To widać.

Marilyn, Karen i chłopak też podeszli do pickupa.

— Clyde, nic ci nie jest? — spytała Karen.

— Najgorzej oberwała moja godność — odparł. — Choć nie, w sumie to chyba jednak dostaliśmy po równo, i godność, i ja. Ząb mi się wyszczerbił.

— Kto cię tak urządził? — zapytała.

— I to jest w tym wszystkim najgorsze — Clyde otworzył drzwiczki i wysiadł, na miękkich nogach. — Ten cholerny lalusz Wsiowy.

Karen zaniósła się płaczem i uciekła do namiotu.

— Nie myślałem, że tak się o mnie troszczy — stwierdził Clyde.

— Chyba jednak raczej o Wsiowego — wyjaśniła Marilyn.

— O niego się nie musi martwić. Chłopak jest dziarski jak chiński kogucik, psiakrew. Może sobie rozbił knykieć albo dwa, nic więcej. Jasny szlag, myślałem, że ze mnie kawał twardego bydlaka, ale on jest lepszy magik. Mam nadzieję, że Karen nie sądzi, że zrobiłem mu krzywdę.

— Dopiero co się dowiedziała, jaki z niego gnojek — odparła Marilyn. — Zrobił jej dziecko.

— O do diabła.

— Dzięki, babciu — odezwała się wtedy Karen, wciąż ukryta w namiocie. — Wielkie dzięki.

— I tak ludzie prędko się dowiedzą, kochana. A tu masz tylko rodzinę i przyjaciół.

— Tego się bałem — mruknął Clyde. — Podejrzewałem, że tak może być, ale nic nie mówiłem, bo to wszystko były zgadywanki. A trzeba było.

— Zejdźcie ze mnie, co? — zawołała Karen. — To nie tak, że mnie tu nie ma.

— Jak chcesz dodać coś od siebie, to wyjdź z namiotu — odparła Marilyn.

— Nic się nie martw, mała — dodał Gęsiak. — Ja się tobą zaopiekuję.

— Nawet mnie nie znasz — tym razem Karen wystawiła głowę zza klapy. — A ja nawet nie wiem, jak się nazywasz.

— Jestem Gęsiak — powiedział. — A wiem o tobie wszystko, co chcę wiedzieć. Takiej ślicznej dziewczyny jeszcze w życiu nie widziałem.

Wydała z siebie nieprzyjazny odgłos i znów zniknęła w namiocie.

— Gęsiak, rozmawiasz z moją wnuczką — upomniał go Lee.

— No przecież cały czas z szacunkiem.

— A gdzie jest Słonko? — spytał Clyde.

— Pojechała na zebranie w osadzie — odparła Marilyn. — Radzą nad tym, czy ją zdjąć ze stanowiska.

— No rewelacyjny dzień po prostu — skwitował Clyde.

29

Tym razem Marilyn nie zaoferowała swojego domu na miejsce zebrania, więc odbywało się ono w kościele. Marilyn chciała pojechać ze Słonkiem, sądziła, że zdołałaby coś zwojować, ale Słonko wyperswadowała jej ten zamiar. Zamierzała pojechać samotnie, miała tym ludziom to i owo do powiedzenia.

Wysiadła z samochodu, poprawiła kaburę, żeby nie uwierała, i przez chwilę postąpiła w cieniu przekrzywionego krzyża na dachu kościoła. Zobaczyła, jak wrona siedząca na jednym z jego ramion wypróżniła się na dachówki. Odetchnęła tartacznym smrodem i wkroczyła do budynku.

Było tam duszno. Henry Shelby i rajcy osady siedzieli w pierwszej ławce. Przed nimi, oparty o pulpit kaznodziei stał ze znudzoną miną przysadzisty facet ubrany w niezły, szary garnitur, pod melonikiem. Słonko jeszcze nigdy dotąd nie widziała go na oczy. Miał może sześćdziesiątkę i był prawie przystojny. Wciąż krzepkie ciało, bujny wąs, rumiana karnacja, niezła sylwetka. Położył dłonie na pulpicie — wyglądały jak dwa wielkie, blade pająki w chwili relaksu. Gdy uniósł wzrok i spojrzał na nią, poczuła, jakby została naraz dwukrotnie dźgnięta, głęboko, aż do potylicy. A gdy jego wzrok powędrował niżej, takie same dźgnięcia poczuła w kroczu.

Kiedy weszła dalej, mężczyźni w ławkach obrócili się ku niej, obserwowali ją czujnie, gdy kierowała się ku ołtarzowi.

— Myśleliśmy już, że nie przyjdiesz — odezwał się Henry. — Że pewnie przyślesz tu teściową, żeby cię wybroniła.

Odpowiedziała dopiero, kiedy już była przy jego ławce: — Henry. Musimy pogadać, ty i ja. I nikt inny.

— Nie ma już nic do gadania, Słonko — odparł. — To czysta formalność. Zwalniamy cię.

— Musimy porozmawiać, sam na sam.

— Już mówiłaś.

— Chciałabym z tobą porozmawiać o pewnej parceli, na której jest ropa. Wielkie rozlewisko ropy.

Patrzył na nią bez słowa.

— Na tej parceli jest też dom — ciągnęła — a tamtejsza ropa to ta sama, co na zwłokach Jimmie Jo.

Postawny facet za pulpitem parsknął śmiechem.

Rajcy spojrzeli na Henry'ego. Temu z twarzy odpłynęła cała krew.

— No dobra — przyznał Shelby. — Może faktycznie powinienem porozmawiać z nią na osobności. To ważna sprawa, tyle mogę wam powiedzieć.

Rajcy popatrzyli po sobie. Jeden z nich powiedział: — Henry, nie tak załatwiamy sprawy...

— Dziś jest inaczej. Poczekajcie no trochę na dworze. O, idźcie do sklepu, kupcie sobie coś do picia — sięgnął do portfela, podał jednemu z nich parę banknotów. — Ja stawiam.

— A on co? — Słonko skinieniem głowy wskazała mężczyznę za pulpitem.

— On nie chce coca-coli. Zostaje tutaj.

— Wiesz, co robisz, Henry? — spytał jeszcze jeden z rajców.

— Wiem.

Nie byli do tego zbyt skorzy, ale w końcu rajcy pozbiali się i wyszli. McBride zszedł zza pulpitu i usiadł w ławce obok Henry'ego, skrzyżował nogi, rozparł się wygodnie, jakby czekał, aż kelnerka przyniesie lunch.

Wpatrując się w Słonko uważnie, Henry zaczął: — Oby to było coś poważnego.

— Chyba sam już wiesz, że to poważna sprawa. A już na pewno nie jest ci do śmiechu.

— To mi brzmi jak szantaż, albo coś.

— Możliwe.

— Pete i Jimmie Jo już się na tym przejechali, tobie też się nie uda...

Słonko próbowała rozgryźć, o co mu tym razem chodziło, i coś jakby zrozumiała. Pete i Jimmie Jo próbowali wymanewrować Henry'ego i tego tu faceta, ale nie wyszło.

Uświadomiła sobie jeszcze coś. Jeśli ci tutaj kradli grunty Zenda, pewnie okradali też innych. Mało to niepiśmiennych czarnych, albo i piśmiennych, ale zbyt zastraszonych, by choćby pisnąć, bo a nuż skończą wymazani smołą i wytarzani w pierzu, oblani benzyną, dyndając na linie jako żywe pochodnie, żeby typki w białych prześcieradłach miały światło do tańców.

— Co innego ja, co innego Pete — stwierdziła.
— To na pewno — odparł Henry. — Każdy chłop to widzi.
— Dobrze gada — podbił mu bębenka McBride.
— Owszem, jesteś inna — podjął Henry. — Odróżniasz się od innych kobiet. Jesteś ładna, Słonko. I puszczańska. Pete wziął cię za żonę, bo się z nim puściłaś. Ale potem znalazł sobie lepszą, nawet bardziej puszczałką.
— Nic o mnie nie wiesz.
— Wiem, która się puszcza, wystarczy, że spojrzę.
— A ja poznam złodzieja na pierwszy rzut oka.
— Jesteś zdziurą, co udaje faceta, paraduje z rewolwerem na biodrze. Co, z bronią czujesz się tak, jakbyś miała coś, czego ci brakuje? Wacka, znaczy?
— Czy mam wacka, czy nie, Henry, coś mi mówi, że mój i tak jest dłuższy od twojego.
McBride znów się roześmiał. Henry popatrzył na niego, znów zwrócił się do Słonka: — No to dawaj dalej.
— Aby na pewno chcesz, żeby on się dowiedział, co mam do powiedzenia? Nie, żeby mnie to obchodziło. I tak zaraz się rozejdzie po ludziach.
— Ten facet już sporo wie. Mów, co tam chcesz, młoda damo. Przy czym „damo” mówię tylko przez grzeczność.
— Większości nawet nie muszę ci wyklądać. Kantujesz Zenda co do jego własnych gruntów, siedziałeś w tym razem z burmistrzem, zanim ten wyjechał... znaczy, nie wyjechał, prawda?
— No, tu go nie ma — odparł Henry.
Słonko spojrzała na McBride'a. — To po to ściągnęłaś tu tego typa, tak? Żeby się pozbyć burmistrza? Porozstawiać innych po kątach? Samemu nie brudzić rąk.
— Tego nie powiedziałem.
— Ja nie pakuję ludzi do dziur w ziemi — odezwał się McBride. — Nie lubię kopać. Ani nie lubię robić krzywdy dzieciom...
— Co to w ogóle za gość? — spytała Słonko Henry'ego.
— McBride — przedstawił się McBride.
— Wspólnik — wyjaśnił Henry. — Z Chicago. Znajomy znajomego.
— Tak jakby mało było oprychów w okolicy.
— Słuchaj no, Słonko — podjął Henry. — Nic a nic cię nie lubię. Ale coś ci powiem: odpalimy ci taką samą działkę, jaką dostałby Pete, gdybyś go nie zastrzeliła.

— A jaka była działka dla Jimmie Jo? Kąpiel w ropie i kulka z trzydziestki ósemki w potylicę?

— Z trzydziestki ósemki? — powtórzył McBride.

Słonko zdobyła się na wściekłe spojrzenie. — Z brzucha wycięto jej dziecko. Trudno o coś bardziej obrzydliwego. To twoja robota, McBride?

— Nawet nie wiedziałem, że miała przypłodka — odparł. — I nie-fartownie się stało z dzieciakiem. O dziecku nie miałem pojęcia.

Słonko odniosła wrażenie, że mówił zaskakująco szczerze.

— Nie gadaj tyle — skarcił McBride'a Henry.

— Nie powiedzieliśmy jeszcze niczego istotnego — odparł tamten. Henry zwrócił się znów ku Słonku: — Co kogo obchodzi, ile ziemi

ma jakiś czarnuch. Daj spokój, Słonko. Moglibyśmy dać ci w tym udział. A jak już tak się kochasz z czarnymi, proszę bardzo, oddaj część z powrotem Zendowi, albo i wszystko, do diabła. Prawda jest taka, że czarnuchy nie mają dość rozumu, żeby zarządzić gruntem, gdzie jest ropa, a i na pieniądze nie zasłużyli.

— A ty wręcz przeciwnie?

— A jak.

— A ten tu ile dostanie?

— Jestem równorzędnym współnikiem — odparł McBride.

— Tak od początku? Od razu na pełnych prawach? Coś mi się nie widzi. Założę się, że przejąłeś udział burmistrza. Gdzie jest burmistrz, McBride?

Ten wyszczerzył się do niej. — Wiem tyle, że znikając z miasta, porzucił stanowisko. Coś mi się widzi, że będzie się o nie ubiegał nasz przyjaciel Henry.

— A i owszem — powiedział Shelby. — Póki co, do przedterminowych wyborów w przyszłym miesiącu, zastępują go członkowie rady miejskiej. A ja w tych wyborach wystartuję. Myślę, że mam spore szanse.

— Chyba że rada dowie się o tym wszystkim.

— Szczerze, Słonko, wadzisz mi w tym jak mucha na pycie. Co trzeci radny jest w Klanie, a i inni, z tego, co wiem, za czarnymi nie przepadają.

— Nie w tym rzecz — odparła. — Kiedy się dowiedzą, każdy wyciągnie łapę po kawałek dla siebie, nie? To ci mocno uszczupli łup, prawda?

Strzelała na ślepo, ale widziała po minie Henry'ego, że i on już o tym myślał, i wcale mu się te myśli nie podobały. Za to McBride wy-

glądał zupełnie tak samo, jak przedtem — wesolutki, zielonooki facet, który przyzwyczaił się już do tego, że wszystko zawsze układa się po jego myśli.

— Kukuryk też jest w tym z wami? — spytała.

— Był — odparł McBride. — Ale dziś wybył z miasta.

— Tak samo jak burmistrz?

— Wygląda na to, że odjechał pociągiem — wyjaśnił McBride. — Tuż przed tym, jak się tu zebraliśmy, znaleziono samochód szeryfa niedaleko torów...

— Słuchaj no, lala — odezwał się Henry. — Niech no ci to wyłożę nawet jaśniej. Nie usunę cię ze stanowiska. Możesz się dalej bawić w konstabla, obnosić się z rewolwerem i odznaką, póki nie upłynie twój termin. Wtedy rezygnujesz. Jeśli tak zrobisz, dam ci działkę z pieniędzy za ropę. Taką niemałą. Na tej parceli jest domek, co go Pete zbudował dla tej swojej kurwy. Pomyśl no o tym. Zbudował jej dom, chciał, by się nachapała tej forsy z ropy, a ty... ty nic byś z tego wszystkiego nie miała. Tak sobie ustawił ten swój szantażyk. Dom, kawałek gruntu, udział w forsie. Chciał się ciebie pozbyć, lala, i zostać z kurwą. A ja ugadam się z tobą na takich warunkach, jakich on chciał, a ja nie zamierzałem mu ich dać, ani jemu, ani Jimmie Jo. I co ty na to? Chyba lepsze to niż dalsze życie pod namiotem, nie?

— Akurat ci zaufam choćby na chwilę — odparła. — A tak przy okazji, nie sądzisz, że gdybym wspomniała o tym wszystkim Marilyn, wyleciałbyś z tartaku na zbity pysk?

Henry odął wargi, pokręcił głową i uśmiechnął się szeroko.

— Cóż, Marilyn i tak już szuka pretekstu, skoro wpędziła chłopca do grobu i przejęła władzę nad kasą. Znam ją od dawna. Myślę, że Jones trzymał ją w ryzach. Ona też potrafi nieźle knuć. Powiedz tej starej maciorze, niech się stara, choćby pękła. Mam odłożone pieniądze, zaniedługo dorobię się większych, do tego mały spadek po żonie, która też przecież miała udział w tartaku, i w ogóle. Już ty się teraz nie martw o to, jak mnie dopaść, zatroszcz się lepiej, żeby ciebie nie dopadli.

— A co, pošlesz swoich kundli w prześcieradłach? Nie boję się ich. Niech choćby jeden postawi nogę na mojej ziemi, zbliży się do mnie czy mojej rodziny, a aresztuję drania. A jak nie da się aresztować, to skończy z krwawą dziurą w prześcieradle.

McBride znów zachichotał, a śmiech miał taki, że Słonko dostawała gęsiej skórki, a pośladki same się jej zaciskały.

— Jak trzeba coś załatwić, lubię posłużyć się ludźmi, którzy wiedzą, co robią — powiedział. — Albo i sam się biorę, jak trzeba. Nie trzeba mi bandy wsioków-przebierańców, co to przekazują sobie tajne znaki i tytuły... Słuchaj, mała. Nie znasz mnie, ale coś ci powiem. I myślę, że mam podpórkę w Biblii. Kobieta, uważasz, ma swoją rolę. Ważną rolę. Dzięki niej chłop jest zadowolony, na świat przychodzą dzieci, no i robi przetwory na zimę. Ale żeby mi pipa chodziła z odznaką, gadała z chłopami jak równy z równym, to już nie kobieca działka. Ja i ten tu pan Shelby jesteśmy współnikami w interesie. I dostanę, co mi się należy. Ani świńskiego pierda mnie nie obchodzi, co na to jakieś tam rady, burmistrzowie, co z jakimiś tam mapkami i czym tam jeszcze. Dotarło? Nie radzę mnie drażnić. Nie radzę mnie nawet ociupinkę denerwować. Gdybyś wiedziała, co dla ciebie dobre, utuliłabyś me znużone ciało, ułożyła się wygodnie i pozwoliła, żebym cię trochę od-stresował, bo umiem, uważasz. Akurat dziś, w tej chwili, na wiele ci pozwalam, bo ładna jesteś. Dzięki temu przeżyjesz to dzisiejsze spotkanie. Ale jutro to ci już nie pomoże. Rozumiemy się?

— Myślisz, że mnie nastraszysz? — spytała, czując ogromny lęk i opuszczając dłoń na kolbę rewolweru, bo McBride poprawił się na siedzeniu, rozchyliła mu się marynarka i Słonko zauważyła pod jego pachą zwisającą kaburę z potężnym pistoletem. Wiedziała, że McBride wie, co dostrzegła, że pokazał jej to rozmyślnie. Znów się poruszył, pozwolił, by poła marynarki opadła z powrotem na miejsce. Nie zabrała dłoni z rewolweru, trzymała ją tam, swobodnie, ale w gotowości, zawzięta, by nie pokazać, jak bardzo się boi, ze spokojnym uśmiechem na twarzy, napinając mięśnie nóg, by się pod nią nie ugięły.

Wtedy dostrzegła coś za zaciągniętymi storami na tyłach kościoła, gdzie zbierał się chór — kiedy mieli śpiewać, zasłony ściągano na boki. Spod materiału wystawały teraz noski butów.

— Kto tam jest? — spytała.

— Uwierz mi, wolisz nie wiedzieć — odparł McBride.

— Każ mu wyjść.

Wyszczrzył się. — Jak chcesz. Dwaj!

Dwaj wyszedł z za zasłony. Częściowo krył go cień, ale przez drzwi wpadało dość światła, by Słonko mogła go dojrzeć. Z początku nie wyglądał na wysokiego, lecz zaraz zdała sobie sprawę, że miał ponad sześć stóp wzrostu, a do tego był masywny, krzepki jak pień dębu. Skórę miał czarną jak mokra lukrecja, a białka jego oczu były bardzo białe. Uśmiechnął się. Miał ciemne dziaśła. Na takich kolorowych

mówili tu „granatowe dziąsła”. Nosił melonik, niczym McBride, ale nasadzony niżej nad oczy. Ubrany był normalnie, nie licząc marynarki — czarnej, jedwabistej, z długimi połami. Było w nim coś takiego, że skóra Słonka cierpła, jakby chciała się wycnicować.

— A ten to niby co? — spytała.

— Wielki czarnuch — odpowiedział McBride.

— Po co tu jest?

— Mówiłem ci. Wolisz nie wiedzieć.

Przyjrzała się McBride'owi bacznie, po czym powiedziała: — Chyba cię pije ten kapelusik, a brzydki jaki. Nikt cię nie nauczył, że w kościele trzeba zdjąć kapelusz? A może przylepił ci się do głowy?

Twarz McBride'a skłęsała jak żagiel, w którym zabrakło wiatru, i Słonko zrozumiała, że trafiła drania w słaby punkt. Kapelusz? Nie. Głowa? Otóż to — sukinsyn był łysy. I próżność kazała mu się z tym kryć. Uśmiechnęła się do niego leniwie. Twarz McBride'a nie zmieniła się, wiatr wciąż nie powiał w żagle.

— Teraz podlegasz pod moją jurysdykcję, Henry — oznajmiła Słonko. — I ty, i twój bandzior, i jego bandzior, czy kim on tam jest. Wy wszyscy.

— Ale Holiday to już nie twoja działka — odparł Henry. — Ta mapka to nie twoja sprawa, a że tam w mieście mam poniekąd pewien wpływ na sprawy sądowe, to, powiedziałbym, ja tam rządę.

— Grunty Zenda podlegają mojej jurysdykcji — stwierdziła. — Zmówcie paciorek, chłopcy, i zmiatać mi stąd. Za godzinę nie chcę was tu widzieć. Jak którego zobaczę, aresztuję.

— Za co? — zdziwił się Henry.

— Za to, że taki brzydki w kościele siedzi.

Czas było się zbierać do wyjścia, pomyślała. Póki wygrywała w tej konwersacji.

Ruszyła między ławkami ku otwartym drzwiom.

— To co, mamy układ? — zawołał za nią Henry. Nie zwolniła kroku.

Na zewnątrz wyciągnęła przed siebie dłonie, spojrzała na nie. Drżały.

Jak myślisz, pójdzie na to? — spytał Henry. — Przyjmie układ?

— Ona? Nie. Mam nadzieję, że nie. Teraz muszę sobie z nią to i owo wyjaśnić, a jak już się na kogoś wściekam, to lubię mieć powód.

— Myślę, że się zgodzi. Teraz jest taka twarda, ale to sobie przemyśli. Zgodzi się.

— Nie zgodzi.

Henry podniósł wzrok, popatrzył na tego Dwaj.

— Musiałeś ściągnąć ze sobą tego bakłażana? Nawet do kościoła?

— Facet sam robi, co chce.

— Nie rozumiem. Wynająłem ciebie, a ty przyjechałeś z nim.

— No to się wykosztowałeś na drugi bilet. Wciąż będziesz mi to wypominał? Chłop musiał jechać z czarnuchami, w ostatnim wagonie. To nie było dla niego przyjemne.

— Przecież sam jest czarnuch.

— Dwaj nie do końca rozumuje tak samo, jak tutejsze czarnuchy.

— Znaczy, że co?

— Że to nie byle kocmołuch.

— A czemu tak zawsze stoi na uboczu? Tak w cieniu. Aż mnie ciarki przechodzą.

McBride uśmiechnął się szeroko. — Lubi chłop ciemność. Myśli sobie, że sam jest cieniem, czy coś. Chodź no tu, Dwaj.

Ten podszedł bliżej i stanął przed ławką, z rękami opuszczonymi luźno wzdłuż ciała. Z bliska Henry zauważył jego lśniące zielenią oczy.

— Dwaj, pokaż mu głowę — polecił McBride. — Wyjaśnij Henry'emu, co ci się stało.

Dwaj zdjął melonik. Włosy, gdzie indziej krótko przystrzyżone, na czubku czoła w ogóle nie rosły. Była tam za to blizna, w kształcie podkowy. Głęboka, fioletowa, oznaczona fałdami.

— Jezus Maria — sapnął Henry. — Muł cię kopnął?

— Bóg mi to dał — odparł Dwaj, a w jego głosie było coś lepkiego, niczym dźwięk szpadla wbijanego w świeże błoto. — Raził mnie grom Bożej błyskawicy i Bóg uczynił ze mnie Dwóch. Dał mi głód.

— Coś go kopnęło w łeb, nie? — upewnił się Henry u McBride'a.

— Przecież właśnie ci powiedział, co się stało.

— Znaczy, to był boski muł?

— Nieźle ma chłop namieszane, nie?

— Skądęś go wytrzasnął?

— Długa historia.

— A o co mu chodzi z tym, że jest ich dwóch?

— Dlatego wołają go Dwaj. Kiedyś był po prostu Cecil, ale to już mu nie wystarczy. Teraz to Dwaj. Znaczy, on i ten drugi, ale obaj siedzą

w jednym ciele. Normalnie facet tak wyjątkowy, że musi go być dwóch. Mam rację, Dwaj? Ten przytaknął.

— Czasem nawet ze sobą gadają, obmyślają różne rzeczy. Mam rację, Dwaj?

— Ale ja przez tego typa dostaję dreszczy, McBride. Musi tu z nami być?

— Się facet przydaje w trudnych sytuacjach. Bywało, że musieliśmy wchodzić w różne ostre gry, i zawsze spisywał się na medal.

— Robi, co mu każesz?

— Tylko wtedy, gdy chce. Przeważnie chce. Coś nas łączy, uważasz.

— Jest niebezpieczny?

— No jasne, że jest niebezpieczny.

Henry bacznie przyglądał się temu Dwaj, który wciąż stał, sztywny jak deska, uśmiechnięty, a jego zielone, patrzące w dół oczy przypominały ślepią jakiegoś drapieżnego zwierzęcia. Oczy takie same, jak miał McBride, tylko nawet intensywniejsze.

— Jakby go naszło, mógłby ci odgryźć całą twarz, Henry. Jeszcze by ją zeżarł. Z czarnucha nie wyplenisz kanibala, prawda.

Henry strzelił spojrzeniem w stronę McBride'a, a ten ryknął śmiechem.

— Nie bój nic. Ciebie nie zje. Jeszcze nie. Prawda, Dwaj?

— Raczej nie.

— Nawet nie gada jak czarnuch.

— Bo Dwaj był kształcony, co nie, Dwaj? Ten przytaknął.

— Nauczył się różnych rzeczy, co to nawet nie każdy biały je pozna, ale on, Dwaj, dostał szansę. Radzi sobie chłop z wyższą algebrą, uważasz, Henry. Przeczyta każdą książkę, psiakrew, jaką kiedykolwiek napisano, i nie będzie sylabizował. A dużo się już naczytał. Mam rację, Dwaj? Nieźle mu się w życiu poukładało. Widzisz gościa, pół-czarnuch, pół-biały, a czarny jak worek sadzy, psiakrew, no i jego ojciec i czarna matka dbali o niego, troszczyli się jak o białego. W końcu ojciec, biały, wziął i odszedł, drugiego syna, białego, zostawił przy matce, białej matce, a ta oddała dzieciaka do przytułku u zakonnic. Ale młody wytrzymał. Twardy był. Wygryzł się na szczyt. Nieźle się w życiu ustawił. Tylko z kształceniem mu nie wyszło. Wszystko, co ma, wyrwał z błota gołymi rękami. Za to Cecil, znaczy, nasz tu Dwaj, dostał to

wszystko na tacy, jakby był bielutki jak śnieg. No i Bóg go pokarał za to, że taki z niego był czarny zadufek, nie, Dwaj? To właśnie dlatego żeś dostał w łeb.

— Bóg dał mi szczególne moce.

— No właśnie, Dwaj uważa, że to nie tak. Że Bóg mu pobłogosławił. Nie wytłumaczysz chłopu, że koń go kopnął w czerep, aż mu się w mózgu poprzestawiało. Wcale nie tak, co, Dwaj?

— Bóg raził mnie piorunem i dał mi moc.

— A jak musisz mu się za to odwzajemniać, co, Dwaj? — spytał McBride. — Co masz robić, żeby Bóg uśmiechnął się pod wąsem?

— Wsysać dusze.

— Wsysać dusze? — powtórzył Henry.

— No właśnie. Cyrk, nie? Dwaj lubi przyłożyć usta do twarzy umierającego chłopu, czy tam baby, i ssać. Jak są dopiero co zabici, też tak robi. Mogli już całkiem zejść z łódki na tamten brzeg, a Dwaj i tak się przyssie.

— Jaja se robisz.

— A skąd. Dwaj wsysa dusze. A przynajmniej tak mu się wydaje.

— Wsysam — potwierdził Dwaj.

— Widziałeś, jak to robi?

— No ba. Raz mi pomógł z jedną taką, i obessał jej usta: najpierw przytrzymał ją w ropie, a potem ssał. Cały się uwalił ropą. Ale to wszystko sranie w banię, co nie, Dwaj? Nie wessałeś niczyjej duszy. Tak sobie tylko cmokasz.

— Wiesz, jak jest naprawdę, bracie — odparł Dwaj. — Wiesz, że mówię prawdę i że jestem u twego boku, by móc zaspokoić własne potrzeby, i Boże pragnienie dusz.

— Chwilunia — wtrącił Henry, któremu dopiero zaświtało, co i jak. — Znaczy... to twój przyrodni brat? Czarnuch?

— Chcesz coś przez to powiedzieć, Henry?

— Nie... nie. Sam widziałem czarne babki, co bym je chętnie posunął, jakby się nadarzyła okazja. Nie takie rzeczy się zdarzały. Każdemu może się zdarzyć, że sobie puknie czarną. Po całym wschodnim Teksasie pęta się od czorta pół-czarnych bachorów. Co za różnica, czarna czy biała, grunt, żeby kaczora zamoczyć.

— Mój tata żył z matką Dwóch. Żył z nią, jakby miał się czym chwalić. Pewnie nieźle oberwał za to po uszach, ale i tak się jej trzymał. Pewnie to właśnie nazywają miłością, co by to tam nie było. Coś mi się widzi, że kiedy ta czarna zmarła, znaczy, matka Dwóch, to wła-

śnie wtedy ojciec zaczął chlać. Kochał tę czarną, jak nigdy nie kochał mojej matki, a przecież była biała.

Dwaj wydał z głębi gardła taki odgłos, jakby właśnie posmakował czegoś pysznego, słodkiego. McBride uniósł ku niemu spojrzenie.

— Wracaj tam na miejsce — polecił.

Dwaj wyszczerzył się do niego i usiadł w ławce, obok McBride'a.

— Widzisz, Henry, mówiłem, nie zawsze mnie słucha.

30

Słonko wyjechała z osady, a jej myśli wciąż zaprzętał McBride. Te jego oczy i jego ruchy, jakby nagle mógł się przeobrazić w rozpaloną ciecz, zatopić Słonko, spalić ją żywcem. No i jeszcze ten tam, Dwaj. Chryste. Ten Dwaj przyprawiał ją o ciarki.

Wsiowy... o nim też myślała, i o tym, co zrobił Karen. Co jej samej zrobił, do diabła ciężkiego. Załgany, złotousty sukinsyn. Oddała mu wszystko, niczego nie ukrywała, a on grał z nią jak z rybą na haczyku, aż wreszcie miał ją w garści, wybebeszył, zeżarł i poszedł dalej, gotów znów zarzucić przynętę.

Niech go diabli, tego Wsiowego.

To wszystko jej wina, że mu zaufała, że w ogóle z nim pracowała.

Talent do wybierania sobie chłopów wciąż miała ten sam. Beznadziejny. Wciąż umiała znaleźć faceta. Byle był parszywy.

A teraz jeszcze trafił się jej ojciec. Minęło tyle lat, a tu nagle tata, i może — może — okaże się, że to dobry człowiek. Mimo wszystko wołała jednak mieć się z nim na baczności. Przy jej farcie jeszcze obudziłaby się kiedyś i zobaczyła, że Lee zabrał samochód wyładowany jej dobytkiem i pojechał w siną dal. Jeszcze pewnie zabrałby jej Bena.

Minęła zjazd ku polance z namiotem i jechała dalej, w stronę Holiday. Dotarła tam, gdzie figlował z nią Wsiowy, zaparkowała i spojrzała na miasto, na krwistoczerwony apartament i aptekę, na sąd, dalej ku biuru szeryfa, omiatając wzrokiem wszystkie sklepy i firmy, Main Street usianą ludźmi, zwierzętami i samochodami, sterczące szyby wiertnicze. Za dnia, bez świateł, wyglądało to znacznie gorzej. Słonko słyszała raz jednego faceta, jak mówił, że w nocy, przy odpowiednim świetle, każda kurwa szczuplejsza od krowy może wyglądać atrakcyjnie, ale za dnia kurwa to po prostu kurwa, nijak się tego nie ukryje. Holiday wyglądało na kurwę.

Słonko wyjęła rewolwer z kabury, sprawdziła bębenek. Było w nim pięć naboii. Dołożyła jeden. W sumie sześć. Zakręciła bębenkiem. Posiedziała chwilę. Cofnęła samochód i zjechała do miasta.

Bez pośpiechu snuła się po ulicach, z nadzieją, że go spotka, ale nic z tego. Zatrzymała się, zaszła do kawiarni. Tam też nie było Wsiowego. Zajrzała jeszcze w kilka innych miejsc, ale go nie znalazła. Ludzie na ulicach schodzili jej z drogi, gdy tylko spojrzeli jej w twarz.

Obeszła całe miasto, lecz go nie znalazła. W końcu poczuła się słabo, jakby wychodziła z jakiejś choroby. Chorowała na Wsiowego. Ale teraz gorączka zaczęła ustępować.

Wtedy zrozumiała, że nie może go znaleźć. Nie wolno jej. Nie może do tego dopuścić. Nie w tej chwili. Nie z sześcioma kulami w bębenku. Gdyby go spotkała, zrobiłaby to, na co miała ochotę, a tego zrobić nie mogła. Była przedstawicielką prawa. Musiała się opiekować Karen. I tym starym, porzuconym psem, Benem, któremu obiecała, że go nie opuści. Musiała się o niego troszczyć. Teraz miała też ojca i tego głupiego dzieciaka, co go wołali Gęsiak. Pewnie też się liczył jako podopieczny. Może sam, cholera, miał gdzieś psa albo siostrzyczkę z kociątkiem.

Nie. Na spełnienie tego jednego pragnienia nie mogła sobie pozwolić. Musiała coś ze sobą zrobić, ale na pewno nie pomogłoby wpakowanie Wsiowemu kuli w łeb, nawet jeśli sam pomysł wydawał się jej w tej chwili przewspaniały. Ukrzyżowaliby ją za to. Nie tylko dlatego, że byłaby ewidentnie winna morderstwa, jak dwa a dwa cztery, ale dlatego, jak zresztą wspomniał Henry, że wielu i tak już jej nienawidziło. Bo była kobietą, co chciała czegoś lepszego. A to prawie to samo, co czarnuch, któremu się Bóg wie czego zachciewa. Ba. Nawet gorzej. Nie dość, że była kobietą, i to z ambicjami, to jeszcze w ich oczach zanadto lubiła się z czarnymi. Baba z rewolwerem i odznaką, co sama zabiła własnego męża. Powinna stać pochylona nad kuchnią, warzyć strawę z zadartą kiecką, żeby chłop mógł ją posuwać od tyłu, kiedy ona sama jedną nogą ubijała masło w maselnicy, a drugą bujała kołyskę.

Wróciła do samochodu, tupiąc, jakby deptała mrówki, i wyjechała z miasta.

Dzień miał się już ku końcowi, robiło się późne popołudnie. Horyzont wyglądał jak chłaśnięty brzytwą.

Gdy dojechała do domu, Marilyn krzątała się przy świdrach i wierciła otwory pod pale przy krawędzi polany. Samochodu Clyde'a nie było. Nikt inny też nie rzucił się jej w oczy.

Słonko podeszła do Marilyn.

— Gdzie się wszyscy podziali?
— Ej, kochana, prawie się zesikałam. Weź się tak nie skradaj!
— Przepraszam.
— Karen jest w namiocie. Gęsiak pożyczył strzelbę i poszedł polować na wiewiórki. Lee i Clyde pojechali do Holiday, mówili, że mają sprawę do załatwienia.
— Jaką sprawę?
— Mówili tylko, że mają tam sprawę.
— Pewnie pojechali na piwo.
— Możliwe — przyznała Marilyn. — A Clyde dostał straszne lanie od Wsiowego.
— Od Wsiowego?
— No, złał go chłopak na kwaśne jabłko.
— Nie wierzę.
— Lepiej uwierz. Gdyby Clyde oberwał ciut mocniej, nadawałby się prosto do trumny. Lee pojechał z nim chyba po to, żeby było chłopu różniej.
Słonko pokiwała głową. — A ty co tu robisz?
— Kopię dziury — uśmiechnęła się Marilyn.
— Po co?
— Pod sznur do suszenia bielizny. Karen mówiła, że rozwieszacie pranie na krzakach.
— Zgadza się.
— Na sznurze łatwiej.
— Sama chciałam wykopać doły, naciąć palików. Tylko jeszcze się do tego nie zabrałam. Nie cierpię machać łopata. Rąbać drewna też. Jak się tak nad tym zastanowić, nie cierpię harować.
— Te świdry to nie łopata. Z nimi mogę zasuwać przez cały dzień. Łatwiej się nimi robi pionowe doły, i szybciej, i łatwo je też poszerzyć. Nawet kobieta sobie z nimi poradzi. Nawet miło tak, i zdrowo, świeżego powietrza się człowiek nawdycha. A jak tak patrzę na twoją minę, to chyba powinnam ci te świdry na chwilę pożyczyć.
— Wiesz, że Henry nie będzie już zbyt długo pracował w tartaku...
— A to czemu?
Słonko wyłożyła teściowej wszystko, czego się dowiedziała. Poszło jak z dziury w wale przeciwpowodziowym — najpierw wąską strużką, potem coraz szybciej, aż w końcu wał puścił ze szczeniem, i wszystko się wylało.

Gdy już skończyła opowieść, powiedziała: — Nie będę płakać. Za dużo się już napłakałam. Ostatnio nic innego nie robię, tylko beczę. A jestem przecież konstabl. Nie powinnam się mazać.

— A kto ci broni?

— Ja sama. Tyle że się zaraz poryczę.

Marilyn wbiła świdry w ziemię, żeby się nie powywracały, i przytuliła Słonko, a ta zaczęła łkać. Szare niebo szerniało, zapadła noc, gwiazdy wyłaniały się z mroku jak wyciskane z torebki, a Słonko wciąż płakała.

— No do diabła — sapnęła Słonko — nie powinnam płakać. Jestem konstabl, czy nie? Ostatnio wypłakałam się nawet ojcu w ramię, a przecież wcale go nie znam. Nic, tylko beczę, psiakrew.

— Chyba nie dlatego, że Henry odejdzie z tartaku. Parsknęła śmiechem: — Skądże.

— I tak chciałam go wywalić, jak tylko porządnie sprawdziłam księgi. Widzi mi się, że już od lat podkradał z kasy. Jones mi nie wierzył, kiedy mu o tym mówiłam, a właśnie dlatego Henry tak mnie nienawidzi. Wie, że ja wiem. Wie też, tak w duchu, że potrafię być mściwa. Mogę wiele znieść, znosiłam Jonesa, ale jak mi się przeleje, to umiem pokazać, gdzie raki zimują. Jones się o tym przekonał.

Słonko otarła łzy przedramieniem.

— Czasem Pete przychodził do mnie się wypłakać — dodała Marilyn.

— Serio? Z jakiego powodu?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Wpadał z wizytą, szykowałam mu coś do jedzenia, a jemu już się robiło mokro w oczach.

— Często?

— Czasami. Ale miał jakiś powód, żeby płakać. Wypłakiwał mi się w ramię, jak kiedy był jeszcze szkrabem, i było miło. Wtedy wyglądał jak mój synek, a nie jak mężczyzna, na którego wyrósł, podobny do ojca.

— Może to przeze mnie płakał? Że nie byłam taka, jakiej by chciał, czy coś.

— Nie wiem.

— Gdyby choć raz wypłakał się ze mną. Choć raz. Byłoby mi miło, tak samo, jak tobie...

Słonko odetchnęła głęboko, szykując się na to, co zaraz miała powiedzieć.

- Tata wspomniał mi, że Karen jest w ciąży. Że ty mu powiedziałaś.
- Powinnam była powiedzieć i tobie. Ale kiedy się dowiedziałam, że Lee to twój ojciec, pomyślałam sobie, że może lepiej będzie, jak on to zrobi. Gniewasz się?
- Nie.
- No to chodź, córuś. Chodźmy do namiotu, zobaczymy, co się da zmajstrować na kolację. Skończę z tym kopaniem kiedy indziej. Może też nie wskakuj od razu na Karen. Dziewczynie przyda się teraz wsparcie, tak jak i tobie, kiedy nosiłaś ją pod sercem.
- Teraz jeszcze nie ma prawie nic do noszenia. Mogłaby go spędzić, gdyby chciała.
- Jakoś nie sądzę, żeby to ją korciło.
- No i dobrze — stwierdziła Słonko. — Jej wybór. Cokolwiek postanowi, ja będę przy niej.
- I ty, i ja.

31

Wsiowy pólleżał, opierając się o wezglowie łóżka i paląc papierosa własnej roboty. Dłoń trzymał na tyłku śpiącej kurewki, zastanawiał się, czyby jej znów nie obudzić. Ponoć powinien jej płacić, ale póki co jakoś się obeszło. Giętki język zrobił swoje, nie tylko przy ruchanku, ale i wokół uszu — Wsiowy nagadał jej, że należy się jej lepsze życie, niż to obecne, że ładna z niej kobieta, bo i była, jeśli nie liczyć tej blizny, gdzie ktoś zahaczył nożem o jej nos, rozciął go. W porównaniu z całą resztą jej ciała ta szrama nie robiła jednak większego wrażenia. Kiedy babka się rozebrała, w ogóle można było o bliźnie zapomnieć.

Na stoliku przy oknie postawił zapaloną lampę i światła od niej było w sam raz. Lubił mieć trochę jaśniej przy seksie, nie tylko po to, żeby patrzeć na kobietę, ale żeby i ona go widziała. Wiedział, że kobiety lubią na niego patrzeć, taki już był. Zerknął pod ścianę naprzeciwko, na gitarę, co ją sobie dopiero co kupił. Stała oparta w rogu pokoju. Bez dwóch zdań, harmonijka i drumla przy niej wysiadały. Pewnie, dało się na nich wygrywać melodyjki, ale prawdziwej muzyki to już nie bardzo. Gitara, oto instrument, co się zowie.

Wsiowy poczuł ukłucie żalu, kiedy wspomniał tego kolorowego, właściciela harmonijki i drumli, i tych pozostałych włóczykijów. Nie

był z tego dumny, że poderżnął im gardła, gdy spali, ale potrzebował tego i owego. Właśnie harmonijki i drumli, tych paru groszy, co mieli przy sobie, i innych drobiazgów. Patrzył na to tak, że zrobił, co musiał. Łatwiej było zarzącać ich wszystkich, kiedy spali.

Jakby spróbował kóregoś okraść i ręka by mu się omsknęła, doszłoby do bijatyki, i choć radził sobie w bójkach niezgorzej, wolał nie zaczynać z trzema facetami naraz. Już dawno nauczył się, że najlepiej robić tak, żeby było najłatwiej.

Włóczędzy byli wobec niego w porządku, podzielili się jedzeniem i muzyką, ale zrobił, co zrobił, bo tak już jest urządony ten świat.

Słonko też była dla niego dobra. A tej jednej nocy nad urwiskiem, nawet bardzo dobra. Miał nadzieję, że pociągną to dłużej, że się naprawdę porządnie ustawi, ale nie potrafił się oprzeć tej córusi. Wiedział, że prędzej czy później beknie za to, że ją puknął.

Może już przyszła pora zabrać się z tej okolicy, zamknąć rozdział pod tytułem „Holiday”? Dostać się do następnego miasta, pośpiewać w tancbudach. Jakby zarobił dość forsy, mógłby zmienić życie na lepsze. Nie to, żeby mieć więcej fantów, ale lepiej żyć. Żeby już nie musieć tyle kłamać, kantować, tyle zabijać. Może dałby radę. Była chwila, że myślał, że coś takiego uda mu się ze Słonkiem. Ale tam była córeczka, słodziutka, dojrzała, cała chętna. Aż mu się wydawało, że kiedy tylko znalazł to, czego chciał, zaraz za płotem było jeszcze coś fajnego, i po prostu musiał po to sięgnąć.

Zgasił papierosa w spodku obok łóżka, potarł pośladki kurewki. Ta obudziła się, obróciła na plecy. Uśmiechnęła się do niego szeroko, zęby zaśniły w świetle latarni. — Oj, Wsiowy, mocarny z ciebie chłop, mocarny.

— Cieszę się, że zauważyłaś.

— Coś mi się nie widzi, że zamierzasz mi płacić, hę?

— Nie mam nawet grosza, żeby ci dać. Wszystko wydałem, żeby wynająć ten pokój na tydzień i kupić gitarę. Mało ci, że zaśpiewałem tamtą piosenkę? Do diabła, sam Jimmy Rodgers nie pociągnąłby lepiej.

Roześmiała się. — Piosenką nie zapłacę własnych rachunków, ale było miło. No i nie wiem, czy Jimmy Rodgers byłby lepszy, czy nie. Z nim nie spałam.

— Za następny numerek też mogę zaśpiewać.

— Nie musisz, malutki. Chodź no tutaj.

*

Wskazując latarką numer wymalowany na szczycie schodów, Clyde stwierdził: — To tu. Ten właśnie adres mi podałeś. Lee skinął głową.

Nie było zbyt wysoko, ot, kilka stopni sterczących z zewnętrznej ściany budynku, i tyle. Widzieli, że w oknie pali się światło. Niżej ciągnęła się tylna uliczka, stały kubły na śmieci.

— To twarde orzeszek, lepiej uważaj — podjął Clyde. — Złał mnie, jakbym był przyglup i paralytyk. Równie dobrze bym się spisał, gdybym zaczął tę bitkę z nim z opaską na oczach i kowadłem uwiązany do pyty na łańcuchu.

— No to robisz tak, że czekasz tu, a ja idę na górę — odparł Lee.

— Nie mówię, że się boję, tylko ci tłumaczę, że facet jest niebezpieczny jak dzik, co mu się terpentyna na jajca wylała. Wcale nieduży chłop, ale stłukł mnie jak inwalidę. Żebyś wiedział, że jak chce, to jakby w niego diabeł wstąpił.

— Wiem, że się nie boisz, ale po prostu zostań tutaj.

— Mam tu tę pałkę, jakbyś jej chciał.

— Nie, zatrzymaj ją sobie.

— No to weź latarkę. Swoje waży.

— Nie. To też sobie zostaw. I bez niej dobrze widzę.

— Co widzisz, to jedna sprawa, a waga wagą. Chodziło mi o to, żebyś mu nią w łeb przylutował.

— No przecież wiem, ale zostaw ją sobie.

— Powinniśmy pójść tam razem. We dwóch mamy chociaż szansę. Nie rozumiesz? Ten facet naprawdę umie się bić. Ma parę asów w zanadrzu.

— Ja też.

— No, to on ma karekę. Albo i lepiej.

Lee wyszczerzył się do Clyde'a. — Będę uważał. A ciebie proszę o to, żebyś stał tu, na dole, w gotowości, z tą pałą w garści. Widzisz to okno? Stań pod nim. Ale nie za blisko. Dam ci taki jakby sygnał. I jak go dostaniesz, lej Wsiowego w łeb.

— Znaczący, ja tu, a on tam na górze? To chyba jednak lepiej wejść.

— Nie. Zostań tu.

— Uważaj na zęby.

Lee ruszył po schodach. Mocne drewno, prawie nie skrzypiały. Gdy dotarł do drzwi na szczycie, cofnął się nieco, odetchnął głęboko i z całej pary kopnął koło klamki. Zamek puścił, drzwi otworzyły się na oścież, wałąc w ścianę.

Światło z lampy padało na łóżko, a gdy Lee wszedł do pokoju, w posłaniu usiadł Wsiowy, czy przynajmniej facet, co do którego Lee miał nadzieję, że to Wsiowy, i z pleców zjechała mu kołdra. Facet podniósł się spomiędzy rozłożonych w igrek ud kobiety, a męskość sterczała mu niczym śledź od namiotu.

— Ty jesteś Wsiowy? — spytał Lee.

— A bo co? Kto ty jesteś, do cholery? I co niby wyrabiasz, do diabła?!

— Otóż ja jestem Anioł Pański.

— No, na bank jesteś pojebany.

— Mam córkę, co ją wołają Słonko. I wnuczkę, nazywa się Karen. Chyba je znasz.

Wsiowy umilkł na chwilę, po czym odparł: — Ano. Znam je. Na wylot.

— Tak też myślałem. Bo widzisz, przyszedłem spuścić ci lańsko na goły tyłek.

— Wielu już próbowało — Wsiowy wyturlał się z łóżka, a jego śledź od namiotu zwiotczał, teraz wyglądał jak kawałek miękkiego szlauchu.

— Chyba trochę za dużo w tobie dumy, synek. Usunę ten nadmiar. Garściami.

— Dziadek, pozwól, że cię uprzedzę. Sam nie wiesz, w co się pakujesz. Na moje oko jesteś już na to mocno za stary.

Lee rzucił się na niego. Kurew zaczęła wrzeszczeć.

Wsiowy poszedł w ruch. Jak cholera. Był tak szybki, że aż trudno było się spostrzec, że się ruszał. Stał tam, gdzie pędził Lee, a w mgnieniu oka już stamtąd zniknął...

Wsiowy wiedział, że jest szybki, szybki jak diabli, wiedział też, że ma tego dziadygę w garści, i kiedy umknął w bok, obrócił się na pięcie i trzasnął tamtego w potylicę, już się szczyrzył z radości.

Ale dziadek też zniknął spod ciosu. Uchylił się, pięść Wsiowego śmignęła obok, a on odwinął się z prawej i trafił Wsiowego tak, że uśmiech znikł mu z twarzy. To był mocny strzał. Bardzo mocny. Wsiowy już dawno takiego nie zainkasował. Ale łyknął go gładko. Bez dramatów. Wciąż jeszcze trzymał się na nogach.

Przycupnął i skoczył staremu do kolan, ale ten jakby kicnął wstecz, Wsiowy złapał tylko powietrze, a zaraz potem dziadek już capnął go przedramieniem pod brodę i wpił się jak kleszcz w psie ucho,

i już po chwili rzucił się na plecy, przy okazji jeszcze unosząc nogę między gołe giry Wsiowego, pakując mu kolano w klejnoty i przerzucając go nad sobą.

Wsiowy wyrzwał plecami w podłogę tak mocno, że aż podskoczyła lampa na stoliku. Obrócił się i poderwał, próbował się zrewanżować staremu, który przetoczył się już, wstał i obrócił się ku Wsiowemu. Lecz z opóźnieniem zameldował się ból z jajec, jakby ktoś wetknął je w imadło i pokręcił korbką. Wsiowy zgiął się wpół, wyrzygał.

Wtedy stary doskoczył do niego, i poszło szybko. Bardzo szybko. Tak szybko, że Wsiowy myślał, że tylko on tak umie. Albo i szybciej. Na dodatek dziadek sprowadził z piekła dwóch kumpli. Prawego i lewego. Dołożył jeszcze lewym hakiem, który zatrząsał wnętrzem ust Wsiowego — coś się tam obruszyło — i zaraz złapał go w pasie, uniósł, pędem wepchnął go plecami naprzód w okno, poszła szyba.

Przez cały ten czas kurwa darła się jak opętana, ale wydarła się najgłośniejszą właśnie w tej chwili, kiedy Wsiowy wyleciał za okno, posypało się szkło, bryznęły krople krwi.

— Zabiłeś go! — wrzeszczała blondynka.

— No się starałem — przyznał Lee.

Clyde usłyszał łomot, pomyślał: „Lepiej skoczę tam na górę”, i już prawie ruszył z miejsca, gdy poszło okno i wyleciał zeń Wsiowy, powiewając włosami, fiutem, jajami. Pięknie spadał, aż wreszcie rąbnął w ziemię. Tylko co z tego, skoro skurwiel wciąż próbował wstać.

„No, psiakrew, chyba to właśnie był sygnał” — pomyślał Clyde.

Podszedł więc, a Wsiowy, na czworakach, usiany rozcięciami po szkle, plując krwią, uniósł ku niemu wzrok.

— Ty — sapnął.

— A cześć — odparł Clyde i machnął pałką, tak mocno, jak tylko mógł. Pierwszy cios wylądował wzdłuż twarzy Wsiowego, który padł, ale spróbował znów się podnieść. Drugi trafił w potylicę i Clyde wymierzył go ze śmiechem. Tym razem Wsiowy padł i nawet nie drgnął.

Clyde obejrzał się, zobaczył, że Lee schodzi na uliczkę. Stary wyglądał bardzo dobrze, trochę mu się włosy zmierzwiły, marynarka przekrzywiła. Niósł gitarę. W drzwiach stała owinięta prześcieradłem kobieta, klęła wniebogłosy. W mieszkaniu na dole zapaliło się parę świateł.

Lee podszedł do leżącego Wsiowego, przyglądał mu się przez chwilę, po czym oparł pudło gitary o ziemię i oparł jedną rękę o gryf, jakby

podpierał się kulą. Drugą dłonią rozpiął spodnie, wyciągnął wacentego i zaczął lać. Całkiem solidnie zrosił włosy Wsiowego i jeden jego profil.

— Pozdrowienia od największego psa w stadzie — oznajmił. Wsiowy ocknął się nieco, ciut podniósł głowę.

— Sukinsynu — stęknął.

— A teraz dobranocka — stwierdził Lee, złapał gitarę za gryf i zamachnął się. Pięknie się zamachnął. Struny świsnęły w mroku, a gdy pudło rąbnęło we Wsiowego, huknęło, jakby kto strzelił, po czym rozbrzmiał brzdęk i smętne wibracje zerwanych strun.

Wsiowy znów padł jak długi, przytomny, ale nieruchomy. Wszędzie dokoła wałały się odłamki gitary, struny kolebały się w powietrzu jak owadzie czułki. W końcu podciągnął kolana pod siebie, zadarł tyłek, jakby nadstawiał go chętnym, i tak zastygł, niezdolny do dalszego ruchu — zemdłał.

Lee oparł o niego stopę, pchnął, a Wsiowy przewrócił się na bok, bezwładny. Lee zapiął spodnie, ujął Clyde'a pod ramię i powiedział: — Chodźmy stąd. Muszę się napić. Żadnych alkoholi nie tykam, ale solidna lufa zimnego mleka będzie w sam raz.

Gęsiak i Karen siedzieli na ziemi za dębem, przy lampie naftowej. Mieli tam garnek wody i parę noży. Gęsiak zdzierał skóry z czterech wiewiórek, które upolował, i patroszył zdobycz, a Karen wkładała tuszki do wody i dłońmi ścierała z nich resztki luźnej sierści.

— Cztery wiewiórki, cztery strzały — pochwalił się Gęsiak.

— Przecież strzelałeś śrutem.

— Ale one nie siedziały mi tuż przed lufą.

— A wiesz, że są spokrewnione ze szczurami? — spytała.

— A w życiu.

— Kiedy serio. Są z tej samej rodziny, niby że, czy coś w tym stylu.

— Nie wyglądają jak szczury... no, może trochę. Możliwe, że jakoś tam są spokrewnione. W sumie sam nawet miałem takich krewnych, co można by ich z twarzy wziąć za szczury, więc pewnie w każdej rodzinie może się trafić szczur.

— Może nie powinniśmy zbyt głęboko w to wchodzić.

— Popieram. Jakoś nie chciałoby mi się dumać, że właśnie wsuwam kuzyna szczura.

— Wszystkie cztery to piękne okazy, tłusciutkie — stwierdziła.

— Uwielbiam smak wiewiórki. Dawno nie miałem okazji.

— No, skoro to ty żeś je upolował, pierwszy wybierzesz sobie porcję.
— A jak ty lubisz je jeść?
— Smażone. Wiewiórka z knedlami. Zresztą, jak by nie były zrobione, bardzo mi smakują.
— To tak jak mi... ale jesteś strasznie śliczna. Uśmiechnęła się do niego.
— A ty strasznie bezpośredni.
— Tak tylko pomyślałem, że żal dziewczynie czegoś takiego nie powiedzieć.
— Jeszcze młody jesteś, co nie, Gęsiak?
— Tak jak ty.
— Jesteś młodszy ode mnie.
— Ale nie aż taki młody, żebym nie wiedział, kiedy patrzę na ładną dziewczynę. Taka dziewczyna jak ty, jakby była moja, to bym się o nią naprawdę troszczył. Jakbyś tylko czegoś potrzebowała, czegoś chciała, to bym załatwił.
— No to, powiedzmy, milion dolarów?
— Trochę by zeszło, ale bym zebrał. Okradłbym kogoś, jakby było trzeba.
— Akurat nie to chciałyby usłyszeć twoja dziewczyna. No, w każdym razie ja nie chciałabym tego usłyszeć.
— A co chcesz usłyszeć? Zaraz to powiem.
— Tak też niedobrze, Gęsiak. Wtedy takie słowa się nie liczą.
— Chyba nic nie umiem dobrze powiedzieć, co?
— No, nie za bardzo.
— Ale wciąż wiem, że jesteś śliczna.
— Dziękuję.
— Jakbyś to mojego dzieciaka nosiła, tobym nie uciekł. Bym się zatroszczył, żeby mały miał dom...
Karen zalała się łzami.
— Nie chciałem o tym mówić — zreflektował się Gęsiak. — Nie chciałem cię smucić.
— Ale tak to już jest, nie? Dałam się zbrzuchacić, prawda? Posłuchałam Wsiowego. Nagadał mi, że jestem śliczna, zupełnie jak ty. Dużo mi naopowiadał. A trzeba było wiedzieć, że to tylko gadanie. Po prostu chciał mi się dobrać do majtek. Jestem zwykłą zdzirą.
— Wcale że bo nie. Po prostu dałaś się okantować, i tyle. Każdemu może się zdarzyć.

Podszedł do nich Ben, usiadł, udawał uprzejme zainteresowanie. Gęsiak dał mu do jedzenia patrochy z wiewiórek.

— Skończyłeś już, Gęsiak?

— Wszystkie oczyszczone.

— To może zaniemiemy je do namiotu, wezmę się za smażenie. A ty możesz mi pomagać.

— Popieram.

Gdy Lee i Clyde podjechali pod namiot i wysiedli z pickupa, Słonko wyszła im na powitanie, ocierając serwetką usta z tłuszczu ze zjedzonej wiewiórki. Patrzyła, jak obaj idą ku namiotowi. Wyglądali na szczęśliwych.

— Wy dwaj macie takie miny, jakbyście się dorwali do cukierków — stwierdziła.

— No, jednego cukiereczka żeśmy dorwali — odparł Clyde. — Dostał łomot. Próbował wiać, ale się z ziemią zderzył.

— Miał szczęście, że się zderzył, bo jeszcze by spadał — dodał Lee. Clyde zarżał.

Słonko przyglądała im się przez dłuższą chwilę, podejrzewając, że jednak się spili.

— Nie wiem, jak się po tych nowinach czujesz, Słonko — odezwał się Lee. — Może to była z naszej strony dziecinada. Może nie trzeba było tego robić, ale wpadliśmy z wizytą do Wsiowego.

— No, urządziliśmy mu rekolekcje — powiedział Clyde. — Znaczy, to Lee zapodał kazanie, ja tylko robiłem w chórk.

— Obaj żeście na niego wskoczyli?

— Niezupełnie — odparł Clyde. — Znaczy, nawet gdyby, wcale bym się nie przejął, albo gdyby jeszcze ktoś chciał nam pomóc. Wolałbym nawet, żebyśmy na niego wskoczyli całą armią chłopów...

— To opowiadajcie.

— Pojechaliśmy tam, gdzie mi Wsiowy powiedział, że mieszka — zaczął Clyde — i był tam z jakąś kurewką, no i twój tata wszedł tam na piętro i obił Wsiowego, jakby stał z jajami przybitymi do podłogi, a potem wyrzucił go przez okno. A wtedy ja przylałem mu pałką. I poprawiłem.

Słonko uniosła dłoń do ust. — Czy... to go zabolalo?

— Kurde, pewnie — odparł Clyde. — Potem już wcale nie był wrywny. Jak się gościa pacnie tą pałą, bankowo zboli. Ale ta moja pał-

ka to był detal w porównaniu z tym, co zaliczył na górze, nim golusieńki wyleciał z okna.

— Znaczy... nie żyje?

— E, nie. Nie było aż tak wysoko — wyjaśnił Clyde. — Ale nie będzie już taki śliczny. Nie wiem, czy tak mu już zostanie, ale wygląda, jakby go przetarli na zupę i po pijaku poskładali.

— Wybacz, Słonko — dodał Lee. — Wiem, że żywiłaś do niego mocne uczucie.

— Ażebyś zobaczyła, jak Lee przylutował temu gnojowi jego nową gitarą — podjął Clyde. — To był super moment, słowo ci daję.

Słonko uśmiechnęła się powoli. — Żałuję, że sama tego nie widziałam.

— Szczególnie tej chwili, jak goły wyleciał przez okno — ciągnął Clyde. — Jak machał rękami. Jakby było z piętro wyżej, musieliby ściągnąć ciężką maszynę, żeby go wykopać z tej ulicy.

Słonko roześmiała się w głos, weszła pomiędzy obu mężczyzn i objęła ich ramionami. — Powinam was aresztować, chłopcy, ale, psia krew, to wszystko wydarzyło się poza moją jurysdykcją, nie?

— Ano — odparł Clyde.

— No więc trudno. Będę musiała wam odpuścić. Chodźcie do środka. Mamy smażone wiewiórki.

32

Wrócił do łóżka na piętrze, kurewka go niańczyła, ale Wsiowy i tak był w podłym humorze, bo widziała, jak zebrał lanie. I to jakie. I to od starego dziada. I już nie był taki ładny, póki co. Gdy się przejrzał w lustrze, zobaczył zupełnie nieznanego faceta. Gościa całego podzioba-nego szkłem, jakby miał ospę, do tego ze złamanym nosem, obrzmiałymi wargami, zapuchniętym prawym okiem i policzkiem, którego nie powstydziliby się wyjątkowo zapobiegliwy chomik. Ale to też była tylko opuchlizna, w miejscu gdzie stracił jeden z tylnych zębów. Do tego jaja nie dawały o sobie zapomnieć. Całe szerniały od tego kopa, wyglądały jak zgniłe śliwki, ledwie trzymające się na gałęzi. Po upadku z okna był cały obolały. Poobijał sobie łokcie, kolana też. Aż nie mógł uwierzyć, że nic sobie nie złamał. Czuł się jednak tak jakby wzburzony wewnątrz, jak gdyby przebiło go coś wielkiego i szybkiego, od bebeczów aż po gardło.

Blondynka złapała paznokciami odłamek szkła sterczący mu z penisa, wyciągnęła go i położyła na chustce do nosa, na szafce nocnej przy łóżku.

— Możesz już iść — powiedział jej, gdy okryła jego interes wilgotną szmatką, aż się skrzywił.

— Aby na pewno, słodziutki?

— Aha. Chcę, żebyś już poszła.

— Paskudny był ten upadek. Może masz jednak coś pękniętego. Może nie powinienes być sam.

— Nie. Możesz już iść.

— Ale przyjdiesz mnie odwiedzić?

— Pewnie.

— Zupełnie gratis. Nie skończyłeś ostatniego razu, prawda.

— Wiem. No, idźże wreszcie.

Wstała, ubrała się. Już przy drzwiach powiedziała: — Szkoda, że tak się stało z gitarą.

— Jasne.

— Wciąż jeszcze masz harmonijkę.

Złapał tę ścierkę z krocza, cisnął w nią. — Powiedziałem, żebyś się wynosiła.

Dostała szmatą w ramię. Otworzyła drzwi i pospiesznie wyszła na dwór.

Wsiowy leżał sobie i myślał, co robić dalej. Nie licząc ograniczenia ruchów do minimum.

Aż w końcu go olśniło. Kukuryk podsunął mu pomysł. Nie to samo, co miał na myśli były szeryf, nie to, do czego chciał go zatrudnić, coś innego.

Przypomniał sobie o czerwonym apartamencie nad apteką, gdzie mieszkał McBride. Musi się tam wybrać, porozmawiać z facetem, zobaczyć, czy w kombinacjach McBride'a i Henry'ego znalazłoby się miejsce i dla niego.

Jeśli był z czegoś dumny, to z tego, że o ile zawsze starał się iść najłatwiejszą drogą, to nie przy zemście. Wtedy łatwizna nie była wymagana. Jeśliby ktoś go ukrzywdził, Wsiowy był gotów przeczłgać się milę po ostrych kamieniach i cmoknąć muła w obesrany zad, byle się odegrać, a już szczególnie na jakimś dziadu, przez którego wyszedł na idiotę, i to przed kurwą, psiakrew.

Myślał, że zaraz wstanie i się ubierze, pójdzie tam do McBride'a, ale jego ciało miało na ten temat inne zdanie.

Powiedziało mu: Weź się połóż, synuś. Nie za dobrze z tobą.

Więc się posłuchał. Niech sobie ciało rządzi. Ale umysł pracował mu na najwyższych obrotach, tryskał pomysłami, co jednym, to wre-dniejszym.

Gdy już skończyli jeść, a opowieść o tym, jak to Lee spuścił Wsiowemu lanie, dobiegła po raz kolejny końca i wszyscy siedzieli sobie w namiocie przy kawie, Słonko wymknęła się na dwór z pasem białej tkaniny, oderwanym od starego ręcznika. Uwiązała go do gałęzi za pniem tego wielkiego dębu.

Przytruchtał Ben, patrzył, jak wiązała supeł. Gdy skończyła, przyklęła i pogładziła psa.

Teraz pozostało już tylko czekać, czy zjawi się Byku. Miała nadzieję, że przyjdzie. Był jej potrzebny.

Miała też praktycznie pewność, że Zendo, choć wcale o tym nie wiedział, też go potrzebował.

33

Minęło parę dni, biały pasek wciąż wisiał za dębem, zapanował morderczy upał, aż drzewa się przygięły, jakby niebo oparło się na nich całym ciężarem. Wszędzie roiło się od pasikoników, pogryzających każdą zieleninę, jaką udało im się znaleźć.

Chodzenie na tym upale było jak brnięcie przez niewidoczne ciasto na chleb, a oddychanie — jak zasysanie uschłych liści. Nocami Słonko wychodziła i siadała pod dębem. Clyde zaczął przesypiać noce na jej podwórzu, w pickupie, Lee spał po urzędowej stronie namiotu, podobnie jak i Gęsiak, zostawiając dla niej i Karen część domową.

Kiedy jednak wszyscy się już położyli, Słonko wychodziła, znajdowała Bena, przynosiła sobie pod dąb krzesło i czekała, aż nadejdzie Byku. Siedziała tak i głaskała psa, aż ten miał dość i kładł się jej do stóp.

Po paru nocach zaczęła powątpiewać, czy Byku faktycznie się zjawi. W końcu tak naprawdę wcale nie był jej nic winien, a jeśli zarobiła sobie u niego na jakieś punkty, może się już przeterminowały. Może już nigdy się tu nie pojawi, nawet się nie dowie, że wywiesiła białą szmatkę.

Pomyślała o Wsiowym, wspomniała, jak jej dotykał, jak gruchał, jak się wtedy czuła. Rozmyślała też o Karen, o tym, czego musiał jej nagadać, żeby dopiąć swego. Może mówił Karen to samo, co i jej. Teraz, jak to sobie dokładniej przemyślała, nie kojarzyła, by w ogóle kiedykolwiek coś jej obiecywał. W każdym razie nie w słowach — jego dłonie, wargi, oczy mówiły jednak całe mnóstwo. Całe mnóstwo kłamstw.

Strasznie się cieszyła, że tata spuścił mu lanie.

A jednak miała nadzieję, że za dużo nie ucierpiał.

Że nie odbiło się to na jego urodzie.

Nie lubiła drania, a jednak wolała nie myśleć o nim jako o zmasakrowanej ruinie człowieka. Takiego piękna nie powinno się niszczyć. Chłop nawet nie powinien się zestarzeć, w ogóle nigdy, przynigdy nie powinien się zmienić.

A co z Henrym, co z McBride'em i tym od Dwóch? Co z nimi? Co powinna zrobić?

Dumała właśnie nad tym, gdy nadszedł Lee, niosąc w każdej ręce po kubku kawy. Uniosła ku niemu wzrok, gdy był już blisko. — Myślałam, że śpisz.

— Co noc tak ci się wydaje, kiedy wychodzisz tu pod dąb. A poza tym Gęsiak chrapie — podał jej jeden kubek. — Pomyślałem, że nie odmówisz.

Uśmiechnęła się do niego. — No pewnie, że nie. Poprosił ją, by pottrzymała oba kubki, a sam przystawił sobie drugie krzesło. Siadł, wziął kubek, upił łyżeczek.

— Tata, chyba wpadłam w niezłe szambo. Sama nie wiem, co z tym wszystkim zrobić.

— Znaczy, że co, chcesz mi o tym opowiedzieć?

— Tak.

I wyłożyła całą historię. Wszyściutko. Od Zenda i jego parceli, przez Henry'ego Shelby'ego i McBride'a, i tego od Dwóch, aż do tej rozmowy w kościele. Po raz pierwszy też wspomniała komukolwiek o Byku, o szmacie wywieszanej na dębie.

Na koniec powiedziała: — Myślę, że mogą to sobie powetować na Zendzie. Właśnie postanowiłam, że pošlę tam Clyde'a, niby że na straż, na wypadek, gdyby kogoś tam wysłali. Każę mu zabrać strzelbę. No, i jest jeszcze Byku. Obiecał pomóc.

— Ludzie różne rzeczy obiecują.

— Wierz mi, jemu można ufać.

— Sam niejedno obiecywałem, ale akurat teraz, jak coś mówię, to na serio. Wierzysz mi?

— Staram się. Chciałabym ci wierzyć. Ale tak to już w moim życiu było, że wierzyłam nie tym, co trzeba.

— No dobra, więc tu masz moje trzy grosze, ile tam one warte. Możesz do tego podejść na dwa sposoby. Tak naprawdę to wcale nie twój problem. Nie ty orznęłaś Zenda. Nie twoja wina, że ktoś mógłby chcieć go zabić. Możesz po prostu go ostrzec i zabrać się za inne sprawy, a o tej zapomnieć... No, rzecz jasna, jeśli on gdzieś zniknie, to wystarczy odrobina pracy z piórem i grunt należy już do tamtych typków. Jeśli będzie żył, i tak mogą spróbować to przepchnąć, ale mógłby narobić smrodu i dowieść, że to jednak jego ziemia. Więc i tak, i tak narażasz jego życie.

— Wolałabym jakąś jedną odpowiedź, a nie kilka do wyboru.

— Może kiedyś mógłbym ci taką dać, jak byłem kaznodzieją, bo wtedy wydawało mi się, że zjadłem wszystkie rozumy. Teraz wiem jedno: Słonko, musisz mieć coś jakby oś. Rozumiesz? Musisz sobie określić, co jest dla ciebie najważniejsze, i nie pozwolić, by cokolwiek cię od tego odciągnęło. Może ci się nie uda, ale ta oś musi wciąż być jedna i ta sama.

— No dobra, wszystko pięknie. Ale co mam teraz zrobić? Myślałam, czyby nie powiedzieć Zendowi, ale boję się mu wszystko wyjaśnić. Myślałam, że tak może być dla niego nawet gorzej. Jeszcze chłop coś palnie nie w porę albo zrobi coś nie tak.

Lee powoli upił łyk kawy, nim powiedział: — Innymi słowy, nie traktujesz go jak mężczyzny. Traktujesz go jak niewolnika, o którego trzeba się troszczyć, a ty jesteś jego biały pan.

— Tego nie powiedziałam.

— Mówię, jak ja to widzę.

— Tutejsi, w znacznej większości, tak właśnie na to patrzą. Ze kolorowy nie powinien mieć prawa decydować w bardzo wielu sprawach. Jeśli spróbowałabym traktować Zenda, jakby nie był kolorowy, a on pomyślałby sobie, że może decydować sobie o wszystkim jak każdy, może to się dla niego tragicznie skończyć.

— Ale mogłabyś potraktować go jak dorosłego mężczyznę. Pójść do niego i powiedzieć mu prawdę: „Hej, chłopie, sama nie wiem, jak ci pomóc. Jestem tylko ja, Clyde i mój sponiewierany tatulo, a tamci goście to zawodowcy, wiedzą, czego chcą. Ich fach to kanty i morderstwa. Więc musisz radzić sobie sam”. No i wtedy faktycznie jest chłop ostrze-

żony. Niech sam zadba o własną skórę. Tak właśnie mogłabyś to załatwić.

— I co, to by nie znaczyło, że moja oś się przechyliła?

— To już tylko ty możesz powiedzieć. Ja nie potrafię. Sama musisz poczuć, czy zrobiłaś słusznie, czy dałaś z siebie wszystko.

— A drugie wyjście?

— Wykonujesz pracę, do której się wynajęłaś. Przeważnie to pic na wodę, nie robota, ale czasem robi się poważnie. I co, decydujesz wtedy, że może jednak nie zajmiesz się sprawą, bo dla ciebie za trudna? Może nie podolasz, bo sił masz za mało, i jeśli tak, to żaden wstyd, tak już jest. Ale jeśli sił masz dość, tylko chęci brak, to już zupełnie inna bajka.

— A skąd mam wiedzieć, czy starczy mi sił?

— Znikąd. To sama z siebie chcesz mieć dość sił.

— A jeśli już postanowię, że chcę mieć tę siłę?

— Zaczynaj planować. Uwzględniając mnie.

— Dzieńdoberek...

Słonko i Lee poderwali się z krzesel.

Ben podniósł się z zażenowanym wyrazem pyska, niby że „No kurde, do diabła, w końcu ja tu jestem pies, a nie wyczułem, nie zobaczyłem, że ten facet się zbliża”.

Za nimi, z ręką na oparciu krzesła Słonka, stał Byku. Wydawało się, że powietrze jest naładowane elektrycznością, a już na pewno wisiała w nim gliniasta, gryząca w nozdrza woń.

— Nie mógłbyś kiedyś podejść tak normalnie, po ludzku? — spytała Słonko.

— Po ludzku nie umiem — odparł Byku.

— Tato, to Byku.

— Witaj, Byku — powiedział Lee. — Mało żem przez ciebie w gacie nie narobił, psiakrew.

Byku wyszczerzył się, wskazał wiszącą z gałęzi białą szmatę. — Widzę, żeś wywiesiła białe. Potrzebujesz mnie?

— Ano — odparła Słonko.

— Niby jak?

— Zendo, ten czarny, potrzebuje ochrony.

— Ten farmer?

— Aha. Znasz go?

— Wiem, który to. Wszyscy wiedzą, który to, bo to, co wyprawia na farmie, jak mu się plony udają, to normalnie jak czary, czy coś. Na-

wet w najgorszy upał będzie miał wielgachne pomidory, a kukurydza rośnie mu wysoka na dwóch takich jak ja. Lepszego od niego nie ma. Więc jest sławny.

— Zgadza się — powiedziała Słonko. — Ale my tu rozmawiamy, a może już się stało, może już ktoś go dopadł, żeby ukrzywdzić i jego, i jego rodzinę.

— Niby czemu ktoś by chciał to zrobić? — zdziwił się Byku.

Słonko wyjaśniła mu całą sprawę. Kiedy skończyła, Byku przeszedł pod dąb i usiadł, opierając się plecami o pień, rozmyślając. Po chwili powiedział: — I z tym na mnie czekałaś? Mało masz białych chłopów do pomocy? Twój tata wygląda na takiego, co by się zaraz zabrał do roboty. Trochę już niemłody, jak i ja, ale na takich najbardziej trzeba uważać, co nie?

— To fakt — przyznał Lee.

— Więc co, tak trochę ci zeszło, nim wymyśliłaś, że przydałoby się Zendowi pomóc, co? — podjął Byku.

— W sumie to aż do teraz nie bardzo wiedziałam, co naprawdę chcę zrobić — przyznała. — Nie sądzę, żeby wcześniej Zendowi coś tak naprawdę groziło, dopiero teraz, po tej mojej rozmowie z Henrym i Mc-Bride'em. Ale nawet po niej nie wiedziałam tak naprawdę, co począć. Ale dziś wieczorem pogadałam z tatą i, no, powiedział mi parę rzeczy, i wszystko mi się poukładało. Chyba. No a do pilnowania Zenda nadajesz się moim zdaniem lepiej niż ja czy Clyde, czy tata.

— Serio? — spytał Byku.

— A co, nie jest tak?

— Może. Ale jak ja się tym zajmę, a Zendo faktycznie by chciał pomocy, to ty musisz się zająć inną sprawą. Musisz załatwić tak, żeby tamtym się odechciało jego ziemi. W końcu to twoja robota, pani konstabl, nie?

— To fakt.

— Bardzo bym się ucieszył, jakby kolorowy dorobił się wielkich pieniędzy, a z tej ropy mogłoby się udać.

— Ale też robi to z Zenda kuszący cel — wytknął Lee. — W grobie się chłop fortuną nie nacieszy.

— No, co prawda, to prawda — odparł Byku. — Biali by nie zdzierzyli, jakby czarnuch nagle miał forszę, a jakby jeszcze był bogatszy od nich, to już w ogóle...

— Nie dzielmy jeszcze skóry na tym niedźwiedziu — wtrąciła Słonko.

— Pani konstabl, możesz liczyć na to, że się zajmę tym, co byś chciała, ale muszę wiedzieć, że i ty zajmiesz się tym, co ja bym chciał

— stwierdził Byku. — Musisz się ostro zabrać za tych kanciarzy i skończyć z nimi. Aresztować ich, no, co tam trzeba, ale musisz to zrobić.

— Jasne — odparła.

— Masz broń, Byku? — spytał Lee. — Bo coś mi się widzi, że ci się przyda.

Byku podciągnął koszulę. Za paskiem spodni tkwił pistolecik. — To tylko do roboty z bliska. Tam dalej, w lesie, pod ambrowcem postawiłem strzelbę, pompkę, kaliber dziesięć. Tak sobie pomyślałem, że będziecie mniej nerwowi, jak jej tu z sobą nie przyniosę.

— Dziesiątka da radę — stwierdził Lee.

— No co ty nie powiesz — zripostował Byku.

— Słonko, mamy jeszcze kogoś, kogo by się dało prosić o pomoc?

— spytał Lee. — W takich sprawach im więcej nas, tym lepiej.

— Jest problem, że nie wiem, kogo Henry ma w kieszeni, a kogo nie — odparła. — Nie znam wszystkich, co są w Klanie. Z jednym czy drugim mogłabym spróbować, ale sobie myślę, że im więcej ludzi by o wszystkim wiedziało, tym większy możemy mieć problem. Mogłabym zebrać ekipę, uważać, że są po mojej stronie, a oni wszyscy robiliby dla Henry'ego.

Lee pokiwał głową. — Tak też mogłoby być. — A ty, dziewczyno? — spytał Byku. — Co wtedy z twoją rodziną? Myślałaś już o tym?

— Bez jednej przerwy. Myślałam, czyby nie wysłać Karen do babci, ale to by tylko wciągnęło Marilyn w ten sam gnój. Wcale nie byłyby bezpieczniejsze. Gęsiak, wiadomo, o niczym nie ma pojęcia. Chociaż w sumie powinien, żeby mógł zdecydować, czy zostać, czy się ulotnić. No a Clyde wie o wszystkim, tylko nie o tobie, Byku.

— To ten tam, z nogą na desce pickupa? — Byku wskazał sponiewierane, stare auto na podjeździe pod namiot.

— Ano, on — potaknęła Słonko.

— No to w porządku — stwierdził Byku. — Czego się miałem dowiedzieć, już wiem. To idę do Zenda, trzeba z chłopem pogadać.

— Kiedy? — spytała Słonko.

— Tak mi się widzi, że skoro ze spaniem i tak u mnie średnio, to pójdę tam od razu, do rana pokręcę się po okolicy, popatrzę, co i jak. Pogadam z Zendem, jak jutro rano wyjdzie w pole.

— Tam do Zenda, to blisko? — spytał Lee.
— Nie — odparł Byku. — Ale jak pójde przez las, będzie szybciej.
— Jeszcze lepiej, żebym cię tam podwiózł, wysadzę cię gdzieś w pobliżu — stwierdził Lee. — Znaczy, jeśli Słonko pożyczycy mi samochód, a ty powiesz, jak jechać...

Gdy Byku przyniósł z lasu strzelbę i zabrał się samochodem z Lee, Słonko ruszyła do namiotu. Mijając pickupa Clyde'a, zerknęła do środka. Po oczach dostała światłem z latarki. Zacisnęła powieki, zasłoniła twarz dłonią.

— Przepraszam — Clyde usiadł prosto i wyłączył latarkę.
— Myślałam, że śpisz.
— Nie. Tak sobie leżałem. Słuchałem, jak rozmawiałaś z Lee i Bykiem.
— Znaczy, podsłuchiwałaś.
— Przecież nie naumyślnie. Ja tu spałem.

Słonko otworzyła drzwiczki pickupa i wślizgnęła się obok Clyde'a, który siedział już za kółkiem.

— Masz przecież własny dom — stwierdziła.
— No, poniekąd. Jeśli dom to kupa nadpalonych desek.
— Widziałeś Byka?
— Się wychyliłem, żeby zerknąć. Chłop jak dąb.
— No, jak słowo daję.
— Myślisz, że możesz mu zaufać?
— Sam do mnie przyszedł. Kazał mi wywiesić kawałek materiału na tym drzewie, gdybym potrzebowała jego pomocy, no i się zjawił. Więc, tak, ufam mu.
Clyde?

— No.
— Wysłałam na idiotkę... znaczy, w sprawie Wsiowego.
— Zgadza się.
— Czasami, no wiesz... człowiek ma coś pięknego przed samym nosem, ale tego nie widzi, bo patrzy gdzieś dalej, stara się zobaczyć coś zupełnie innego.
— Nie mówisz chyba o mnie, co?
— Kiedy tak.
— Słuchaj, Słonko... gdybym uwierzył, że faktycznie tak sądzisz... znaczy, przecież wiem, że tak nie myślisz... nie w ten sposób. Ale jeśli masz na myśli coś miłego, cokolwiek, będę szczęśliwy. Tylko litości nie zniosę.

— Clyde, weź mnie nie denerwuj. Bo pożyczę sobie tę twoją pałę i dostaniesz w łeb. Jestem kretynką. Tyle chcę ci powiedzieć. Nie oświadczam ci się, ani nic. Nie mówię, że się zakochałam. Ale mówię, że byłam idiotką, a ty próbowałeś mi to wytłumaczyć. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

— Jeszcze raz muszę się z tobą zgodzić.

— Więc nie pogniewasz się, jeśli cię pocałuję?

— Tak czysto z przyjaźni, znaczy się?

— No pewnie.

Nachyliła się, pocałowała go w policzek.

— To nie był pocałunek z litości, prawda? — spytał.

— Clyde, nie bądź głupi. Nie potrzebujesz niczyjej litości.

— Nie mówisz tak tylko, żeby mi było miło, prawda?

— Nie. To był pocałunek szczery.

— Szczery czy nie, fajny był. To dobranoc — oznajmił Clyde.

34

Następnego ranka, gdy Zendo wyprowadził muły z szopy za domem, nakarmił je, zaprzął i zabrał na pole, zastał Byka pod tym dębem, gdzie codziennie zwykł był sobie robić przerwę na lunch. Widział go wcześniej tylko parę razy, ale teraz, tak z bliska, siedzący Murzyn go przerażał. Był wielki, miał skudłone włosy i takie jakby martwe spojrzenie, coś jak ryba, co za długo leżała na piasku.

Zendo prowadził muły za lejce, gotów zaprząć je do pługą, co go zostawił w polu, ale kiedy dostrzegł Byka, zatrzymał zwierzęta, wołając: — Prr!

— Ty jesteś Zendo? — spytał Byku. Skinął głową.

— Co u pana słysząc, panie Byku? — zagadnął, wychodząc zza zaprzęgu, stojąc przy jednym z mułów, ściskając w garści długie lejce.

— Ano, jakoś idzie. Nie ma co narzekać, bym powiedział, zresztą nawet gdybym się skarżył, co to zmieni.

— No, to i u mnie by tak było.

— E, nie — odparł Byku. — Tobie nie wiedzie się najlepiej. Zendo poczuł się mniej więcej tak, jakby kto znienacka zasadził

mu kij w dupę. Jeśli na coś zupełnie nie miał ochoty, to właśnie na to,

żeby legendarny Byku Stackerlee się na niego wściekał. Zresztą aż się dziwił, że Byku w ogóle go kojarzył.

— A to czemu, panie Byku? — spytał, zdumiony, że aż tak piskliwie to zabrzmiało.

— Nie no, w sumie powinienem powiedzieć inaczej — Byku wstał spod drzewa. — Pod jednym względem radzisz sobie tak dobrze, że aż się aniołom chce śpiewać, ale jest też taka sprawa, że normalnie jakbyś wsadził fiuta w magiel, a białasy tylko czekają, żeby zakręcić korbą.

— No to ja bym powiedział, że między pierwszym a drugim różnica jest potężna.

— Bo jest — odparł Byku. — To co, najpierw dobre wieści, czy te gówniane?

Zendo, tak zbaraniały, jakby właśnie obudził się w obcym mieście i to goły jak święty turecki, powiedział: — Na moje oko, panie Byku, lepiej najpierw obkoczyć te złe, a dopiero potem sypnąć cukrem.

Wsiowy nalał z dzbanka wody do filiżanki, tak do połowy, przytrzymał ją sobie pod jajami i kucnął nieco, rozchylając kolana, by zanurzyć klejnoty. Odrobinę łagodziło to ból. Stał tak, jakby dosiadał niewidzialnego konia, lewą ręką trzymając filiżankę wody z jajcami, a prawą unosząc do ust flaszkę whisky.

Zeszłej nocy spał i obudził się dziś rano z paskudnym kacem, więc musiał porządnie zaklinować, żeby jakoś działać, ale nie był już pijany i nie zamierzał się skuć. Miał inne plany: ubrać się, wyjść na miasto, spotkać z tym całym McBride'em.

Trochę zeszło, nim zdołał się jako tako ogarnąć, ale w końcu ubrał się i wyszedł. Dzień był upalny, niebo, choć błękitne, wydawało się ciężkie, jakby lada chwila mogło runąć i zmiażdżyć Wsiowego. Po nieboskłonie ciągnęło się parę pasemek chmur, jak paseczki waty wyrwane z błękitnego materaca.

Na ulicy pełno było kurzu i pasikoników. Wsiowy jeszcze nigdy nie widział ich w takich ilościach w mieście. W polu, to może i tak, ale nie tu, skaczących to tu, to tam pośród budynków.

Krocząc na lekko przygiętych nogach, pośród skaczących koników polnych, Wsiowy doczłapał się jakoś na Main Street i do czerwonego apartamentu nad apteką. Trochę potrwało, nim się tam dowlókl, a wspinaczka po schodach była jednym pasmem bólu. Wszędzie go łupało, ale w krzyżu, po upadku, i w jajach, od kopa, rwało najmocniej.

Przy każdym stopniu miał wrażenie, że ktoś leje go w te dwa miejsca żelaznym prętem.

Osiągnąwszy drzwi, zapukał i po chwili otworzyła mu ta sama blond kurwa, w której towarzystwie przebywał, gdy wpadł z wizytą stary Słonka.

— No no, obrotna jesteś — powiedział.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, nim odparła: — Sam rozumiesz, jestem kurwą.

— Oj, rozumiem, rozumiem.

— Jak się tam w ogóle masz?

— Jak młody bóg.

— Mnie szukałeś?

— Nawet bym nie wiedział, gdzie zacząć. Ale nie. Nie ciebie.

— To po co tu jesteś?

— Przynajmniej ciebie nie muszę o to pytać, co?

— No nie. Chyba nie — odparła. — Wciąż ci wiszę ostry finisz.

— Jasne. McBride jest u siebie?

Kiwnęła głową. — Idź stąd, powiem mu, że to był domokrażca.

— Niby czemu?

— Chyba wiem, czego tu chcesz — odparła. — Nie o wszystkim wiem, ale z tego, co tu usłyszałam, z tego, co ci się stało, to i owo mogłam sobie poskładać do kupy. Na ten przykład, że chciałbyś się odkuć na tej kobiecie, konstablu, i jej ojcu, przez tych tutaj. Ale, Wsiowy, to są naprawdę źli ludzie.

— Faktycznie nieźle sobie radzisz ze zbieraniem informacji.

— Bo obrotna jestem.

— Oj, na pewno — powiedział. — Tylko, złotko, widzisz, ja też nie jestem dobry.

— Wcale nie.

— Ależ tak. Naprawdę.

Wzięła głęboki wdech, wypuściła powietrze.

— Co, robisz za recepcjonistkę, nie tylko nadstawiasz tyłka?

— Zasadniczo robię, co każą.

— No to ja ci każę, ściągnij McBride'a.

— Nie ty mi płacisz. To robię dla pieniędzy, Wsiowy. A ty... ty nie dałeś mi nawet grosza.

— Ale dałem ci rozkosz.

— I ty, i każdy chłop. Myślałam, że nas dwoje...

Uśmiechnął się szeroko. — To samo myśli każda kobieta, którą znam.
Twarz blondynki zeszywniała. — Poczekaj tu.

Był to wielki kawał gruntu, kiedyś zarośnięty lasem, ale drzewa już dawno wycięto, poszły do tartaku, z wyjątkiem trzech. Były to dwa dęby i ambrowiec — te pierwsze przed domem, ambrowiec z boku. Dom miał dwie kondygnacje, z ciągnącą się dokoła budynku werandą na parterze, jak i na piętrze. Pomalowano go na biało, niby że to kolor nadziei, a wysianą trawę strzyżono przy samej ziemi — zajmowało się tym tylu Murzynów, z ręcznymi kosiarkami, że byłoby z nich spore plemię. Mimo suszy, trawa była nieźle podlewana i całkiem zielona.

Słonko stwierdziła, że nawet Marilyn nie miała takiego domu, a przecież była właścicielką większości tartaku. A tu, proszę, Henry postawił sobie chałupę, sterczała jak kleszcz na dupsku bankiera, i wcale się nie przejmował, czy ludzie się dziwią, skąd wziął na to pieniądze.

Słonko zaparkowała samochód przed domem i siedziała za kierownicą, obserwując okolicę, z Clyde'em u boku.

— Ta weranda na parterze sama by wystarczyła na dom — mruknął Clyde.

Słonko wysiadła z samochodu i ruszyła przez trawnik, a Clyde pogonił za nią. Podeszli do drzwi, zapukała. Otworzyła im wielka, pulchna, kolorowa niewiasta z bandaną wokół głowy, a jej sukienka, omiatająca podłogę, była tak wzorzysta, że mogło się człowiekowi zakręcić w głowie, albo i gorzej. Z wnętrza domu dobiegał urywany hałas, coś jakby trzaskanie. Raz cichsze, raz głośniejsze, ale wciąż trwało.

— Tak, psze pani, czego sobie pani życzy? — spytała Murzynka.

— Henry'ego — odparła Słonko. — Chcę się widzieć z Henrym.

— To ja jego zapytam.

— Nie. Nie trzeba — powiedziała Słonko. — Sami wejdziemy.

— Musi być za zaproszeniem — uparła się tamta. — Dopiero co dostałam tę pracę.

— Może nie za długo tak popracujesz — stwierdziła Słonko. — Wybacz.

— To konstabl — wtrącił Clyde.

Służąca przyjrzała się odznace przypiętej do jej koszuli. — Ano, prawda. To ja tu żadnej policji nie będę utrudniać.

Zeszła im z drogi i Słonko oraz Clyde weszli do środka.

— Gdzie on jest? — spytała Słonko. Służąca wskazała palcem, i w tej samej chwili Słonko dostrzegła Shelby'ego. Ten stał przy masywnym kominku, oddzielony od nich kanapą, i po kolei zdejmował z półki ceramiczne durnostojki, którymi z całej siły ciskał o podłogę. Gdy weszli, trzymał właśnie w dłoni różowego kotka. Rzucił go, roztrzaskał, a odłamki przemieszały się z innymi, już zaścielającymi podłogę.

Uniósł wzrok na powitanie gości.

— Nienawidzę tego szajsu — stwierdził. — Zona porozstawiała je po całym domu.

— Świetny sposób uczczenia jej pamięci — odparł Clyde. — Porozzwalać jej pamiątki.

Henry uśmiechnął się zjadliwie. — Czego tu chcesz, dziewczynko? Przemyślałaś sobie to, co ci powiedziałem tamtego dnia?

— Owszem.

— Więc, skoro przywlokłaś tu tego typa, domyślam się, że postanowiłaś odrzucić moją propozycję.

Skinęła głową.

— Twój wybór, dziewczynko. Cóż, dzięki, że wpadłaś przekazać mi tę nowinę. Do widzenia.

— Wychodzimy, i owszem — odparła Słonko. — Ale razem z tobą. Henry'emu cokolwiek opadła szczeka. — Chyba nie chcesz mnie aresztować?

— Właśnie tak.

— Za co?

— Za to wszystko, o czym mi wtedy opowiedziałeś.

— Niczego ci nie powiedziałem. Ot, takie tam gadanie. W sądzie wyjdzie na to, że to moje słowo przeciwko twojemu.

— Ja tu jestem od egzekwowania prawa. Było się nie spowiadać funkcjonariuszowi.

Henry miał taką minę, jakby właśnie wetknięto mu w usta kopytą łyżkę ałunu.

— Myślałem, że da się z tobą rozmawiać — powiedział — dotrzeć ci do rozumu. Powiedziałem parę nieprzyjemnych rzeczy, ale sądziłem, że posłuchasz. Że masz trochę oleju w głowie.

— Chyba się pomyliłeś — odparła Słonko. — Clyde, poprowadź pana. Jeśli będzie się opierał, lej go jak wszyscy diabli.

Clyde podszedł do kominka.

— Stawiaj opór, Henry. Uszczęśliwisz człowieka — powiedział.

Gdy wychodzili, Henry trzymany za ramię przez Clyde'a, służąca zapytała chlebobdawcę: — Mam posprzątać ten bajzel, co go pan tam zrobił?

Henry nie odpowiedział.

— A jakieś pieniądze dostanę? Milczał dalej.

— To sam se pan posprzątasz, proszę ja ciebie. Ja tam do tych porcelanków nic nie miałam.

...mógłbym więc pomóc — tymi słowami Wsiowy zamknął coś na kształt diatryby, a wypowiadając je, walczył, by nie załamał mu się głos, i miał nadzieję, że nie za bardzo się poci. W mieszkaniu było gorąco, ale Wsiowy pocił się bardziej, niż siedzący przed nim mężczyzna, ten McBride. McBride usadowił się na krześle, które podciągnął tuż przed nogi Wsiowego, a temu zaś polecił był usiąść na niskiej kanapie pod ścianą.

Wsiowy siedział tam, złożywszy ręce na podołku i choć raz od dłuższego czasu nie zaprzątnięty dręczącym bólem, bo ten McBride już samym spojrzeniem doprowadzał go do mdłości, a do tego nosił perukę jak z teatru i jeszcze fartuch, psiakrew. Taki z falbankami, od piersi aż do kolan, i pokryty czerwonymi rozbryzgami. Nie wyglądał jednak w tym po dziewczęńsku, ani też śmiesznie. Nie ten gość.

Może Wsiowy nie był już takim twardzielem jak kiedyś, nie po tym, jak złał go stary dziad, i przez to z mniejszą pewnością siebie podchodził do wszystkiego i wszystkich. Ostatni raz dostał tak po dupie jeszcze za dzieciaka, ojciec tłukł go pasem do ostrzenia brzytwy, parę razy aż do nieprzytomności. Ale od kiedy porzucił dom, nigdy nie przegrał w walce, teraz jednak pokonał go ten dziadek, tutaj zaś siedział przed nim kolejny, i Wsiowy normalnie się go bał. Nawet bardziej niż ojca Słonka. Ten facet bankowo posiał gdzieś coś, co powinno być w człowieku. Dało się poznać po spojrzeniu.

To jeszcze nie było takie złe, ale jeśli dodać tego wielkiego czarnucha, tego tam Dwaj, co cały czas sam ze sobą gadał, zadawał pytania, jakby ktoś przy nim był, i to nie Wsiowy czy McBride, tylko tak, w powietrze, i sam sobie na nie odpowiadał. A teraz, no jasna cholera, czarny siadł na kanapie zaraz obok Wsiowego i położył mu rękę na kolanie, a Wsiowy nie miał pojęcia, co tu jest grane, o co chodzi, ale dłoń spoczywała tam jak wielki, czarny krab, ciężka, ciepła, a krzepka jak chwytak do kłód.

Blondynce kazali wyjść z pokoju i Wsiowy zaczął żałować, że nie została jednak z nimi, że nie był dla niej miłszy. W tej chwili przydałaby mu się choć jedna przyjazna twarz do towarzystwa. Miał problem, żeby zauroczyć tych dwóch. Często mu się tak zdarzało z facetami, że wyczuwali, co kręcił, może nie w stu procentach, ale na tyle, żeby ich to drażniło. Z kobietami rzecz się miała zupełnie inaczej. Z kobietami lubił pogadać. Lubiał się kręcić przy kobietach, a one chętnie patrzyły, jak się przy nich kręci, ale ci dwaj, czy tam trzej, byli na to obojętni.

— Więc chcesz się zemścić na tym facecie, z którym się pobiliśmy? — McBride zapalił cygaro. Siedział sobie w tym falbaniastym, białym fartuszkach, z peruką czarną jak kudły Murzyna, a ten wielki smoluch miał na sobie frak, jakiego można by się spodziewać prędzej na którymś z tych gości, co to wywijają pałeczką przed orkiestrą. I do tego jeszcze melonik.

— No, po części tak — powiedział Wsiowy. — Ale tak poza tym, pomyślałem sobie, że można by przy tym zarobić.

— Jak tak o tym mówisz, to można by pomyśleć, że wiesz o tej sprawie z ropą wszystko — stwierdził McBride. — Wszyściuteńko.

Wsiowy przytaknął.

— Taka wiedza może człowieka wpakować w niezłe szambo, nieprawdaż, Dwaj?

— Mogłaby — odpowiedział Dwaj. Po czym innym głosem dodał: — Takie są fakty, przyjacielu.

— Pokaż mu maluteńkie szambo, Dwaj — polecił McBride. I ten Dwaj ścisnął rzepkę Wsiowego tak mocno, że ten był pewien, iż zaraz się z nią rozstanie. Sięgnął oburącz, chwycił Dwóch za nadgarstek.

— Puszczaj — rzucił Dwaj. A jego drugi głos dodał: — Tak, puść.

I puścił, a Dwaj wciąż ścisnął, Wsiowy zaś — nawet nie zdając sobie z tego sprawy — wetknął kant dłoni w usta i zagryzł, żeby nie wrzeszczeć. Już myślał, że zaraz przegryzie rękę albo postrada rzepkę, gdy Dwaj rozluźnił uścisk, poklepał go po udzie.

— To było maleńkie szambo — wyjaśnił McBride. — Nie lubię, jak ktoś wie, co robię, i to nie z moich ust. Nie lubię, że dowiedziałeś się o tym od Kukuryka, bo i Kukuryka nie lubię. Uciekł, wiesz? Anie wyglądał na takiego bystrego. Nie miałem z niego za wiele pożytku, i chyba o tym wiedział, domyślał się, co się kroi... No, ty może się na coś przydasz. Ta twoja twarz, jak się wygoi, pewnie będzie wyglądać całkiem niezłe. Ładny z ciebie chłopak?

— Tak — odparł Wsiowy. — Tak jest. Ale mój nos już nigdy nie będzie prosty.

McBride roześmiał się w głos, a Dwaj wyszczerzył zęby, wszystkie, od ucha do ucha, lśniące bielą.

— Kiedyś biłem się z Jackiem Johnsonem, zanim ktokolwiek o nim słyszał — stwierdził McBride. — Złamał mi nos. Nawet nie zauważyłem, aż po walce. Żeby nie nadszedł huragan i nie przerwali walki, chyba bym nawet wygrał. A teraz już się nie dowiemy. Skończyło się, zanim się tak naprawdę zaczęło. A nos, to taka śmieszna rzecz. Łatwo go złamać. Czekaj, pokażę.

Błyskawicznie wychylił się z krzesła i krótkim prawym hakiem trzasnął Wsiowego prosto w kinol. Bryznęła krew, a Wsiowy opuścił głowę, zajęczał.

— Wcześniej tylko ci się zdawało, że był złamany — wyjaśnił McBride. — Tamo to był detal. Teraz, to już inna bajka. Przychodzisz tu i gadasz mi o rzeczach, o których moim zdaniem w ogóle nie powinieneś wiedzieć, więc myślę sobie, chyba najlepiej kazać mojemu Dwaj, żeby cię załatwił, jak to już czarnuchy umieją. Ukręciłby ci łeb jak kurczakowi, normalnie, a potem jeszcze wyruchał w tchawicę, zanim byś się wykrwawił. Mógłby, serio, nawet by oka nie zmrużył. Sam też bym potrafił, ale co sobie będę wacka krwią mazał. Słyszysz, Niedysiejszy Przystojniaku?

— No — odparł Wsiowy. — Słyszę.

— I dobrze. Dam ci żyć, ale to, co żeśmy ci tu zrobili, to dla ciebie coś jakby lekcja, uważasz, komunikat specjalny. Wystawiłeś dziewczuchę, przyszedłeś do mnie, niech ci będzie, ale jeśli wystawisz mnie, to ja cię poprzestawiam. Jasne?

— No. Tak, jasne. Jak słońce.

— To pięknie. Pięknie jak cholera. Więc teraz powiem ci, co masz zrobić, a na tym etapie naszej znajomości sam nie masz już nic do gadania, jasne?

— Aha.

Dwaj przysunął się jeszcze bliżej i opasał Wsiowego ramieniem. Gdy Wsiowy obrócił się ku niemu, Dwaj nachylił się naprawdę blisko, szczerząc te białe zębiska, łypiąc ślepiami lśniącymi jak szmaragdy.

Gdy Słonko i Clyde byli u Henry'ego, Lee, Gęsiak i Karen, wykorzystując pickupa Clyde'a, zebrali namiot i wszystkie toboły, i zawieźli je tam, gdzie mieszkał Clyde. Musieli obrócić ze cztery razy, albo i pięć.

Kiedy Słonko, Clyde i Henry podjechali tam, namiot już stał. Po jednej jego stronie była plandeka z rzeczami, które Clyde sobie zostawił, a po drugiej — pogorzelnisko jego chaty. Przed namiotem wbito spory słupek, do którego przymocowano gruby łańcuch, przeciągnięty dla pewności przez otwór wywiercony w drewnie. Łańcuch był całkiem długi, a uwiązany do niego siedział Ben, z obrozą zrobioną ze starego paska. Lee, Gęsiak i Karen wyszli z namiotu. Lee niósł sobie krzesło.

— Co to ma być, do diabła? — spytał Henry.

— Areszt — odparła Słonko. — Idziesz do aresztu.

— Jakiego znowu aresztu?

Słonko wrzuciła bieg i zaciągnęła ręczny hamulec, po czym obróciła się za kierownicą i spojrzała na Henry'ego, który siedział na tylnym siedzeniu obok Clyde'a. Ten związał mu ręce krótkim kawałkiem sznura, a Henry wyglądał na strasznie rozeźlonego, jak szerszeń w słoiku.

— Też się nad tym zastanawiałam — powiedziała. — Jakiego aresztu? Potrzebuję aresztu, żeby posadzić Henry'ego, ale go nie mam. Więc myślałam dalej: masz przyjaciół, jeśli cię zabiorę do siebie i tam zostawię, to wpadną do mnie z wizytą. Więc się wyniosłam. Ludzie wiedzą, gdzie mieszkam, jakoś się rozniosło, ale może od razu nie pomyślą o ziemi Clyde'a, a nawet jeśli, cóż, Clyde od lat mieszkał tu właściwie sam jak palec. Co nie, Clyde?

— No pewnie. No i nie licząc paru dni ze Wsiowym, nie miałem żadnych gości, więc chyba żaden z twoich lepszych znajomków nie wie, gdzie mieszkam. Może się dowiedzą, ale od tego wymyślono strzelby, żeby wścibskie typki się pętały.

— Pożałujesz, dziewczynko — oznajmił Henry.

— Już żałuję. Żałuję dnia, kiedy przyjąłam tę robotę i w ogóle czegokolwiek się o tobie dowiedziałam.

Sądząc po minie, Henry zbaraniał. — Więc mnie wypuść. Rzuć robotę. Wynoś się stąd. Tam do diabła, wciąż jeszcze możemy ci zapłacić. Clyde'owi też coś skapnie.

— Owszem, żałuję tego dnia — odparła Słonko — ale ważne jest mieć swoją oś. Ja swoją mam, do diabła, i nie chcę, żeby się przekrzywiła.

— Że co? — spytał Henry.

— I tak nie zrozumiesz.

Wyciągnęli go z samochodu. Gdy podeszli do słupka pod namiotem, Słonko zwróciła się do Lee: — I jak, tato, słupek dobrze siedzi?

— Ben by przytaknął. Szarpał się przez jakiś czas, aż się położył.

— No, to świetnie.

Clyde wszedł do namiotu, wrócił z parą kajdanek i kłódką. Nożem rozciął sznur na rękach Henry'ego, po czym założył mu kajdanki.

Słonko zdjęła obrozę z szyi Bena, który podszedł, obwąchał Henry'ego w kroku z taką miną, jakby chciał go tam Chapman.

— Co wy robicie, do jasnej cholery? — wściekł się Henry.

— Osadzamy cię w areszcie — odparła Słonko. Przełożyła łańcuch przez kajdanki, kłódką spięła ogniówka razem, tworząc pętlę.

Lee ustawił krzesło pod samym słupkiem.

— Oto twój areszt — oświadczyła Słonko.

— Tu, pod gołym niebem? — zdziwił się Henry.

— Masz trochę cienia.

— Nie możecie tego zrobić.

— A pewnie, że mogę. Tylko mam nadzieję, że nie zgubię kluczy do kajdanek i kłódki. Siadaj, bo Clyde cię usadzi, jak mu każę. Przynieś Henry'emu trochę wody, Karen, poproszę.

— Tylko pogarszasz swoją sytuację.

— Siadaj, Henry.

— Jak długo zamierzasz mnie tu trzymać?

— Sama nie wiem. Muszę wymyślić, co z tobą zrobić, który szeryf cię od razu nie wypuści, który nie trzyma z Klanem albo nie jest z nimi spowinowacony, kto nie zmieni zdania, kiedy coś mu wpadnie do kieszeni.

— Możesz mieć większe problemy ze znalezieniem kogoś takiego, niż ci się wydaje — stwierdził Henry.

— Nie każdy jest zgniłkiem.

— Moim zdaniem każdy — odparł Henry. — Moim zdaniem, jak już przyjdzie co do czego, każdy jest zgniłkiem, albo w najgorszym razie pójdzie na kompromis. Tak to już jest na tym świecie, dziewczynko.

— Szanowny panie — wtrącił Lee — jeszcze raz powiesz pan do mojej córki „dziewczynko”, i zobaczymy, ile razy pogonię pana wokół tego słupka, zanim się łańcuch nie skończy.

Henry usiadł w milczeniu. Karen przyniosła wodę w kubku. Henry przyjął naczynie, cisnął nim o ziemię.

— Do diabła, Henry, do zmroku więcej nie dostaniesz — stwierdził Clyde.

— Mogę go poszczyć Benem? — zaofiarował się Gęsiak.

— Jeszcze nie, złotko — odparła Słonko.

Beżowy plymouth sunął przez mrok, bucząc niczym pszczoła, i choć było gorąco, okna mieli niemal całkiem zamknięte, ze względu na pasikoniki. Wszędzie było ich pełno. Nawet teraz, nocą, skakały przez światła z reflektorów, zostawiały małe placki na masce auta.

Klocek zjechał na pobocze, sięgnął po flaszkę whisky na siedzeniu, zdjął zakrętkę i pociągnął łyk, a woń gorzały napełniła powietrze. Wsiowy, siedzący z przodu po prawej, rzucił: — Na co ci to?

— Już i tak sporo wypilem.

— Właśnie o tym mówię. Więcej nie potrzebujesz.

— Nie rozumiem, czemu to ty jesteś szeryf. Wcześniej nawet o tobie nie słyszałem, a teraz, ledwie Kukuryk się zmył, ty zostałeś szeryfem. Raz jeden cię wcześniej widziałem, z tą rudą, a teraz ty jesteś szeryf.

— Po pierwsze, nie jestem głupi — odparł Wsiowy.

— Lepiej uważaj z pyskowaniem — ostrzegł go Klocek. — Nie chcesz chyba, żebym ci dokopał.

Wsiowy parsknął śmiechem.

Na tylnym siedzeniu Trąbka poprawił sobie strzelbę na kolanach i powiedział: — Po mojemu, to wszyscy powinniśmy sobie golnąć. Nie zawadziłoby nic a nic. Sam mógłbym w tej chwili wysiąść, iść stąd w cholerę, ale jak mam zostać i załatwić, co trzeba, to mi się przyda dobra lufa. Nam wszystkim, w ogóle.

Siedzący obok niego Dwaj, także ze strzelbą na kolanach, oznajmił: — Nikt nigdzie nie idzie.

— Otóż to — odezwała się jego druga osobowość. — Wszyscy zostajemy tutaj. Wrzucić bieg.

— A ja chcę się napić — uparł się Trąbka. — I nie będzie mi tu żaden czarnuch, co kopytem w czerep dostał, zabraniał whiskey. W ogóle co to jest, żeby czarnuchy białym rozkazywały.

Dwaj bez trudu uniósł strzelbę z ud, przystawił lufę do prawego ucha Trąbki i pociągnął za spust. Trąbce urwało czubek głowy, z okna poszła szyba, śruciny zabębniły po blachach nadwozia. Wsiowy miał cały kark we krwi, posoka zbryzgała tylne siedzenie, całego Dwaj, i czarny frak, i melonik, a wewnątrz plymoutha śmierdziało siarką.

Klocek szarpnięciem otworzył drzwi i wypadł na zewnątrz. Pogalopował przed samochód, oparł się oburącz o maskę. — O do diabła. O do diabła — zawołał.

Wsiowy nawet nie drgnął. Czuł, jak z karku ścieka mu krew Trąbki.

— Nie lubię ludzi, co zaczęły coś i nie kończą — stwierdził Dwaj.

— Ja też nie — odezwał się Drugi Dwaj.

— Prawda — dłonie Wsiowego drżały na strzelbie, którą miał w poprzek ud.

— Też takich nie lubię.

— Otwórz drzwi z tyłu — polecił Dwaj. — Wyciągnij go. Wsiowy ostrożnie, powoli położył strzelbę na siedzenie. Wolniej

i ostrożniej nie ruszałby nawet nadpękniętego zbuka. Nie patrzył w stronę tego Dwaj. Wsiadł, otworzył drzwi z tyłu. Wtedy Dwaj rzucił: — Cofnij się — i zaparł plecami o drzwi od swojej strony, po czym ułożył obie stopy na ciele Trąbki i kopnięciem wypchnął je z auta. Trąbka zwałił się na pobocze, wciąż siedząc. Wszędzie roilo się od pasikoników, więc wkrótce oblażyły też one i trupa.

Dwaj wysiadł z plymoutha, obszedł samochód, położył strzelbę na ziemi. Uniósł głowę trąbki, wielką dłonią jak wachlarzem rozpędził koniki polne, po czym nachylił się, aż zbliżył usta do warg Trąbki. Sięgnął za głowę nieboszczyka, zapierając długi kciuk i palec wskazujący w zawiasach zuchwy Trąbki, zacisnął palce i już otwarte usta trupa rozwarły się jeszcze szerzej. Dwaj schylił się jeszcze trochę, zakrył ustami usta Trąbki.

— Boże drogi — sapnął Wsiowy. — Co ty wyprawiasz, jak Boga kocham?

Dwaj przez chwilę zasysał coś z ust Trąbki. Potem upuścił trupa w pył drogi.

— To, czego chce Bóg — powiedział.

— Zjadłem jego duszę — dodał Drugi Dwaj. — Zjadłem ją, a słodka była.

— Boże drogi — jęknął Klocek sprzed samochodu.

Dwaj podniósł strzelbę, wstał, polecił Wsiowemu: — Ściągnij go stąd.

— Zaciągnij go tam w ten las — dodał Drugi Dwaj.

Wsiowy wykonał polecenie, i to w trymiga. Gdy włókł ciało Trąbki, pasikoniki pierzchały na wszystkie strony, a kiedy osiągnął skraj lasu, zauważył, że owady zeżarły całe listowie, że z krzaków zostały gołe kije. Wsiowy ciągnął Trąbkę dalej, przez ogołoczone chaszczki, aż pod większe drzewa, i zostawił go na sosnowych igłach.

Dwaj podszedł do Klocka i zapytał: — A ty masz jakiś problem z wykonywaniem poleceń?

— To nie było potrzebne — jęknął tamten. — On tak tylko j oj czy ł. Każdemu się zdarza, że ma wątpliwości. Ale nic by z tego nie było. Więc wcale nie musiałeś. My nie jesteśmy tacy jak ty... i jeden, i drugi ty, znaczy. Nigdy przedtem czegoś takiego nie robiliśmy.

Czarny olbrzym stał w milczeniu, dzierżąc strzelbę w ramionach. Przechylił głowę na bok.

— Już mi przeszło — dodał Klocek. — Żadnych wątpliwości.

Wsiowy urznął kawałek koszuli Trąbki, wytarł sobie krew z karku. Rzucił ścierkę na ziemię, wrócił do samochodu, wsiadł do środka. Strzelba nie wypaliła mu przy samym uchu, ale i tak dzwoniło. Wszystko słyszał na tyle dobrze, żeby zrozumieć, co mówią, ale tak, jakby słowa rozbrzmiewały gdzieś z jaskini.

Klocek odpalił silnik, mówiąc: — Chodzi mi tylko o to, Dwaj, że nie musiałeś tego robić. Chłop nie miał nic złego na myśli. Nerwy, i tyle. Miał żonę, dzieciaka.

— A co, ci tam niby nie mają? — spytał Dwaj. — Myślisz, że on jest od nich więcej wart? Tu nie ma co gadać o żonach i dzieciach, o tym, co dobre, a co złe. To wszystko bez znaczenia. Nie funkcjonuje w Bożym wszechświecie. Co i raz umiera jakiś noworodek. Co i raz umiera jakiś dziadek. Boga nie obchodzi, czy ktoś umrze. Dla niego liczą się tylko dusze.

A Drugi Dwaj dorzucił: — Myślicie, że dla mnie to ważne? Myślicie, że cokolwiek jest dla mnie ważne? Żony, dzieci, wszyscy umierają dokładnie tak samo. My zbieramy tyle dusz, ile tylko możemy, a gdy Bóg nas wezwie do siebie, oddamy Mu je. Nasza śmierć będzie znaczyć więcej niż śmierć wielu, bowiem myśmy są wielu.

— To widać — stwierdził Wsiowy, puszczając oko do Klocka. Dwaj powiedział: — Kiedy już skończymy, przyda się temu samochodowi porządne szorowanie.

— Będziemy też musieli zamówić szybę — dodał Drugi Dwaj. — i poprawić lakier. Brat McBride lubi ten samochód, będzie chciał, żeby wyglądał jak spod igły.

Gdy przyjechali tam, gdzie mieszkała Słonko, zamiast namiotu zastali tylko podłogę chaty, wychodek i wysoki słupek, gdzie Marilyn zaczęła pracę nad sznurem do rozwieszania bielizny.

— Wzięli i uciekli — stwierdził Klocek. — Obejdzie się bez zabijania.

— Nie sędę, żeby uciekli — odparł Wsiowy.

— Pewnie, że uciekli — uparł się Klocek. — Jak nie, skoro tu ich nie ma?

— Nie wiedzą, że jestem z wami — ciągnął Wsiowy. — Nie wiedzą, że mogę się domyślić, gdzie się wynieśli. Kryją się, owszem, ale to nie znaczy, że uciekli.

— Gadaj — zażądał Dwaj.

— Moim zdaniem powinniśmy sprawdzić u Clyde'a. Na ich miejscu tam bym się wybrał, zabrał namiot, zaczął gospodarzyć od nowa.

— Clyde'a? — spytał Dwaj.

— To zastępca konstabla.

— A co z Henrym? — pytał dalej Dwaj. — Brat McBride mówił, że dziś go aresztowano. Że jakaś służąca opowiedziała o tym komuś, ten ktoś puścił wieści dalej i w końcu dowiedział się też Brat McBride.

— Bo o nich w tym wszystkim chodzi — wyjaśnił Drugi Dwaj. — O Henry'ego. I tę kobietę.

— A wszyscy pozostali? — spytał Klocek. — O nich też?

— Owszem. I o tego Zenda — stwierdził Dwaj.

— Ale Zendo o niczym nie wie — zdziwił się Klocek.

— Teraz może już się dowiedział — odparł Drugi Dwaj. — Ale co z Henrym?

— Jest z nimi — powiedział Wsiowy. — W tej okolicy nikt by im nie pomógł. Muszą sami go pilnować. Jeśli są u Clyde'a, on będzie tam z nimi. Albo są u Clyde'a, albo u Marilyn, teściowej Słonka, chociaż tam chyba by jednak nie pojechali. To zbyt oczywiste, zbyt proste. Ale u Clyde'a byłoby im w sam raz.

— Świetnie — stwierdził Dwaj. — A ta teściowa?

— Nie wiem, czy ona też stanowi problem — odparł Wsiowy.

— Poddamy to pod rozwagę — oznajmił Drugi Dwaj. — Zawiadomię Brata McBride'a i on także to rozważy. Prowadź nas, Wsiowy. A ty, Klocek, wsiadaj za kierownicę.

Powinienem dostać coś ważnego do roboty — powiedział Gęsiak. — No bo była dla mnie pani taka dobra. I Lee też.

— Więc chciałabym, żebyś pomógł Clyde'owi — odparła Słonko. — Ja pojedę z tatą do Zenda, zobaczymy, jak sobie radzi Byku. Mam pewien pomysł, chyba niegorszy.

— Ale chciałbym pomóc — nalegał Gęsiak.

— Wiem, i dzięki, że prosisz. Zostań z Clyde'em, Karen i Benem, pilnujcie tego dziada Henry'ego i namiotu. To właśnie twoja robota, bardzo ważna robota.

Stali pod namiotem, niedaleko słupka, pod którym siedział skuty Henry, skąpany w blasku księżyca.

Na ziemi leżał talerz, z którego właśnie zjadł kolację — teraz wylizywał go Ben.

— Moglibyście może odciągnąć stąd tego psa? — zapytał Henry. — Niedawno wysikał się na ten słupek. Nie lubię, kiedy się przy mnie kręci. Wciąż mnie obwąchuje.

— Jakbym chciała gdzieś go zabrać, to bym go pewnie zabrała — odparła Słonko.

Z namiotu wyłonił się Lee. Wsiadł z córką do jej samochodu. — Jesteś pewna, że powinniśmy ich tu tak zostawić? — spytał.

— Nikt nie zna tego miejsca, nawet ludzie, co znają Clyde'a. On nie przyjmuje gości. Wyprowadzka tutaj to był dobry pomysł.

— Się nie dziwię, że nie ma gości, jak mieszka pod plandeką.

— Prawdę mówiąc, lepiej tak, niż w tym domu, co go spalił — stwierdziła Słonko. — A poza tym teraz jest namiot.

— W którym robi się powoli ciasno — wytknął Lee. — Jak już będzie po wszystkim, wrócimy na twój grunt i postawimy ci dom, pomożemy Clyde'owi postawić własny.

— Się zobaczy.

Gdy wyjechali na główną drogę, w światła złapali mnóstwo pasikoników i przejeżdżającego obok, płowego plymoutha.

Zwolnij tutaj — polecił Wsiowy. — Po ciemku łatwo przegapić ten zjazd. O, tutaj. Skręć tu. Droga kończy się przy jego domu.

— Daleko? — spytał Dwaj.

— Nie za bardzo. Kawalek. Ale niedaleko.

— Podjedź trochę, zjedź na pobocze i zaparkuj — polecił Klockowi Dwaj. — Podejźmy, obejrzymy ich sobie.

— Weźmiemy, co potrzebne Bogu — dodał Drugi Dwaj.

Klocek skręcił, a droga była pylista, gdy jechali, kurz unosił się niczym gęsta mgła, i wciąż wyskakiwały zeń pasikoniki, rozbryzgiwały się na przedniej szybie, która i tak lepiała się już od nich. Klocek podjechał kawalek, zjechał na pobocze na przesiece, wyłączył światła i silnik.

Wsiowy i Dwaj mieli strzelby, dwunastki. Klocek — rewolwer kaliber czterdzieści pięć. Dwaj stwierdził: — My mówimy, co i jak.

— Tak jest, wy tu rządzącie, chłopaki — odparł Wsiowy.

— Znaczy, mówicie „wy”, a chodzi o ciebie? — upewnił się Klocek.

— Chodzi o nas obu — wyjaśnił Dwaj.

— Aha, rozumiem. Chyba — pokiwał głową Klocek.

Wysiedli z samochodu, podeszli drogą, aż Dwaj kazał im się zatrzymać.

— My pójdziemy przodem — oznajmił. — Wy idźcie dalej drogą. Kiedy usłyszycie, że strzelamy, grzejcie biegiem.

— Czemu po prostu się do nich nie podkradniemy? — spytał Klocek.

Dwaj powoli obrócił głowę. Zdjął melonik, strząsnął pot z czoła. W blasku księżycy podkowiasta blizna wyglądała jak świeża rana. — My się podkradniemy.

— My... znaczy wy dwaj? — zapytał Klocek.

— Otóż to — odparł Drugi Dwaj. — Jasne?

— Pewnie.

Dwaj kiwnął głową, szybko przemierzył drogę, zapuścił się w las i zniknął.

— Powiem tak: wracajmy do auta, jedźmy stąd, i to w cholerę — zaproponował wtedy Klocek.

— Z tego będą niezłe pieniądze — odparł Wsiowy.

— Czy ja mówię, że nie? Mówię, że już mnie to nie bawi. Trąbka też miał dostać kupę forsy, nie? A teraz gówna dostanie. Co mu po pieniądzach?

— Jemu nic, ale może my się bardziej obłowimy — powiedział Wsiowy. — Możemy zapytać McBride'a o działkę Trąbki. Możemy się nią podzielić, czy coś.

Klocek wbił wzrok w pylistą drogę. — No, ja nie wiem, czy chcę strzelać do kobiet. W ogóle nie wiem, czy mam chęć kogoś zabić. Trąbka... no, że on tak zginął, to już dla mnie zbyt dużo. Raz ustrzeliłem jelenia, zaraz żem się porzygał.

— Nie możesz o nich myśleć, jak o ludziach. Pomyśl, że to tylko cele, Klocek. Tylko tak dasz radę.

— Byłeś jej kolega.

— Wobec niej czuję teraz dokładnie to samo, co i przedtem. Za jej tatą nie przepadam, za Clyde'em też nie, bo tak mnie załatwili, ale co

do niej, czuję dokładnie to samo. Tu wcale nie chodzi o to, co do kogo czujesz.

— Akurat, psiakrew.

— Idziesz czy nie?

I akurat wtedy usłyszeli huk wystrzału ze strzelby, więc Wsiowy rzucił: — To Dwaj. Znaczy, czas na nas.

Puścił się truchtem po drodze, a Klocek, po chwili wahania, ruszył za nim.

A wyszło tak, że Dwaj podchodził ku domostwu Clyde'a od lewej, szedł przez las ze strzelbą w gotowości, cichszy niż zdechła mysz w kłębku waty, a gdy dotarł do miejsca, z którego widział już Henry'ego przykutego do słupa, wspomniawszy słowa McBride'a. Ten powiedział mu bowiem: „Bracie, z Henry'ego nie ma dla nas pożytku. Facet za dużo gada i nigdy nie będzie mu w smak, że się dzieli z czarnuchem. Nie potrzebuje tych pieniędzy, co mu się niby należą. A nam, bracie, się przydadzą. Henry już się skończył. Teraz to tylko kolejna dusza, którą możesz zebrać”.

Dwaj wyłonił się z lasu i ruszył w stronę Henry'ego. Ten uniósł wzrok, dostrzegł go i powiedział cicho: — Miło cię widzieć, Dwaj.

— Nawzajem — Dwaj uniósł lufę i strzelił, a Henry'ego zmiotło z krzesła i cisnęło nim o słupek.

Dwaj przeładował, bo warcząc, nadbiegał już Ben. Strzelił do psa, który runął jak podcięty. Ben przejechał się jeszcze kawałek w pyle, zaskowyczał i leżał nieruchomo, tylko bok unosił mu się i opadał wielkimi zrywami.

Pierwszy strzał sprawił, że Clyde wytknął głowę z namiotu, ale zaraz ją schował, gdy kolejny powalił Bena. Gdy zaczęła się strzelanina, Clyde nie miał broni pod ręką, więc schował się do namiotu i złapał za strzelbę. Znów wyjrzał — czarnoskóry morderca podszedł już znacznie bliżej i właśnie dokonał na Henrym poprawki, wpakował weń kolejny ładunek śrutu, prosto w tors, po czym pochylił się nad nim tak, że byli twarzą w twarz. Clyde chciał już strzelać, ale uniósł wzrok i zobaczył, że wśród kurzu na drodze nadbiegają Wsiowy i Klocek, jeden ze strzelbą, drugi z rewolwerem w garści, i już wiedział, jak ich znaleźć.

— Wiejemy tyłem — polecił, popychając w tamtym kierunku Gęsiaka, który rwał się na dwór z jednym z pistoletów Clyde'a. Karen już była przy tylnej ścianie namiotu.

Clyde wyciągnął kozik, rozłożył ostrze. Tuż przed tym, jak Dwaj odchylił wejściową klapę namiotu, zdążył rozciąć tylną ścianę i całą trójką wypadli na zewnątrz, puścili się biegiem przez las, a polne koniki, trzepocząc skrzydełkami, wzbijały się w powietrze wszędzie dokoła. Słyszeli, że za nimi ktoś biegnie — gdy Clyde obejrzał się przez ramię, dostrzegł tego wielkiego Murzyna w meloniku, który powoli ich doganiał, naprawdę pędził, jak na swoje rozmiary, a poruszał się tak płynnie, jakby sam był częścią nocy.

— W lewo — sapnął Clyde, wiedząc, że zaraz wpadną na ścieżkę. — W lewo.

Karen wykonała polecenie. Ścieżka była wąska, blask księżycy wiązał wśród drzew. Karen miała na sobie sukienkę, w którą wczepiały się wąsy jeżyn — Clyde słyszał trzask dartego materiału, stęknienia dziewczyny, gdy jeżynowe ciernie kaleczyły jej ciało.

Kiedy tak biegli, Gęsiak został za Clyde'em, więc ten obejrzał się teraz znowu, szukając go wzrokiem.

Chłopak gdzieś przepadł.

Gęsiak pomyślał sobie: Słonko kazała mi tu wszystkiego pilnować, a ja nie dopilnowałem. Po prostu dałem dyla. Wszyscy żeśmy dali dyla.

Więc, z pistoletem ciężącym w dłoni, zawrócił biegiem ku Dwóm, myśląc: Wezmę go z zaskoczenia. Zastrzelę gnoja, zanim się skapnie, że go dopadłem.

I właśnie mijał zakręt ścieżki, unosząc broń, gotów zaskoczyć Dwóch, gdy ten wielki Murzyn wziął i go zaskoczył, pojawił się znienacka, jakby poderwał się z gołej ziemi niczym gigantyczny pasikonik.

Więc Gęsiak zatrzymał się, wycelował trzymany oburącz pistolet, pociągnął za spust i pomyślał: „Jak mógłbym spudłować? Jestem tak blisko...” A jednak spudłował.

A Dwaj nie. Ładunek śrutu poderwał Gęsiaka, cisnął nim wstecz, rzucił o ziemię. Gęsiak próbował znów wycelować, ale uświadomił sobie, że już nie trzyma rewolweru. W ogóle niczego nie miał w dłoni. Gorzej, śruciny urwały mu prawy kciuk i parę palców, i poszły dalej, rozerwały brzuch. Nie czuł bólu, tylko gorąco. Był otumaniony, nie mógł złapać oddechu.

A teraz ten olbrzym w meloniku stał nad nim. Padł na kolana obok Gęsiaka. Ściągnął kapelusz i położył go na ziemi. — Jesteś świeżutki, mały — powiedział. — Zupełnie świeżutki.

— Takich lubimy najbardziej — dodał Drugi Dwaj.

Gęsiak próbował coś z tego zrozumieć, jak to, że jeden człowiek, a dwa głosy, ale nie mógł, i w ogóle nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że wyszedł na totalnego idiotę, że tak pobiegł z powrotem, a teraz umierał, i dobrze o tym wiedział, a jeszcze nawet nie miał żadnej dupy, no, w ogóle mało co zaliczył, tyle że się naharował, a teraz już było po wszystkim, i zaraz ten Murzyn przywarł ustami do warg Gęsiaka i zaczął ssać, a chłopak próbował go uderzyć, ale ręce się go nie słuchały, chciał ugryźć, ale nawet śniegu by nie Chapman, taki był słaby, i już nie czuł gorąca, tylko chłód, poczuł też w końcu ból, ale to nie potrwało długo, bo już po chwili przestał cokolwiek czuć.

Clyde chciał zawrócić, już prawie ruszył z powrotem, ale musiał chronić Karen, a Gęsiak mógł przecież skrócić w inną ścieżkę, choć Clyde jakoś tu żadnej nie kojarzył, a w końcu trochę te lasy znał. Biegł więc dalej za Karen.

Osiągnęli koniec ścieżki. Stali teraz nad brzegiem potoku, a tu wznosił się on wysoko, rosło na nim sporo drzew, których korzenie zwisały w powietrzu. Clyde złapał Karen za ramię, mówiąc: — Opuszczę cię tam w dół.

Ujęła jego dłoń, a Clyde wychylił się, uniósł dziewczynę jak laleczkę, delikatnie opuścił ją z brzegu, niżej, niżej. — Złap tę gałąź i wsuń się tam pod nią. Będzie nisza.

Był tam taki zakamarek wypłukany przez wodę pod korzeniami, niewidoczny z miejsca, w którym stali nad potokiem. Nisza była całkiem spora. Gdy Clyde opuścił Karen wystarczająco nisko, dziewczyna przytrzymała się korzeni, puściła jego rękę i wślizgnęła się do kryjówki. Clyde miał tylko nadzieję, że nie wprowadziły się tam węże.

Gdy już znikła z pola widzenia, nachylił się nad samą krawędź urwiska i zawołał półgłosem: — Słyszysz mnie?

— Tak.

— Podam ci tam na dół strzelbę. Bądź ostrożna. Wyciągnij rękę i złap. Rozbujam ją na pasku od spodni.

— Dobra — odpowiedziała Karen.

Zdjął pasek, uwiązał go do kolby strzelby, znów pochylił się nad samą krawędź i wypuścił pas na tyle, że wahnięcie spowodowało broń pod samą niszę. Karen złapała strzelbę, więc puścił pas.

Trzymając się korzenia, przerzucił się przez krawędź urwiska, znalazł nowy uchwyt i opuścił się na tyle, że mógł już wsunąć się do kryjówki obok Karen. Musiał trochę przekrzywić głowę, żeby się zmie-

ścić, ale poza tym wszystko było tak, jak pamiętał. Kiedyś poszedł na ryby, musiał wejść w strumień, bo mu się żyłka zaplątała, i wtedy zauważył tę niszę. Była wysoka prawie na pół chłopa, bardzo szeroka, bardzo głęboka. Teraz cała różnica polegała na tym, że od tamtego czasu strumień parę razy wezbrał, i otwór jeszcze się powiększył.

Gdy poczuł, że Karen jest blisko niego, przykucnięta, oparta o jego ramię, sięgnął do kieszeni, wyjął zapalki, skrzesał jedną.

W głębi wnęki siedział bóbr — zasyczał na nich, obnażył zęby. W niepewnym świetle zapalki wyglądał jak wielki, kudłaty szczur.

Karen przywarła jeszcze bliżej do Clyde'a.

— Potrzyj no zapalkę — powiedział jej, a sam złapał strzelbę i szturchał bobra lufą, aż ten rzucił się obok nich. Karen pisnęła cicho z wrażenia, ale zwierzę skoczyło do wody i odpłynęło.

Zapalka zgasła.

— Teraz już cicho — poleciał Clyde. — Wsuń się tam głęboko i ani słowa.

— Boję się — wyznała Karen.

— To jest nas dwoje.

— AGęsiak?

— O nim nie ma co teraz myśleć. Cicho bądź, mówię.

Wsunęli się w głąb, tak daleko, jak się dało, i już nie kucali, tylko siedli i czekali, nasłuchując.

U wejścia na ścieżkę, którą uciekli Clyde i Karen, Dwaj dostrzegł, że zarastające ją niegdyś pędy jeżyn zostały rozerwane, rozepchnięte.

Gdy tak stał i patrzył, nadeszli Wsiowy i Klocek. Ten ostatni chował rewolwer do kabury.

— Ślamazary — stwierdził Dwaj.

— Już wszystkich żeś wystrzelał? — spytał Klocek. — Widzieliśmy tego chłopaka. Toż to był dzieciak.

— Milczeć — odparł Drugi Dwaj. — Tamci poszli tędy.

— Słonko? — spytał Wsiowy.

— Duży facet i dziewczyna — odparł Dwaj.

— Pewnie Clyde i Karen.

— Henry'ego też żeś zastrzelił — podjął Klocek. — Myślałem, że przyszedliśmy tu po niego.

— No i żeśmy go dostali — powiedział Drugi Dwaj.

— Dostałeś i jego, i Trąbkę. Co ci broni zgarnąć jeszcze i nas? — spytał Klocek. — Może i nam chcesz possać usta. Psa wyssałeś?

— Nie ma duszy — odparł Dwaj. — Bóg nie dał zwierzętom dusz.

— A tobie? Ty jakąś masz?

Dwaj złapał Klocka za koszulę, pchnął go wstecz. Klocek opuścił rękę na kaburę, ale nie wyciągnął broni. — No dobra, dobra — powiedział.

— Dosyć — uciął Dwaj. — Ani słowa. Klocek skinął głową.

Dwaj pokłusował ścieżką, Wsiowy i Klocek za nim.

Clyde i Karen siedzieli w niszy, słyszeli pohukiwanie sowy, szum płynącej wody. Widzieli w blasku księżyca, jak szop przeprowił się przez potok, wygramolił się na przeciwny brzeg, zniknął wśród krzewów i drzew. Pasikoniki terkotały, szeleściły w chaszczach. Widzieli, jak woda niesie setki ich truchełek.

Po chwili usłyszeli chrzęst deptanych liści i czego tam jeszcze, zbliżający się tupot biegnących stóp. Karen stężała, schwyciła Clyde'a. Ten siedział po turecku, nasłuchując, ze strzelbą opartą o jedno udo. W niszy było gorąco, pot ściekał mu po twarzy, oblepiał koszulę od wewnątrz. Clyde czuł, że i Karen jest mokra od potu, czuł też jednak coś jeszcze. Lęk.

Biegnący zatrzymali się nad nimi, słychać było tylko, że ktoś ciężko oddycha. Clyde podejrzewał, że to Klocek. Pomyślał sobie: Właśnie tu się zatrzymali? Czemu? Widzą jakieś ślady?

Nie. Żadnych śladów. Ci goście nie mają pojęcia o śladach.

A może jednak?

Może dostrzegą, gdzie zeszli ze ścieżki, opuścili się po zboczu urwiska?

A nawet gdyby to zauważyli, skąd mają wiedzieć, że jest tu ta wnęka? Może zejda do samego potoku, a wtedy miałby ich stąd na widelcu.

Tyle że ich było trzech. A on musiał pilnować dziewczyny.

Może jednak zatrzymali się, bo tu ścieżka robiła się szersza, było gdzie stanąć, odsapnąć. Może...

— To bez sensu — usłyszał głos Wsiowego. — Clyde zna te lasy jak jaka wiewiórka, psiakrew.

Po chwili rozległ się kolejny głos — pewnie tego Murzyna, choć brzmiał jak kształcony, bardzo elegancki, można by rzec, czarny Janke: — Brat McBride nie będzie zadowolony.

— Powinniśmy się cofnąć, zaczekać tam na nich — powiedział ktoś jeszcze, i Clyde nie miał pojęcia, kto to. Ani nie brzmiał jak kolo-

rowy, ani jak południowiec. Może to ten drugi biały? Ale nie, Clyde widywał go już nieraz, wiedział, że to tutejszy, a ten głos nie pasował do tutejszych. Był z nimi ktoś czwarty? Kogoś nie zauważył?

— Nie — odezwał się ten głos, który zdaniem Clyde'a należał do Murzyna. — Nie wróć tu. Tego nie zrobią.

I znów były kroki, a potem cisza, i Karen i Clyde przez dłuższy czas siedzieli i słuchali niczego. Wtedy zaś rozległa się eksplozja. Tak głośna, że Karen aż trochę zaskomliła.

Zasłoniła twarz dłonią, zgięła się wpool. Clyde wyciągnął rękę, poklepał ją po plecach.

Zorientował się, że sam ciężko dyszy. Wziął głęboki wdech, powoli wypuścił powietrze przez nos.

Spokojnie, powiedział sobie.

Spokojnie. Sądząc po dźwięku, gruchnęło dobry kawałek stąd. Po prostu było głośno. Może strzał, ale raczej nie. Nie. To nie był strzał. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był pewien, że to nie był strzał.

Więc co?

Odczekali może jeszcze z pięć minut, Clyde liczył w głowie, aż wydawało mu się, że minęło pięć minut.

Myślał sobie: Nie, nie wychodź tam na górę. Pewnie na to właśnie czekają. Żebyśmy tylko wystawili czubek nosa. Może tak właśnie jest. Czekają na nas w zasadzce.

Ale ten wybuch? Co to było?

Położył sobie strzelbę na kolanach, wytarł w koszulę spocone dłonie. Ręką otarł pot z oczu i znów musiał ją wytrzeć w koszulę.

Czekali. Minęło dwadzieścia minut, czy coś koło tego. I znów Clyde rachował sobie w głowie, aż uznał, że może te dwadzieścia wystarczy.

Pochylił się, przyłożył wargi do ucha Karen.

— Weź strzelbę. Wysunę się stąd, do potoku. Podejdę kawałeczek pod prąd.

— Nie!

— Podejdę tam kawałek, znajdę od tyłu, zobaczę, czy ktoś się na nas czai. Jeśli nie, zawołam cię z góry. Jeśli nie zawołam, jeśli ktokolwiek wetknie głowę tu do dziury, zacznie się gramolić, strzelaj, żeby zabić.

— Clyde...

— Siedź cicho.

Znów ściszyła głos. — Poczekaj troszeczkę. Boję się. Weź, zaczekaj.

— Poczekamy jeszcze trochę, ale nie za długo — odparł.

Poczekali więc, i to całkiem długo, aż wreszcie Clyde wyślizgnął się z wypłukanej niszy, zwiesił na korzeniach i zsunął do potoku. Starał się nie hałasować, lecz mimo wszystko woda pluskała, gdy w niej brodził, roztrzacając trupki pasikoników. Zszedł pod ten brzeg, w którym była wymyta nisza, wspiął się na urwisko, rozłożył kozik.

Od kryjówki dzieliła go pewna odległość z nurtem potoku — widział z tego miejsca zalaną księżycowym blaskiem ścieżkę i miejsce, w którym zatrzymali się tamci, teraz jednak już ich tam nie było. Pod-kradł się więc tam i pomiędzy drzewami, wysoko, dostrzegł przebłysk światła, jakby słońce przedwcześnie wstało, całe nabrzmiałe.

Była to luna pożaru.

Podszedł nad urwisko, przyklęknął na kolano i szepnął: — Karen, to ja. Podaj no strzelbę, jeśli dasz radę.

Ręka Karen wychyłała z niszy, schwyciła korzeń, i dziewczyna wysunęła się na zewnątrz, plecami do wody, podtrzymując się tą jedną ręką, drugą zaś unosząc ku Clyde'owi strzelbę. Złapał broń, a wtedy Karen rozkołysała się na korzeniu, znalazła oparcie dla stóp i zaczęła piąć się w górę. Chwycił ją za nadgarstek, pomógł sforsować ostatni odcinek trasy.

— Poszli już? — spytała.

— Stąd, tak. Wrócili pod namiot. Wskazał jej lunę przebijającą zza drzew.

— Boże... Co z Gęsiakiem? Pokręcił głową. — Nie wiem.

Ostrożnie ruszyli z powrotem tą samą ścieżką i natknęli się na Gę-siaka, rozciągniętego na szlaku. Okaleczoną dłoń miał przy piersi, obok leżał roztrzaskany rewolwer, z którego próbował zastrzelić Dwóch.

Karen padła na kolana, dotknęła jego głowy i rozplakała się nie-głośno. — Po co to robili? Po co to wszystko zrobili? Dlaczego?

— Dla pieniędzy, kochana — odparł Clyde. — Zajmę się nim później. Zostaw go.

Karen pochyliła się, ucałowała zimne czoło Gęsiaka.

Przez dłuższy czas kryli się w lesie, aż w końcu Clyde samotnie zapuścił się pod namiot. Zobaczył, że pali się tam jak sto diabłów, zrozumiał też, co wybuchło. Podpalili jego pickupa, pewnie wetknęli szmatę do baku, i to on tak rąbnął. Spalili też namiot i jego plandekę. Ci goście nie uznawali półśrodków, co to, to nie.

Podkradł się jeszcze bliżej, ze strzelbą gotową do strzału, ale nie natknął się na żaden cel. Ciało Henry'ego wciąż spoczywało pod słupkiem, zwłoki Bena zaraz obok.

Clyde cofnął się po Karen, wrócili pod namiot i zaczęli wiadrem ciągnąć wodę ze studni, nosić ją garnkami, próbując zmoczyć trawę poza obecnym zasięgiem pożaru, żeby nie rozniósł się w las, do wysuszonych na wiór drzew.

36

Domek w lesie, gdzie Pete mieszkał z Jimmie Jo, nie był może duży, ale znacznie porządniejszy od tego, w którym żył Zendo z rodziną.

— Niby mówi mi pani, że to nasz dom... — Zendo zwrócił się do Słonka.

— Mówię, że będzie, kiedy wszystko uda się załatwić — odparła.

— Teraz nikt tu nie mieszka, nikt też się was tu nie spodziewa, więc bezpieczniej siedzieć tutaj, niż u was w domu. Na parę dni wstrzymałabym się też od roboty w polu. Wytrzymasz chyba, nie?

— No, chyba tak.

— Tylko na parę dni — poparł córkę Lee.

— No i Byku będzie tu z wami — podjęła Słonko. — Co nie, Byku?

— Jasne — Byku znalazł sobie krzesło i usiadł, potężną strzelbę kładąc na kolanach.

— Tak się tylko dziwnie czuję, że mam mieszkać w cudzym domu

— stwierdził Zendo.

— Twój pies uwalil się na ganku i pysk mu się cieszy — odparł Lee. — On wie, że jest w domu. A świniak nawet wlaźł za tobą do izby.

Świniak leżał na podłodze na wznak, racicami do góry, cały szczęśliwy, bo nie znał przyszłości, nie wiedział, że skończy jako słonina.

— Zrozumże — powiedziała Słonko. — Zbudowali ten dom na twoim gruncie. Cała ropa, jaka jest pod tą działką, to twoja własność, Zendo. Jesteś bogaty.

— Będę trup, ot co — odpowiedział Zendo. — Na co komu majątek, jak nie żyje.

— Temu właśnie zamierzamy zapobiec — odparła Słonko. — Dopilnujemy, żeby cię nie zabili i żeby nie ukradli ci ziemi. Aresztowaliśmy już Henry'ego, a jak wymyślę, co dalej, to zajmiemy się i resztą.

A tymczasem, moim zdaniem, tutaj będziesz bezpieczniejszy. Zresztą dom stoi na twojej ziemi, więc jeśli o mnie chodzi, i tak jest twój.

— A ona jest konstabl — stwierdził Byku.

— Jakbyśmy o tym wszystkim nie wiedzieli, byśmy się nie musieli kryć — odezwała się żona Zenda, z malutkim dzieckiem uczeponym u nogi. — Byśmy nie mieli ropy, ale nie byłoby się co kryć.

— Prędzej czy później i tak by po was przyszli — odparła Słonko. — Czy byście wiedzieli, czy nie.

— Mnie się to nijak nie podoba — stwierdził Zendo.

— Przykro mi, że tak się ułożyło — powiedziała Słonko. — Ale tak już jest. My z tatą musimy już wracać. Muszę wymyślić, co dalej z Henrym, do kogo pójść, żeby mnie poparli. Byku, potrzebujesz czego?

— Chyba żeby mi ze dwadzieścia lat odjęło — odparł. — Bo tak, to nie.

Pierwszym, co rzuciło się Słonku w oczy przez upstrzoną owadziemi trupkami szybę, były ryczące, strzelające pod niebo płomienie i sylwetki skaczących wysoko pasikoników. Potem zauważyła pickupa Clyde'a, czy raczej jego gorejący szkielet: podmuch wypchnął szyby i otworzył drzwi, a podłogę paki w ogóle zerwał. Jej szczątki wały się opodal, stercząc tylną burtą ku gwiazdom.

— O Jezu — stęknęła. — Karen.

Dodała gazu i wjechałaby prosto w płomienie, gdyby Lee nie wrzasnął na nią, żeby się zatrzymała. Stała i wyskoczyła z samochodu z krzykiem, wzywając córkę. Lee wysiadł za nią.

Zaczął nawoływać. Najpierw Karen, potem Clyde'a. Zobaczył, że Słonko pochyla się nad czymś na ziemi. Podeszedł bliżej, dostrzegł, że to Ben — gdy Słonko dotknęła psa i podniosła dłonie, były wymazane na czerwono.

Znaleźli też Henry'ego. Ogień już do niego dotarł, pochłonął jedną nogę i pełzł dalej. Lee deptał trupa, aż nie zdusił płomieni. Okrążyli potem górę płomieni, w którą zmienił się namiot, aż wreszcie Słonko, widząc, że poza ogniem nie ma tu już niczego, straciła siłę w nogach. Zwiotczała, ale Lee zdążył ją złapać.

— Nie znaczy, że ona była w środku — powiedział.

Dostrzegli ruch, sylwetki za płomieniami. Po chwili wyłoniły się one zza ściany ognia, jedna z wiadrem po melasie, druga z dużym garnkiem.

Karen i Clyde.

To Wsiowy — powiedział Clyde.

Wszyscy załadowali się do samochodu Słonka i pojechali stamtąd, skręcili z drogi w wąską przesiekę do karczowiska.

— Wiedziałam, że jest z niego gnój — stwierdziła Słonko. — Ale coś takiego... Chryste. To wszystko moja wina. To wszystko, wszystko moja wina.

— To wina tego sukinkota — zaproponował Clyde. — To on ściągnął tu Klocka i tego czarnego luda. Wielkiego jak Byku. Tego, co mi o nim opowiadałaś.

— Dwaj — powiedziała.

— Biedny Gęsiak — odezwał się Lee. — Powiedzieć, że go lubiłem, to mało.

— Ja też — jęknęła Karen. — Mamuś, ledwie mogę oddychać.

— Muszę tam wrócić i go pochować — podjął Lee. — Muszę to zaraz załatwić. Muszę go zobaczyć.

— Nie — ucięła Słonko.

— Jak to nie?

— Próbowałam załatwić to powoli — odparła. — Wszystko po bożemu, krok po kroku. Że najpierw aresztujemy Henry'ego. Ale go zabili. Zabili też Gęsiaka i Bena, próbowali i Clyde'a. I to moja wina. Bo mi się wydawało, że jesteśmy bezpieczni. Już czas z tym skończyć. Aresztować ich wszystkich. Widziałeś ich, Clyde. Mało, że jesteś świadkiem, to jeszcze i zastępcą konstabla. Ty, Karen, też ich widziałaś. Wiemy, kim są i co zrobili. Muszę ich aresztować. Mam pełne prawo. Są pod moją jurysdykcją.

— Ten kolorowy... — zaczął Clyde. — On mi nie wyglądał na wątlęgo. Wsiowy, jak się przekonałem, też nie jest mikry.

— Ale tata dał mu popalić — wytknęła Słonko.

— To na bank.

— Zabierzemy Byka, pojedziemy do miasta i zgarniemy ich wszystkich.

— A Gęsiak? — spytał Lee.

— Zrozumie, że musiał poczekać — odparła. — Chciałby, żebyśmy ich dopadli. A McBride i jego kolesie nie będą się spodziewali, że przyjdziemy po nich tak szybko. Bierzymy Byka, każemy otworzyć sklep w osadzie, weźmiemy broń i amunicję i idziemy po McBride'a, tego Dwaj, i Klocka, a już szczególnie po Wsiowego.

— Tyle broni — mruknął Clyde. — To mi nie wygląda na zwykłe aresztowanie.

— Jakoś musimy ich przekonać — powiedziała. — A oni są z takich, co to wymagają silnej perswazji. Ale jak się da, to ich aresztujemy. Nie jesteśmy tacy, jak oni. Najpierw jednak musimy coś zrobić, żeby pożar nie poszedł dalej.

Pożar sam się dopalił, oni zaś ciągnęli wodę ze studni i zlewali starannie ziemię dokoła. Potem pojechali od razu do osady Rapture, gdzie Słonko nie zawracała sobie głowy szukaniem kierownika sklepu, tylko wyjęła z bagażnika łyżkę do opon, wyważyła tylne drzwi i weszli do środka. Przyświecając sobie latarką, zabrali, czego potrzebowali — broń, w tym wszystkie strzelby, i amunicję. Podeszli do Marilyn, wyciągnęli ją z łóżka i wcisnęli się jakoś do samochodu. Wtedy pojechali tam, gdzie ukrył się Zendo z rodziną i Bykiem.

— No ale mówiła pani, że Byku będzie z nami — powiedział Zendo.

— Wiem, że mówiłam. Pozmieniało się, niestety.

Wyjaśniła im, co się zdarzyło, i dodała: — Teraz nie mają do was głowy. A nawet jeśli, to i tak nie wiedzą, że tu jesteście. Jeśli wolicie, możecie się ukryć w lesie. Ale Byka muszę zabrać. Jeśli się zdarzy, że nie damy wam żadnego znaku, powiedzmy do dziś wieczora, powinniście stąd wiać.

— Niby gdzie? — spytała żona Zenda.

— Nie wiem — przyznała Słonko.

Byku wstał i powiedział: — Masz tu strzelbę, Zendo. Wystarczy za towarzystwo. Myślę, że nasza konstabl ma słuszną rację. Czas się za nich zabrać. Jakby to ode mnie zależało, w ogóle od tego bym zaczął. No, ale ja tam nie jestem żaden policjant.

— Będą mieli z nami tyle zamieszania, że o was nawet nie pomyślą, Zendo — wtrącił Lee.

— Jakbym nie sądziła, że jesteście tu bezpieczni, nie poprosiłabym was, żebyście zaopiekowali się też Karen — dodała Słonko. — No ale, jak mówiłam, jeśli się nie odezwiemy, wiejcie stąd i zabierzcie ją ze sobą.

— Oj, mamuś — jęknęła Karen.

— Wrócimy — zapewniła ją Słonko. — Ja tylko tak, na wszelki wypadek.

— No bo Gęsiak to już jednak nie wróci, prawda? — spytała Karen.
— Musisz być silna.
— Boję się — wyznał Zendo. — Nijak wam tu nie kłamię.
— Wszyscy się boimy — odparła Słonko. — Tyle że mnie już szlag trafia, że mam się bać, że nie wiem, co jest grane, że oskarżają mnie o rzeczy, których nie popełniłam. Szlag mnie trafia, kiedy grube ryby i bandziory kantuja, kradną i mordują, i że nie wiedziałam, że jeden z moich własnych zastępców był załganym skurwysynem. Zabili dzieciaka, Gęsiaka. Dobry był chłopak. Zabili jednego ze swoich, zastrzelili go, przykutego do słupa. I psa mi zabili.
Zebrali się w gromadkę, rozdzielili broń. Każdy wziął sobie strzelbę — pompkę kaliber dwanaście i pudełko naboju. Załadowali magazynki, resztę naboju poupychali po kieszeniach.
Słonko upewniła się, że w jej trzydziestce ósemce jest sześć kul. Tylko ona i Byku mieli pistolety. Oddała swój Karen, mówiąc: — Tylko sama siebie nie postrzel.
Potem zwróciła się do Byka i Lee i powiedziała: — Byku, tato, z mocy sprawowanego urzędu mianuję was zastępcami konstabla.
— Kurde, można i Murzyna? — zdziwił się Byku.
— Dziś tak — odparła.
A świniak chrząknął. — Zuch kaban — stwierdził wtedy Clyde. — Na waszym miejscu bym go nie dał do gara.

Gdy wysypali się z domku, by wsiąść do samochodu, w powietrzu niósł się dziwny dźwięk, coś jakby potężne westchnienie. Zadarli głowy i zobaczyli, że księżyc zniknął za chmurą pasikoników, a odgłos ich przelotu wzmagął się — od westchnień, przez brzęczenie, aż po donośne buczenie, które przypominało zebrany dźwięk wielkiej piły w tartaku w Rapture. Wtedy jeszcze o tym nie wiedzieli, ale szarańczaki zaliczyły już wizytę na polu Zenda. Do końca lata mógł sobie odpuścić wszystkie prace polowe, bo w ciągu paru minut, gdy w blasku księżycy wylądowała ciemna chmara insektów, zostały tam tylko korzonki ukryte w żyznej glebie. Potem pasikoniki poleciały dalej, zaćmiewając niebo nad Słonkiem i jej towarzyszami.

Konstabl prowadziła, Clyde siedział obok niej. Byku i Lee zajęli siedzenie z tyłu. Nadchodził świt, ciemne niebo przejaśniało się, ale przednia szyba była tak zapaskudzona rozgniecionymi insektami, że w końcu Słonko musiała zatrzymać wóz i zdrapać to wszystko znale-

zionym patykiem. Ze schowka na rękawiczki wyciągnęła szmatę, żeby przetrzeć jeszcze szybę, ale tylko rozmazała brud. Gdy szorowała okno, uderzały w nią miotające się owady, aż bolało. Musieli się zatrzymać jeszcze dwa razy, żeby czyścić szybę — najpierw przypadło to w udziale Clyde'owi, potem przyszła kolej Lee.

Gdy zrobiło się dość jasno, ujrzeni coś niesamowitego.

Pejzaż dokoła zupełnie się odmienił, znikła zeń wszelka zieleń. Drzewa wyglądały jak szkielety olbrzymów, co pospadały tu z nieba, i gołe gnaty sterczały z nich teraz na wszystkie strony. Przy ziemi było tak samo. Zamiast zieleni — tylko szarość i brąz, a ćwierkanie pasikoników nasilało się i słabło, kiedy żarłocznie spędzały ten niedzielny poranek. W samochód uderzały tak mocno, że Słonko widziała, jak odpryskuje lakier.

Przez boje z wykrotami i owadami do Holiday wjechali bardzo powoli. W nabierającym mocy świetle poranka zobaczyli, że domy i ulice giną pod falami szarańczaków, a na wzgórzu, na nawisie nad apteką, na ich oczach znikło wszystko, co zielone. Zupełnie jakby widzieli trick iluzjonisty.

Minęli aptekę i apartament nad nią, zajechali pod biuro szeryfa, wyskoczyli z wozu. Przedarli się przez nawałę pasikoników, niczym oceaniczny przybój. Ta fala zbiła Słonko z nóg, pozostałym splątała nogi, tylko Byku się jej oparł. Weszli do siedziby szeryfa frontowymi drzwiami, pojedynczo, z bronią w pogotowiu.

Kłoczek siedział za biurkiem, jakby na nich czekał. Ręce miał na widoku, dłonie oparte o blat. Słonko wrzasnęła, wetknęła mu lufę strzelby pod brodę.

— Śmiało — powiedział. — Skończ z tym. Nikomu nic nie zrobiłem, ale pociągnij za spust.

— Widziałem cię — wytknął Clyde.

— Ale ja nie chciałem w tym być. Urwałem się im, kiedy wróciliśmy do miasta. Tylko że nie wiedziałem, gdzie się mam podziać, chyba, że tu. Nie mam dokąd pójść. I nikogo nie zastrzeliłem. Nie ja.

— No to, jakby co, jesteś aresztowany — powiedziała mu Słonko. — Teraz ja tu jestem prawem. Powinno cię to cholernie cieszyć.

Kłoczek wstał — szturchnięcie lufą w podbródek pomogło. Słonko pchnęła go na tyły budynku, pod cele aresztu.

— Gdzie klucze? — spytała.

— W szufladzie.

Lee przyniósł klucze. Wepchnęli Klocka do celi, zamknęli drzwi. — Najchętniej bym z miejsca do ciebie wygarnęła — powiedziała Słonko. — Ten Gęsiak przecież był tylko dzieckiem.

— Nikogo nie zabiłem, nie chciałem nikogo zabić — Kłoczek ciężko siadł na pryczy. — Z początku myślałem, że dałbym radę, ale nie. Nikogo nie zastrzeliłem. To ten czarnuch. On to wszystko zrobił. Wsiowy, on też by pewnie chciał, ale nawet nie miał szansy. Ten czarny to wariat. Odstrzelił Trąbce pół głowy. Mało brakowało, a i mnie by kropnął. To niewarte żadnych pieniędzy. Ale nie miałem jak się im urwać. Musiałem z nimi zostać. Grozili, że mnie zabiją.

— Tak jak ja — odparła Słonko.

— No to śmiało. Bym nie żywił urazy, gdybyś strzeliła. Po prostu nie chciałem, żeby ten czarnuch się do mnie przyssał. Najpierw człowieka zastrzelił, a potem ssie. Myśli, że wysysa duszę przez usta — wyłożył Kłoczek. — Koń kopnął go w łeb. Został mu ślad. Odbiło mu od tego. Myśli, że jest w nim dwóch ludzi. Zresztą, może i ma rację. Jezus Maria, naprawdę stuknięty czarnuch.

— A gdzie Wsiowy? — spytała.

— Pewnie tam, w czerwonym domu. Z czarnuchem i McBride'em. Mają tam jeszcze jedną kurew. Chciałem stąd wiać, ale przyleciało tego robactwa. Myślałem, że jak polecą dalej, to dam nogę. Ale sam nie wiem, co bym miał robić, gdzie się podziać.

— Teraz już się nigdzie nie wybierasz, Kłoczek — powiedziała. — A ten czerwony dom, co to takiego?

— Apartament tu nad apteką. Zaraz po drugiej stronie ulicy.

— No, dobra. Idziemy po nich. Tylko tak, żeby kurewka nie oberwała. Ona nie trzyma z nimi.

— Możecie wejść od frontu albo po schodkach od tyłu — dorzucił Kłoczek. — Pamiętajcie, że chciałem wam pomóc. Pamiętajcie.

Przedarli się przez pasikoniki, wsiedli do samochodu i przez chwilę nikt się nie ruszał. Patrzyli na apartament naprzeciwko. Tak blisko, że nawet nie spacerkiem, ale w tej owadziej nawałnicy to nie był najlepszy pomysł.

— Podjadę pod sam dom — stwierdziła Słonko. — Tato, ty i Byku wchodzicie od przodu. Clyde i ja od tyłu. Jak ich zaskoczymy z dala od broni, mamy spore szanse. Nie strzelajcie, chyba że będziecie musieli... wiem, że wolelibyście od razu. Spróbujcie ich aresztować. Ale jeśli wezmą się do bitki, strzelajcie do skutku.

— Jak mamy wejść? — spytał Clyde. — Zapukać?

— Można by i tak.

Przejechała przez ulicę. Owady wznosiły się falami i opadały. Były tak gęsto zgromadzone, że wyglądały jak wielka, cętkowana wstęga w zieleniach, brązach, szarościach i czerni. Krążyły wokół miasta, budynków, samochodów, wznoszących się to tu, to tam szybów naftowych.

Na ulicach nie było nikogo — tylko oni w samochodzie, i insekty. Słonko podjechała pod same frontowe schody, po czym z kieszeni koszuli wyciągnęła kawałek wstążki i związała sobie włosy.

— Nie wiem, co tu jeszcze powiedzieć. Wy dwaj od przodu, my od tyłu.

— Więcej mi nie trzeba — odparł Byku.

— Osobiście wolałbym więcej konkretów — mruknął Lee.

— Wybacz, tato. Jeśli chodzi o strategię, żaden ze mnie generał Lee.

— Znaczy, będzie musiało wystarczyć.

— Tylko żebyście mi wszyscy wrócili, proszę — powiedziała jeszcze.

Wysiadła, Clyde za nią, i pobiegli pod boczną ścianę apteki. Tam pasikoników było mniej. Szli wzdłuż budynku, aż wyszli na jego tyły, znaleźli węższe schody. Znow zaroilo się od owadów. Przygięci wpół, ruszyli naprzód. Słonko musiała unieść kolbę strzelby, by chronić twarz, na ile się w ogóle dało, czuła też we włosach ruch nówek owadów, nawet daleko w końskim ogonie na plecach.

Zaraz jednak byli już przy schodach i wspinali się ku apartamentowi. Clyde wpychał się przed nią, ale nie ustąpiła mu miejsca, nie oddała prowadzenia aż do samych drzwi.

Byku i Lee wchodzili od przodu, szybko, czujnie, z przeładowanymi śrutówkami, gotowi otworzyć ogień, gdyby tylko było trzeba, albo po prostu zapukać do drzwi i aresztować wszystkich chętnych.

Owadów było tyle, że ledwie się dało wejść na schody, i już niemal u celu Lee wdepnął w plamę rozciśniętych pasikoników na najwyższym schodku. But omsknął mu się, Lee się poślizgnął, noga wyskoczyła mu między słupki balustrady, i gdy runął, jakby ziemia się pod nim rozstała, rozległ się trzask, coś jak suchy patyk w mocnym ogniu, i zaraz Lee siedział już nieruchomo, ze zdrową nogą sterczącą za balustradą, podczas gdy ta druga zawinęła się pod nim, jakby nie było

w niej żadnych kości. Wrzasnął tak, że niemal zagłuszył rojące się szarańczaki.
— Moja noga. Niech to diabli! Już po niej, Byku. Już po niej. Byku przyklęknął obok. — Słonko zaraz się tam wbije przez te drzwi od tyłu — powiedział. — Przyda się jej szybka pomoc. Musisz poczekać.

— Jezus Maria, ależ boli. Dawaj, Byku. Idź już.

Gdy Byku ruszył do drzwi, Lee szarpnięciem wyciągnął pasek i wetknął go sobie między zęby, starając się znów nie wrzasnąć.

Przy drzwiach Byku nie bawił się w pukanie. To już odpadło. Kopnął je z rozmachem, całą stopą, i odskoczyły w głąb, jak kłapiący jęzor. Wpadł do środka, zrobiło się ciemno, gdy drzwi wróciły na miejsce, i nic nie widział, nagle jednak coś poczuł, gorąco u nasady kręgosłupa, nisko, nisko, i minął ułamek sekundy, nim zdał sobie sprawę, że ktoś od tyłu wbił weń nóż.

Clyde rąbnął w drzwi całym ciałem, ale te były solidne i oddały tak, że prawie spadł ze schodów.

— Jasny szlag — warknął i znów się na nie rzucił.

Tym razem coś strzeliło w futrynie, ale nie do końca, więc Clyde uderzył w drzwi jeszcze raz, Słonko wraz z nim, i wpadły do środka, sypiąc drzazgami, więc weszli do mieszkania, zamykając drzwi za sobą, żeby pasikoniki nie lazły.

Byku zamachnął się kolbą strzelby wstecz i po łuku, i w coś trafił. Napór na nóż zelżał. Jednak ostrze tkwiło w miejscu, i pomyślał sobie: Kurde, dorwany od tyłca, to nie w porządku, nie ja. Zawsze byłem czujny, a tu, psiakrew, czuję, jak mi siedzi kosa w plecach, a utknęła jak bycza pyta w kurzej dupie.

Obrócił się więc ku temu, kto go dźgnął, i poczuł, że ten łapie go od przodu za nogi — zrozumiał, że po ciemku zdzielił go kolbą i zwałił na podłogę, teraz jednak napastnik zaraz go przewróci, i to na plecy, na rękojeść noża.

Padając, obrócił ciało, próbował wylądować na boku, i nawet mu się udało. Prawie. Ale częściowo walnął też rękojeścią i poczuł, jak nóż wrzyna się głębiej, jakby ktoś zabił mu tam potężnego ćwieka. Całe wnętrze ciała rozпалиło mu się żywym ogniem, że gorętszego nie było na całej ziemi, ale już po chwili ktoś... czy coś... gramolił się na Byka, niby jakiś karaluch. A że oczy oswoiły mu się już z mrokiem, a i świa-

tło przesiąkało z zewnątrz przez szpary wokół niedomkniętych drzwi, nawet jeśli przytłumione przez ciałka milionów szarańczaków, Byku dostrzegł czarną twarz pod melonikiem. I zaraz wokół szyi zacisnęły mu się potężne ręce. Próbował podciągnąć strzelbę, ale karaluch pacnął ją tak mocno, że wyleciała mu z dłoni, i zaraz potem rzucił się na Byka całym ciężarem (wielki, kurna, karaluch), dociskając go do podłogi, na rękojeść noża, aż wrzasnął, a przed oczami zawirowały czarne plamki, a światło zza drzwi jakby przygasło, ale po chwili już był przytomny, choć może nie całkiem, bo wszystko widział jak przez muślin. Próbował wyciągnąć ręce, capnął karalucha za gardło, ale zdziałał tyle, że mu zrzucił melonik. Złapał tamtego za głowę, próbował go odepchnąć. Namacał coś kciukiem. Bliznę. Teraz jednak słabł już, czuł też coś ciepłego pod sobą — własną krew, rozlewającą się po całej podłodze, aż miał wrażenie, że wali się plecami w jakąś wielką sadzawkę. Obrócił kciuk i wetknął go w oko tego wielkiego karalucha, więc facet wykręcił się nieco, ale to wszystko było za mało. I wtedy ten wielki drab, wielki karaluch, znów naparł w dół, żeby nóż robił swoje. Jego twarz była coraz bliżej, Byku zobaczył zęby tamtego, kiedy on rozchylił usta i dotknął nimi jego warg, i zaczął ssać. Pomyślał: O tak, mam nauczkę, od dziś nie będę już pakował nosa w cudze sprawy. Poczul wtedy, że zbiera go na śmiech, ale nie mógł się śmiać. Od dziś. Jasne. Będę pilnował własnego nosa. Akurat, ani swojego, ani cudzego. I resztką sił chapnął dolną wargę Dwóch, zagryzł tak mocno, że poczuł, jak pękają mu trzonowce w głębi szczęki.

Dwaj poderwał się, odepchnął, a Byku sięgnął do pasa, wyciągnął pistolet i wystrzelił. Kopnięcie broni wytrąciło mu ją z osłabionych palców, ale kula trafiła tamtego w brzuch.

Dwaj wstał.

Byku pomyślał: No do diabła, a mnie się wydawało, że ja jestem twardziel. Uniósł nieco głowę, ale zaraz opuścił ją z powrotem, myśląc: Co ma być, to będzie, ze mną już koniec.

Dwaj nakrył brzuch dłonią, przestąpił nad Bykiem w stronę drzwi, pchnął je na oścież. Do pokoju z buczeniem sypnęły się insekty. Wyszedł na podest przed drzwiami, zamykając za sobą drzwi, delikatnie, jakby nic mu nie było. Zobaczył Lee siedzącego u szczytu schodów, z nogą podwiniętą pod ciałem jak kawał grubego szlaucha i paskiem w zębach.

— Dostaliśmy — powiedział Dwaj.

Lee uniósł strzelbę, pociągnął za spust. Trafiony Dwaj zatoczył się wstecz, rąbnął w balustradę, deski trzasnęły i poleciał w dół; trochę trwało, nim uderzył o ziemię. Posługując się jedną ręką, Lee przeładował strzelbę, podsunął się, by spojrzeć w dół, ściskając pasek w zębach, jak jastrząb z wężem w dziobie.

Dwaj gdzieś znikł.

Lee obrócił się tak daleko, jak mógł, od bólu w nodze oczy zaszyły mu łzami, i zobaczył z podwyższenia, że Dwaj zdołał wstać, szedł tam, w dole, zataczając się, aż dotarł do samochodu Słonka, trzymając w garści melonik. Otworzył drzwi, założył kapelusz i wsiadł.

Lee chciał się lepiej obrócić, żeby ponownie strzelić. Poczuł, jak ułamana kość wparła się w skórę nogi. Usłyszał uruchamiany silnik. Obrócił się całkiem, ale tak bolało, że wypluł pasek, wrzasnął i na moment zemdlał.

Gdy oprzytomniał, jego strzelbą leżała już w dole, na ziemi, a samochód oddalał się, unosząc Dwóch za kółkiem. Lee opuścił głowę, stracił przytomność.

Ledwie weszli do mieszkania, Słonko i Clyde usłyszeli szczeknięcie pistoletu Byka, potem grzmot strzelby. Słonko drżała od stóp do głów. — Idź na lewo — powiedziała — ja na prawo.

— Pójdę tam, skąd strzelali — odparł Clyde.

— Ja jestem konstabl, a ty zastępca. Wykonuj rozkazy.

Kiwnął głową i ruszył w lewo, w głąb długiego pokoju. Mijał okna, za którymi światło falowało, kolebało się, gdy fale szarańczaków zaćmiewały i odsłaniały poranne słońce.

Osiągnąwszy koniec korytarza, natknął się na drzwi i wszedł tam, czując się tak, jakby ktoś położył mu na karku lodowaty ręcznik.

Słonko skręciła w prawo, a gdy skończyła się krótka ściana, w docierającym z okien wątłym świetle zdołała dostrzec dalej Byka leżącego nieruchomo na podłodze, a dalej, po lewej, półkę zastawioną przeróżnymi rzeczami, wśród nich zaś była srebrna taca, zaraz obok lampy naftowej, i w tej tacy, lekko nachylonej, ujrzała sylwetkę zbliżającą się korytarzem po drugiej stronie ściany. Nawet tylko w tym odbiciu, mimo odległości i kiepskiego oświetlenia, widziała, że to McBride. Z początku myślała, że facet ma na sobie sukienkę, potem jednak dostrzegła, że to fartuch.

*

Clyde skradał się przez salon, tam gdzie nad bogato zastawionym stołem wisiał kandelabr, i miał całkiem sporo światła, tyle że takiego więcej dziwnego — jakby patrzył na świat z wnętrza kurzego żółtka. Sunął więc naprzód, nie odrywając stóp od ziemi, nasłuchując. Usłyszał skrzypienie desek podłogi. Staął.

Z otwartych drzwi na tył apartamentu wypadła, potykając się, ta blond kurwa. Nie do końca ubrana.

— Nie strzelaj — błagała. — On jest za ścianą. Nie chce strzelaniny.

— Kto? — spytał Clyde.

— Wsiowy.

— Wysłałeś przodem kobietę, Wsiowy?

— Jej nie masz powodu zabijać — odkrzyknął tamten. — Wpadłbyś tu prosto na nas, a wolałem, żeby nie oberwała.

— Wcale się o mnie nie martwi — odezwała się blondynka. — Po prostu gra na czas... Wsiowy, to jeden z tych, co ci spuścili baty.

Clyde przywołał ją gestem. — Schowaj się za mną — rzucił, po czym zawołał do Wsiowego: — Wyrzuć broń za drzwi.

— Nie mam gnata. Blondynka pokręciła głową. Clyde pokiwał.

— Nie chcę zginąć przez tę historię — powiedział Wsiowy.

— Śmigaj stąd, tylnymi drzwiami — polecił blondynce Clyde.

— McBride wyszedł tamtędy, tam na korytarz — szepnęła.

— No już, wiesz stąd, od tyłu — powtórzył. — I dzięki.

Poszła, a wtedy zawołał: — Wsiowy, wiem, że masz broń. Wyrzuć ją tu.

— Co ty. Jeszcze byś mnie wtedy zabił.

— Jak nie wyrzucisz, na bank zacznę strzelać.

— No to się zastanowię.

Clyde podsunął się bliżej, prawie do samej ściany, za którą krył się Wsiowy.

— Ostatnia szansa — powiedział.

— Bo co? — spytał Wsiowy. — Raczej mnie nie zaskoczysz. Chodź no, spróbuj mnie dorwać.

Clyde uniósł strzelbę, wymierzył w ścianę, tam, gdzie miał wrażenie, że rozbrzmiewał głos Wsiowego, i wystrzelił. Przeładował, pochylił się i czekał.

— Jasny szlag — warknął Wsiowy.

Clyde podkrał się do drzwi, wciąż przygięty, wystawił za futrynę głowę i lufę strzelby. Wsiowy leżał na wznak, obok niego — pistolet. Nie oberwał za mocno, ale strzał zaskoczył go, śruciny trochę poharatały. Z ramienia Wsiowego sterczał wyrwany ze ściany kawałek drewna, spora drzazga.

— Nic wielkiego ci się nie stało — rzucił Clyde, podnosząc jego pistolet i wtykając go sobie za pas.

Wsiowy złapał drzazgę i wyciągnął ją sobie z barku. Sapnął. Obrócił się do Clyde'a: — No, to teraz możesz sobie powetować.

Słonko usłyszała z lewej huk strzelby, gdzieś tam na pokojach. Z drzwi żwawym krokiem wyłoniła się blondynka, zobaczyła Słonko, machnęła do niej i wyszła tylnymi drzwiami, pomiędzy pasikoniki, zamykając za sobą sponiewierane drzwi.

Słonko obróciła się z powrotem ku ścianie, za którą był McBride. Wciąż widziała w tacy, jak się ku niej podkrada. Po cichu cofnęła się aż do ściany pomiędzy oknami, przywarła do niej plecami. Osunęła się, aż zadkiem wylądowała na podłodze, złączyła kolana, wsparła na nich strzelbę i poprawiła kolbę na ramieniu.

McBride wytknął głowę zza winkła, tak szybko, że ta durna czarna peruka na jego czerepie przekrzywiła się dramatycznie.

Słonko wygarnęła do niego.

Większość śrucin rąbnęła w ścianę, ale zbłąkana garstka chlasnęła twarz McBride'a, który wrzasnął i znikł za osłoną.

Słonko przeładowała, znów przygotowała się do strzału. Pomyślała: Jeszcze się nie połapał, że go widzę w tej tacy. Widziała, jak się oparł o ścianę, obmacywał twarz, szukając ranek po drobinkach ołowiu.

— Ty durna suko — wrzasnął. — Trafiałś mnie.

— Chciałam mocniej — odparła. — Poddaj się, a nie będzie aż tak bardzo bolało.

— Ha.

— Zawsze chodzisz w fartuszku?

— Przerwałaś mi robienie śniadania, suko. Tak cię nafaszeruję ołowiem, że nikt nie pozna, że kiedyś byłaś człowiekiem.

Próbowała wymyślić, co tu zrobić, może na przykład wiać w te pędy, bo przecież siedziała tu bez żadnej osłony, no, chyba że okazałaby

się szybsza od McBride'a, i wciąż o tym myślała, gdy ten szybko wyskoczył zza ściany, złapał lampę i się cofnął. Znów strzeliła.

Ale zbyt późno. Śrut sieknął daleko w ścianę i srebrna taca spadła na ziemię, kantem, potoczyła się ku niej, zakolebała i padła na płask.

Jasny szlag, pomyślała sobie Słonko. Widziałam go w tej tacy, a i tak był szybszy.

Zza ściany wyłoniła się ręka McBride'a, a w niej lampa, zapalona, która zaraz poszybowała w stronę Słonka. Ta uskoczyła w bok. Lampa uderzyła za nią. Jęzor ognia strzelił po ścianie, pożerając tapetę jak watę cukrową. Słonko poczuła jego żar, aż włosy zaczęły się jej podkurczać. Przetoczyła się dalej od płomieni, gdy zza ściany znów wyskoczył McBride. Trzymał dubeltówkę i gdy z niej wygarnął, Słonko w połowie przewrotu przykleiła się do ziemi. Śrut poszedł tuż nad nią. Poczuła nawet, że coś zawadziło o obcasy jej butów, a szyba za jej plecami rozleciała się w kawałki. I wtedy rozległ się niesamowity dźwięk, coś jakby grobowe warczenie.

Zadarła głowę, próbując wycelować w McBride'a, ale ujrzała jego zdumioną twarz. Złamał dubeltówkę, bo odpalił z obu luf i chciał przeładować, teraz jednak miał taką minę, że Słonko obróciła się, zerknęła przez ramię.

Płomienie na ścianie wypełzły na zewnątrz, ku powietrzu, podpalając rojące się w nim pasikoniki. A te runęły na McBride'a ognistą falą.

McBride rzucił strzelbę, zasłonił twarz, kiedy dopadła go masa płonących insektów. Jego peruka stanęła w ogniu — rzucił się na podłogę, ale pasikoniki poszły za nim, oblażyły go całego. Zerwał się więc, wrzeszcząc, machając rękami, w płonącym fartuchu, i Słonko pomyślała: Byś się turlał, dumny bucu. To nie ty się palisz, tylko fartuch. I ta durna peruka.

Ale McBride na to nie wpadł. Peruka przeobraziła się w ognistą błazeńską czapkę. Zerwał ją z tysego czerepu, cisnął na podłogę i rzucił się naprzód. Prosto na Słonko. Ta była tak zaskoczona, że nawet nie strzeliła, a on minął ją pędem, nie zwolnił, aż wypadł przez rozwalone strzałem okno, ciągnąc za sobą płomienie niczym pelerynę, a wokół jego głowy wirowały w ognistej aureoli pasikoniki. Płomienna peleryna zniknęła za oknem, przepadła, i w powietrzu słychać było tylko trzaskanie płomieni i pękających w ogniu szarańczaków.

*

Po lewej pojawił się Clyde, prowadząc Wsiowego z rękami skrępowanymi za plecami skręconą powłóczką od poduszki. Choć pokrwawiony i pokorny, Wsiowy wciąż nie wyglądał najgorzej.

— Nic ci nie jest? — zawołał Clyde.

— Praktycznie nic — odparła. — A on, mocno dostał?

— Trochę drobiazgów, głównie drzazgi ze ściany. Wyżyje.

Cała ściana za plecami Słonka była już w ogniu, który rozpełzał się coraz szerzej. — Wychodzimy od frontu — rzuciła.

— To już wszyscy? — spytał Clyde. — Wszystkich dopadliśmy?

— Jezu, no mam nadzieję.

Wstała, strzepnęła płomyki ze spódnicy, gdzie bryznęły rozpryski nafty. Clyde kopnął Wsiowego w rzyć: — Ruchy, ptaszku-świergola-szku.

Podchodząc do drzwi wyjściowych, Słonko zatrzymała się, pochyliła nad Bykiem. — Byku? — zapytała.

— Poszedł? — odparł na to.

— Kto?

— Ten wielki czarnuch w meloniku.

— Nigdzie go nie widziałam.

— To dobrze.

— Wybacz, Byku.

— Tylko nie pozwól, żeby te białe ćwoki dorwały się do mojego trupa.

— Wyjdiesz z tego.

— Mam w plecach nóż. Nogi, wszystko od pyty w dół, już się nie ruszają, zimne się zrobiły. Pali się? Czuję dym.

Nadszedł Clyde ze Wsiowym. — Aha — odparł. — Pali się, Byku.

— To dajcie mi się spalić.

— Nie spalisz się tu. Clyde, bierz Wsiowego do samochodu. W bagażniku jest lina, uwiąż mu ręce do nóg, wrzuć go na tylne siedzenie, albo lepiej do bagażnika. Wróć tu zaraz, pomożesz mi z Bykiem... Chryste Panie, gdzie tata? Byku, słyszysz mnie? Gdzie tata?

Ale Byku nie odpowiedział.

Po chwili Clyde wrócił, wciąż ze Wsiowym. — Nie ma samochodu. A twój tata jest ranny.

— Ranny?

— No. Nogę ma złamaną — Clyde spojrział w dół, na Byka. Ten nie ruszał się już, miał zamknięte oczy. — Byku?

— Już po Byku — odparła Słonko, kaszląc przez dym.

— I po tej budzie — stwierdził Wsiowy.

Cała jedna ściana stała już w ogniu, który pełził też ku nim po podłodze, śladem rozlanej nafty.

— Zostawmy go tu — powiedział Clyde.

Słonko zastanowiła się chwilę, pomyślała o tym, jak Byku żył, o co ją prosił, i odparła: — No, trzeba będzie.

Słonko sprowadziła Wsiowego na dół, wpierając mu w plecy lufę strzelby, a Clyde podniósł Lee, zniósł go na ulicę.

Gdy zeszli już ze schodów, Wsiowy powiedział: — Nie chciałem, żeby tak to wyszło, Słonko.

— Coś mi mówi, że nigdy nie chcesz, żeby coś złego się stało, a jednak jakoś zawsze się staje.

— Normalnie jakbym był przeklęty, czy coś.

— Sam jesteś własną klątwą, psiakrew.

Pląmienie wylizywało ściany mieszkania, z otwartych drzwi walił dym, nawet apteka zaczynała się już palić. Ogień był tak gorący i intensywny, że nawet pasikoniki przestały do niego leżeć. Słonko zadarła głowę i zobaczyła, że ich chmura ciągnie się po niebie jak ciemna tęcza, pędem mknąca na południe, przyćmiewając słońce.

Gdy Clyde zszedł ze schodów, niosąc Lee jak małe dziecko, Słonko poleciła mu: — Popilnuj chwilkę tego gnoja — i zostawiła go sam na sam ze Wsiowym. Sama wyszła na tyły apteki w poszukiwaniu McBride'a, wciąż czujna, gotowa do strzału.

Znalazła go pod urwiskiem, leżącego twarzą do ziemi. Póki pełził, zostawiał na ziemi ślady ognia. Teraz został zeń tylko popalony wrak, dłonie podgięte jak szpony, gdy drapał w glinie, jakby próbował się wspiąć na urwisko, Bóg wie dokąd, czy może zaryć się pod nim.

Przeszli przez ulicę, do więzienia. Słonko wciąż szturchała Wsiowego w plecy lufą strzelby, Clyde niósł Lee. Wsadzili Wsiowego do celi razem z Klokiem, a Clyde ułożył ojca Słonka na pryczy w drugiej celi i zadzwonił po miejscowego lekarza. Ten przyszedł, obejrzał nogę i stwierdził, że nie jest dobrze.

— Powinien iść do szpitala — oznajmił. — Z tą nogą. Może trzeba ją będzie amputować. A na to, to ja już się nie nadaję.

— Jeszcze mi się ta noga przyda — odparł Lee, z twarzą zroszoną potem.

Lekarz, pulchny, niski facecik ubrany we flanelową koszulę i portki, które sądząc z wyglądu, już trochę domagały się prania, powiedział:

— Ano, ale pan tej nodze to już niekoniecznie. Zrobię, co mogę, żeby ją nastawić, ale musimy pana odwieźć do Tyler. Tam są ludzie lepsi w te klocki ode mnie. To nie jest proste złamanie. Cała kość się poskręcała, i w ogóle.

— Zabierzemy cię do lekarza, tata — wtrąciła Słonko. — Ten tutaj wcale nie wie, co z tego będzie...

— Wiem, że jak będę przy tej nodze majdrował, to jej nie pomoże

— odparł doktor.

— Może go pan sam zabrać do Tyler? — spytała.

— Mogę, ale nie za darmo.

— To zastępca konstabla.

— I pani ojciec.

— Ale wciąż zastępca konstabla. Pan już dopilnuje, żeby go dowieźć do szpitala. A rachunek proszę wystawić na osadę Rapture... nawet lepiej na miasto Holiday. I daj mu pan coś od bólu.

— O Jezusie, tak — sapnął Lee. — Daj mi pan coś. Głupiego Jasia, cokolwiek.

— Tata — podjęła Słonko, której coraz bardziej się podobało, że mogła się tak do niego zwracać — wciąż wierzysz w to, co wtedy mówiłeś, o tej jedności wszystkiego we wszechświecie, że i my, i wszystko na świecie to część wielkiej całości?

— No, niezupełnie — przyznał.

— A co z tymi tutaj? — Clyde skinieniem głowy wskazał Wsiowego i Klocka.

— Prawo się nimi zajmie — odparła.

— Przecież tu nie ma prawa.

— Dziś jest. W twojej osobie. Siedz tu, aż coś wymyślimy. Ja muszę sprawdzić, co u Karen.

— I co dalej?

— Dalej się zobaczy.

Gdy już pozłatwiali najważniejsze sprawy i Lee ruszył w drogę do Tyler w samochodzie lekarza, Słonko znalazła kluczyki do wozu szeryfa, wyszła na dwór, zdrapała pasikoniki z przedniej szyby i siadła za kierownicą. Siedziała tam i myślała o tym, że wraz z Clyde'em wyszli z tego cało, a jej tata ucierpiał najgorzej, choć nawet nie wszedł do apartamentu McBride'a. No i Byku. Biedny Byku. Zginął, a ona co?

Parę siniaków, rozcięć, kilka śrucin w piętach, które dałoby się wydłubać pincetą.

Siedziała sobie i patrzyła na pożar po drugiej stronie ulicy. Straż pożarna, czy to, co tam w Holiday kryło się pod tą nazwą, próbowała z nim walczyć, ale zasadniczo ganiła tylko wokół swojego samochodu i klęła w żywy kamień. Udało się im zalać budynek zapasem wody z wielkiego, czerwonego zbiornika auta, ale z apartamentu i apteki zostało tylko trochę zwęglonych belek, które dałoby się połamać byle kijem.

Wspomniała Byka, spalonego tam na piętrze, i skojarzył się jej z greckimi herosami, o których kiedyś słyszała, że po śmierci kładziono ich na stosach drewna i palono, a ich dusze wznosiły się ku niebu wśród ognia i dymu.

Po drodze do domu zauważyła, że niebo się przetarło i latała po nim już tylko samotna wrona. Drzewa, trawa, wszystko, co tylko było zielone — przepadło. Zupełnie jakby zieleń tylko się im śniła. Kiedy przeszła nawałnica nóżek i skrzydełek, zostało po niej pustkowie. Pasikoniki zeżarły nawet korę z drzew. Wszędzie dokoła walały się ich truchelka, ofiary zderzeń i walk z głodnymi kuzynami.

Jechała tak, aż natknęła się na swój samochód. Stał na poboczu, a drzwi od strony kierowcy były otwarte. Słonko zatrzymała się obok, podniosła z siedzenia strzelbę i wysiadła. Nadszedł już ranek w całej krasie, zrobiło się gorąco, ona jednak czuła raczej chłód niż upał, gdy podeszła do auta i zajrzała do środka. Pusto, tylko czarny skrzep krwi na przednim siedzeniu.

Powoli szła wzdłuż drogi, miażdżąc butami martwe pasikoniki, rozglądając się na prawo i lewo. W końcu go zobaczyła. Siedział oparty plecami o potężną sosnę, odartą z igieł. Dłonie oparł o uda i patrzył prosto na nią. Melonik leżał obok, rondem do ziemi. Muchy obsiadły przód jego koszuli tak gęsto, że wyglądały jak kamizelka. Frak miał ściągnięty z ramion, jakby próbował trochę się ochłodzić. Blizna na głowie wyglądała na świeżą, odstawała od skóry, jakby miał tam pod spodem podkowę, która wyłaziła właśnie na wierzch.

Słonko wciąż celowała weń ze strzelby, zbliżając się powoli. Gdy stała już nad nim, spłoszona „kamizelka” odleciała z bzyczeniem. Zauważyła, że kawałek dolnej wargi Dwóch został odgryziony, i pomyślała sobie: Zuch, Byku. Zielone oczy Dwóch zmętniały, zastygły, na jednym z nich wciąż siedziała mucha.

— No, chyba z was obu jest trup nieboszczyk — mruknęła Słonko.

Pochowali Gęsiaka na tym samym cmentarzu, gdzie spoczywali Pete, Jones i żona Henry'ego. Nie znali jego nazwiska, a skoro imię mu się nie podobało, na drewnianym krzyżu dali napis: GĘSIAK. PORZĄDNY CHŁOPAK.

Lee nie mógł być na ceremonii, ale w szpitalnym łóżku skreślił kilka słów, które potem odczytała Słonko. Proste, ładne zdania, trochę cytatów z Biblii.

Bena pochowali tam, gdzie mieszkała Słonko, pod tym wielkim dębem, gdzie się lubił wylegiwać. Nad jego grobem Słonko powiedziała już od siebie: — Jesteś w domu, piesku.

Dwa tygodnie później, samochodem oznaczonym przez pasikoniki, pojechała zobaczyć się z Marilyn. Minęła Billa i Dona pracujących z zaprzęgiem mułów, innych mężczyzn poganiających woły, jeżdżących ciężarówkami, zajętych tym czy owym.

Mieli masę drzew do przerobienia. Krótka wizyta szarańczaków spowodowała potężne szkody w drzewostanie, więc teraz trwała gorączkowa wycinka, powalone drzewa zwożono do tartaku, ładowano na konwejer i cięto w trakach.

Gdy Słonko przejeżdżała obok, Bill spojrzął za nią. — Patrz, jak to się obchodziła z tym autem. Całe porysowane.

Dan pokiwał głową. — Ale sama wygląda całkiem nieźle, co nie?

— Tu masz rację, nie da się ukryć. Lubić jej wcale nie lubię, ale na urodę nic jej nie szkodzi. No i odważna z niej baba. To, co zrobiła z tym Clyde'em, proszę ja ciebie. Wiedziałem, kurna, że ten cały Wsiowy to gówna wart, ledwie zem go zobaczył.

— Akurat żeś tam wiedział.

— A nie, bo wiedziałem. Tylko nic nie mówiłem.

— Lepiej uważaj na muły, o.

Słonko minęła tartak, podjechała pod dom teściowej. Weszła na ganek, zapukała. Czekać, spojrzała na wiszącą nad tartakiem kurtynę drzewnego pyłu, słuchała wycia wielkiej piły.

Marilyn otworzyła jej z uśmiechem. Wyglądała wspaniale, odmłodzona, w białej roboczej sukience w niebieski wzorek.

— Dobrze cię widzieć, Słonko. Po tym wszystkim rzadko się widywałyśmy. A jaka wystrojona! Ładna ta sukienka.

— Sprawiliam ją sobie w Holiday. Chciałam coś zielonego, tak mało zieleni nam tu zostało.

— W życiu nie słyszałam, żeby pasikoniki tak się zachowywały. Nie tutaj. W północnym i zachodnim Teksasie, to i owszem, może i w Oklahomie, ale tutaj, to nigdy o czymś takim nie słyszałam.

— Zeżarły wszystko, co było tam, więc przyleciały tutaj.

— Oj, zaraza — Marilyn odciągnęła siatkowe drzwi. — Co tak będziesz stała na progu, kochana. Wchodź.

Słonko weszła, znalazła sobie krzesło. To samo, z którego Marilyn zwała ją jednym ciosem kilka tygodni temu. Słyszała, jak tyka wielki zegar.

— Gdzie Karen? — spytała Marilyn.

— U Wuja Rileya.

Teściowa rozgryzała to przez chwilę. — Względem dziecka?

— Ciotka Cary jej z tym pomogła.

— Znaczący... spędziła dziecko?

— Karen nie chciała jego dzieciaka. Nie po tym wszystkim. Marilyn pokiwała głową, zamilkła na chwilę. — Chyba słusznie.

Nie sądzę, żeby Bóg miał o to do dziewczyny pretensje.

— Ano nie — odparła Słonko. — Raczej nie.

— A Clyde? — Marilyn spróbowała zmienić temat.

— W Holiday. Wciąż jest tam szeryfem. Chyba zatrudnią go już na stałe.

— A twój tata?

— Wciąż w szpitalu. Nie odejmą mu nogi, ale będzie chroma. Od ciebie jadę właśnie do Tyler, zabrać go stamtąd.

— Szkoda, że z nogą tak wyszło, ale mogło być gorzej.

— Ano, mogło. Choć Byku pewnie by się z tym kłócił.

— Nawet nie wiedziałam, że on istniał naprawdę.

— Oj, był z niego prawdziwy kawał chłopa.

— Był w to zamieszany jeszcze zastępca szeryfa...

— Klocek. Będzie miał proces. Trochę próbował mi pomóc, więc może potraktują go nieco łagodniej. Szczerze mówiąc, wcale mnie to nie obchodzi.

— Słyszałam, że po tym wszystkim Zendo gdzieś się wyniósł — powiedziała Marilyn. — A przecież cała ta ropa jest jego. Tyle się tu wydarzyło, a on wyjechał.

— Przeprowadził się na północ, ale ropa wciąż jest jego. Clyde zarządza terenem pod jego nieobecność. Tutejsi nie będą się czepiali Cly-

de'a, ale nic a nic by się im nie podobało, gdyby to kolorowy załapał się na takie złożu. Będzie mu łatwiej żyć z tym majątkiem na północy niż tutaj, a za zarządzanie oddał Clyde'owi mały udział w zyskach. No i domy, i ten, gdzie mieszkał, i ten przy złożu. Clyde zajmie jeden, drugi chce komuś wynająć. Zendowi taki układ też pasuje.

— Clyde strasznie się w tobie kocha, co? No i niezła z niego partia. Szczególnie teraz.

— Pewnie tak. Chciałam, żeby tak się ułożyło, ale kiedy już było po wszystkim, kiedy tyle przeżyliśmy... jakoś nie mam ochoty na to, żeby się z nim wiązać. Czegoś brakuje, rozumiesz, Marilyn? Odrobinki, takiego szczególnego uczucia. Kiedy już tylu ludzi zginęło, o włos i ja sama, jakoś nie mam chęci zmarnować ani chwili życia, popełnić błędu, który sprawi ból mnie czy jemu.

Marilyn uśmiechnęła się ze swojego krzesła. — Oj, wiem. Bez tego się nie obejdzie. Bez tego szczególnego uczucia. Jak Jones był młody, jak Pete z tobą, to właśnie przy nim tak się czułam.

— Wsiowy też to we mnie budził. Pewnie w ostatecznym rozrachunku to jednak za mało. Clyde nie był szczęśliwy, kiedy mu to tłumaczyłam, ale chyba zrozumiał. Na ile potrafi. Zresztą z niego chyba jednak jest wieczny kawaler.

— Znajdzie się też za kratkami paru gości, którym się Wsiowy spodoba — stwierdziła Marilyn. — No wiesz, taki ładny, młody...

— Nie do końca — odparła Słonko. — Nie wiem, czy będzie taki ładny, jak już wydobrzeje. Tata spuścił mu srogie manto. Ale przede wszystkim już nawiał z aresztu. Z Tyler, tam gdzie go zabrali na proces. Szef więzienia miał córkę.

— A niech mnie diabli porwą.

— Dziewuchę już złapali. Wsiowy nawiał, zostawił ją w niezapłaconym pokoju w Texarkana. Myślą, że się zadekował gdzieś w Arkansas.

— Ogier jak cholera — mruknęła Marilyn. Słonko pokiwała głową.

— Zachowujesz się tak, jakby coś cię gryzło — podjęła teściowa.

— Sama nie wiedziałam, czy o tym wspominać. Jak tu jechałam, nawet nie byłam pewna, czy chcę o tym mówić. Nie do końca. Ale chcę. Obudziłam się wczoraj rano, i coś chodziło mi po głowie. Dręczyło mnie od jakiegoś czasu i nie odpuszczało. Gdzieś tam, w środku głowy, na wpół zapomniane. Wczoraj wylazło, ale odpuściłam sobie. A dziś już chyba nie potrafię.

— Rany boskie, co znowu?
— Skąd wiedziałaś, że Jimmie Jo miała dzieciaka?
— Co?
— Powiedziałaś mi, że miała dzieciaka, a ja ci o tym nie wspominałam.
— Chyba z plotek w osadzie. Może od kaznodziei.
— I że zabito ją z trzydziestki ósemki.
— O tym też mówili... Słonko, do czego właściwie zmierzasz? Chyba wszyscy o tym słyszeli.
— Też tak myślałam, że to wszystko z plotek. Ale były i inne rzeczy. Pokazywałaś mi, jak wiercić dziury tymi świdrami do słupów, że się kopie pionowo łatwiej niż szpadlem. Tak właśnie pochowano Jimmie Jo. Pionowo. A dzieciak... gdzie jest ta doniczka, co stała tam na werandzie, Marilyn?
— Potłukła się.
— Aha. Jej kawałki widziałam tam w grobie dzieciaka.
— Krzywdzisz mnie tu, Słonko.
— Bardzo bym chciała, żeby tak było, ale wątpię. McBride wiedział, że Jimmie Jo była uwalana ropą, ale nie miał pojęcia, że dostała też z trzydziestki ósemki. Gdyby wiedział, toby mi powiedział, mam wrażenie. Olewał mnie. Ale nie miał pojęcia o tym, że dostała kulkę. Kiedy Pete przyszedł do ciebie z płaczem, to właśnie po to, żeby ci opowiedzieć o Jimmie Jo?
— Nie on ją zabił, jeśli o to ci chodzi.
— Nie o to. Podpuszczałaś mnie, bym uwierzyła, że to on, ale nie.
— To i tak nieważne. Przynajmniej wtedy było. Ona nie żyła, i on też.
— Wytlumacz mi przynajmniej, Marilyn. Dlaczego?
Ta zamilkła na dłuższą chwilę. Stojący zegar wybił południe.
— Nie zrobiłam tego, co myślisz — odezwała się wreszcie.
— Więc co?
— Pete przeżywał to, co miał z tobą. Płakał z twojego powodu. Myślał, że nie jesteś taką żoną, jaką mogłabyś być, no i poznał tę kobietę, znaczy, kurew, Jimmie Jo... a ja chroniałam ciebie. I jego. Ale nie... to nie tak, jak się wydaje.
— Więc jak?
— Ten kwiat, ten co rósł w tej donicy na werandzie... Wziął i usechł. Każdy wie, że w tej okolicy najlepszą ziemię ma Zendo. Pomyślałam, że podjadę od tyłu, tą drogą przez tę działkę, co na niej jest ro-

pa, co myślałam, że należy do kogoś innego. Ot, zapomniany kawałek gruntu. Pomyślałam, że podjadę tam, może uda mi się nabrać trochę tej żyznej ziemi. Chciałam poprosić Zenda, ale pomyślałam sobie, że jak go nie zastanę, to po prostu wezmę sobie trochę. Pojechałam tam, zauważyłam dom, ten, co go Pete pobudował dla tej swojej kurwy. Wspomnił mi o nim, ale jak go zobaczyłam, prawie mnie zemdlilo. Był lepszy od tego, w którym ty mieszkałaś, Słonko. A kiedy ruszyłam z powrotem do domu... bo ziemia zupełnie wyleciała mi z głowy, uważasz... zobaczyłam i ją. Było tam rozlewisko ropy, a ona leżała zaraz obok. Miała na sobie pomarańczowo-zieloną sukienkę. Kurwie kolory, od razu się w oczy rzucały. Dobrze się jej przyjrzałam, znaczy tam, gdzie nie była uwalana ropą. Leżała tak, że nie dało się jej nie zobaczyć. Zatrzymałam się, żeby się przyjrzeć z bliska. Jimmie Jo leżała tak, trzy ćwierci do śmierci. Jakby utopiona, uważasz. Mózg był już martwy, ale ciało wciąż się poruszało. Znaczy, utopiona, ale nie całkiem martwa. Nie wiem, kto jej to zrobił, zostawił ją jak trupa, ale nie dokończył roboty. No i próbowała urodzić, Słonko. Sama już praktycznie nie żyła, ale próbowała dać życie dzieciakowi... Widziałam już, jak Ciotka Cary przyjmuje porody, wiedziałam, czyje to. Moje wnuczę. I odebrałam ten poród, wykroiłam dzieciaka z Jimmie Jo, bo była już w takim stanie, że nie było co starać się o normalne narodziny, starałam się najlepiej, jak umiałam, ale był już martwy, Słonko. Martwy dzieciak martwej matki. Potem już tylko upewniłam się, że Jimmie Jo na bank nie żyje. Nie zrobiłam jej nic gorszego niż to, co już jej zrobiono. Ten strzał, to był z litości... Więc zabrałam dzieciaka, wsadziłam go do garnca. Miałam ze sobą świdry do wiercenia dziur, żeby nabrać ziemi u Zenda, więc schowałam dzieciaka w garncu i zakopałam na jego parceli.

— Czemu, Marilyn?

— Maleństwo już nie żyło. Nic nie przywróciłoby mu życia, a i ty wcale nie musiałaś o tym wiedzieć. Próbowałam cię chronić, Słonko. Naprawdę. Z pomocą świdrów pochowałam też Jimmie Jo. Po prostu chciałam się pozbyć trupów. Myślałam, że to Pete ją tak załatwił... znaczy, wtedy. Teraz wiem, że to była robota tego McBride'a... chyba tak mówiłaś o tym facecie, nie? Ale wtedy myślałam, że jeśli to Pete ją zabił, i przez to umarło też dziecko, to jak się ludzie dowiedzą, to nieważne, jak go lubią, i tak przestaną. A ucierpisz jeszcze i ty, i Karen. Popełniłam jednak błąd. Zostawiłam tam świdry. Odniosłam je pod pickupa, oparłam o burtę, ale pojechałam bez nich... taka byłam zdenerwowana, rozumiesz? Pojechałam, a one po prostu upadły na drogę.

Pete wiedział, czyj to sprzęt. Przyszedł, wypytał mnie o to, nawet przyniósł je ze sobą. Pytał mnie o Jimmie Jo. Pewnie podejrzewał, że to ja ją zabiłam.

— Bo zabiłaś — wtrąciła Słonko. — Strzeliłaś i ją zabiłaś. To pewnie właśnie dlatego Pete wypisał raport tak, a nie inaczej, a dzieciaka pochował jak kolorowego. Żeby cię chronić.

— Jimmie Jo już nie żyła. Ten McBride ją utopił, albo ktoś, kto dla niego pracował.

— McBride nie był taki dobry w zabijaniu, jak mu się wydawało. W ostatecznym rozrachunku nawet z pasikonikami sobie nie poradził. Jakby był taki ostry, nie miałabyś po kim poprawiać.

— Ale czemu miałabym zabijać dzieciaka?

— Może nie chciałaś. A może nie podobało ci się, że Pete będzie miał dziecko z kurwą, z którą nawet nie był żonaty. Skąd mam wiedzieć.

— Kiedy to było idealne wyjście, Słonko. Miałaś z głowy Jimmie Jo, znikła też z życia i Pete'a, i mojego. A dzieciak... sama nie wiem, może tak samo, jak z dzieckiem Karen... tak było najlepiej. Tak, jak powinno być. Jak chciał Bóg. Powiedziałam Pete'owi, gdzie ich pochowałam. Ale Zendo znalazł maleństwo szybciej i przeniósł je, a potem Pete je odkrył i przeniósł na cmentarz dla Murzynów. Pewnie tymczasowo, póki nie mógłby go przenieść na ten dla białych. Nie wiem. Nie mieliśmy okazji o tym porozmawiać. Bo go zabiłaś.

— Przy tym pochówku ukrył też papiery dotyczące gruntów — wytknęła Słonko. — A tobie wcale nie przeszkadzało, że to mnie oskarżają o zabicie Jimmie Jo i dziecka.

— Przeszkadzało. Ale nic nie mogłam powiedzieć.

— Wiesz, co sobie myślę? — Słonko wstała z krzesła. — Myślałaś sobie, że na dłuższą metę wszystko się pięknie ułoży, jeśli by mnie o to oskarżono. Wiedziałaś, że nie obwiniają Pete'a, bo wszyscy mieli do mnie uraz. W ten sposób zemściłabyś się na mnie za to, że go zabiłam. A dla Karen wciąż byłabyś najlepszą babcią.

— Tyle dobrego dla ciebie zrobiłam, Słonko. Ten samochód masz ode mnie. Pomogłam ci.

— Możliwe. A może wszystko to robiłaś właśnie dla Karen. I dla siebie samej. Widzisz, Marilyn, jakoś nie czuję się przy tobie spokojnie. Mogłabyś znów wpaść na jakiś pomysł. Mogłabym się obudzić przyszyta do łóżka, a ty stałabyś nade mną z grabiami. Albo ze strzelbą. Czy z tą trzydziestką ósemką.

— Tak jakbyś sama była takie niewiniątko.

— Przed twoim synem musiałam się bronić. Poszłam aresztować kilku mężczyzn, którzy łamali prawo, próbowali zabić moją córkę i mojego zastępcę, zastrzelili dzieciaka, którego lubiłam. I mojego psa. Zabiliby i mnie, i tatę. Mam czyste sumienie. A ty, Marilyn?

Ruszyła do drzwi.

— Aresztujesz mnie?

— Nie mam odznaki. Ani broni. Nie zamierzam ich już więcej nosić. Już ich nie potrzebuję.

Słonko pchnęła siatkowe drzwi domu, wyszła, pozwoliła im trzasnąć. Marilyn wyszła na ganek, stanęła na schodach, gdy Słonko była już przy samochodzie.

— Rzucasz robotę?

— Właśnie.

— Więc mnie nie aresztujesz? Słonko pokręciła głową.

— I co teraz zamierzasz? — spytała Marilyn, po czym musiała wytężyć słuch, bo słowa Słonki ginęły w brzęczeniu wielkiej piły, która znów poszła w ruch.

— Zabiorę Karen, pożegniam się z Clyde'em, odbiorę tatę, a potem... sama nie wiem. Po prostu pojedziemy gdzieś.

— Wierzysz mi, Słonko?

— Nie wiem. Nie sądzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Nawet jeśli, to mizerne. Ale mam wątpliwości, i to już dla mnie zbyt wiele. A najważniejsze, że mam moją oś...

— Że co?

— Na razie, Marilyn.

Wsiadła do samochodu i odjechała, a Marilyn stała na ganku i odprowadzała ją wzrokiem, aż auto zniknęło z jej pola widzenia, i został już tylko widok na drogę i wzniecone kołami kłęby kurzu.